



LIZZIE
ENFIELD

RODZICIELSKIE DYLEMATY, ZAWIĘŁOŚCI MORALNE
I KONSEKWENCJE SPORÓW WOKÓŁ SZCZEPIEŃ

DAWKKA ŻYCIA

Prószyński i S-ka

LIZZIE
ENFIELD

DAWKKA
ŻYCIA

Przełożyła
Hanna Pasierska

Prószyński i S-ka

Dla moich Rodziców

Ta książka nie jest w Waszym guście

i nie musicie jej czytać

Ele mele dutki,
grypa dusi kotki,
a pies dostał odry,
więc wypadasz ty z gry.

rymowanka dziecięca

PIERWSZY TYDZIEŃ

Isobel, sobota

– Myślałam, że wiesz?

Sposób, w jaki Sally to powiedziała, jasno sugerował, że chodzi o rzecz, którą powinnam wiedzieć, o której wiedzą wszyscy inni i zakładają, że ja również. Nim wypowiedziała te trzy słowa pytającym tonem, rozejrzała się po pokoju i zniżyła głos, by nikt nie słyszał, aż się zaniepokoiłam, co takiego powinnam wiedzieć, a nie wiem. To znaczy, czego nie wiedziałam w tamtej chwili.

Powinno istnieć osobne określenie stanu niewiedzy: kiedy budzisz się rano i krzatasz wokół własnych spraw, sądząc, że wszystko jest normalnie, gdy tymczasem wydarzyło się coś, co całkowicie zmieniło sytuację.

Czytałam o kobiecie z Nowego Jorku, która wyjechała do spa w jakimś egzotycznym kraju, chcąc się odstresować czy zdetoksykować, czy co tam robią nowojorczyki, kiedy doszło do ataków 11 września – a ona nie miała o niczym pojęcia. Na liście życzeń na czas pobytu zaznaczyła kratkę „żadnych wiadomości z zewnątrz”. Jej apartament znajdował się w budynku bez telewizji, radia i internetu. Nie dostarczano jej żadnych gazet. Dlatego dopiero dwadzieścia cztery godziny później, dwunastego września – gdy szła przez kompleks do sali zabiegowej, któryś z gości usłyszał, jak rzuciła: „Mam umówiony indyjski masaż głowy”, z charakterystycznym akcentem, i zawołał: „O, mój Boże! Jest pani z Nowego Jorku? Bardzo mi przykro. To straszne...” – tak dowiedziała się, że świat, w którym żyła, zmienił się bezpowrotnie.

Tamtego ranka to ja żyłam w rozkosznej nieświadomości, chociaż to nie jest właściwe określenie. W żaden sposób nie potrafi oddać tego, jak wolna się czułam, nie wiedząc, co Sally powie mi za kilka godzin.

Działaliśmy w radosnej atmosferze.

Był to – jak nazwałby go Vincent ze swoją dziwną, synestetyczną skłonnością do przypisywania nastrojom rozmaitych kolorów – „różowy” ranek.

Zaskoczył mnie, kiedy to zrobił po raz pierwszy.

– Nie lubię śród – oznajmił pewnego poranka przy śniadaniu. – Są żółte.

Był zajęty wypatrywaniem kształtów wśród resztek płatków kukurydzianych: kolejnym swoim dziwactwem.

„Fiat pięćset jedzie przez pustynię”, oświadcza na przykład, poprawiając łyżką jakiś drobny detal wizji zauważalny tylko dla niego, lekko przesuwając rozmokłe płatki, jakby chciał wyostrzyć obraz. Albo: „jeleni pije ze strumienia”, albo innym razem: „motyl trzepocze skrzydełkami”. Przypomina starożytnego astronoma, który widzi pas myśliwego w przypadkowo rozrzuconych gwiazdach. Dostrzega różne rzeczy, a my, pozostali, musimy się bardzo starać, by też je wychwycić. „Och, rzeczywiście!”, zachwycam się rozmiękną pomarańczową papką, jak gdybym ja również odkryła w niej motyle skrzydełka.

Z kolorami, jak się zdaje, jest ciut inaczej.

– Co to znaczy, że są żółte, Vincencie? – spytałam.

Lecz odpowiedź niewiele mi wyjaśniła.

– Po prostu. Czwartki są trochę brązowe, a piątki fioletowe. – Zabrał się do tosta, po czym dodał: – Jak Gabby.

– Gabs?

– No. Ona jest fioletowa, tata jest srebrny, Harvey zielony, a ty taka jakby drewniana. – Wskazał regał.

– Beżowa?

Poczułam się urażona. Skoro Eric jest srebrny, czemu nie miałabym być złota? Jestem jego matką, powinnam być złota.

Zaintrygowało mnie jednak, w jaki sposób działa umysł mojego najmłodszego synka. A tamtego ranka ten umysł był w znakomitej formie.

– Czemu robisz taką minę, Vincencie?

Nakładając szminkę przed lustrem w korytarzu, zobaczyłam za sobą jego odbicie z dziwnie wydętymi policzkami.

Bez słowa zniknął w salonie, po czym wynurzył się z zapisaną kartką.

PRÓBUJĘ POBIĆ REKORD ŚWIATA W TRZYMANIU WODY W USTACH, było na niej napisane. TRZYMAM JĄ, ODKĄD UMYŁEM ZĘBY. PS NIE ROZŚMIESZAJ MNIE...

Pobudziło mnie to do śmiechu – do serdecznego, szczęśliwego śmiechu „przepełnionego radością rodzinnego życia”.

Eric też się roześmiał, gdy mu o tym opowiedziałam i pokazałam kartkę. Potem włożyłam ją do kieszeni swetra, gdzie później miałam znaleźć to przypomnienie tamtej chwili, zanim się dowiedziałam, zanim ktokolwiek z nas się dowiedział.

– Ben i Maggie będą? – spytała Gabriella, kiedy szukaliśmy miejsc w pociągu.

– Możemy podejść kawałek dalej, Gabs?

Pchnęłam Vinniego naprzód i głową wskazałam leżące na stoliku puste opakowanie po orzeszkach ziemnych.

Harvey ma alergię na orzechy. Nie tak poważne uczulenie, o których robi się głośno, gdy ludzie umierają tylko dlatego, że wciągnęli do płuc okruchy z wyrzuconego opakowania – ale nie chcę ryzykować. Od dawna nie miał reakcji, więc wszyscy o tym zapominają i zachowują się, jak gdyby problem zniknął. Czasem myślę, że tylko ja nad nim czuwam. Skoro nawet jego piętnastoletnia siostra, troskliwa i rozsądna, która naprawdę zajmuje się młodszymi braciszkami, praktycznie sadza go naprzeciw paczki po orzeszkach, to jak mogę ufać, że ktoś inny, z kim Vincent spędza czas, zadba, by synek nie miał z nimi kontaktu? Ciągle się niepokoję, kiedy jest w szkole albo z kolegami.

– Przepraszam, mamó. – Gabs ruszyła dalej przez wagon, wypatrując pięciu siedzeń obok siebie. – Tutaj?

– Ale ja potrzebuję stolika – marudził Harvey. – Muszę skończyć tort.

Jakieś pięć minut przed wyjściem postanowił zrobić dla Antona urodzinowy tort origami. Był to ambitny projekt. Z tych, które wymagają kilku kartek papieru, zdecydowanie ponad pięciu minut czasu i płaskiej powierzchni.

– Więc siadź tam. – Starsza siostra wskazała wolne miejsce przy stoliku.

Pozostałe trzy były już zajęte. Pomyślałam, że byłoby miło, gdybyśmy mogli siedzieć razem podczas dwudziestominutowej podróży wzdłuż wybrzeża z Hove do Lancing, ale Harvey zajął wolny fotel i skupił się na swoim origami.

W tamtym czasie rzadko robiliśmy coś wszyscy razem, więc zdziwiło mnie, że Gabriella zdecydowała się pojechać. Woli spędzać czas z kolegami, a na wieść o pięćdziesiątych urodzinach męża jednej z moich koleżanek ze studiów w normalnych okolicznościach uciekłyby, gdzie pieprz rośnie. Tymczasem postanowiła wybrać się z nami do Antona.

– Chciałabym znowu zobaczyć ich wszystkich – wyjaśniła, gdy wspomniałam o zaproszeniu.

„Wszyscy” oznaczali grupę przyjaciół, z którymi spędziliśmy latem dziesięć dni we Francji: Yasmin, moja przyjaciółka z lat studenckich, i jej mąż Anton, Sally i Paddy, którzy studiowali na tym samym uniwersytecie, właściciele domu w Gaskonii, gdzie się zatrzymaliśmy w początkach sierpnia, oraz Ben i jego żona Maggie. Mieszkałam z Benem w tym samym akademiku. Poznałam go pierwszego dnia, a następnie przez niego – Erica, jego najbliższego przyjaciela.

Gabriella początkowo nie paliła się do wyjazdu na wakacje, ale nie zgodziliśmy się, by została w domu, choć zapewniała, że „wszyscy inni rodzice na to pozwalają” i „przecież nie będzie tam nikogo w moim wieku”.

Syn Antona i Yasmin, Conrad, jest starszy od Gabs nieco ponad rok. Kiedy się urodziła, ciągle jeszcze mieszkaliśmy w Londynie, więc liczyłam, że będziemy spędzać wspólnie sporo czasu z Yasmin. Poza Sally, która zaszła w ciążę w połowie egzaminów końcowych, żadna z moich bliskich przyjaciółek nie miała jeszcze dzieci. Conrad jednak wprawiał mnie w zakłopotanie. Z początku nie bardzo wiedziałam dlaczego. Nigdy na mnie nie patrzył ani się nie uśmiechał, nie interesował się Gabs ani właściwie niczym.

Kiedy Gabriella miała roczek, nieznaczna odmienność Conrada dostała swoją nazwę. Był autystyczny. Dla Antona i Yasmin, którzy oczekiwali wtedy drugiego dziecka, Miry, oznaczało to straszny cios.

– Jest taki tekst o pojawieniu się w rodzinie dziecka z niepełnosprawnością – powiedziała mi kiedyś Yasmin – pod tytułem *Witamy w Holandii*. Autorka porównuje to do sytuacji, kiedy dziewczęć miesięcy planujesz wspaniałe wakacje we Włoszech, a gdy ten dzień nadchodzi, okazuje się, że wylądowałaś w Holandii.

Rozumiałam, o co jej chodzi. Wciąż miała dziecko, które bardzo kochała, ale nie było ono dzieckiem, jakie sobie wymarzyła, a podróż z nim przez życie miała się bardzo różnić od tego, czego oboje z Antonem się spodziewali. Podobnie jak nasza przyjaźń. Conrad i Gabs nie zostali bliskimi przyjaciółmi z dzieciństwa, na co liczyłam. Kilka lat po naszej przeprowadzce do Brigh-ton Yasmin przeniosła się z rodziną na południowe wybrzeże, aby posłać Conrada do miejscowej szkoły specjalnej. Do tej pory moje dzieci miały już własne życie, a ja swoje, choć z ich życiem ściśle związane. Nadal się spotykałyśmy, ale bardzo rzadko. I zawsze było to trudne. Conrad zawsze był trudny. Nie nawiązał kontaktu z Gabs, a Harvey i Vincent się go bali.

Przy okazji francuskich wakacji pierwszy raz spędziliśmy trochę czasu razem

i koniec końców wyszło na to, że Gabriella miała rację: była sama. Wydawało się jednak, jak gdyby nagle dojrzała i świetnie dogadywała się z dorosłymi, szczególnie z Maggie, której nikt z nas tak naprawdę dobrze nie znał.

– Ben i Maggie przyjdą? – spytała znowu, kiedy rozsiedliśmy się w pociągu.

– I Iris – rzucił Vincent, otwierając puszkę coli, którą kupił mu Eric, i opryskując przy tym całe siedzenie.

Iris to córeczka Bena i Maggie. Z nią również Gabs świetnie się dogadywała. Zawsze sobie radziła z młodszymi dziećmi. Chyba ma to związek z byciem najstarszą.

– Na pewno – stwierdziłam z przekonaniem, jak się okazało, bezpodstawnym. – Vinnie, uważaj.

Myślałam, że przyjdą na pięćdziesiątkę kumpla, tym bardziej że Yasmin i Anton rzadko robili imprezy. Z powodu Conrada niełatwo było im prowadzić życie towarzyskie.

Myślałam, że przyjdą, bo przed wyjazdem latem z Francji żegnaliśmy się słowami: „Do zobaczenia na imprezie u Antona!”.

Myślałam tak, chociaż Ben nie odpisał na mojego esemesa z pytaniem, czy się wybierają, ale uznałam, że po prostu jest zajęty.

Ben i Maggie zdążyli wrócić do kraju, kiedy Iris zachorowała na odrę. Wiedziałam, jakie musiało to być dla nich straszne, bo mnie też ciężko było patrzeć na chorą Gabs. I wiedziałam, że Iris mogła złapać wirusa tylko od Gabrielli podczas wakacji. Ale było już po wszystkim. Obie czuły się dobrze. Prawdopodobnie choroba wzmocniła układ odpornościowy każdej z nich.

Zresztą, nasze przyjaźnie, moja z Benem oraz Bena z Erikiem, liczą sobie wiele lat, więc wyobrażałam sobie, że nawet jeśli kiedyś istniały między nami jakieś niesnaski, należą już do przeszłości.

Myliłam się.

Vincent gra w piłkę w ogrodzie z parą innych dzieci pod opieką gromadki dorosłych. Mamy prawie początek listopada, ale temperatura jest umiarkowana. Nie bardzo wiem, gdzie się podział Harvey, Gabriella mignęła mi na obrzeżach salonu, chyba żałuje, że przyszła. Znowu nie ma nikogo w jej wieku. Wiem, że chciała pogadać z Maggie i zobaczyć Iris. Jak się zdaje, dogaduje się z Maggie lepiej niż ja. Pewnie dlatego, że obie są muzykalne, a poza tym w czasie wakacji Maggie na pewno była jej wdzięczna za zabawianie małej całymimi godzinami.

– Ben i Maggie jeszcze nie przyjechali? – zwracam się do Sally, obserwując znużoną córkę na drugim końcu pokoju.

– Nie sądzę, by się zjawili – odpowiada.

W jej głosie słychać napięcie, ale nie przywiązuję do tego wagi.

– Och. Sądziłam, że będą – rzucam.

Spojrzenie Sally sugeruje, że istnieje powód ich nieobecności i że czuje się przyparta do muru, ponieważ ja tego powodu nie znam, więc to ona będzie zmuszona mi go zdradzić.

A może za wiele się doszukuję w sposobie, w jaki na mnie patrzy.

– Nie wiesz? – pyta.

– O czym? – odpowiadam i mój „różowy” nastrój zaczyna się ulatniać.

– Sądziłam, że powiedzieli ci o wszystkim – rzuca Sally i rozgląda się dokoła, być może szukając pretekstu do ucieczki.

– Mianowicie o czym?

Jeśli istnieje coś takiego jak przecucie, nachodzi mnie właśnie wtedy: że cokolwiek za moment usłyszę, będzie to zła nowina.

– To chyba nie jest najlepsze miejsce.

Kieruje wzrok na Antona, który krąży z butelką. Nie patrzy na mnie.

– Sally?

Zmuszam ją, by to uczyniła.

Znamy się od dwudziestu lat.

Zawsze czułyśmy się swobodnie w swoim towarzystwie.

Czego nie chce mi powiedzieć?

– Chodzi o Iris. – Zniża głos i tym razem patrzy prosto na mnie. – Była poważnie chora po wakacjach.

Przecież wiem.

– Ale już się czuje lepiej.

Rozmawiałam od tamtego czasu z Benem i zapewniał, że z Iris wszystko w porządku.

– Tak, lepiej. – Sally upija łyk z kieliszka. A potem następny. – Tylko...

– Tylko co?

– Myślałam, że wiesz – mówi. – Jest teraz głucha. Całkowicie straciła słuch.

Wypiłam tylko pół kieliszka szampana, ale pokój zaczyna wirować mi przed oczami.

– Lepiej usiądź – rzuca Sally. – Przepraszam, naprawdę byłam pewna, że wiesz.

– Muszę iść do łazienki – słyszę własny głos i w tym momencie zjawia się Yasmin.

– Dobrze się czujesz, Bel?

– Ona nie wiedziała – mówi do niej Sally. – Myślałam, że wie.

– Co się dzieje, Bel? – Podchodzi Eric, wyczuł moją udrękę ze swojego miejsca w ogrodzie przy wejściu.

– Po prostu zrobiło mi się słabo. – Patrzę na Sally, błagając w duchu, żeby mu nie mówiła, jeszcze nie.

– Och, kochanie. – Jest zaniepokojony. – Mam nadzieję, że nic cię nie bierze. Anton wspomniał, że Maggie też się źle czuje.

Chyba nie zauważa spojrzeń, jakie wymieniają Sally i Yasmin. Ja tak.

– Trochę mi niedobrze. – Wstaję i ruszam w stronę łazienki.

– Iść z tobą? – pyta, a ja próbuję się uśmiechnąć.

– Nie, zaraz poczuję się lepiej, na sto procent.

Nie wydaje się uspokojony, ale w tym momencie wkracza Yasmin.

– Zaprowadzę ją. W szafce z lekarstwami chyba mam coś na mdłości.

W drodze przez podest do łazienki mijamy pokój Conrada. Siedzi na łóżku i wydaje te swoje dziwne, jęczące dźwięki, jak niektórzy ludzie, gdy nuca pod nosem. Nienawidzi

zgrupowań. Robi się wtedy zestresowany, wystraszony i rozszalony.

Przystaję, by zajrzeć do środka, i widzę, że jest z nim Harvey, który klęczy na podłodze i składa origami, używając jako stołu dużej książki leżącej na łóżku Conrada.

W ogóle nie czuję się zaskoczona, że go tu zastałam. Origami zaczęło się na wakacjach. Kupiłam chłopcom zestaw, bo chciałam, by spędzali czas na czymś innym niż gra na iPodach. Harvey polubił je od razu – nic dziwnego, bo uwielbia robić różne rzeczy – a Conrad rozwinął w sobie fascynację obserwowaniem go przy pracy i zamiłowanie do miniaturowych papierowych zabawek stanowiących rezultat.

Zaskakuje mnie natomiast, że Harvey poszukał azylu u Conrada. Conrad nie należy do dzieci, których towarzystwa chciałoby się szukać albo u których można znaleźć azyl.

Idę dalej.

Yasmin wyprzedza mnie i otwiera drzwi łazienki. Przeciskam się obok w nagłym pośpiechu, siadam na skraju wanny i biorę głęboki wdech. Yasmin staje przy umywalce.

– Pewnie wszyscy uważają, że to moja wina? – rzucam.

Chcę, by mnie jakoś pocieszyła, ale milczy. A dokładniej – bez słowa odwraca wzrok, co jest niezupełnie tym samym co zwykłe milczenie. Raczej nie chce powiedzieć tego, co naprawdę myśli.

I to już mówi bardzo wiele.

Sama więc odpowiadam na swoje pytanie. Oczywiście, że mnie obwiniają. Jak mogliby mnie nie obwiniać?

– Czujesz się już lepiej? – pyta Yasmin, patrząc na mnie ponownie.

– Nie całkiem – odpowiadam. – Ale poradzę sobie. Daj mi chwilę.

– Okej. – Rusza do wyjścia.

To naturalne, że chce wrócić na przyjęcie. Wiem o tym. Jest gospodynią. Ale równocześnie wyczuwam, że chodzi o coś więcej, o coś, czego nie chce powiedzieć. Wkładam rękę do kieszeni i szukam chusteczki, bo łzy cisną mi się do oczu, ale zamiast tego natrafiam na notkę Vinniego. Naprawdę zaledwie kilka godzin temu byliśmy „przepełnieni radością rodzinnego życia”?

Pozwalam łzom płynąć.

Wiem, że Ben jest na mnie wściekły, skoro sam mi nie powiedział. I zaczynam uważać się nad sobą, bo wiem, że inni mnie potępiają.

Ben, sobota

– Dokąd idziesz? – pyta Maggie. – Nie skończyłeś kawy.

Właśnie zaparzyła cały dzbanek.

– Wyjmę rzeczy ze zmywarki – odpowiadam.

– Jeszcze nie skończyła cyklu.

– Skończyła. Przed momentem słyszałem, jak piszczy.

– To pralka – wyjaśnia Maggie, zbyt cierpliwie.

– Co to ma znaczyć?

– Nic. Mówię tylko, że nie ma sensu, żebyś się zrywał, by wyjąć talerze ze zmywarki, skoro nie skończyła cyklu. Piszczala pralka.

– Sugerujesz, że za mało pomagam w domu – warczę. – Bo nie potrafię odróżnić dźwięków wydawanych przez poszczególne urządzenia.

– Nic podobnego, Ben. Mówię tylko, że zmywarka jeszcze pracuje. Jezu...

Gryzie się w metaforyczny język.

– Co?

– Nic.

Iris siedzi na krzeselku przypinanym do blatu, toczy kredki świecowe po kartce papieru i sprawia wrażenie całkiem szczęśliwej. Nagle wydaje z siebie jeden z tych swoich upiornych, przenikliwych pisków.

– A teraz jesteś na mnie wkurzona – mówię, ignorując córkę.

– Wcale nie – odpowiada Maggie, ale oczywiście jest wkurzona. Czemu miałyby nie być? Jestem nadpobudliwy, drażliwy i wyzywam się na niej. – Słuchaj, Ben, skoro chcesz się czymś zająć, to bardzo proszę, wyładuj pralkę i powieś pranie. Pytałam jedynie, czy chcesz dokończyć kawę.

– Cóż, najwidoczniej nadszedł czas, b-b-bym się zaprzyjaźnił ze sprzętem AGD. – Przeklinam samego siebie za jąkanie, wkurzony idiotycznością całej awantury, lecz mimo to zdecydowany ją kontynuować. – Gdzie jest kosz na pranie?

– Przy tylnych drzwiach – odpowiada Maggie ze znużeniem, wstaje i wyjmuję Iris z krzeselka, chociaż mała przestała piszczeć i z powrotem zajęła się toczeniem kredek.

Może trzeba było pójść na to przyjęcie. Naszą nieobecnością chciałem złożyć wielką, gniewną deklarację, ale kiedy zadzwoniłem do Yasmin powiedzieć, że nie damy rady – i dlaczego – wydawało się, że przyjęła to niemal bez emocji. „Naturalnie, rozumiem”.

Jej reakcja mnie rozczarowała. Zbyt pełna zrozumienia i współczucia. Żadnego jednoznacznego potępienia Isobel. Żadnego szczerego szoku z powodu tego, co się stało. Żadnego „Jezu, to straszne” ani osłupiałej ciszy. Usłyszała nowinę jako pierwsza z grona naszych przyjaciół i oczekiwałem, że wyrazi oburzenie. Nie chciałem stonowanego: „To okropne, Ben, bardzo mi przykro”.

Pewnie powinienem się tego spodziewać. Jej, mającej za syna stukniętego Conrada, głuchota pewnie nie wydaje się niczym strasznym. Może się powstrzymała, by nie rzucić:

„To wspaniale, Ben. Jest głucha, nie autystyczna. Macie szczęście. Bierzcie się do roboty. Nauczycie się z tym żyć”.

Paddy był w szoku, kiedy mu powiedziałem, ale stara grupowa solidarność nadal obowiązuje. Współczujemy Benowi, lecz nie zamierzamy otwarcie potępiać Isobel, bo jest naszą kumpelą. A właściwie czemu nie? Postąpiła podle. Gdyby Paddy tak stwierdził, jej nic by nie ubyło, a ja poczułbym się lepiej.

No więc siedzimy w domu, wiedząc, że niektórzy z naszych przyjaciół wkrótce będą żłopać wińsko do wieczora, w tradycyjny sposób świętując epokową rocznicę. I wkurza mnie, że nic nie robię, a gdzieś indziej toczy się życie.

– Idę pod prysznic. Zerkniesz na nią? – pyta Maggie.

Sadza Iris na kuchennej podłodze przed pudełkiem z otworami na klocki różnych kształtów.

– Wiesz, że tak – odpowiadam, rozwieszając wilgotne ubrania na suszarce.

Nie musi pytać, czy zerknę na własną córkę. Wie, że mógłbym obserwować Iris cały dzień. Nadal urzeka mnie każdy jej ruch. Powala jej niemowlęce piękno. Tylko po prostu nie mogę znieść tego, że gdy wołam: „Hej, słoneczko!”, ona już się nie ogląda, by spojrzeć na swojego tatę i uśmiechnąć się do niego. Zajmuje się tym, czym się zajmowała, a jeśli się znudzi – co chyba zdarza się coraz szybciej – zaczyna płakać.

Późnym rankiem na podłodze w korytarzu ląduje poczta. Dzisiaj przyszło tego mnóstwo: w większości makulatura, kilka rachunków oraz czasopismo, które zaprenumerowała Maggie. Szpara na listy ma od wewnątrz mosięzną klapkę dla ochrony przed zimnym powietrzem, za każdym razem gdy ktoś wrzuca list, rozlega się donośny, brzęczący dźwięk, a potem głuchy łomot, gdy przesyłka ląduje na podłodze. To hałaśliwy proces, a dzisiaj osiąga kulminację, kiedy „Alan przez etkę” dzwoni do naszych drzwi.

Nazywamy go tak z powodu kartki na Boże Narodzenie. Nie mieliśmy pojęcia, jak nasz listonosz ma na imię, póki jej nie przysłał w zeszłym roku. Zajrzeliśmy do środka, odcyfrowanie nadawcy zajęło nam chwilę. „Wesołych Świąt od &lana”, napisał.

– Ach, chodzi o Alana! – odgadła w końcu Maggie.

Ja wciąż nie byłem przekonany.

– Alan przez etkę? – zdziwiłem się.

Od tej pory pocztę dostarcza nam „Alan przez etkę”, tak jak jeden z dawnych chłopaków Maggie, Iain, zawsze był „Iainem z dwójgiem oczu” dla odróżnienia od innych znanych nam Iainów będących cyklopami.

Nasz dzwonek jest donośny i natarczywy. Człowiek aż się wzdryga, jeśli nie słyszał go wcześniej, prawdę mówiąc, sam teraz podskakuje, chociaż wiem, że za drzwiami stoi „Alan przez etkę”, próbujący wcisnąć przesyłkę do szczeliny. Podejrzywałem, że się podda i zadzwoni.

Ale Iris, która siedzi na podłodze i obgryza klocki (jest rzekomo „za mała”, by się nimi bawić), nie reaguje w ogóle: ani na brzdęk, ani na łomot, ani na natarczywy dzwonek. Tylko w dalszym ciągu bada za pomocą języka czerwony trójkąt, jak gdyby to był lizak, a nie kawałek drewna pomalowanego nietoksyczną farbą na jeden z podstawowych kolorów.

A ja mam ochotę warknąć na nią: „Naprawdę nie słyszysz?” – tak jak starzy ludzie,

którzy głuchną i strofują innych za mamrotanie, bo nie chcą przyznać, że sami mają problem, i przypisują go wszystkim dookoła.

Ciężkim krokiem ruszam do drzwi, zerkając przez ramię na Iris, czy zauważyła. Może nas oszukuje? „Czy jest za mała, aby podjąć decyzję, że będzie udawać głuchą po to, by nam zrobić na złość?”, zastanawiam się. Jasne, że tak. Ale to mnie nie powstrzymuje przed podobnymi rojeniami i nadziejami, podobnie jak przed pokusą, by niespodziewanym wrzaskiem zmusić ją do słyszenia.

Otwieram drzwi i „Alan przez etkę” oświadcza, że ma przesyłkę dla Maggie, chociaż nazywa ją panną Bisseker, bo tak jest napisane na opakowaniu. Nie mamy ślubu, więc oficjalnie Maggie jest panną Bisseker.

– Kolejne książki – mówię, bo czuję irracjonalną potrzebę wytłumaczenia, dlaczego ostatnio dostajemy tyle poczty.

W sumie Alanowi nic do tego i wątpię, by go to obchodziło. Ale chcę zasugerować, że musi teraz dźwigać cięższą torbę nie z powodu naszych fanaberii, tylko dlatego, że się rozwijamy, a raczej rozwijamy naszą wiedzę o chorobie córeczki.

Tak zareagowała Maggie: czytać, ile się da, jakby wiedza sprawiała, że łatwiej będzie sobie z tym poradzić. Spędza mnóstwo czasu na stronie Krajowego Towarzystwa Dzieci Głuchych, kiedy nie siedzi na Amazonie, wyszukując książki.

Pewnie ma słuszość: im więcej będziemy wiedzieć, tym lepiej. Ale moja reakcja jest inna. Czuję się wściekły, bo to takie cholernie bezsensowne. Wściekły, że spotkało to naszą śliczną dziewczynkę, i wściekły na Isobel, bo to jej wina.

Maggie ostrzegała, żebym do niej nie dzwonił od razu, kiedy się dowiedzieliśmy. „To w niczym nie pomoże”.

Była bardzo spokojna, ale ludzie różnie reagują w podobnej sytuacji. Wiem, że też się martwi. Od wielu dni nie tknęła trąbki, a to do niej niepodobne. Dawniej grała godzinami, ale odkąd się dowiedzieliśmy, w domu jest cicho. Zbyt cicho. Ciszę przerywa tylko dzwonek do drzwi.

– Musi się dowiedzieć, zgoda, ale chyba powinna to usłyszeć od kogoś innego i przemyśleć wszystko, zanim ty z nią porozmawiasz – zauważyła Maggie.

Czasami potrafi być taka wyrozumiała, że nie mogę tego wytrzymać. Kusi mnie, by nią potrząsnąć i obudzić w niej trochę tego gniewu, który czuję – tak samo jak kusi, by wrzasnąć na Iris, kazać jej przestać zamykać uszy na świat i zacząć reagować na dźwięki.

Naprawdę sądziłem, kiedy dwa tygodnie temu jechaliśmy do szpitala, że to zwykła formalność: uspokojenie zdenerwowanych rodziców, których dziecko spędziło niedawno jakiś czas w szpitalu, okazja dla personelu NHS1, by odhaczyć właściwe kratki w karcie medycznej malucha, który chorował na odrę. „Czy stawili się na badaniu kontrolnym?”. Ptaszek. „Czy byli z dzieckiem na wizycie u audiologa?”. Ptaszek.

– Po prostu nie reaguje tak żywo, jak wcześniej.

Maggie była bardziej niespokojna, szczególnie odkąd lekarz pierwszego kontaktu skierował Iris do szpitala i rzucił coś o „wykluczeniu głuchoty”.

Ja nadal sądziłem, że chodzi tylko o to: o wykluczenie głuchoty, nie zaś jej

potwierdzenie. Nawet nie przyszło mi do głowy, by z nimi jechać, ale Maggie nalegała. „Nie chcę być sama, jeśli coś pójdzie nie tak”.

– Z pewnością pójdzie dobrze.

Wcześniej, kiedy Iris wyszła ze szpitala, oboje przeszukaliśmy internet, chociaż lekarze nam odradzali. Zgłębiałem skutki uboczne odry i możliwe komplikacje, choć w materiałach online podkreślano, że są one „rzadkie”. Mój starszy brat przeszedł odrę i nic mu nie jest. Ja, młodszy, dostałem zastrzyk i zyskałem odporność na kilkutygodniowe nieprzyjemności wywoływane przez wirusa.

Iris też była chora – okropnie, niepokojąco chora. Nie chciałem nigdy więcej oglądać jej w takim stanie. Ale przecież w końcu wyzdrowiała. Siedziała teraz zadowolona na kolanach Maggie i rozglądała się po pokoju, właśnie jak dziecko ciekawe świata.

– Sądzę, że państwa córka doznała nagłej obustronnej głuchoty czuciowo-nerwowej – powiedział lekarz.

– Co to znaczy?

Zapytaliśmy z Maggie równocześnie.

W rzeczywistości natomiast pomyślałem: „Czemu oni nie mogą używać prostego języka, kiedy coś tłumaczą?”

Próbowałem pochwycić jej wzrok. Zamierzałem unieść brwi, jakbym dawał do zrozumienia: „Ależ mają dumny sposób mówienia”.

Maggie załapała szybciej ode mnie.

– To znaczy, że Iris nie słyszy? – przetłumaczyła. – I że to się stało nagle? Ale minie?

– Obawiam się, że uszkodzenie zostało spowodowane przez wirusa, którym córka zaraziła się w tym roku. Słuch nie wróci w sposób naturalny, chociaż oczywiście będzie mogła używać aparatu słuchowego i...

– Aparatu słuchowego? – Nagle powiązałem liczbę mnogą ze słowem „obustronne” w jego wcześniejszym zdaniu. – Chce pan powiedzieć, że straciła słuch w obojgu uszu?

– Na to wygląda – odparł lekarz, składając swoje notatki w zgrabny stosik, jakby zrzucenie tej bomby stanowiło naturalne zwieńczenie naszej konsultacji.

Myślę, że do tej pory ktoś musiał przekazać Isobel wiadomość. Albo zrobi to wkrótce. Cholera wie, jak ona zareaguje. Czy zostanie wykopana z przemądrzałego przekonania w stylu „bardzo się staram być idealnym rodzicem” i poczuje się tak podle, jak powinna? A może wynajdzie całą litanię egoistycznych usprawiedliwień dla sytuacji, w którą nas wpakowała?

– Żałujesz, że nie poszedłeś na imprezę? – Maggie jest umyta, ubrana i trafia w punkt. Zgarnia Iris z podłogi i zwraca się do niej, chociaż mała nie słyszy ani słowa. – Myślisz, że tatuś wolałby się zalewać na przyjęciu?

Zwija dłoń w kształt litery C i przechyła w stronę małej, jak gdyby piła. Kupiła już książkę o języku migowym i komunikuje się z naszą głuchą córeczką, nigdy nie przyszłoby nam do głowy, że będziemy z nią rozmawiać w taki sposób. Ja wciąż uparcie

się opieram. A aparaty słuchowe? A implanty? Nie chcę skazać Iris na tamten inny świat.

– Przyszło coś dla ciebie. – Ignoruję pytanie i podaję jej pakunek. – Kolejna książka.

– Tak, kolejna książka – odpowiada.

Impas trwa. Mogłaby go przełamać, gdyby tylko umiała poczuć odrobinę mojego gniewu.

Nie chodzi o to, że zaakceptowała sytuację. Były łzy, mnóstwo bezsensownych „a jeśli”, buntowniczych pytań: „Czemu nas nie ostrzegła, że to może być odra?”, „Jak sądzisz, dlaczego jej dzieci nie zostały zaszczepione?”. Ale bardziej skupiła się na kombinowaniu, w jaki sposób sobie poradzić, niż na wytykaniu palcem winnych.

Czyli jest lepszym człowiekiem ode mnie. „I co z tego?”, myślę, podając jej paczkę zawierającą, jak podejrzewam, kolejne publikacje o głuchocie: *Jak sobie radzić z głuchotą*, *Życie z głuchotą*, *Jak postępować z głuchym dzieckiem*. Napisano setki książek na ten temat, a Maggie najwyraźniej postanowiła przebrnąć przez wszystkie. Okej, przynajmniej przez te o dzieciach. Są książki o życiu z głuchymi rodzicami albo rodzeństwem, o pracy z głuchymi kolegami. Jest nawet jedna zatytułowana *Życie z głuchym psem* – i bardzo mnie to rozbawiło – kiedy Maggie natrafiła na nią na Amazonie (Iris spała po wizycie w szpitalu), zawołała mnie do siebie i wybuchnęliśmy śmiechem. Sądziłem, że to żart, ale mi ją pokazała.

– „Głuchy pies cieszy się życiem zupełnie tak samo jak słyszące zwierzęta” – przeczytała fragment opisu. – „Nadal ma swój wrażliwy nos i oczy, które dla psa są znacznie ważniejszymi zmysłami”.

– To na poważnie? – spytałem, co w moich własnych uszach zabrzmiało dziwnie z amerykańska, i zastanowiłem się, czy pisał to jakiś Amerykanin.

– Oczywiście. – I czytała dalej: – „Ta cenna publikacja pomoże właścicielom głuchych i niedosłyszących czworonogów przyjąć swych wiernych towarzyszy takimi, jakimi są, a także nawiązać z nimi *ściślejszą więź* poprzez znalezienie nowych lub zmodyfikowanie dawnych zasad wspólnego życia”.

– Myślisz, że głuche psy szkolą słyszących ludzi, żeby reagowali w ich imieniu?

Maggie prychnęła śmiechem – nie z mojego kulawego dowcipu, lecz z faktu, że autor miał głuchego dalmatyńczyka wabiącego się Czekolada.

– Wydaje się okrutne mieszać w głowie biednemu psu, wołając na niego Czekolada, skoro jest czarno-biały – zauważyła.

– Cóż, przecież tego nie słyszy – odparłem i tym razem zaśmiała się z mojego żartu.

Ale mnie to wkurzyło: i mój własny dowcip, i fakt, że uznała go za zabawny. Wydawało się to okrutne. Zwróciłem jej na to uwagę.

– Sądzisz, że zaczniemy nabijać się z Iris?

Przestała się śmiać i wybuchnęła płaczem.

1 National Health Service (NHS) – Państwowa Służba Zdrowia w Wielkiej Brytanii.

Isobel, sobota po południu

W którym momencie powinnam była postąpić inaczej, żeby zmienić bieg zdarzeń?

Katuję się tym pytaniem, gdy zamykam oczy w pociągu w drodze powrotnej i próbuję się odciąć od świata zewnętrznego, żeby skupić się na tym, co usłyszałam. Eric sądzi, że nadal źle się czuję. Chyba podejrzewa, że za dużo wypiałam.

– Może siądziesz tutaj, Bel? – pyta. – Ja pójdę z dziećmiakami kawalek dalej, o tam. Spróbuj się zdrzemnąć.

– Dzięki.

Jestem wdzięczna za tę przestrzeń do rozmyślań, za szansę, by zadać samej sobie pytanie „a gdyby” – cofam się do czasu, gdy wszyscy byliśmy razem, i zastanawiam, w jaki sposób życie mogłoby potoczyć się inaczej.

W dzieciństwie podczas naszych rodzinnych wakacji zawsze był jeden, szczególny dzień, na który czekaliśmy, przesycony aurą obietnicy i tajemniczości, dzień, który zachowywaliśmy na koniec tygodnia, żebyśmy – robiąc rzeczy, do jakich tęskniliśmy cały rok – mogli liczyć na coś więcej, na coś lepszego.

W naszym wypadku był to rejs promem do Padstow. W tamtym okresie Padstow było już popularną turystyczną wioską rybacką w Kornwalii, lecz jeszcze nie miejscem pielgrzymek miłośników dobrego jedzenia. Atrakcją było machanie flagą z brzegu, by dać znać przewoźnikowi kursującemu przez ujście rzeki, że czekamy, a potem dziesięciominutowe telepanie się po wzburzonych wodach, by w nagrodę móc przez kilka godzin włóczyć się po sklepach z pamiątkami i zjeść lody.

Był to jedyny dzień wakacji, gdy nie musiałam pływać, jeśli miałam ochotę na zjedzenie rożka – szczególna zasada taty. Przyjemność nie znajdowała się na wyciągnięcie ręki – trzeba było na nią zasłużyć nurkowaniem w lodowatym Atlantyku. Zasada dotyczyła tylko mnie i ojca, ale stosuję ją nadal wobec własnego potomstwa. „Może poszlibyście na trampolinę, zanim zjemy ciasto?”, „Macie ochotę na spacer przed obiadem?”, „Może zostawimy sobie słodczyce na później, po aquaparku?”. Wrodziłam się w ojca.

Mama miała prawo zostać na brzegu i trzymać w gotowości ręczniki na chwilę, kiedy wyjdziemy z wody. Mimo to dostawała rożek pasiastych malinowych lodów. Była dorosła. Nie miało sensu, by tata próbował jej zaszcześcić ducha twardości.

Albo może już wiedziała, że jest chora. Ja nie.

W tamtych czasach w Padstow nie było jeszcze restauracji rybnej Ricka Steina ani żadnych kramów z chlebami własnego wypieku przyciągających bywalców Notting Hill. Lecz mimo to zachowywaliśmy tę wyprawę jako możliwość spędzania czasu, kiedy jest ładnie albo kiedy zaliczymy pozostałe rozrywki i można je będzie uwieńczyć ową wisienką na torcie wakacyjnych atrakcji.

Paddy i Sally w swoim gaskońskim domu zaprowadzili podobny rytuał: coś, na co zdecydowaliśmy się w pewnym momencie, gdy znużyło nas wylegiwanie się nad basenem i kupowanie ostryg w „zdegustowanych” budkach. To Harvey ukuł tę nazwę na określenie

dégustation sheds, gdzie można było skosztować ostryg. Uważał słowo „zdegustowane” za znacznie trafniejsze, biorąc pod uwagę oferowane smakowitości. „Po co w ogóle chcieć, żeby świat był naszą ostrygą?”, pytał za każdym razem, kiedy Eric wrzucał sobie do gardła oślizgłego małża i cytował to powiedzonko. „A skoro ma być jakąś rybą, czemu nie dorszem z frytkami ze sklepiu Jenny?”.

Paddy i Sally przez całe tygodnie swój entuzjizm podsycali wyprawą na Wydnię Piłata. „Pewnego dnia zdobędziemy najwyższą piaszczystą górę w Europie”, obiecał na samym początku Paddy. Harvey i Vincent przejawiali raczej gorączkowe podniecenie niż entuzjizm.

„Trenuję!”, wołał Vinnie, biegając w górę i w dół po schodach każdego dnia, odkąd usłyszał o projekcie. „Powiniennem zabrać to wszystko?”, pytał, rozkładając na łóżku kolekcję przedmiotów niezbędnych na „ekspedycję”.

Przygotowania ruszyły pełną parą, jeszcze zanim Paddy wyznaczył datę, a kiedy w końcu trochę się ochłodziło i znudziliśmy się opalaniem, tak samo jak chłopcy nie mogliśmy się doczekać zmiany scenerii.

Wtedy jednak Gabriella rozchorowała się na dobre. Kaszel się pogorszył, stan podgorączkowy zmienił się w temperaturę, szczypały ją oczy i zdawała się apatyczna.

– Zabrać ją? – Vinnie nakręcał latarkę i kierował strumień światła w różne punkty na ścianie.

Obawiałam się, że wyczekiwanie okaże się dla niego bardziej podniecające niż finalne wspinanie się na wydnię.

– Wiesz, że ma objętość sześćdziesięciu milionów metrów sześciennych? – podkreślał atmosferę Paddy tamtego ranka, kiedy nareszcie pakowaliśmy się do wyjazdu.

– Martwię się o Gabriellę. – Zgasiłam entuzjizm chłopców. – Źle się czuje, więc chyba powinnam z nią zostać.

– Pojedź, mamó, proszę, pojedź! – Vinnie przestał się ciskać i błyskać i zaczął marudzić. – Harvey też chce, żebyś pojechała. Prawda?

Spojrzał na brata, który tylko wzruszył ramionami. Podejrzewałam, że było mu wszystko jedno. Zawsze wydawał się w większym stopniu dzieckiem Erica, nie wiem czemu. Może dlatego, że był pierwszym chłopcem albo dlatego, że Eric pilnuje, by nie zaginął pośród rodzeństwa jako ten środkowy, albo dlatego, że po prostu są do siebie bardziej podobni. Niewątpliwie jest bardziej ugodowy niż Gabriella czy Vincent i gdybym dłużej powtarzała, że nie mogę pojechać na wydnię, pogodziłby się z tym, podczas gdy Vincent pewnie dalej by mnie namawiał.

– Pewnie, chodź już, Bel. Gabs niech zostanie, skoro nie ma ochoty.

Eric uznał najwyraźniej, że Gabriellę dopadła co najwyżej nastoletnia ospałość.

Ja jednak wciąż byłam niespokojna.

– Po prostu sędzę, że to kiepski pomysł zostawiać ją samą.

– Czemu? Ma piętnaście lat! – Również Ben uznał moje obawy za przesadne.

– Słuchajcie, ja chyba zrezygnuję. – Maggie mimowolnie stała się czynnikiem rozstrzygającym. – Wcale mi się nie uśmiecha dźwigać małej pod górę, a zapowiada się ostra wspinaczka, więc chętnie zostanę.

– Cóż... – Byłam rozdarta między pragnieniem, żeby pojechać, być z chłopcami

i zobaczyć ich triumfujące buzie, kiedy się wdrapią na ogromną wydmę, a potrzebą, by mieć oko na Gabby.

– Więć ustalone. – Paddy rwał się do drogi, a przecież Maggie już postanowiła, że zostanie z Gabs.

– To pewnie tylko letnie przeziębienie – stwierdził Ben.

Ale chodziło o coś jeszcze – o dręczącą mnie niepewność. Gabriella poczuła się gorzej tydzień po wizycie u swojego chłopaka. Pojechała nad jezioro odwiedzić Sama, bo nie odpowiadał na jej esemesy i naprawdę się martwiła, że kilkudniowa nieobecność wystarczyła, by o niej zapomniał i poszukał sobie innej.

– Jest chory! – oznajmiła po powrocie, z widoczną ulgą raczej niż niepokojem. – Ma odrę.

– Serio? – Staralam się, by zabrzmiało to normalnie. – Cóż, na pewno za kilka dni wydobrzeje.

Gabriella znowu wydawała się w miarę szczęśliwa, ale później zaczęła narzekać na samopoczucie, a w mojej głowie formowało się pytanie. Czy to odra? Jakie są objawy? Nie dostała wysypki, więc pewnie dopadło ją przeziębienie.

Tylko ja i Eric wiedzieliśmy, że nie została zaszczepiona. Czemu mielibyśmy komuś mówić? To nie jest temat towarzyskich rozmów.

Ta myśl nie dawała mi spokoju, kiedy zostawiłam Gabs z Maggie i jej dziewięciomiesięczną córeczką: niewykluczone, iż Gabriella ma odrę, a jeśli tak jest, sama powinnam zostać i się nią zająć.

I powinnam uprzedzić Maggie, nawet jeśli to tylko możliwość i mogę się mylić.

Tymczasem wypchnęłam tę myśl z głowy, zadreńczając się, że za bardzo się zadreńczam.

Lecz nawet gdybym wtedy wiedziała to, o czym dowiedziałam się dzisiaj, czy byłabym w stanie zmienić bieg wydarzeń?

Wyobrażam sobie, że postanawiam zostać, że Gabriella nie wstaje z łóżka i nie sadza sobie Iris na kolanach, by ją czymś zająć, podczas gdy Maggie szykuje lunch dla wszystkich.

Czy powinnam była ich ostrzec: „Słuchajcie, istnieje ryzyko, że Gabs ma odrę. Jeśli to was niepokoi, może powinniśmy ją odseparować?”. Pewnie Ben by się uparł, żeby pojechać do miasteczka, znaleźć francuskiego lekarza i zażądać, by natychmiast zaszczepił Iris na odrę, nawet jeśli była na to trochę za mała.

Ja jednak nic nie zrobiłam.

– Jedziesz w końcu? – spytał Harvey znużony moim wahaniem.

Vincent brzęczał wokół mnie.

– Tańczę taniec pszczół – poinformował. – Pszczoły tak robią, żeby pokazać towarzyszkom, gdzie jest miód.

Roześmiałam się, jak zwykle kiedy otwierał usta.

– Cóż, skoro jesteś pewna, Maggie – powiedziałam, bo chciałam być z Vincentem i z całą resztą.

Chciałam się wyrwać z domu i gdzieś pojechać. Chciałam zobaczyć tę wielką piaskową wydnię. Chciałam wspiąć się na nią i zasłużyć na piknikowy lunch. I chciałam

patrzeć, jak chłopcy pędzą na wyścigi pod górę, a potem toczą się i ześlizgują, roześmiani, szczęśliwi i swobodni.

Więc pojechałam z nimi, uruchamiając sekwencję zdarzeń, których nie mogę cofnąć.

Ben, sobota po południu

Zaczynam żałować, że nie poszliśmy na imprezę.

Co chwila zerkam na zegarek i myślę: do tej pory wszyscy są na miejscu, teraz pewnie jedzą lunch, może zastanawiają się nad powrotem do domu, może ktoś powiedział Isobel o Iris i ona teraz...

A potem myślę: i co ona teraz? Nigdy się nie dowiem, bo mnie tam nie ma. Może trzeba było pojechać i powiedzieć jej osobiście, zobaczyć jej twarz, zobaczyć jej reakcję. Moglibyśmy odbyć gniewną konfrontację. Moglibyśmy zrujnować imprezę Antona. Może byłoby warto.

Ale to nie byłoby w porządku. Wobec Antona.

Siedzenie w domu doprowadza mnie do szału.

Jest piętnasta trzydzieści. Iris śpi, a Maggie czyta swoją nową książkę.

– Chyba pójdę na spacer – mówię.

Podnosi wzrok.

– Dobry pomysł.

Ciągle nie jesteśmy do końca pogodzeni. Myślę, że to wina Maggie, jej spokoju. Jakby niczego nie zauważyła.

– Dokąd idziesz? – pyta, nie dbając o to, że nie chcę zaczekać, aż mała się zbudzi, i wybrać się z nimi.

– Nigdzie konkretnie. Po prostu muszę wyjść z domu – odpowiadam i proponuję niechętnie: – Trzeba coś kupić?

– Chyba nie. Wezmę Iris na spacer, kiedy się obudzi.

– Chcesz, żebym poczekał?

– Nie, w porządku. Idź teraz.

Nie wiem, czy to znaczy, że wszystko w porządku, czy że jest wkurzona i wolałaby, bym został – ale nie czekam, by się przekonać. Chwytam kurtkę i kluczyki i wyruszam bez określonego celu.

Sposób, w jaki Paddy o tym rozprawił, przywodził na myśl Lawrence'a z Arabii. Przez cały pobyt obiecywał w kółko, że któregoś dnia wsiądziemy w samochód, zapuścimy się w ostępy kulturalnej, zdominowanej przez wakacyjne domy Gaskonii i wdrapiemy na Wydmę Piłata. „Pewnego dnia pojedziemy zdobyć najwyższą piaszczystą górę w Europie”, obiecywał raz po raz. A podczas wyprawy zasypywał nas informacjami i liczbami.

– Ma szerokość pięciuset metrów i niemal trzy kilometry długości. – Zachowywał się, jakby osobiście ją usypał za pomocą wiaderka i łopatk. – I wznosi się na wysokość stu dziesięciu metrów nad poziom morza.

– Ile to będzie w starym przeliczniku? – spytałem.

Nie wydawało się to szczególnie dużo, chociaż w upale wspinaczka okazała się

uciażliwa.

Maggie nie mogła się zdecydować, jechać czy nie, a kiedy dotarłem do połowy zbocza, pomyślałem, że podjęła słuszną decyzję.

– Około trzystu sześćdziesięciu stóp – przeliczył Paddy i dodał, patrząc na Conrada: – Więc gdybyśmy robili krok co sekundę, dotarlibyśmy na szczyt w ciągu sześciu minut, ale to nie takie proste.

Conrad go zignorował.

– On nie jest pieprzonym matematycznym geniuszem – mruknął Anton półgłosem.

Wiedziała, że wraz z Yasmin pierwszy raz wyjechał na wakacje z innymi rodzinami i wobec reakcji obcych na swojego chudego, autystycznego nastoletniego syna wykazywał niemal taką samą nieufność, z jaką Conrad traktował nas. Paddy, szczerze mówiąc, zachowywał się najgorzej. To znaczy, był gospodarzem i naszym kumplem, i miał dobre chęci, ale wyraźnie spodziewał się jakiegoś sawanta, kiedy postanowił zaprosić Rain Mana do swojego wakacyjnego domu. A tymczasem doczekał się dziwnego, opryskliwego, milkliwego i gniewnego nastolatka (okej, na podstawie takiego opisu Conrad wydaje się normalny, więc nie będąc chamski, mogę tylko dodać, że nie jest, kurna, normalny), Paddy postanowił zignorować ten fakt i zachowywał się, jak gdyby to Rain Mana próbował zarazić entuzjazmem wobec proporcji olbrzymiego zamku z piasku.

Dla nas – nieobeznanych z dziećmi i nieobeznanych ze wspólnymi rodzinnymi wakacjami – również był to pierwszy wyjazd z innymi rodzinami i mnie też zaczynał doprowadzać do szału. Przypominało to gnieźdzenie się w wynajmowanym wspólnie mieszkaniu albo akademiku (à propos, wszyscy studiowaliśmy razem), które mocno już działało na nerwy, więc do Dnia Wydmy miałem tego serdecznie dość.

– O, nie! – zawołała Isobel przy śniadaniu. – Kto zjadł krem czekoladowy?

Maggie wyznała, że dała go Iris poprzedniego wieczoru, z bananem, na podwieczorek.

– Przepraszam – dodała, moim zdaniem niepotrzebnie. – W szafce stoi słoik nutelli.

– To dla Harveya – wyjaśniła Isobel. Robiła mu grzankę. – Ma alergię na orzechy.

– A, tak. Ogromnie mi przykro. – Maggie znowu przeprosiła. – Nie pomyślałam.

– Jest dżem – zauważyłem.

– Harvey nie lubi dżemu – odparowała, aż stłumiłem pokusę, żeby jej powiedzieć „luz”, jak dzieciaki w szkole, w tym ich zredukowanym języku uformowanym pod wpływem esemesów i mediów społecznościowych.

Pytam studentów o opinię na temat Becketta, a oni: „Lubię to”. Czytam im przekomiczny kawałek tekstu, a ci, zamiast się zwyczajnie roześmiać, rzucają: „Lol”. Doprowadza mnie to do szału.

Więc nie powiedziałem Isobel, żeby wyluzowała. Uniósłem brwi i spojrzałem na Maggie, która tylko wzruszyła ramionami.

Później, kiedy wszyscy szykowaliśmy się do wyprawy, dzieci Isobel nadal jakimś sposobem znajdowały się w centrum tego procesu.

– Ben, mógłbyś zapakować to wszystko do samochodu? – spytała Sally, wskazując mi głową rosnący równomiernie stos jedzenia na piknik.

– Ach, żeński imperatyw – zażartował Paddy. – Sally używa go na okrągło. „Czy mógłbyś” w sensie „zrób to, bo jak nie...”.

– I Paddy... czy mógłbyś się zamknąć i spróbować wyciągnąć z domu resztę?

– Martwię się o Gabriellę – oznajmiła Isobel tonem, który skutecznie gasił entuzjazm, szczególnie u jej synów. – Źle się czuje, więc chyba powinnam z nią zostać.

– Pojeżdż, mamó, proszę, pojeżdż! – wołał Vincent.

Wydawało się, że Isobel wiecznie się użera z którymś z dzieci, ale zwykle chodziło o Gabriellę albo o Vincenta. Harvey po prostu odpuszczał, podczas gdy pozostała dwójka na różne sposoby domagała się jej uwagi.

Eric dołączył do nalegań syna.

– Pewnie, chodź już, Bel – ponaglił żonę. – Gabs niech zostanie, skoro nie ma ochoty.

– Po prostu sędzę, że to kiepski pomysł zostawiać ją samą.

– Czemu? Ma piętnaście lat! – burknąłem.

Ale Maggie wykazała się większą wyrozumiałością. Jezu, gdyby nie była taka empatyczna, może wszystko wyglądałoby teraz inaczej.

– Słuchajcie, ja chyba zrezygnuję – powiedziała. – To mi wygląda na niezłą wspinaczkę, nawet kiedy nie trzeba dźwigać dziecka.

– Cóż... – Isobel wyglądała na niezdecydowaną, ale Paddy podjął decyzję za nią.

– Więc ustalone – oświadczył, ruszając do drzwi.

Złapałem torby z piknikowymi gratami i zgodnie z poleceniem zaniósłem do samochodu.

– To pewnie tylko letnie przeziębienie – pocieszyłem Isobel, spodziewając się, że spojrzy na mnie ze złością, ale wyglądała na zaniepokojoną, wciąż pełną wahania, jak gdyby naprawdę się martwiła o Gabriellę. Pomyślałem, że panikuje – wtedy. Teraz uświadamiam sobie, że wiedziała.

Wiedziała, kurwa.

Możliwe, że mówię to na głos, gdy mijam biuro, które do niedawna uważałem za kawiarnię. Pojawiło się znienacka kilka miesięcy temu na jednej z przecznic High Street i przyciąga uwagę przechodniów mnóstwem limonkowej zieleni, szarości i dębu. Mojej uwagi właściwie nie zwróciło, bo wygląda na zbyt modne, czymkolwiek jest. Mignęło mi tylko w przelocie, że za szybą stoją dwa albo trzy stoliki, a następnym razem, kiedy przechodziłem, w środku siedzieli ludzie pijący kawę. Założenie, że mieści się tam kawiarnia, wydawało się rozsądne.

Dopiero dzisiaj, gdy jakaś stojąca przed wejściem kobieta zauważyła widocznie, że mówię do siebie, i podaje mi ulotkę, również limonkowo-szarą, uświadamiam sobie, że to kancelaria prawna. „Miller, McDonald i Magnusson” – widnieje na ulotce śmiała, szeryfową czcionką. „Radcy prawni – specjalistyczne sprawy o odszkodowania i szkody prywatne”.

– Anglia, Szkocja i Norwegia? – rzucam do kobiety.

Spodziewam się jedynie tego spojrzenia – zabawiam samego siebie tą banalną

obserwacją. Tak działa na człowieka Croydon w sobotnie popołudnie, szczególnie jeśli jest się mną i w podłym nastroju.

Ona jednak z uśmiechem wyciąga wolną rękę, tę, w której nie ściska ulotek.

– Hedda Magnusson – mówi.

– Jak Hedda Gabler? – Po tym pytaniu znów spodziewam się tępego spojrzenia.

Moje oczekiwania są oparte na stereotypach. Hedda rzeczywiście jest rasową blondynką. Rozdaje ulotki przed miejscem, które uważałem do tej pory za zielono-szarą kawiarnię. Nie spodziewam się, że jest kulturalną norweską prawniczką.

– Owszem. – Kiwa głową. – Moja prababka przyjaźniła się z Ibsenem. Dostałam imię po Heddzie Gabler.

– Och, cóż, co za zbieg okoliczności – rzucam niespodziewanie dla samego siebie i tym razem kobieta rzeczywiście patrzy pytająco, co jest w pełni usprawiedliwione. – Parę lat temu grałem Tesmana, męża Heddy – wyjaśniam, uświadamiając sobie, że w rzeczywistości to żaden zbieg okoliczności. Po prostu fakt.

– Jest pan aktorem?

Na jej twarzy pojawia się odrobinę większe zainteresowanie, jak bywa, gdy powiesz coś, co daje podstawy sądzić, że jesteś bardziej interesujący, niż ludzie sądzili w pierwszej chwili, i starają się ukryć fakt, iż uznali cię za nudziarza.

– Byłem – odpowiadam. – Teraz uczę aktorstwa.

– To musi być interesujące zajęcie.

– Owszem.

Nienawidzę tego. Nie to chciałem robić. Ale fakt, że nie udało mi się wybić jako aktorowi, jest jednym z licznych rozczarowań, jakie przyniosło mi życie.

– Cóż, gdyby potrzebował pan kiedyś prawnika... – rzuca.

I na tym powinno się skończyć – rozmowa, punkt zwrotny mojego spaceru dla ulżenia frustracji. Mogłem powiedzieć „Dzięki, cześć” i ruszyć w swoją stronę...

– Co robiłeś tyle czasu?

Kiedy wracam, Maggie siedzi przy komputerze. Iris balansuje na jej kolanach, tocząc długopis tam i z powrotem po biurku, podczas gdy Maggie przetrząsa stronę KTDG – szukając czegoś. Informacji? Musiała wyssać już stamtąd wszystko, co możliwe. Nadziei? Nie znalazłem jej tam wiele, kiedy ostatni raz zaglądałem.

– Długo cię nie było – mówi, ale nie podnosi wzroku.

– Zabrałaś Iris na spacer?

– Tak, tylko dokoła kwartału. Sądziłam, że wrócisz szybciej.

Trudno się zorientować, czy to oskarżenie, czy zwykła uwaga.

– Straciłem poczucie czasu – rzucam.

Nie mam pojęcia, czy wkurzy się bardziej, jeśli jej powiem. Więc milczę. Nie mówię, że umówiłem się na spotkanie z Heddą. Nie mówię, że może będziemy mogli oskarżyć Erica i Isobel za uszczerbek na zdrowiu Iris. Decyduję, że nie ma sensu o niczym wspominać, póki się nie dowiem, czy to rzeczywiście możliwe. Ale czuję się lepiej z myślą, że może być.

Nie potrafię po prostu tego zaakceptować i nic nie robić.

Isobel, sobota wieczorem

Lecą wiadomości, ale właściwie nie patrzę. Eric tak, chłonie wszystko przed przegłędem wydarzeń sportowych *Match of the Day*. Ja pozwalam, żeby informacje przepływały obok, dumając nad właściwym momentem i właściwym sposobem przekazania mu tego, co muszę mu przekazać.

– A jeśli to nie jest najgorsza rzecz, jaka mogłaby panią spotkać?

W wiadomościach trwa debata na temat gwałtu, podnoszę wzrok, bo słowa kobiety przyciągnęły moją uwagę.

Umknął mi powód, dla którego o tym dyskutują. Patrzę na ekran i obok kobiety od „nie najgorszej rzeczy” dostrzegam znaną pisarkę feministyczną, daje jej popalić.

– Jak może pani mówić...? – zaczyna pisarka.

– Nie umniejszam przestępstwa – przerywa tamta. – Mówię tylko, że istnieją inne rzeczy, które zapewne można by uznać za gorsze, na przykład zamordowanie albo zgwałcenie i zamordowanie któregoś z pani dzieci.

Zgadzam się z nią – teraz. Kiedy byłam w wieku młodej pisarki feministycznej, pewnie argumentowałabym z równym zapalem jak ona. Ona pozostaje w stanie niewiedzy. Nie ma pojęcia, jak bardzo posiadanie dzieci zmienia poglądy na świat.

Zaraz po urodzeniu swoich uświadomiłam sobie, że najgorsze, co może mnie teraz spotkać, to coś złego spotykającego któreś z nich. Wszystkie strachy z przeszłości – przed gwałtem, morderstwem, chorobą, utratą kogoś bliskiego – przybladły. Ustąpiły miejsca nowemu zestawowi: że mogą przydarzyć się mojemu dziecku.

Obecnie mam nowy scenariusz: że coś złego zdarzy się cudzemu dziecku, a ja będę częściowo winna.

– Wciąż wyglądasz na chorą, Bel.

Eric nadal jest w stanie, którego określenie mianem „niewiedzy” wydaje mi się niedostatecznie celne. Za kilka tygodni usłyszę w radiu dyskusję o zjawisku zwanym „niepewnością epistemiczną” – dotyczącą rzeczy, które w zasadzie powinniśmy wiedzieć, lecz których w praktyce nie wiemy – i będę się zastanawiać, czy to jej właśnie doświadczyłam.

Tymczasem po powrocie z przyjęcia Eric wciąż jest przyjemnie pijany alkoholem i towarzystwem. Był na innej imprezie niż ja i spędził czas w przekonaniu, że Ben z Maggie nie przyszli, ponieważ Maggie źle się czuła, trochę, ale nie przesadnie zaniepokojony, czy ja też nie jestem chora.

– Może krąży jakiś wirus. Połóż się, a ja posprzątam tu na dole.

Chłopcy są w łóżkach, a Gabriella w swoim pokoju zajmuje się tym, czym się zajmuje całymi godzinami – a co można podsumować jako kombinację odrabiania lekcji, przeglądania Facebooka i słuchania muzyki.

– To nie wirus. Chodzi o coś, o czym się dowiedziałam na imprezie, o coś, o czym ci muszę powiedzieć.

Przełącza się z trybu oglądania wiadomości na *Match of the Day*. Zajmuje pozycję

na sofie: stopy na stoliku do kawy, obok nich kieliszek wina, pilot w garści. Sobotni wieczór to obecnie pora, kiedy jest najbardziej zrelaksowany. Pracuje jako redaktor w popularnym tabloidzie i od naszego powrotu z wakacji zajmuje się działem reportażu. Oznacza to, że nie musi się zrywać o świcie, zostawać do późnej nocy ani tyrać w weekendy, ale i tak najlepsze są sobotnie wieczory. Żadnej pracy następnego dnia, odwożenie Harveya i Vincenta na futbol, tenisa i cała sobotnia bieżączka z głowy plus widoki na poleżenie dłużej w łóżku oraz cały wolny następny dzień. Wystarczy dorzucić bliską perspektywę meczu piłki nożnej w telewizji i otrzymamy chyba najlepszy fragment jego tygodnia.

– Obejrzyś ze mną? – spytał wcześniej Harveya.

Uwielbia dzielić przyjemność z którymś synem, a Vincent, choć lubi kopać piłkę, nie jest zainteresowany oglądaniem tej czynności.

– Czuję się dzisiaj zmęczony, tato – odparł Harvey i zauważyłam rozczarowaną minę Erica.

Wrzeszczenie na telewizor, by poinformować sędziego liniowego, że podjął złą decyzję, najwyraźniej sprawia większą frajdę, gdy ma się wsparcie dwunastoletniego syna.

Dlatego czuję się podle, że jeszcze bardziej popsuję mu ulubioną chwilę tygodnia.

Eric jest nieprzejednanym optymistą, ale w głębi duszy sędzę, że nie znosi swojej pracy. Znajduje pociechę w przypadkowych momentach – żartach wymienianych z kolegą, nieczęstych pochwałach szefa – ale nie robi tego, o czym marzył. Porzucił ambicje, by zostać dziennikarzem śledczym, wobec konieczności utrzymania żony i trójki dzieci. „Śledzenie, czy frytki są pakowane jak należy”, nazywa żartem swoją robotę, ale niedaleko odbiega to od prawdy. Jego newsy dotyczą przeważnie tego, czy członkinie Gabinetu przybrały na wadze albo co na siebie włożyły. Fotka premiera idącego w wakacje popływać byłaby hitem numeru – dajcie to na jedynekę! Trudno nazwać to dziennikarstwem śledczym z pierwszej linii frontu.

Gdybym znalazła sposób, by wrócić do pracy po urodzeniu dzieci, pewnie teraz zajmowałby się czymś gorzej płatnym, ale dającym większą satysfakcję. On jednak nigdy się nie skarży, zawsze powtarza, że wykonuję świetną robotę z dziećmi, i zapewnia, że jest wystarczająco szczęśliwy tam, gdzie jest.

Więc nie zasługuje na to, co zaraz usłyszysz, i zastanawiam się, czy nie zaczekać do rana.

Ale wtedy będą się kręcić chłopcy, domagając się uwagi i nie pozwalając się skupić. Muszę to powiedzieć teraz.

– Co się stało? Ktoś zachorował?

– Aha, coś w tym guście.

Odkłada pilota i skupia całą uwagę na mnie.

– Ale nie Maggie, prawda? To coś poważnego?

Potrafię sobie wyobrazić, o czym myśli. Zaniepokoi się i zacznie martwić o Bena, faceta, którego zna, odkąd obaj mieli po jedenaście lat, i dla którego od tamtej pory był wiernym przyjacielem. Doda dwa do dwóch – fakt, że Ben i Maggie nie przyszli na imprezę, do mojego „złego samopoczucia” – i wyjdzie mu pięć. Albo może cztery i pół,

bo to właściwy trop. Tyle tylko, że obstawił niewłaściwego członka rodziny.

Potem pomyśli, że jeśli Maggie zachorowała i w dodatku poważnie, to wielka niesprawiedliwość, bo Ben długo był sam i dopiero niedawno, odkąd ją poznał i odkąd urodziła im się Iris, pierwszy raz w dorosłym życiu wydawał się szczęśliwy.

A Eric nie znosi niesprawiedliwości. Brak mu genu w typie „życie jest niesprawiedliwe, więc wrzucamy ramionami i idziemy dalej”. Chce, by zapanowała uczciwość. Dlatego pragnął zostać reporterem obsługującym kampanie polityczne i zmieniać świat na lepsze. I dlatego zaraz zacznie się zastanawiać, jak pomóc Maggie, jeśli zachorowała, i rozważać, czy jego gazeta mogłaby zwrócić uwagę na potencjalne niedociągnięcia NHS, które uniemożliwiły żonie przyjaciela pełny powrót do zdrowia.

– Nie chodzi o Maggie. – Muszę w końcu przejść do sedna. – Tylko o Iris. Ogłuchła.

– Och, nie, to straszne. Ale mogło być gorzej – odpowiada, bo optymistyczna część jego natury natychmiast bierze górę. – To znaczy, dostanie aparaty słuchowe albo implanty ślimakowe, albo w najgorszym razie nauczy się języka migowego.

– Nie rozumiesz... – zaczynam, ale Eric wpadł już w trans.

– Jej stan nie może być bardzo poważny, bo wydaje się, no cóż, bardzo wrażliwym maluchem, może głuchota jest tylko częściowa. To nie koniec świata, Bel, ale wrzuszające, że tak się przejęłaś w ich imieniu.

Wyciąga rękę, przyciąga mnie do siebie i całuje, a ja wolałabym, by w swoim stanie niewiedzy tego nie robił. Albo wolałabym nie wiedzieć również, abym mogła się poczuć tak pokrzepiona tym gestem życzliwości ukochanego mężczyzny, jak on by sobie tego życzył. Tymczasem muszę zepsuć tę chwilę.

– Nie, Ericu, posłuchaj.

– Okej, przepraszam.

– Iris nie była głucha, kiedy ją ostatnio widziałeś. Była zdrowa. Z jej słuchem było wszystko w porządku.

Robię pauzę, bo wiedzieć to jedno, ale wypowiedzieć to na głos, to zupełnie inna sprawa. Zastanawiam się, czy Eric już coś podejrzewa. Jest fenomenalnie inteligentny. Jego umysł pracuje zrywami. Wyobrażam sobie, jak teraz przetwarza informacje, łączy ze sobą elementy, wyciąga wnioski, tak że dalsze tłumaczenie jest niepotrzebne – lecz wygląda na to, że się mylę.

– Co się stało? – pyta.

– To skutek uboczny odry.

Dobra, powiedziałam to, a teraz zaczynam relacjonować resztę.

– Jest całkowicie głucha, nic nie słyszy i nie będzie słyszeć. Wcześniej była zdrowa, a teraz nie słyszy nic. I to moja wina, Ericu. To wszystko przeze mnie.

Tak jak się obawiałam, zdejmuję dłoń z mojego ramienia i patrzy na mnie twardo. Słyszę niemal, jak pracuje jego mózg, chociaż Eric milczy. Ta cisza jest nie do zniesienia. Czemu nie może mi dodać otuchy? Czemu nie może powiedzieć: „To wcale nie twoja wina. Nie wolno ci się obwiniać”?

– Powiedz coś, proszę.

– Nie wiem, co powiedzieć.

Sięga po swój kieliszek i opróżnia go, jakby to było piwo, a nie spora porcja czerwonego wina.

Ponieważ Eric nie potrafi mi dodać otuchy, próbuję sama.

– Źle zrobiłam, że zostawiłam Gabby z Maggie i Iris tamtego dnia, kiedy wybraliśmy się na wydmę – zaczynam. – Ale chłopcom bardzo zależało, żebym pojechała, a Maggie twierdziła, że woli zostać...

– Jezu Chryste, Isobel! – przerywa mi. – Myślisz, że na tym polegał twój błąd? To nie fakt, że zostawiliśmy Gabs tamtego dnia, był przyczyną. Problem w tym, że nie zgodziłaś się zaszczepić dzieci. Mówiłem ci, że to idiotyczne.

Jestem wstrząśnięta.

– Jesteś niesprawiedliwy!

– Czyżby?

– Dyskutowaliśmy o tym wtedy. Znałeś moje obawy. Nie ukrywałam ich przed tobą. Wszystko omówiliśmy.

– Ale to była twoja decyzja – odpowiada.

– Jak możesz tak mówić? – Ogarnia mnie gniew.

– Bo to prawda.

– Przecież to przedyskutowaliśmy, kiedy Gabs była mała. Wiedziałeś, że się niepokoję. Wiedziałeś, że postanowiłam jej nie szczepić. Najpierw zgadzasz się z decyzjami, które podejmuję w sprawie dzieci, a potem zwalasz winę na mnie, kiedy coś pójdzie źle. Tak nie można.

– Nie „zgadzałem się” z nimi, Isobel. – Eric podnosi głos, co rzadko mu się zdarza.

– Owszem, dyskutowaliśmy o tym. Wiedziałem, że się martwisz. Tłumaczyłem ci, że moim zdaniem się mylisz. Powiedziałem, że wszystko zostało rozdmuchane do absurdalnych rozmiarów i nie ma się czego bać.

– Ale stwierdziłeś, że koniec końców to moja decyzja! – odkrzykuję w odpowiedzi.

– I zaakceptowałeś ją. Czyli zgodziłeś się.

– Nie. To co innego – mówi Eric spokojnym i rozsądnym tonem, który sprawia, że mam ochotę go walnąć. – Przynosiłem z redakcji całe stosy ulotek, by cię upewnić, że MMR jest absolutnie bezpieczną szczepionką, ale wolałaś to zignorować i słuchać modnych mamusiek, z którymi się kumpłowałaś.

– Och, nie bądź śmieszny. Wcale nie są modne. To zwykłe matki, a spotykałam się z nimi, bo miałam małe dzieci i nikogo, z kim mogłabym pogadać. Ciągłe nie zdajesz sobie sprawy, jak się czułam, kiedy były małe. Po prostu wychodziłaś codziennie do roboty jak zwykle. Moje życie kompletnie się zmieniło i podczas kiedy ty się zamartwiałaś, czy ktoś postawił przecinek we właściwym miejscu, ja musiałam podejmować trudne decyzje dotyczące naszych dzieci, a często jedynymi ludźmi, do których mogłam się zwrócić po radę, byli inni rodzice. Poza tym to nie były tylko „modne mamuski, z którymi się kumpłowałam”. Wiesz, jak wiele wtedy pisali o tym w gazetach. Wszyscy się niepokoiли.

– Ja nie. – Potrafi być naprawdę zadufany w sobie, kiedy się uprze. – Ja miałem własne zdanie i informowałem cię o nim wiele razy. Ale nie słuchałaś. Jedyne moje opinie, jakich chcesz słuchać, to te, które sama wcześniej wygłosiłaś.

– Och, do cholery, a to co ma znaczyć?

– Że w połowie wypadków, szczególnie kiedy chodzi o dzieci, pytasz mnie o zdanie tylko wtedy, gdy chcesz potwierdzić własną opinię.

– Wcale nie. To krzywdzące.

– Tak robisz, Isobel. Tak właśnie, do cholery, robisz. Jeśli mam inne zdanie, nigdy mnie nie słuchasz. Rację masz zawsze ty.

Mam ochotę go udusić, ale zapędziłam się w kozi róg. Jeśli będę się nadal upierać, że to on się myli, potwierdzę jego słowa.

– Wiesz, że zawsze miałam zdecydowane poglądy – zauważam, zmieniając taktykę. – Kiedyś to we mnie lubiłeś.

– Kiedyś miałaś zdecydowane poglądy w ważnych kwestiach – odpowiada.

– Więc nasze dzieci nie są ważne?

– Oczywiście, że są. Wiesz, że nie o to mi chodzi.

– A o co właściwie?

– O to, co powiedziałem: że moim zdaniem cała ta awantura wokół MMR to burza w szklance wody. Powiedziałem, że panika szybko minie, a nasze dzieci powinny dostać szczepionkę. Ale fakt: to ty się nimi zajmujesz każdego dnia. Więc pozwoliłem, żebyś podjęła decyzję, by ich nie szczepić. Co nie znaczy, że się z tobą zgadzałem.

Zerka przelotnie na ekran. Leci jakiś materiał z Afganistanu.

– Wyobrażasz sobie, co powiedziałyby na to kobieta z Afganistanu? – ciągnie. – Kobieta, która pewnie musi dwa dni iść przez góry, żeby dotrzeć na szczepienie do szpitala, ryzykując po drodze gwałt ze strony talibów, a kiedy dotrze na miejsce, musi zapłacić fortunę za ten przywilej? Potrafisz sobie wyobrazić, co by powiedziała na wieść, że nam tutaj wystarczy przejść się ulicą na umówioną wizytę, a mimo to niektórzy rezygnują?

Wzdycham.

– Odbywaliśmy już tę dyskusję.

Nawet kilka razy. Kiedy we Francji popędził do miejscowego lekarza, by natychmiast zaszczepić chłopców. I ponownie kiedy się dowiedzieliśmy o chorobie Iris, i przy innych okazjach od tamtej pory, gdy w wiadomościach pojawiały się wzmianki o wzroście liczby zachorowań na odrę.

– Co jedyne dowodzi, że mam rację – stwierdza.

– To wszystko, co masz do powiedzenia? Dziecko twojego najlepszego przyjaciela ogłuchło, a my jesteśmy za to częściowo odpowiedzialni. I ciebie to cieszy? Bo potwierdza twoje stanowisko?

– Oczywiście, że mnie to nie cieszy, Bel. Nie zachowuj się jak idiotka. Bóg wie, co teraz czują Ben i Maggie. Mówię tylko, że powtarzałem, jakie to egoistyczne zrezygnować ze szczepienia dzieci. Wystarczająco okropnie było patrzeć na chorą Gabs i dowiedzieć się o chorobie Iris, a teraz jeszcze to!

– Egoistyczne? – Znowu wpadam w furję. – Ego-istyczne, że staram się chronić moje... nie, nasze dzieci? Uważasz, że byłam egoistką, bo zadręczałam się godzinami, czy je zabezpieczyć przed jedną chorobą, narażając na inną? Myślisz, że robiłam to dla siebie?

– Nie o to mi chodziło!

– Więc o co, Ericu? O co właściwie ci chodzi?

– O to, że ta decyzja nie dotyczyła tylko naszych dzieci. Dotyczyła dobra publicznego w szerszym znaczeniu.

– Czasami jesteś taki cholernie zadowolony z siebie – wypluwam. – To bardzo pięknie troszczyć się o dobro publiczne w szerszym znaczeniu, ale kiedy chodzi o twoje własne dzieci, myśli się o nich. Przynajmniej ja myślę.

– I spójrz, do czego to prowadzi – odpowiada Eric.

– I spójrz, do czego mogłoby doprowadzić, gdybym postąpiła zgodnie z twoją radą – kontрую. – Z perspektywy czasu bardzo fajnie wmawiać mi, że się myliłam, ale w swoim czasie naprawdę niepokoił mnie związek między MMR a autyzmem.

– Nie ma takiego związku.

– Ale wtedy, Eric. W tamtym czasie, do cholery, myślałam, że jest. Myślałam, że może istnieć. Dosłownie jedyną matką, jaką znałam przed urodzeniem Gabs, była Yasmin, a ona ma Conrada, i wiesz co? On mnie przerażał. Nie wiedziałam, czy poradziłabym sobie z takim dzieckiem. Nie wiedziałam, czy my byśmy sobie poradzili z takim dzieckiem. Chciałam zrobić wszystko, żeby ochronić moją śliczną córeczkę przed ryzykiem, że też się taka stanie.

– Więc zamiast tego... – zaczyna Eric, a ja myślę w duchu, że jeśli powie na głos: „narażasz na ryzyko inne dziecko”, albo nawet to pomyśli, chyba czymś w niego rzucę.

On jednak urywa w pół zdania.

– Od dawna tu jesteś? – pyta.

Uświadamiam sobie, że w drzwiach stoi Gabriella, i też zaczynam się zastanawiać, jak długo tu jest, ile usłyszała. Wyraz jej twarzy zdradza, że wszystko.

– Gabs – mówię. – Chodź tu i usiądź.

– Nie chcę siadać – mówi i podczas gdy Ericowi, jak się zdaje, odebrało mowę, ona wylewa cały potok słów. – Widzisz, co narobiłaś? To wszystko twoja wina! I moja też, bo pozwoliłaś mi zachorować i bawić się z Iris, chociaż wiedziałaś, na co jestem chora.

– Gabs, ja...

Nie dopuszcza mnie do głosu.

– Wiedziałaś. Znałaś ryzyko. Musiałaś wiedzieć. Znasz się na tym. Każdy się zna, kurwa.

W normalnych okolicznościach objechałabym ją za wulgarny język, lecz w tej chwili nie wydaje się to właściwe.

– To wszystko można znaleźć – ciągnie Gabby. – Sprawdziłam. Pozwoliłaś mi zachorować. Z jakiegoś idiotycznego powodu uznałaś, że nie będziesz chronić własnej córki przed chorobą, przed którą wszyscy na całym świecie chcą być chronieni. I...

Robi pauzę, niemal umyślnie, jakby chciała podkreślić to, co zaraz powie.

– I pozwoliłaś mi się bawić z Iris, a teraz... teraz...

Milknie i czeka, żebym coś powiedziała.

– Gabs, nie myślałam... – zaczynam.

– Nie! – krzyczy na mnie. – Nie myślałaś, tak? Ty nigdy nie myślisz.

Ben, sobota wieczorem

Czasami Eric przysyła mi esemesy przed *Match of the Day*. To nasz męski sposób na podtrzymanie kontaktu. Zdarza mi się czytywać wiadomości, jakie Maggie dostaje od swoich przyjaciółek, i zastanawiam się, skąd znajdują czas na pisanie. Zapracowane kobiety, na przykład pierwsza skrzypaczka z jej orkiestry, wysyłają epistoły długości *Wojny i pokoju* – prawdziwe listy pod każdym względem prócz sposobu dostarczenia.

– Po prostu jesteśmy w kontakcie – stwierdza Maggie, gdy komentuję salwy pisków dolatujące z jej komórki.

Jak się zdaje, członkowie orkiestry niekiedy esemesują nawet podczas występów.

– To bardzo długi fragment bez waltorni – odparowuje Maggie, jeśli kwestionuję dopuszczalność takiego zachowania.

Podejrzewam, że dzięki wiadomościom z Fejsa, esemesom i telefonom nie czuje się wykluczona na urlopie macierzyńskim – przedłużonym teraz z powodu choroby Iris. W rzeczywistości nie widziała wielu swoich koleżanek, odkąd przestała jeździć w trasy, wie jednak dokładnie, co się dzieje w życiu każdej z nich, podczas gdy ja mógłbym co wieczór umawiać się z kumplami w pubie i wrócić równie nieświadomy, co u nich słychać.

– Co u Moiry? – pyta Maggie, jeśli wyskoczę na drinka z Mattem Greenem, wykładowcą matematyki i jednym z niewielu nauczycieli ze szkoły, których zaliczam do prawdziwych przyjaciół.

– Właściwie nie wiem. Nie pytałem – odpowiadam, a ona przewraca oczami z irytacją.

– Więc o czym rozmawialiście?

– Byliśmy zbyt zajęci transportowaniem piwa ze stołu do ust, żeby gadać – odpowiadam, co jest po części prawdą.

Potrafię pić z kumplami, nie wnikając w szczegóły ich życia. Spędzamy razem czas, ale jak się zdaje, nigdy nie dzielimy się faktami, które kobiety uważają za kluczowe. Nie czuję takiej potrzeby. Jeśli nie widzę Erica całymi miesiącami, ale od czasu do czasu dostaję esemesa z pytaniem: „Oglądasz mecz?”, mam wrażenie, że utrzymujemy regularny kontakt. Wiem, że ogląda mecz. Wiem, że wszystko u niego okej. On wie, że u mnie też. Po prostu pomijamy całe to bzdurne głędzenie pośrodku. „Oglądasz mecz?” znaczy: „Cześć, Ben. Tu Eric. Właśnie rozsiadam się wygodnie, żeby po długim tygodniu w robocie zobaczyć mecz. Z dziećmiakami wszystko w porządku. Bel miewa się nieźle. Co słychać u ciebie? Też fajnie? To świetnie. Naprawdę o tobie pamiętam, chociaż nie dzwoniłem tylko po to, by dać ci o tym znać. Mam nadzieję, że Liverpool wygra”.

Nie potrzebujemy wszystkich tych dodatkowych informacji. Są obecne *implicite*.

Dzisiaj jednak rozwalam się na sofie z piwem, sprawdzam komórkę, spodziewając się zobaczyć coś więcej, coś dłuższego – może nawet nieodebrane połączenie. Bo do tej pory Eric i Isobel musieli się dowiedzieć. Cały dzień spędzili na cholernej imprezce, podczas gdy my z Maggie tkwiliśmy w domu, bo nie czuliśmy się w nastroju do

świętowania ani spotkania się z kimkolwiek, ponieważ mamy głuchą córeczkę, która była zupełnie zdrowa, gdy ostatni raz się widzieliśmy.

Sądziłem, że może zadzwonią, przyślą esemesa, coś powiedzą albo zrobią. Moja komórka jednak jak zwykle nie wykazuje oznak aktywności towarzyskiej – w przeciwieństwie do komórki mojej partnerki.

– Idę się wykapać, a potem spać – oznajmia Maggie, odkładając dodatek „Guardiana” o rodzinie, który trzymała w ręce, nie czytając.

Podnosi egzemplarz *Jak żyć z głuchym dzieckiem* z podłogi obok sofy.

– Może od razu się położysz? – sugeruję. Irytuje mnie, że w kółko czyta te cholerne książki, ale próbuję zamaskować złość troską. – Wyglądasz na zmęczoną.

– Pewnie tak zrobię – odpowiada, lecz mimo to zabiera poradnik ze sobą. – Wyłączysz wszystko?

– Jasne – zapewniam.

Zawsze to robię. Ostatnio zwykle chodzę spać później niż ona. Ona wciąż musi się zrywać do budzącej się Iris, więc cowieczorna procedura gaszenia świateł i upewniania się, czy kuchenne wejście jest zamknięte na klucz, spada na mnie. Nigdy o tym nie zapominam, ale Maggie zawsze mi przypomina. Może to jak esemesowanie z przyjaciółkami. Potrzebuje, by pewne rzeczy zostały wypowiedziane, nawet jeśli moim zdaniem są oczywiste.

W tej chwili jednak to ja potrzebuję tego, by pewne rzeczy zostały powiedziane. Potrzebuję, żeby Isobel i Eric coś powiedzieli. W ich milczeniu wyczuwam złe intencje, więc jeśli go nie przerwą, zamierzam ich zmusić.

Sięgam po pilota i włączam telewizor. Do końca wiadomości zostało dziesięć minut i prowadzący informuje mnie, że sąd właśnie oddalił sprawę o gwałt na randce z udziałem piłkarza. Kobieta, która go oskarżyła, nie przyznała się, że od miesięcy prześladowała zawodnika, głównie za pośrednictwem Facebooka i Twittera, ale też osobiście – przesiadywała w klubach i barach, które często odwiedzał.

Potem następuje krótki wywiad w studiu, ale słucham jednym uchem. Co chwila ze złością sprawdzam komórkę. Czemu, do cholery, nie dzwonią? Nie mają nam nic do powiedzenia?

Z powrotem koncentruję uwagę na programie. „Liczba zarejestrowanych przypadków odry w okolicy osiągnęła niebezpieczny poziom, ostrzegają przedstawiciele służby zdrowia”, oznajmia prowadzący. „Rodzicom, których dzieci nie zostały zaszczepione, zaleca się, by uczynili to bezzwłocznie”.

Następuje relacja na żywo z małej wioski w Walii. Reporter stoi przed budynkiem, gdzie jak mówi, mieści się lokalna szkoła podstawowa.

„Tutejszy dyrektor poprosił rodziców, by dostarczyli zaświadczenia o szczepieniu dzieci, nim zostaną dopuszczone do udziału w lekcjach w tym tygodniu. Zamierza w ten sposób zapobiec rozprzestrzenianiu się choroby”, informuje.

Następuje cięcie na dyrektora. „To mała społeczność. Dobrze znam wiele z tych dzieci. Niektóre były poważnie chore. W kilku stanach w Ameryce uczniowie muszą zostać zaszczepieni na pewne choroby przed przyjęciem do szkoły. Uważam za rozsądne nalegać na to samo tutaj, biorąc pod uwagę liczbę małych dzieci, które obecnie poważnie

chorują”.

Biorę komórkę i zaczynam w nią wściekle stukać.

OGLĄDACCIE WIADOMOŚCI PRZED MECZEM? WIDZIELIŚCIE MATERIAŁ O EPIDEMII ODRY W WALII? DOBRZE SIĘ BAWILIŚCIE NA DZISIEJSZEJ IMPREZIE? KTOŚ WAM WSPOMNIAŁ, ŻE IRIS OGŁUCHŁA? OCH, TAK PRZY OKAZJI, TO WASZA WINA. CO U WAS? WSZYSTKO W PORZĄDKU, MAM NADZIEJĘ? MYŚLICIE, ŻE MANCHESTER UNITED WYGRA?

Patrzę na wiadomość, trzymając palec nad przyciskiem Wyślij.

Ale ją kasuję.

Jeśli się nie odezwą, za dwa dni mam spotkanie z prawniczką.

Ciągle ukrywam to przed Maggie, poczekam, aż będzie po wszystkim, ale czuję wyrzuty sumienia, kiedy po meczu idę na górę do łóżka, a ona wciąż czuwa.

– Myślałem, że już śpisz – mówię, kładąc się obok.

– Martwiłam się o ciebie – odpowiada. – Wydajesz się trochę przybity. Wiem, że chciałeś iść na to przyjęcie.

– Nie o to chodzi – odpowiadam.

– Chcesz pogadać?

– Nie – zaprzeczam, ale zalewa mnie fala czułości. Jestem jej wdzięczny, że zauważyła i zapytała.

– A czegoś innego? – pyta i zauważam, że nie ma na sobie T-shirtu, który zwykle wkłada do spania, a gdy ją do siebie przyciągam i czuję dotyk jej skóry na swojej, to chociaż jestem zmęczony, chociaż oboje jesteśmy zmęczeni, chcę zapamiętać o wszystkim choćby na jakiś czas. Chcę uchwycić się tych kilku chwil, kiedy wszystko na świecie jest tak, jak trzeba.

Isobel, niedziela rano

Budząc się, słyszę, jak Vincent śpiewa w drodze do łazienki, choć tego ranka wolałabym, by tego nie robił. Wolałabym, żeby przemknął na paluszkach i cicho zamknął za sobą drzwi. Zwykle jego podśpiewywanie budzi mój uśmiech, ale dzisiaj jedynie podkreśla okropną sytuację, która powoli staje się coraz gorsza.

Leżałam bezsennie do wczesnych godzin rannych. Hiszpanie nazywają to *madrugada*, czyli stan podszytego grozą przygnębienia, który ogarnia nas, gdy nie możemy zasnąć, znacznie lepsze słowo od naszego „świt”.

Słuchając śpiewu Vincenta, czuję, jak mdlące wrażenie we mnie znowu wzbiera. W ten sposób ciało reaguje na wyrzuty sumienia. Jak się wydaje, poczucie winy i strach oddziałują bezpośrednio na żołądek. Mdłości minęły dopiero, kiedy w końcu zasnęłam.

Oczywiście Vinnie nie ma pojęcia, co się dzieje w mojej głowie. Dla niego to kolejny zwyczajny dzień.

– *And she's climbing a stairway to heaven!* – Gusty muzyczne ma urozmaicone, ale teksty pamięta piąte przez dziesiąte.

– *Buying*. – Harvey lubi, żeby wszystko było jak należy. – *Buying a stairway to heaven*.

Nieraz zdarzało nam się budzić przy odgłosach tego sporu.

– Nie, tam jest *climbing!* – upiera się Vinnie, chociaż właściwie wszystko mu jedno.

– *Buying*.

– *Climbing*.

– *Buying*.

– Nie można kupić schodów, które dosięgają nieba.

– Wspiąć też się po nich nie można, bo to metafora, kołku.

Czemu dzieci muszą się cały czas kłócić?

Pamiętam, jak rzuciłam tę uwagę na głos na ulicy w obecności sąsiadki próbującej mnie wypytać o planowaną przebudowę parkingu, gdy chłopcy spierali się kompletnie bez powodu. To nie było pytanie. Powiedziałam tak tylko, żeby dać do zrozumienia, że nie mogę jej poświęcić całej uwagi, bo właśnie trwa awantura o samochódzik, która przerodzi się w totalną wojnę, jeśli natychmiast nie zainterweniuję.

– Często tak bywa, ponieważ ich potrzeby emocjonalne nie zostały zaspokojone – orzekła sąsiadka.

Wkurzyłam się. Na miłość boską, kłócili się o zabawkę. Jakim prawem wygłasza takie opinie?

– Chłopcy, idziemy do domu – rozkazałam.

– Nie przejmuj się, Bel – skomentował Eric później. – I chłopcami też się nie przejmuj. Napijmy się.

Właśnie wrócił z pracy i wciąż jeszcze pławił się w przyjemnym blasku dnia spędzonego w biurze, kiedy to osiągnął coś bardziej satysfakcjonującego niż przerwanie bójki dwóch malców.

Nic nie rozumiał.

A jeśli babsko miało rację i chłopcy rzeczywiście ciągle się bili, bo ich potrzeby emocjonalne nie zostały zaspokojone? Czyja to była wina?

Moja, brzmiała oczywista odpowiedź. Ja siedziałam z nimi w domu i choć bardzo się starałam, to jednak zawiodłam: nie nauczyłam ich dogadywania się ze sobą, nie nauczyłam Harveya jedzenia warzyw, nie zdołałam pomóc Gabrielli w rozwiązaniu zadania z matematyki... nie odniosłam sukcesu w jedynej dziedzinie, którą się teraz zajmowałam.

Chciałam być dobrą matką. Taki miałam cel. Marzyłam o porodzie siłami natury, karmieniu piersią i wychowaniu wolnym od cukru oraz zabawek militarnych. I chciałam odnieść sukces, nie miałam nic innego do roboty.

W porannym otępieniu Eric zapomniał o mojej ostatniej i najpoważniejszej porażce. Jak zwykle przekręca się na łóżku, przytula do mnie na łyżeczkę i wsuwa dłoń pod top, w którym sypiam, ujmując moją prawą pierś. W dni robocze to po prostu chwila przyjemności, zanim budzik zmusi go do wstania, wejścia pod prysznic i wyruszenia do Londynu. W weekendy to często wstęp do seksu. Czuję, jak zaczyna przy mnie twardnieć.

„Czy to pomoże?“, myślę. Czy jego zachowanie, kiedy Gabby położyła się spać – milcząca, lodowata postawa w stylu „muszę to przemyśleć” – zmieni się w coś bardziej pojednawczego i wyrozumiałego, wręcz wspierającego?

– Która godzina?

Szybko przesuwa wzrok ze mnie na radiobudzik przy łóżku, jakby nie potrafił znieść mojego widoku, i czuję, jak wiotczeje, po czym odsuwa się ode mnie.

– Co się stało? – pytam.

Nie odpowiada, tylko siada na łóżku i trze oczy.

– Eric, musimy poważnie porozmawiać – oświadczam, podnosząc się również. – Nie wiem, co robić. Czuję, że powinnam zareagować, ale nie wiem jak.

– Nie teraz, Bel – mruczy z irytacją. – Dopiero co się obudziłem.

– Chcesz kawy? – pytam.

– Nie – odpowiada, spuszcza nogi z łóżka i sięga po szlafrok. – Zrobię sobie przebieżkę.

Słyszemy wciąż śpiewającego Vinniego, czemu towarzyszy szum wody, kiedy idzie do toalety. Ze wszystkim się śpieszy. Obudzić się, zeskoczyć na podłogę, pobiec z łomotem z sypialni do łazienki, zrobić siusiu i popędzić na dół, wyśpiewując przy tym na cały głos, jak gdyby dom był jedną olbrzymią łazienką.

Dziś rano jednak jestem zmęczona i sfrustrowana, a chłód Erica sprawia, że wciąż od nowa analizuję sekwencję zdarzeń. A gdybym zrobiła to albo nie zrobiła tamtego? Tę rozmowę toczę sama ze sobą od osiemnastu godzin – bezcelową, bo mleko już się rozlało. Teraz powinnam rozmawiać o tym, co dalej.

Może po powrocie z przebieżki Eric uspokoi się i zacznie myśleć trzeźwiej.

Żałuję, jak niemal codziennie, że mama nie żyje. I tata też – on miałby na podorędziu praktyczne rady, ale mama pomogłaby mi samą swoją obecnością. Żałuję, że

jej nie było, kiedy poznałam Erica i kiedy rodziły się dzieci. Zupełnie inaczej jest być matką, gdy twoja własna matka odeszła. To coś więcej niż subtelna różnica. Jest ogromna.

Widuję znajome wędrujące do parku z maluchami i dziadkami przy boku, sprawiające niekiedy wrażenie z lekka zestresowanych, jak gdyby obecność rodziców im ciążyła, nieważne, jak niedawno przybyli z wizytą. I myślę: „Nie macie pojęcia, jakie z was szczęściary. Nie macie pojęcia, jak trudno sprostać temu olbrzymiemu wyzwaniu, nie mając do kogo zwrócić się o pomoc”.

Nawet Maggie, która urodziła Iris w wieku czterdziestu pięciu lat, wciąż jeszcze ma matkę, Ruth. Poznałam ją, kiedy pierwszy raz poszliśmy zobaczyć dziecko. Żwawa osiemdziesięcioletka rządziła się w kuchni, gdzie parzyła kawę i szykowała lunch, a Maggie nie musiała nawet kiwnąć palcem. Ale co więcej, po prostu była, dodawała córce otuchy, że robi wszystko jak należy. Może dlatego Maggie zawsze wydaje się przy małej odprężona – uczucie, którego ja nie doświadczyłam przy żadnym ze swoich dzieci.

Gdyby mama była tu teraz, z pewnością by mnie uspokoiła, że nie zrobiłam nic aż tak strasznego – udzieliłaby mi wsparcia, którego nie potrafi dać mi Eric.

Gdybym ją miała w pobliżu, kiedy rodziłam, może nie bałabym się tak bardzo o moje dzieci.

Słyszę niemal, jak mówi: „Absolutnie nic jej nie dolega. Świetna robota, Bel”. Ale nigdy tego nie usłyszałam. Zmarła tak dawno, że nie miała szansy poznać wnuków.

Eric jest w łazience, a ja schodzę na dół zaparzyć kawę. W kuchni zastaję Gabriellę, choć zwykle w niedziele nie zrywa się tak wcześnie. Harvey najwidoczniej jeszcze leży w łóżku.

– Cześć. – Staram się, by mój głos zabrzmiał radośnie. – Wcześnie się dzisiaj zerwałaś.

– Nie mogłam spać – odpowiada, siadając przy stole z kubkiem kawy już pod ręką.

– Trzeba było nie wstawać – mówię. – Poleżeć trochę dłużej.

– Wydawało mi się nie w porządku tylko leżeć i nic nie robić – rzuca oskarżycielsko.

– Och. – To najlepsze, co potrafię wymyślić.

– Właśnie, „och” – przedrzeźnia mnie.

– Jakie masz plany na dzisiaj?

– Może później pójde się zobaczyć z Samem.

– Jasne.

Nastawiam czajnik i próbuję pomyśleć. Gabriella spędza z Samem mnóstwo czasu, odkąd zaczęli ze sobą chodzić. To dopiero kilka miesięcy, ale wydaje się, że są bardzo blisko. Sam przychodzi do nas i razem wyruszają do miasta, a weekendowe wieczory Gabs często spędza u niego. Jest najmłodszy w swojej rodzinie, więc regularnie ma dom tylko dla siebie na improwizowane spotkania. To właściwie nie imprezy – Gabriella i jej kumple są zdumiewająco rozsądną gromadką młodych ludzi – więc staram się nie zamartwiać, co im wpadnie do głowy.

– Nie chcę zostać babcią – oznajmiłam córce w początkowym okresie.

– Mamo. Ja nie jestem taka – odparła stanowczo. – I Sam też nie.

Nie ciągnęłam tematu. Nie powiedziałam: „Ależ wszyscy chłopcy są tacy”, chociaż

tak pomyślałam. Czułam jednak, że jakimś sposobem się zorientuję, jeśli coś się zmieni, jeśli ich związek wejdzie w kolejny etap.

Wygląda na to, że martwiłam się nie o to co trzeba. Zamiast: „A jeśli ona zajdzie w ciążę?”, należało się obawiać: „A jeśli dostanie odry?”.

Nawet nie przyszło mi to na myśl, póki nie było za późno.

– Pójdziecie do miasta? – pytam teraz.

– Może. Nie wiem. Właściwie nie mamy planów. Chciałam z nim tylko porozmawiać.

– Jasne – powtarzam zajęta kawą i zaparaczem. – Powiesz Samowi, że Iris ogłuchła?

– Tak. Oczywiście. – W jej głosie słycać wyzwanie.

– Posłuchaj, Gabs... – zaczynam.

– Co?

– Może lepiej, żeby go nie informować już teraz. Może najpierw omówimy to we dwie, ja i ty?

– A co tu omawiać? – odpowiada i wstaje gotowa wyjść z kuchni, jeśli nie odpuszczę.

– Po prostu nie chcę, byś sądziła, że to twoja wina – mówię.

– Nie. Twoja. – Nigdy nie słyszałam jej wypowiadającej się tak bezpośrednio i obcesowo. Zawsze jest uprzejma i dobrze wychowana, nawet w stosunku do nas. – Ale i tak jestem w to zamieszana, prawda? – ciągnie. – I Sam też.

To właśnie mnie niepokoi: co Gabs powie Samowi i jak on wtedy się poczuje. Zachorował pierwszy, więc łańcuch wydarzeń obejmuje też jego. Nie znam jego rodziców. Gdybym znała, mogłabym do nich zadzwonić, zanim Gabs do nich dotrze.

– Myślę tylko, że potrzebujesz trochę więcej czasu, żeby się nad tym zastanowić – mówię. – Chyba wszyscy potrzebujemy. To był szok, te wieści o Iris. Nie zdążyliśmy jeszcze się z tym oswoić.

Kiedy odkryłam, że jestem w ciąży z Gabriellą, również przeżyłam szok. Wydarzyło się to tak szybko, za wcześnie, i kompletnie mnie zaskoczyło, chociaż odstawiłam pigułkę z myślą, że w którymś momencie, w niezbyt odległej przyszłości, zaczniemy się starać.

Oczywiście Eric był zachwycony nowiną – gdy po dniu w pracy, kiedy okropnie mnie mdliło, w drodze powrotnej do domu kupiłam test.

– To cudownie! – zawołał z oczyma błyszczącymi ze szczęścia. – Będziemy mieli dziecko!

Lecz ja zupełnie inaczej wyobrażałam sobie tę chwilę. A wyobrażałam ją sobie często. W moim mentalnym scenariuszu kwestia Erica brzmiała tak samo: „Będziemy mieli dziecko!”, wołał, a potem mnie tulił i trwaliśmy tak zanurzeni w prywatnym szczęściu. Kicz, wiem, ale i tak lepszy od tego, co zaszło w rzeczywistości. Ponieważ właściwe słowa padły, tylko moja reakcja wydawała się całkowicie niewłaściwa.

Eric kompletnie tego nie pojmował. Skąd niby miał wiedzieć? Sama siebie nie

rozumiałam.

Sądzę, że częściowo to wina szoku. Ale chodziło też o olbrzymią zmianę, jaka mnie czekała. Nie czułam się na nią gotowa. Nic nie wiedziałam o byciu matką i nie miałam matki, by ją o to zapytać.

„Musisz być bardzo szczęśliwa”, powtarzali mi w kółko ludzie, życzliwie składając gratulacje, a ja z uśmiechem potwierdzałam i starałam się wyglądać na zadowoloną.

Ale przez większą część czasu chciało mi się płakać.

Tata był zachwycony, gdy mu powiedziałam.

„Jeśli będzie dziewczynka, damy jej na imię Gabriella, po mamie”. Zobaczyłam, jak oczy mu zwilgotniały, chociaż był z pokolenia, które nigdy nie płakało.

Żałowałam, że sama nie potrafię czuć się szczęśliwa. Przez całą ciążę dręczył mnie lęk i nie potrafiłam się cieszyć, bo za bardzo się martwiłam wszystkimi niewiadomymi, jakie ze sobą niosła.

Totalny cud, że Gabby po urodzeniu była spokojna i promienna. Wziąwszy pod uwagę, jak się czułam w ciąży, spodziewałabym się, że będzie totalnym nerwowym wrakiem w niemowlęcym wydaniu, nie zaś pogodnym i opanowanym maluchem.

Ale teraz jest wzburzona.

– Więc co zamierzasz zrobić? – pyta, kiedy stawiam kawę na stole.

– Nie wiem, Gabs. Muszę porozmawiać z tatą.

Jak na komendę Eric pojawia się na schodach, lecz zmierza prosto do drzwi, nie zaglądając po drodze do kuchni. Trzaska drzwiami i rusza w trasę.

– W tej chwili jest na mnie zły – wyjaśniam córce.

Nie wiem, czy rozsądnie to przyznawać.

– Nie on jeden – burczy.

– Wiem, przykro mi, że się złościecie, i przykro mi, że czujecie się w to uwikłani. Ale ty nie zawiniłaś w najmniejszym stopniu, Gabs.

– To ja zachorowałam. Ja zaraziłam Iris. Może to nie moja wina, że byłam chora, ale i tak przekazałam jej wirusa.

Odwraca się i idzie na górę, wciąż nietypowo rozdrażniona.

– *What's that coming up the stairs, is it a monster?* – słyszę Vincenta śpiewającego na podeście.

– Z drogi – rzuca Gabriella.

– Nie, Gabster. – Mały nuci dalej i schodzi, kontynuując własną, zmutowaną wersję kawałka The Automatic.

– Vinnie. Wystarczy – mówię, kiedy wchodzi do kuchni.

– Czemu? – pyta z błogą nieświadomością, wyczuwa jednak, że coś się stało. – Czy wszyscy są dzisiaj trochę zzielenieli?

Ben, poniedziałek rano

– Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej?

Maggie nie jest wkurzona. Jest obrażona. To jej metoda. Nigdy naprawdę się nie gniewa, bywa tylko nieszczęśliwa i urażona, co jak na ironię wkurza mnie. „Na jedno wychodzi”, docinałem jej nie raz, ale zawsze twierdziła, że wcale nie.

Frustruje mnie to, bo czasem potrzebuję potężnej awantury, żeby wyrzucić z siebie wszystko, a Maggie nigdy nie reaguje w sposób, który by to umożliwił. Raczej się wycofuje w świat własnych myśli.

– Nie chciałem cię martwić – odpowiadam, co jest połowiczną prawdą.

Druga połowa jest taka, że nie chciałem, by próbowała mnie od tego odwieść – co właśnie zamierza zrobić teraz.

Miałem trzydzieści sześć godzin, by jej wspomnieć o spotkaniu z Heddą: mogłem powiedzieć, że dzisiaj po lekcjach mam spotkanie, mogłem powiedzieć, że zastanawiam się nad pozwaniem Isobel i Erica.

Od powrotu ze spaceru w sobotnie popołudnie praktycznie nie myślałem o niczym innym. Ale nie podzieliłem się swoimi rozważaniami z partnerką. Więc gdyby chciała, mogłaby się wkurzyć. Ona jednak woli się obrazić, co ma ten skutek, że wpadam w złość. Gdybym jednak dał to po sobie poznać, miałyby powód zgrywać świętą.

– Chciałem poczekać do spotkania. – Udaję troskliwego. – Tylko byś się martwiła, gdyby nic z tego nie wyszło.

– Powinieneś mi powiedzieć. Nie podoba mi się ten pomysł. To wszystko wydaje się...

– Jakie?

– Nie wiem. Bezcelowe? Nie w porządku? Nie rozumiem. Poświęciłam cały wczorajszy dzień, starając się przemyśleć opcje dostępne dla Iris, a ty za moimi plecami cały dzień kombinowałeś, jak się odegrać na Isobel. – Maggie mówi to wyzywająco, prowokuje, żebym zaprzeczył jej opinii o kierujących mną motywach.

– To niesprawiedliwe.

Podejmuję wyzwanie, lecz ona odwraca się i zaczyna przygotowywać banana stanowiącego podstawę śniadania naszej córeczki, wyraźnie chce mi odmówić satysfakcji.

Miała ciężką noc. Iris marudziła. Maggie kilkanaście razy musiała wstawać i chodzić do małej, aż w końcu spędziła noc na dodatkowym łóżku przy kołysce. Sypia tam, żebym mógł się wyspać.

– Cały dzień pracujesz – powtarza. – Ważniejsze, żebyś ty się wyspał. A zresztą w jakiś dziwny sposób nawet lubię, kiedy mała się budzi.

Maggie tęskni do czasów, kiedy Iris wołała ją w nocy. Odkąd córeczka urosła i stała się bardziej ruchliwa, nosi ją rzadziej niż kiedyś, dlatego cieszy się z okazji, by przy niej posiedzieć w ciemności, uspokajając ją swoim dotykiem i obecnością. Sądziłem, że żartuje, gdy napomknęła o tym pierwszy raz, ale nie – rzeczywiście żałuje nocnych przebudzeń.

Lecz dzisiaj rano wygląda na zmęczoną. Jej oczy wydają się mniejsze, cera ziemista. Ja jednak wciąż jestem wkurzony, podobnie jak od niemal dwóch tygodni, nie dam się ułagodzić nikomu, nawet partnerce.

– Ale co chcesz uzyskać, na miłość boską? – pyta.

Poinformowałem ją, że mam spotkanie z prawniczką, z którą umówiłem się w sobotę, gdy wyszedłem na spacer, i wrócę z lekcji później niż zwykle. I wyjaśniłem powody.

– Robię to ze względu na Iris i na ciebie – powtarzam.

– W jakim sensie? – Maggie wciąż jest w szlafroku, z frustracją pociąga za sznurek.

– B-bo możemy potrzebować dla Iris rzeczy, na które nas nie stać, szkoły specjalnej albo czegoś w tym guście.

Zacinam się na literze „b”, jąkanie, którego szczęśliwie zdołałem się pozbyć, wraca w chwilach, kiedy czuję się pod presją.

Niekiedy zacinać ostrzega mnie, że jestem pod presją, zanim sam zdołam sobie to uświadomić.

– Tego na razie nie wiemy. – Maggie uderza w łzawy ton, co tylko zwiększa moją irytację: nie na nią, lecz na Isobel, zawsze na cholerną Isobel. – I nie poświęciłeś ani chwili, by pomyśleć o Iris, zastanowić się, w jaki konkretnie sposób głuchota wpłynie na nią... na nas. Musimy się tego dowiedzieć. Musimy odkryć, jaka będzie jej przyszłość... czego potrzebujemy. Ciągłe wydzwaniam, żeby się umówić na spotkania, dowiedzieć więcej. A ty, zamiast mi pomóc, zajmujesz się jedynie swoją osobistą... wendetą.

– Nieprawda – odpowiadam, bo tak należy zareagować, szczególnie gdy ktoś nam mówi gorzką prawdę. – A ty nie czujesz ani odrobiny gniewu?

– Oczywiście, że czuję. – Nie podnosi głosu, ale przynajmniej w jej tonie jest gwałtowność. – Naprawdę sądzisz, że mnie „obchodzi” to mniej niż ciebie? Ale batalia prawna? To brzmi tak wyczerpująco... a co z kosztami?

– To sprawa typu „nie wygrywasz, nie płacisz” – wyciągam swój atut.

– Mimo to.

– Mimo to: co? – Brzmi to dziecinnie nawet w moich uszach.

– To nie będzie szybki i łatwy przypadek, prawda? – zauważa Maggie. – Nie chcę, żebyś ty albo my oboje marnowali na bezproduktywne działania energię, której potrzebujemy dla Iris.

– To by nam mogło ułatwić sytuację z Iris – zauważam.

– Serio? – pyta. – Naprawdę sądzisz, że masz szansę na wygranie sprawy? Czy tylko chcesz zastraszyć Isobel i Erica?

Nie odpowiadam. Nie jestem pewien, nie na tym etapie. Zresztą Maggie ma rację: moim głównym motywem nie jest zdobycie tych pieniędzy, jakie udałoby się z nich wycisnąć. Chcę im odpłacić.

– Są inne sposoby – rzuca Maggie i spogląda na mnie.

– Co masz na myśli?

Iris zaczyna płakać, głęboki sen, w jaki wreszcie zapadła nad ranem, gdy jej matka była zbyt zmęczona, żeby zasnąć, wreszcie się skończył. Dawniej Maggie mogłaby mnie skarcić: „Widzisz, zbudziłeś Iris”. Ale nie może.

Nasze podniesione głosy już nie przeszkadzają córeczce.

Oboje o tym wiemy, kiedy wstajemy i spoglądamy na siebie przez kilka stóp kuchennej przestrzeni, która nagle się wydaje bezdenną otchłanią.

– Do zobaczenia później. – Maggie znowu mocno zaciąga wokół siebie sznurek szlafroka i idzie na piętro po Iris.

„Robię to dla Iris”, powtarzam sobie i wyrzucam z pamięci patową sytuację z żoną, gdy Hedda zaprasza mnie do swojego gabinetu. Wyobraziłem go sobie wcześniej i się nie pomyliłem: limonkowe ściany, wielkie dębowe biurko, szare skórzane krzesła. Podłogę pokrywa czarne linoleum, na którego widok lekko mnie odrzuca.

Gdy siedziałem w zewnętrznej, kawiarnianej części biura, zauważyłem też, że cały personel nosi kostiumy i garnitury z identycznego szarego sukna.

Nie jestem pewien, czy upodabnianie się do tła w wypadku prawników jest dobrą rekomendacją. Sprawia wrażenie, jakby zwracali przesadną uwagę na styl. Może się ludzi, że dzięki temu wyglądają na skutecznych.

Hedda z całą pewnością tak.

– Zatem chce pan zgłosić roszczenie o odszkodowanie wobec osób trzecich z powodu szkody wyrządzonej pańskiej nieletniej córce poprzez niedopełnienie obowiązku opieki nad nią? – Nadaje temu formę pytania, ale czuję, że ujęła to dokładnie tak, jak brzmiałoby z prawnego punktu widzenia, gdybyśmy się zdecydowali nadać sprawie bieg.

– Tak. – Kiwam głową.

– I, tylko by się upewnić, że dobrze zrozumiałam wszystko, co mi pan powiedział, proszę pozwolić, że jeszcze raz zreferuję okoliczności, które doprowadziły do szkody wyrządzonej pańskiej córce.

– Iris – mówię. – Nazywanie jej „moją córką” sprawia, że wydaje się stroną postępowania prawnego, a nie moją śliczną, słoneczną dziewczynką.

– Iris. Urocze imię. – Hedda podnosi wzrok i uśmiecha się do mnie. – A imię pańskiej żony?

– Maggie. W dzisiejszych czasach niewielu ludzi dałoby tak na imię dziecku.

Wygląda na zbitą z tropu.

– Czemu nie?

– Thatcher nie była szczególnie popularna – wyjaśniam.

Ona jednak nie ma czasu na żarty.

– Na początku sierpnia tego roku wyjechali państwo z grupą przyjaciół na wakacje do Francji?

Kiwam głową.

– Państwa córka Iris miała wtedy zaledwie dziewięć miesięcy. I była zdrowym dzieckiem?

– Tak – potwierdzam. – Pomijając parę katarów, nigdy nie chorowała.

– Ale w trakcie wakacji została narażona na kontakt z wirusem odry?

– Tak. Gabriella zachorowała pod koniec tamtych dwutygodniowych wakacji. To

córka jednej z naszych znajomych, Isobel B-Blake.

Robię pauzę, częściowo ponieważ mam kłopot z wypowiedzeniem nazwiska – „b” jak zawsze stanowi problem – a poza tym dziwnie jest o niej mówić, używając imienia i nazwiska – a nawet pełnej wersji imienia. Zawsze nazywałem ją Bel, chyba że byłem na nią wkurzony.

– I w pańskiej opinii córka zaraziła się wirusem wskutek bezpośredniego kontaktu z Gabriellą Blake?

– Jordan – poprawiam. – Isobel wyszła za Erica Jordana, ale nie zmieniła nazwiska. Dzieci noszą jego nazwisko.

Hedda to notuje.

– Dom, w którym się zatrzymaliśmy, stoi na uboczu – ciągnę. – Pozostali regularnie jeździli do miasteczka, ale Maggie, moja partnerka... nie mamy ślubu... zawsze zostawała w domu z Iris.

– Przez całe wakacje?

– Cóż, chodziła na spacerunki brzegiem jeziora i po lasach, ale jak wspomniałem, dom był bardzo wygodny. Miał basen i miejsca na przechadzki w pobliżu, a gospodarze dobrze się nami opiekowali. Maggie była... cóż, była zmęczona, kiedy przyjechaliśmy, i nie chciała też zmieniać rytmu dnia Iris. Wystarczało jej w zupełności, że może siedzieć na miejscu i odpoczywać.

– Dziękuję. – Hedda przez chwilę coś pisze, a ja milknę.

– Więc jak się przedstawia nasza sytuacja z prawnego punktu widzenia? – pytam, kiedy kończy. – Da się coś zrobić?

– Tak sędzę. – Jej wyważona skandynawska wymowa niczego nie zdradza. – Wiemy, że głuchota Iris została spowodowana przez chorobę. O ile zdołamy udowodnić, że odra stanowiła bezpośredni skutek kontaktu z Gabriellą Jordan, i że pani Blake was nie ostrzegła, choć wiedziała w tamtym czasie, iż córka zaraża, istnieją podstawy do wytoczenia sprawy.

Kiwam głową.

– I sądzi pani, że możemy wygrać?

– Oczywiście, inaczej nie podjęłabym się prowadzenia tej sprawy.

– Ale jeśli nie wygramy, będzie nas pani reprezentować za darmo?

W głębi duszy nie daje mi spokoju ta część umowy: nie wygrywasz, nie płacisz. Wydaje się nie w porządku, by Hedda poświęcała wiele godzin, skoro nic z tego nie będzie miała – nie mamy pieniędzy na opłacenie prawnika, więc możemy to załatwić jedynie w ten sposób.

– Nie istnieją precedensy, ale szanse są spore – oświadcza Hedda i jeśli się nie mylę, równy ton jej głosu wznosi się o jeden poziom, do „lekkopodekscytowanego”. Rozglądam się po gabinecie, rejestruję szczegóły: limonkową zielenią, szarość, młodą nordycką prawniczkę. Myślę, że praca w zharmonizowanym kolorystycznie gabinecie to dla niej za mało. Chce się też wybić, a ta sprawa może jej w tym pomóc.

– Niewykluczone, że będzie temu towarzyszyć pewien rozgłos, panie Deakin – dodaje, potwierdzając moje przemyślenia. – Czy pan i pańska partnerka zdajecie sobie z tego sprawę?

Kiwam głową, bo wydaje się to mniejszym kłamstwem niż ustne potwierdzenie. Maggie przede wszystkim ma zastrzeżenia co do mojej wizyty w tym miejscu.

– Proszę mi więc opowiedzieć, jak pan poznał państwa Jordanów. – Hedda przewraca stronę notesu. – To znaczy panią Blake i pana Jordana.

Isobel, poniedziałek wieczorem

– Hej, Gabs. Wyglądasz jak Johnny Depp! – Vincent wybiega z salonu i śmiga w górę po schodach, gdzie przystaje na moment, żeby skomentować wygląd starszej siostry.

Wiem, o co mu chodzi – o kredkę do oczu – ale sama nie ośmieliłabym się odezwać. Stawanie się młodą kobietą musi być trudne, gdy ma się o sześć lat młodszego brata. Mnie w jej wieku zostało oszczędzone upokorzenie w postaci rodzeństwa wytykającego przesadę w używaniu niebieskich cieni do powiek.

Gabby posyła Vinniemu mordercze spojrzenie i sterczy w korytarzu.

Jest gotowa do wyjścia na próbę orkiestry. Gra na waltorni w Filharmonii Młodych. Posiada gen muzykalności, którego mnie brakuje, matka Erica śpiewała i grała na fortepianie, więc podejrzewam, że to zasługa jego rodziny. Eric do dziś trochę brzdąka na gitarze, jak to facet.

Kilka tygodni temu zastałam ich wszystkich improwizujących razem. Harvey walił w klawisze, Eric trącał struny, Vinnie śpiewał, a Gabs produkowała dziwaczne frazy na swojej waltorni. „Czuję się jak wyrzutek we własnej rodzinie!”, zażartowałam, ale wrażliwy Vincent najwyraźniej uznał, że należy mnie włączyć do kolektywu.

– Mamo, mogłabyś zagrać... – umilkł, bo nie miał pojęcia, w jaki sposób miałabym się przyłączyć do ich ansamblu. Naraz wpadł na pomysł. – Na jajku grzechotce!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a kilka dni później na odtwarzaczu CD w samochodzie leciał utwór z udziałem grzechotki.

– Mamo! Możesz teraz poćwiczyć – ponaglił Vinnie.

Więc podczas gdy Eric prowadził, zaczęłam potrząsać wyimaginowanym instrumentem do muzyki, a przynajmniej tak mi się zdawało.

– Nawet nie trzymasz rytmu – skomentowała Gabriella.

– Fakt, nie trzymasz – przytaknął Harvey ze śmiechem. – Musisz to robić w tym samym tempie.

Wzruszyłam ramionami, bo najwidoczniej moje zdolności muzyczne były tak nędzne, że nie potrafiłam naśladować rytmu nawet na wyimaginowanym jajku grzechotce.

– Powinnaś brać lekcje – powiedział Harvey, a Gabs zachichotała.

Wtedy było to zabawne, ale teraz znowu wydaje się okropnie niesprawiedliwe. Dlaczego ja, kobieta, której słoń nadepnął na ucho, mam trójkę uzdolnionych muzycznie dzieci? Dlaczego Maggie, nadzwyczajnie utalentowana profesjonalna trębaczka, ma kompletnie głuche dziecko?

Dzisiaj nie miałam chwili wytchnienia i cieszyłam się z tego. Rano pomagałam w klasie Vinniego. „Przyjdiesz pomóc wolnym czytelnikom?”, spytał z samego rana, zadowolony, że będę w szkole, i bez wahania zaliczył siebie do grupy wolniej

czytających. Jeśli już, czuje się z tego dumny. „Bo powoli czytam”, wyjaśnił z uszczęśliwionym uśmiechem nauczycielce na zastępstwie, gdy zapytała, dlaczego część klasy ma inne czytanki.

Sądziłam, że jest dyslektykiem, kiedy nie nauczył się czytać po rozpoczęciu szkoły, ale podobno nie w tym rzecz. Przystwaja wszystko i dobrze pisze, wydaje się, że jedynie czytanie przychodzi mu z trudnością, częściowo ponieważ absorbuje go wygląd słów.

– „Hipopotam” jest po prostu odjazdowy – stwierdza, przymrużając oczy. – Te jego „p” normalnie wyskakują ze strony.

Rozrywkowe cechy słów absorbują go tak bardzo, że zapomina się zastanowić nad ich sensem.

Czasami Vinnie zostawia mi liściki na poduszce. Kiedy był młodszy, były to głównie wyrazy wdzięczności. „Kocham cię, to było fajne ciasto, mamó” albo „Dzisiaj był różowiasty dzień”.

Zaczął się to, gdy Ben przysłał mu w prezencie paczuszkę żółtych samoprzylepnych karteczek.

Kilka dni wcześniej poszliśmy razem na lunch. Działo się to przed urodzeniem Iris, ale już po tym, gdy Ben poznał Maggie. Chciał, żebyśmy ją poznali.

Z jakiegoś powodu poruszył temat przedmiotów, które zostały wynalezione przypadkowo. Zaczął się od chipsów. Podali je dzieciom przed lunchem.

– Wiecie, że chipsy wynaleziono przypadkiem? – spytał. – Pewien szef kuchni w Ameryce okropnie się wściekł, kiedy jakiś gość się poskarżył, że jego frytki są niedopieczone. Wziął nową porcję ziemniaków, pokroił strasznie cienko i usmażył w głębokim tłuszczu na skwarki. Po czym zaniósł je klientowi.

– I co tamten powiedział? – Vinnie uwielbia historyjki Bena.

– Był zachwycony tak jak wy!

Jak przeszli do samoprzylepnych karteczek, nie pamiętam, ale Vinnie był zafascynowany opowieścią o naukowcu próbującym stworzyć bardzo mocny klej i odkrywającym zamiast tego klej zupełnie do niczego.

– Ale klej był do niczego, tylko jeśli się chciało połączyć dwie rzeczy naprawdę solidnie – wyjaśnił Ben. – I wtedy sobie uświadomił, że jeśli chce się coś skleić niezbyt mocno, a potem odlepić bez trudu, klej okazuje się w istocie bardzo przydatny. Co więcej, szczególnie się nadaje, by mocować do różnych przedmiotów małe karteczki, które można potem łatwo zdjąć!

Kilka dni później nadeszła paczuszka podłużnych karteczek Post-it i Vinnie zaczął mi pisać liściki.

Z czasem stały się bardziej krytyczne. W ostatnim tygodniu znalazłam jedną przyklejoną do włącznika mojej lampki nocnej. „Moje drugie śniadanie dzisiaj nie było szczególnie smaczne. Zapomniałaś, że najbardziej lubię pomarańczowy ser?”.

Dziś po południu znalazłam wiadomość na swojej filizance: „Czemu wszyscy są naburmuszeni? Ty też, mamó. Bądź miłsza!”.

Uśmiechnęłam się na widok ostatniej linijki, ale zrobiło mi się smutno, że zwrócił uwagę na panującą w domu atmosferę. Gabs wciąż dąsała się w milczeniu.

– Zrobiłaś coś dzisiaj? – spytała znacząco po powrocie ze szkoły.

– Pomagałam w klasie Vinniego.

– Nie o to mi chodzi – burknęła.

Wiedziałam o tym, ale zmieniłam temat, kiedy zaczęła sobie robić grzanekę.

– Jak było w szkole?

– W porządku – rzuciła wymijająco, smarując pastą marmite dwa kawałki słodowego chleba, po czym wzięła talerz. – Idę do swojego pokoju.

Teraz zeszła, ale już zbiera się do wyjścia.

– Wybierasz się na próbę? – pytam. – Masz pieniądze na autobus? Przyjadę po ciebie.

– Tak – odpowiada, wciąż zwlekając, po czym robi to, co zwykle, kiedy zamierza coś powiedzieć: zaczyna zupełnie bez związku. – Pan Coles zapuścił wasy – oświadcza.

– Błę – mruknęłam.

– Wygląda jak gwiazda porno z lat siedemdziesiątych. Alfie mu tak powiedział.

Zastanawiam się, skąd Alfie wie, jak wyglądają gwiazdy porno z lat siedemdziesiątych.

– I co on na to?

Pan Coles to nauczyciel muzyki. Dyryguje też miejską orkiestrą. Jest jednym z tych pedagogów, których uczniowie uważają nie tyle za belfra, ile za kumpla, i jak się zdaje, rozmowy, jakie z nim prowadzą, często zbaczają na niebezpieczne tory.

– Powiedział... – Gabby odrzuca włosy, naśladując nauczyciela o przydługich lokach – ...Alfie, gdybym kiedykolwiek postanowił obejrzeć film porno z lat siedemdziesiątych, główny aktor z pewnością by mnie przypominał!

Śmieję się, chociaż tak naprawdę mnie to nie bawi. Po prostu cieszę się, że Gabs znowu ze mną rozmawia i traktuje przyjaźnie.

Ale to tylko wstęp, a ja oczywiście przegapiam oznaki – jak kiedy Gabby potrzebuje pieniędzy albo chce zrobić coś, co mi się nie spodoba. „Ładnie dzisiaj wyglądasz. Mogę iść na całonocną imprezkę, mamó?”, „Zmieniłam u siebie prześcieradła. Mam zmienić u chłopców też? Dasz mi dwadzieścia funtów na nowe buty?”.

Dzisiaj jednak, właśnie teraz, uznaję jej słowa za propozycję rozejmu.

Niesłusznie. To tylko gra na zwłokę.

– Chcę odwiedzić Bena i Maggie – oświadcza, a jej ton jest teraz konfrontacyjny i wcale nie przyjacielski.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł, Gabs.

Chociaż nie myślę o niczym innym, ani trochę nie zbliżyłam się do decyzji, co począć. Zadzwoić do Bena? Wysłać mu mejla? Umówić się i odwiedzić ich osobiście?

Gabriella może wierzyć, że wpadnie do nich, tryskając piętnastoletnim wdziękiem, i wszystko się ułoży – ale to nieprawda. Dobrze znam Bena. Potrafię sobie wyobrazić, co do mnie czuje, i nie łudzę się, że to życzliwość.

– Czemu nie? – pyta Gabriella.

– Wiesz czemu.

– Więc po prostu nie będziemy z nimi więcej rozmawiać? Musimy coś powiedzieć, mamó. Musisz coś zrobić. Nie możesz po prostu nic nie robić.

Wiem. Tylko po prostu nie wiem co.

– Spóźnisz się na próbę – zauważam.

Zła odpowiedź. Gabby łąsa się, chwytając pokrowiec z instrumentem i w drodze do wyjścia łomocze nim o wszystko, o co się da. Trzaska drzwiami tak mocno, że zdjęcie wiszące na ścianie w korytarzu spada na ziemię i szkło pęka.

– Co się stało? – Harvey staje u szczytu schodów wywabiony z pokoju hukiem i trzaskiem pękającego szkła. – Mamo, wszystko w porządku? – Wzrusza mnie jego pełne troski pytanie.

– Tak, tylko zdjęcie spadło ze ściany, kiedy Gabs zatrzasnęła drzwi.

– Przeczulona krowa. – Szczyrzy zęby, a ja uśmiecham się mimo woli, ucieszona jego nagłą lojalnością. – Powiedziałem jej dzisiaj cześć podczas lunchu, bo siedziała sama z ponurą miną, a ona kazała mi się odp...

– Pokłóciliście się? – pytam.

Zwykle żyją z Gabriellą w przyjaźni, ale jako środkowe dziecko Harvey często zmienia sojusze. Czasem wydaje się bliżej z Gabs, ponieważ chodzą do jednej szkoły, a kiedy indziej demonstruje męską solidarność z Vincentem. Często wydaje się bliżej z Erikiem niż z rodzeństwem lub ze mną.

– Pomóc ci, mamo? – pyta.

– Nie, zostań tam – protestuję, kiedy schodzi do połowy schodów. – Jesteś boso. Muszę się pozbyć tego szkła. Nie chcę, żebyś się skaleczył.

– Cóż, masz gołe ręce – zauważa, kiedy podnoszę kawałek strzaskanej ramki. – Ty też możesz się skaleczyć.

– Będę ostrożna – obiecuję, myśląc sobie, że odłamek szkła może co najwyżej rozciąć skórę.

Ben, poniedziałek wieczorem

Powiedziałem Heddzie, że poznałem Isobel pierwszego dnia na uniwersytecie.

Nie wspomniałem, że w tym samym momencie zakochałem się w niej i że ciągnęło się to przez lata, chociaż nigdy w pełni nie odwzajemniała mojego uczucia. Nie wspomniałem o tym nawet Maggie, chociaż myślę, że coś podejrzewa. Może to sprawa kobiecej intuicji albo tego, że Isobel nigdy nie odnosiła się do niej szczególnie serdecznie. Wydawało się, że zawsze traktowały się nieufnie. Chyba wszyscy zauważyli to podczas wakacji, nawet zanim Gabs zachorowała.

Zobaczyłem Isobel na tarasie budynku, który miał się stać naszym domem przez pierwszy rok, kiedy wyjmowała wielki plecak i kilka toreb podróży z bagażnika samochodu – nowego samochodu, jak zauważyłem. Sam przybyłem z mniejszą ilością rzeczy, za to z ogromnym bagażem drażliwości. Byłem przekonany, że okażę się jedynym gościem, który chodził do rejonowej szkoły, jedynym, którego rodzice nie mogli odwiedzić, bo nie mieli samochodu, jedynym, który marzy o rewolucji.

– Jak konkretnie zamierzasz wywołać rewolucję społeczną, grając Hamleta? – spytała mnie Isobel jakiś czas później, kiedy ją lepiej poznałem. – Albo przyjmując rolę w sztuce *Na rozdrożu*?

Studiowała nauki polityczne i spędziła rok w Indiach, pracując w sierocińcu, w jej opinii oba te doświadczenia miały ją lepiej przygotować do zmieniania świata.

Gdybyśmy nie mieszkali w tym samym bloku w akademiku, pewnie nie zamieniłbym z nią ani słowa. Przez swoją drażliwość uprzedziłem się do niej, gdy stała na chodniku otoczona gratami i rozmawiała z wysokim, szczupłym, uderzająco przystojnym mężczyzną, jak podejrzewałem wtedy (i co się później potwierdziło) – jej ojcem.

Ona również była uderzająco piękna. Miała rysy ojca i długie, ciemnobrązowe włosy o lekko czerwonym odcieniu. Ubrania także nosiła długie: długa spódnica, jakiś długi top i długi naszyjnik. Jedyną częścią jej garderoby, na którą poskąpiono materiału, były buty: chodziła w japonkach.

– Naprawdę będę za tobą tęsknić – podsłuchałem jej słowa, szukając wejścia do bloku G, gdzie miałem mieszkać przez następny rok.

Zabrzmiało to jak pożegnanie w więzieniu, sceneria też zresztą pasowała. Budynek wzniesiono z pustaków, nikomu nie przyszło do głowy, by otynkować ściany albo pomalować wewnątrz. Pokoje przypominały cele, każdy z łóżkiem, biurkiem i umywalką. Brakowało tylko krat.

– Poradzisz sobie beze mnie? – usłyszałem, jak zapytała ojca.

Wyrażała się ładnie i to mnie zirytowało. Córeczka bogatego tatusia, pomyślałem, czując do niej niechęć za arogancję, z jaką zakładała, że ojciec mógłby nie dać sobie bez niej rady.

– Będę tęsknił, Bel – odparł, obejmując ją ramieniem, i stał tak, tuląc ją w sposób, w jaki moi rodzice nigdy nie przytulali mnie. – Ale wytrzymam. Przecież wytrzymałem,

kiedy wyjechałaś do Indii.

Więc jest też modna, prychnąłem w duchu, ruszyłem po schodach budynku z pustaków, by odszukać swój pokój.

Tamtego wieczoru, gdy się pojawiła i stanęła nerwowo w progu mojego pokoju, popisywałem się swoją imprezową sztuczką. Zostawiłem drzwi otwarte w przyjazny i zapraszający sposób, a para kolesiów mieszkających po sąsiedzku przyjęła zaproszenie i siedziała teraz na łóżku.

– Grasz na gitarze? – spytał jeden, wskazując głową akustyczny instrument oparty o ścianę.

– Trochę. – Chciałem, by zabrzmiało to skromnie, choć w rzeczywistości mówiłem prawdę. Grałem tylko trochę. Ale znałem jeden lub dwa triki, które wzbudzały pewien entuzjazm.

– Co umiesz zagrać? – spytał drugi.

– Pokażę wam.

Wziąłem gitarę i spróbowałem zająć właściwą pozycję, co okazało się trudniejsze w mojej celi niż w sypialni w domu. Tam miałem coś w rodzaju wielkiego, skrzypiącego fotela, tak pozapadanego, że mógł pomieścić gitarę. W pokoju musiałem się na pół położyć na łóżku. Oczywiście gdybym zamierzał zwyczajnie zagrać na gitarze, mogłem usiąść, ale chciałem zrobić wrażenie na gościach.

Umieściłem instrument za głową i zacząłem brzdąkać *Dom wschodzącego słońca*, wyginając ramiona, by złapać akordy, i przebierając z wysiłkiem po strunach. Nauczyłem się tego z nudów pewnego popołudnia. Opanowałem ten kawałek, grając w normalnej pozycji, a później postanowiłem spróbować w inny sposób. Zaimponowało to kumplom, z którymi na zakończenie szkoły średniej zdawałem egzaminy na poziomie zaawansowanym, więc gdy później postanowiłem zostać aktorem, uznałem naiwnie, że może się przydać. Na przesłuchaniach zawsze pytali, czy potrafię coś jeszcze: walczyć na miecze, nurkować z aparatem tlenowym – umiejętności tego rodzaju, które zdecydowałyby o angażu w filmie o Bondzie. Pomyślałem, że gra na gitarze trzymanej nad głową może okazać się użyteczna. Z perspektywy czasu myślę, że musiałem wyglądać jak pretensjonalny dureń, chociaż gdyby ktoś mi to powiedział, zapewniłbym, że robię to z ironicznym dystansem.

Isobel, gdy zajrzała do pokoju, w pierwszej chwili wydawała się zmieszana, jakby nie mogła wykombinować, kto gra. Potem mnie zobaczyła i rozpromieniła się w szerokim, pięknym, przyjacielskim uśmiechu, a ja praktycznie od razu porzuciłem wszelkie wcześniejsze uprzedzenia i zaprosiłem ją do środka.

Teraz wydaje się to dziwne, bo chociaż ma trójkę dzieci, nigdy nie powiedziałbym, że jest macierzyńska. Ale dawniej była. Nie jak moja matka czy matka któregośkolwiek z kumpli – raczej jak matka idealna, jaką chciałbym mieć, czekająca w domu na mój powrót z uczelni, żebym ją mógł przedstawić znajomym.

Isobel instynktownie brała ludzi pod swoje skrzydła. Pod koniec tamtego pierwszego wieczoru w jej pokoju zebrało się chyba z siedem osób czekających, by je nakarmiła. Uznała, że powinniśmy coś zjeść przed wyjściem na dyskotekę dla pierwszego roku.

Jakimś cudem między pożegnaniem z ojcem a zjawieniem się w drzwiach mojego pokoju zdążyła rozpakować te wszystkie torby. Jej pokój nie przypominał celi. Był naprawdę przytulny. Na ścianach plakaty, na łóżku poduszki, na podłodze pufa do siedzenia, a czarna powierzchnia biurka zastawiona książkami. Obok znajdował się mniejszy stolik, który musiała przywieźć z domu, nakryty hinduskim szalem i zastawiony talerzami oraz sztucami, których ja wziąłem tylko po jednej sztuce, a Isobel przywiozła co najmniej po dziesięć. Widać jeszcze przed przyjazdem zaplanowała, że będzie gotować dla znajomych. I tak robiła, tego wieczoru i przez wiele następnych. Głównie zupy i makarony, czasem curry i tarty. W jej wykonaniu wydawało się to łatwe, takie troszczenie się o wszystkich.

Więc gdybyście mnie spytali w tamtym czasie, która z moich koleżanek ma największy talent macierzyński, bez wahania wskazałbym Bel. Ale kiedy urodziła Gabby, zaskoczyła nas wszystkich. Wydawała się bliska szaleństwa: niepewna, co robić, udręczona koniecznością opiekowania się zaledwie jedną osobą. Nie pojmowałem tego.

Może nie umiała sobie poradzić, bo jej własna matka zmarła tak młodo.

– To twój tata? – spytałem, wskazując oprawione zdjęcie na biurku. – Widziałem, jak cię odwoził.

– Serio? – Wydawała się naprawdę zaskoczona, że ją zauważyłem, jakby oczekiwała, że się z miejsca przedstawię. – Tak, to mój tata. – A potem – może się zastanawiała, czy podsłuchałem ich rozmowę, a może po prostu chciała oszczędzić zakłopotania mnie i reszcie towarzystwa, które siedziało wokół na podłodze, szuflując widelcami makaron z porcelanowych talerzy – powiedziała: – Moja mama zmarła kilka lat temu, a jestem jedynaczką. Więc przez ostatnich parę lat mieszkamy z ojcem tylko we dwoje.

Pamiętam, że pomyślałem sobie: piękna, zdolna i tragiczna.

Wtedy nie przyznałbym się do tego nikomu, ale bałem się studiów... szczerze mówiąc, byłem przerażony. Obawiałem się, że nie będę pasował, że okażę się głupszy od pozostałych, nie wiedziałem, czy potrafię grać, chociaż studiowałem aktorstwo, zastanawiałem się, czy znajdę przyjaciół, sądziłem, że będę tęsknił za domem.

Byłem jednym wielkim kłębkim nerwów i obaw, ale dzięki Isobel poczułem się spokojniejszy, bezpieczniejszy i mniej wystraszony, przynajmniej na jakiś czas. Po czym zakochałem się w niej i uwierzyłem, że gdyby zechciała, rzeczywiście potrafiłaby zmienić świat – także mój.

Cóż, teraz jej się udało, a ja nie zamierzam siedzieć z założonymi rękami, jakby nigdy nic.

– Mieszkaliśmy na tym samym piętrze – mówię Heddie. – Poznaliśmy się pierwszego dnia i od tamtej pory się przyjaźniliśmy. Poznała przeze mnie swojego męża. Był moim najlepszym kumplem ze szkoły.

Postarałem się, by to wszystko zabrzmiało bardzo dorośle, bezproblemowo

i kulturalnie.

Ale wcale takie nie było, nie dla mnie – a teraz zrobię wszystko, żeby w obecnej sytuacji maksymalnie skomplikować życie Isobel. Czemu to ja zawsze mam cierpieć?

Isobel, poniedziałek wieczorem

– Gdzie wszyscy? – pyta Eric, kiedy po powrocie z pracy zastaje mnie przy kuchennym stole, nieruchomą, zamyśloną, wpatrzoną w zdjęcie w ramce ze stłuczonym szkłem.

To fotka Gabby z jej pierwszego przedstawienia bożonarodzeniowego. Była płatkami śniegu, bo w dzisiejszych czasach nie nawiązują one do religii. Kiedy ja chodziłam do szkoły, co roku wystawialiśmy tradycyjne jasełka, więc zanim przeszliśmy do szkoły średniej, przynajmniej jedna czwarta dziewczyn miała szansę zagrać Maryję. Nasze dzieci mają o jasełkach jedynie mgliste pojęcie.

Tamtego szczególnego roku, kiedy dostała rolę „naczelnego płatka”, Gabs nie bardzo chyba wiedziała, co to takiego śnieg. Myślała, że to te polistyrenowe kulki do wypełniania opakowań. Tu, na południu, spadł pierwszy raz, gdy miała dwanaście lat. Lecz dzięki godzinom spędzonym na oglądaniu bajki *Pingu* zyskała niezłe wyczucie, a ja pękałam z dumy, naciskając spust aparatu, kiedy wstała ubrana cała na biało i wyrecytowała: „Zamierzam przychodzić codziennie aż do Nowego Roku”.

Byłam z niej wtedy tak samo dumna jak dziś, podziwiając jej grę na waltorni podczas szkolnych koncertów bożonarodzeniowych.

– Chłopcy oglądają telewizję – odpowiadam Ericowi. Wstaję i staram się sprawiać wrażenie bardziej zajętej. – A Gabs jest na próbie. Zaraz po nią jadę. Kolacja jest w piekarniku. Zjemy po powrocie.

– Jak ona się czuje? – pyta Eric. Wyczuwam w tym pytaniu drugie dno.

– W porządku – odpowiadam, ignorując je.

– Ja ją przywiozę, jeśli chcesz – proponuje.

– Nie, w porządku. Dopiero przyszedłeś.

– Nie mam nic przeciwko temu, naprawdę. Będę miał szansę z nią pogadać.

– Wolalabym, żebyś porozmawiał ze mną – zauważam.

Unikał mnie przez większość wczorajszego dnia. Po przebieżce zabrał Vincenta do parku, żeby pograć w nogę. Wrócili dopiero na lunch, równocześnie z Harve-yem, który wyszedł z kolegami i wrócił z pocięciem, porzuconym wózkiem z supermarketu.

– Harvey, po co ci to? – spytałam.

– Przerobię go na fotel. Tato, pomożesz? – odparł.

W ten sposób straciłam szansę na pogadanie z Erikiem po południu, przegrawszy z wymagającym jego asysty nagłym atakiem kreatywności w dziedzinie sztuki użytkowej.

Efekt końcowy robił wrażenie. Wspólnymi siłami odpiłowali przednią część wózka, więc fotel przypominał druciane krzesło Eamesa, tyle że na kółkach. Kiedy przygotowywałam kolację, Harvey jeździł po kuchni, opowiadając o swoich ambicjach zostania projektantem dla przemysłu. Ma zdolności do plastyki i wzornictwa, więc może z tym krzesłem to był niegłupi pomysł, lecz w tamtej chwili czułam się rozżalona, że angażuje uwagę Erica swoim genialnym projektem akurat wtedy, kiedy sama

zamierzałam ją zmonopolizować – chociaż wiedziałam, że majsterkowanie z ojcem mu służy. Jak się zdaje, z jakiegoś powodu Vincent i Gabriella zawsze wymagają więcej mojej uwagi, a Harvey jedynie na wszystko się zgadza. Dlatego cieszę się, gdy Eric poświęca mi więcej czasu niż pozostałym.

Bez względu jednak na to, jak świetnie się bawili, przy kolacji Eric nie odzywał się do mnie, a za każdym razem, kiedy próbowałam poruszyć dręczący mnie temat, powtarzał: „Potrzebuję czasu do namysłu”.

– Nie wiem, co chcesz ode mnie usłyszeć, Isobel – stwierdza teraz.

– Cokolwiek – odpowiadam. – Wszystko jest lepsze od tego milczącego wycofania. Wzrusza ramionami.

– Ericu, nie rozumiesz, że czuję się okropnie? W kółko myślę jedynie o tym, że Iris ogłuchła. Zrobiłabym wszystko, by zmienić przeszłość. Ale to niemożliwe. Proszę, porozmawiaj ze mną – błagam.

– Przykro mi, Bel – rzuca. – Nie wiem, co powiedzieć. Rozumiem, że czujesz się podle, ale co na to poradzę? Żałuję tylko, że nie przemyślałaś tego wszystkiego wcześniej, bo wtedy sytuacja wyglądałaby inaczej.

– To mi nie pomoże – wzdycham sfrustrowana, że jedyne, na co ma ochotę, to ciągle wałkowanie przeszłości. – Z perspektywy czasu żałuję, że nie postąpiłam inaczej, oczywiście że tak, ale wtedy...

– Po prostu żałuję, że mnie nie posłuchałaś. Gdybyś posłuchała, nie doszłoby do tego.

– Och, na miłość boską, Ericu, to ślepa uliczka. Tak, miałeś rację. A ja się myliłam. Ale podjęłam decyzję, którą w tamtym czasie uważałam za słuszną. Skoro byłeś taki przekonany, że się mylę, trzeba było samemu zabrać dzieci do szczepienia.

– Tak? A jak ty byś się czuła, gdybym to zrobił? – W odpowiedzi śmieje się ponuro.

– Nie wiem – warczę.

– Byłabyś wściekła. Złościłaś się, kiedy dałem dzieciakom herbatnika czekoladowego. Zachowywałaś się, jakbym chciał je otruć.

– Wcale nie – protestuję, ale ma rację.

Rzeczywiście uważałam wyeliminowanie cukru w pierwszych latach ich życia za jedno ze swoich największych rodzicielskich osiągnięć. Moją szczególną specjalnością były ciasteczka bez cukru i orzechów, zawsze miałam ich całą puszkę. Nie było potrzeby, by Eric podsuwał im swoje czekoladowe herbatniki z mąki razowej, a jednak to robił.

– Isobel. Wiedziałaś doskonale, co sędzę na temat MMR. Próbowałem cię przekonać. Próbowałem ci przemówić do rozumu.

– Już mówiłam: skoro rzeczywiście byłeś o tym święcie przekonany, jeśli naprawdę uważałeś, że rezygnacja ze szczepienia naraża dzieci na poważne ryzyko, powinieneś był coś z tym zrobić.

Nie pozwolę mu zwalić całej winy na siebie. Eric wiedział, że nie chcę szczepić dzieci, i się z tym pogodził – wtedy. Z pewnością powinien teraz dzielić ze mną odpowiedzialność.

– Co miałem zrobić? Zachować się jak tamten gość, który pokłócił się z żoną? Ten, który wytoczył sprawę swojej byłej, by ją zmusić do zaszczepienia dzieci?

– Nie, oczywiście, że nie – odpowiadam.

Kiedy usłyszałam o tym w wiadomościach, przeraziło mnie, jak daleko można się posunąć, by postawić na swoim.

– Byłem wobec ciebie lojalny – ciągnie Eric. – Wiedziałem, że spoczywa na tobie większa część ciężaru opieki nad dziećmi.

– Większa część? – Śmieję się. – Robiłam praktycznie wszystko, kiedy były małe.

To był mój wybór, ale chciałam, by Eric przyznał, jaki ogrom pracy w to włożyłam.

– Owszem, wiedziałem, że głównie ty się nimi zajmujesz, więc z szacunku dla twojej pracy uznałem, że jestem zobowiązany pozwolić ci podejmować decyzje.

– Jezu Chryste, bywasz tak wkurzająco przekonany o własnej genialności – odparowuję.

– Cóż, w takim razie ta rozmowa nie ma sensu, prawda? – zauważa i spogląda na zegar. – Pojadę po Gabs.

Bierze kluczyki od samochodu, skazując mnie na obracanie w pamięci wciąż tych samych myśli. Donikąd mnie to nie zaprowadzi. Zastanawiam się, czy istnieje coś, co mogłabym zrobić dla Bena, Maggie i Iris. Zastanawiam się, czy mi kiedykolwiek wybaczą. Czy wybaczą mi Eric i Gabriella.

Zastanawiam się, w jaki sposób dalszy rozwój zdarzeń dotknie nas wszystkich: Erica, Gabriellę, Bena, Maggie i resztę przyjaciół.

Zastanawiam się, jak wpłynie na mnie i Bena.

Zdarzyło się to pod koniec semestru wiosennego. Poszliśmy na koncert do siedziby związku studentów. Nie pamiętam, kto występował. Pamiętam tylko, że był to wysokooktanowy, naładowany energią wieczór. Przetańczyliśmy cały koncert, a kiedy się skończył, byliśmy napaleni i na haju.

– Chodźmy się przejść – zaproponował Ben. – Zanim wrócimy do akademika.

Przespacerowaliśmy się więc dokoła jeziora, a potem poszliśmy do mojego pokoju, jak zwykle na zakończenie wieczoru. W sklepiku studenckim Ben kupił niewiele poza chlebem i piwem, a u siebie miał tylko jeden talerz, jeden kubek i jeden komplet sztucców, podczas gdy ja dysponowałam czajnikiem, tosterem oraz masłem orzechowym, pastą marmite i serem topionym do grzanek, których nieodmiennie potrzebowaliśmy przed snem.

Polubiłam Bena od razu. Był zabawny i interesujący, czułam się przy nim swobodnie. Interesujący jako rozmówca, życzliwy i umiał mnie doprowadzić do śmiechu. Naprawdę doceniałam jego przyjaźń, szczególnie w tamtym pierwszym roku, kiedy łatwo mogłam się poczuć samotna: tęskniąc za domem i przyjaciółmi, których tam zostawiłam, tęskniąc za tatą i wciąż oplakując mamę.

Oraz wciąż jeszcze tęskniąc za Deepakiem.

Ben spytał o niego, kiedy w początkach naszej znajomości przerzucał moje zdjęcia.

– Taka z ciebie cholerna, ideologicznie słuszna baba w spodniach – rzucił. – Co to pracuje w sierocińcu i pieprzy się z miejscowym doktorem.

– Co to ma znaczyć? – Potrafił mnie wkurzyć, jeśli się postarał.

– Ideologicznie słuszna, czyli politycznie poprawna – objaśnił. – Baba w spodniach: feministka.

– A co ma do tego fakt, czym się zajmowałam przez rok przed studiami? – spytałam, w głębi ducha jego słowa mi pochlebiały, bo tak właśnie chciałam być postrzegana.

– Politypoprawna, bo ratowałaś sierotki, a zarazem sypiałaś z tubylcem, czym dałaś jasno do zrozumienia, że nie jesteś jakąś wynoszącą się nad pospólstwo białą panienką z wyższych sfer, która potrzebuje Indii, by mieć lepsze CV. A feministka, bo go kochałaś i porzuciłaś, pewnie przy okazji złamałaś mu serce.

– Tak brzmi twoja definicja feminizmu? – spytałam.

– Jak dla mnie wystarczą spodnie.

Wciąż kartkował album ze zdjęciami. Wiedziałam, że stara się mnie sprowokować. Zignorowałam go więc i spróbowałam zlekceważyć również następne pytanie.

– Więc ten Deepak... jaki był?

– Miły, serdeczny, interesujący... lekarz. Co jeszcze chcesz wiedzieć?

– Cóż, musiał mieć w sobie coś więcej, skoro ci wskoczył do łóżka.

– Wakacyjny romans, nic więcej.

Prawie żałowałam, że wspomniałam mu o tamtym związku. On jednak twierdził, że sama się zdradziłam, kiedy zapytał, kim jest wysoki, śniady, przystojny nieznajomy ze zdjęcia.

– Deepak – odparłam, jak sądziłam, neutralnym tonem. – Lokalny doktor. Raz w tygodniu przyjeżdżał do przychodni w sierocińcu.

– Czyli się z nim bzykałaś? – upewnił się Ben.

– Czemu pytasz? – Zastanawiałam się, co mnie zdradziło.

– A więc tak!

Zbagatelizowałam to jako wakacyjną przygodę, ale w rzeczywistości głęboko pokochałam Deepaka i dopiero po kilku miesiącach związku odkryłam, że jest żonaty, ma trójkę dzieci i czwarte w drodze. Gdy przyjechał do sierocińca pod koniec tygodnia, uznałam, że mieszka na wsi z rodzicami... a kiedy pewnego wieczoru spytał, czy mam ochotę na drinka, założyłam, że choć starszy ode mnie, jest równie wolny i bez zobowiązań. Ani przez moment – gdy przyszedł do domku na skraju dziedzińca, gdzie mieszkałam – nie przeszło mi przez myśl, że ma rodzinę, do której powinien wrócić.

Sądziłam, że ochroni mnie dyskrecja oraz fakt, że nigdy nie pozwoliłam mu zostać na noc. Nie byłam pewna, jak prowadząca sierociniec ekspatka w średnim wieku, angielska chrześcijanka zareaguje na wieść, że jej zagraniczna podopieczna żyje z kimś w związku, i to na terenie ośrodka. Nie miałam pojęcia, że robię coś złego, póki któregoś tygodnia Deepak nie odwołał wizyty w przychodni, „bo jego żona rodzi”.

A choć popełniłam błąd zupełnie nieświadomie, czułam, że dopuściłam się czegoś okropnego i że zasłużyłam na rozpacz, jaka mnie ogarnęła na wieść, że romansuję z żonatym mężczyzną. Czułam się tak samo winna, jak gdybym wiedziała od początku.

Potem starałam się o nim zapomnieć, ale tęskniłam nadal za nim i za byciem kochaną przez mężczyznę, nawet jeśli w rzeczywistości on nie kochał mnie tak bardzo, jak sądziłam. A w braku tamtego związku cieszyłam się z czulej i serdecznej przyjaźni

Bena.

Więc kiedy tamtej nocy po koncercie usiadł obok mnie na poduszce i objął ramieniem, uznałam, że to jedynie kolejne typowe zakończenie kolejnego typowego wieczoru na mieście. Zjemy grzanki, napijemy się soku pomarańczowego, Ben oświadczy, że gość na gitarze basowej trochę fałszował, a ja nie będę miała pojęcia, czy to prawda. A potem wróci do swojego pokoju.

Tego konkretnego wieczoru jednak przyciągnął mnie bliżej.

– Isobel?

Nagle przybrał poważniejszy ton.

– Aha!

W przeciwieństwie do mnie.

– Jesteś najbardziej niesamowitą, serdeczną, inteligentną i piękną kobietą i chcę cię pocałować – oświadczył.

– Serio? W tej chwili? – Nadal traktowałam to jak żart.

– Tak – potwierdził. – Mam ochotę cię pocałować od pierwszego dnia i chyba zrobię to teraz.

W ułamku sekundy przemknęło mi, że to nie w porządku, że jesteśmy tylko przyjaciółmi, że nawet mi się nie podoba, że byłoby niełojalne wobec Bena pozwolić na to – oraz wiele rzeczy w podobnym guście. Ale równocześnie pomyślałam: „Czemu nie?”. Nie całowałam się z nikim od pół roku. Lubię Bena. Nadajemy na podobnych falach. Może miło byłoby go pocałować. Jesteśmy na tyle dobrymi kumplami, że to niczego nie zmienia.

I znowu wykazałam się naiwnością. Jeśli masz niespełna dwadzieścia lat, wróciłaś z miasta, gdzie piłaś i tańczyłaś, nie musisz wstawać rano i zaczynasz się z kimś całować o pół metra od łóżka – to istnieje ryzyko, że wylądujesz z tym kimś w rzeczonym łóżku.

Więc oczywiście tam wylądowaliśmy: nieco później i następnego wieczoru, i wiele razy przez następnych kilka miesięcy – aż dotarło do mnie, że muszę położyć temu kres.

Zrobiłam to rankiem po całej nocy, którą Ben spędził w moim pokoju.

Wcześniej wracał do siebie. Miało to sens. Pojedyncze łóżko było wąskie, we dwójkę praktycznie nie dało się w nim wyspać, a Ben miał własne, identyczne, zaledwie kawałek dalej korytarzem. Plus w moim wyobrażeniu – i chyba w jego też, wzięwszy pod uwagę dalszy rozwój wydarzeń – dzięki temu wszystko wyglądało niezobowiązująco. Sypialiśmy ze sobą, bo oboje byliśmy młodzi, samotni, lubiliśmy się i pragnęliśmy seksu. Tamtej nocy jednak Ben oświadczył, że jest zbyt zmęczony, żeby się ruszać z miejsca, a kiedy się ocknęłam rano, już nie spał i przyglądał mi się wsparty na łokciu.

– Dzień dobry – powiedziałam, odwracając się plecami, bo w jego spojrzeniu było coś, co mnie peszyło.

– Chodź tutaj. – Obrócił mnie z powrotem twarzą do siebie, przygarnął moje nagie ciało i odsunął mi z oczu zmierzwione od snu włosy.

A potem to powiedział.

– Kocham cię, Isobel.

Wtedy właśnie uświadomiłam sobie, że trzeba to uciąć.

– Ja nie, ja nie mogę... – Nie potrafiłam znaleźć właściwych słów. – Naprawdę

bardzo cię lubię, Ben. Kocham cię jak przyjaciela, ale...

Trudno nie zranić kogoś, kto właśnie oświadczył, że cię kocha, kiedy mu mówisz, że ty jego nie.

– Powinnaś wcześniej dać mu to jasno do zrozumienia – stwierdziła później Yasmin, gdy się jej zwierzyłam.

Zdawało się, że uważa to za moje niedopatrzenie: jakbym w jakiś sposób zachęciła Bena, zasugerowała, że czuję do niego coś więcej, niż czuję w rzeczywistości. Tymczasem sądziłam, że oboje traktujemy to jak przyjaźń, tylko z dodatkowymi bonusami.

Oczywiście zapanowało między nami pewne napięcie – na jakiś czas. Pojawiło się lekkie skrępowanie, ale Ben wydawał się w porządku. Nasze stosunki pozostały przyjazne, nawet jeśli nie zapraszałam go już tak często do swojego pokoju – na tyle przyjazne, że spytał, czy może u mnie przenocować Erica, który miał się zjawić z wizytą w weekend, gdy wyjeżdżałam do domu odwiedzić tatę.

Na tyle przyjazne, że się zgodziłam.

– Jasne.

Ben dużo o nim opowiadał: Eric Jordan, jego kumpel ze szkoły. To rodzice Erica – bardziej niż starzy Bena – namawiali, by Ben zdawał do szkoły aktorskiej, poszedł na studia i spełnił swoje marzenia.

Studiował historię w Cambridge. Ben w kółko powtarzał, że na pewno bym go polubiła, ale nigdy się nie spotkaliśmy. Nie widywałam się z Benem w czasie wakacji. On wracał do Nottingham, ja jechałam do domu do Sussex, a Eric nigdy nie odwiedził Bena na Uniwersytecie Anglii Wschodniej, chociaż to wcale nie było daleko, a on miał samochód.

Czułam się trochę dziwnie, że pozwalałam spać we własnym pokoju komuś, kogo nie widziałam na oczy, ale posprzątałam przed wyjazdem, zmieniłam prześcieradła i zamknęłam na klucz w szufladzie wszystkie rzeczy, które uważałam za zbyt osobiste, by je oglądał ktoś obcy.

Po powrocie mój pokój wyglądał tak nienagannie, że zastanawiałam się, czy Eric nie zmienił planów i nie odwołał wizyty, ale Ben zapewniał, że spędził świetny weekend, dzieląc czas na oprowadzanie kumpla po Norwich, po kampusie i po barze Związku Studentów.

Zdaniem Helen, innej znajomej z tego samego korytarza, Eric był „bardzo przystojny, wygadany i niezwykle interesujący”. „Oraz”, dodała, „wydawał się mocno zaintrygowany tobą”.

– Jak to? – zdziwiłam się.

– Zobaczył twoje zdjęcie z Indii i zapytał, jak długo tam byłaś i czym się zajmowałaś – wyjaśniła. – Obejrzał twoje książki i chciał wiedzieć, co studiujesz. A potem twój kubek z napisem „Wspieraj sandinistów” i zapytał, czy jesteś prawdziwą rewolucjonistką, czy tylko kolejną studentką zakreconą na punkcie sprawy!

– I co mu powiedziałaś? – spytałam.

– Nie miałam szansy wtrącić słowa – odparła. – Ben mu trochę opowiedział, a potem zaczął jakąś historyjkę z czasów, gdy razem chodzili do szkoły.

– Więc kiedy poznam słynnego Erica? – zwróciłam się później do Bena.

W zasadzie było mi obojętne, czy do tego dojdzie. Miałam ochotę się przekonać, jaki jest ten przyjaciel, o którym wciąż opowiada, ale nic więcej.

– Nie jestem pewien, czy chcę, byś go poznała, Bel – odparł, ale nagle przycichł i spoważniał.

– Czemu? To twój najlepszy kumpel. Ja jestem twoją bliską przyjaciółką. Dlaczego nie chcesz mnie z nim poznać?

– Nie zmuszaj mnie, żebym to powiedział głośno – lekko podniósł głos.

Wtedy sobie uświadomiłam, jaką naiwnością było sądzić, że między nami wszystko jest fajnie i w porządku.

Ben, poniedziałek rano

– Eric to twój najlepszy przyjaciel – stwierdza Maggie spokojnie, ale znacząco. To się nazywa wskazówka dla aktora. „Jeszcze raz, spokojnie, ale znacząco”.

– Wiem – przytakuję.

Nie znam wielu ludzi, których mógłbym zaliczyć do bliskich przyjaciół, zaledwie garstkę, spotkanych na różnych etapach życia. Eric jest najdawniejszym.

Wkładamy naczynia do zmywarki po posiłku, w którego trakcie zrelacjonowałem szczegóły spotkania z prawniczką. Maggie już wie, że zdaniem Heddy możemy pozwać Erica i Isobel. Chcę pociągnąć sprawę, ale ona nie jest przekonana.

– Możesz go stracić – mówi. Wyjmuje spod zlewu tabletkę do zmywarki i wsuwa do zasobnika. – Jego i Isobel.

– Nie dbam o to – odpowiadam.

– Naprawdę? – pyta. – Mamy głuchą córeczkę, Ben. Będziemy potrzebować przyjaciół. Ty będziesz ich potrzebował.

– Mam innych – odpowiadam, chociaż na żadnego nie mógłbym liczyć w takim stopniu, w jakim zdawało mi się, że mogę liczyć na Erica i Isobel.

– Tamtych też możesz stracić – ciągnie Maggie. – Nie wiesz, jak zareagują, jeśli pozwiesz swojego najlepszego kumpla i swoją...

Robi pauzę, a ja nie pierwszy raz się zastanawiam, ile właściwie wie o mnie i Isobel. Wie, że krótko chodziliśmy ze sobą, oczywiście dawno temu. Oświadczyłem jej, że wciąż utrzymuję kontakt z Isobel jedynie dlatego, że jest żoną Erica. Ale wiecie, jakie są kobiety. Czasami wiedzą więcej, niż zdradzają. Czasami wiedzą różne rzeczy, chociaż nikt im nic nie powiedział.

– ...i jego żonę – kończę zdanie za Maggie.

– Jeśli pociągniesz tę sprawę, ludzie będą się musieli opowiedzieć po którejś ze stron. Może się okazać, że nie udzielą ci wsparcia, a będziemy go potrzebować. Nasza córeczka jest głucha.

Powtarza to, jakbym nie wiedział, jakbym nie myślał o tym dosłownie bez przerwy.

– Wiem! Dlatego to robię – odpowiadam i zaraz się poprawiam: – Dlatego o tym myślę.

– Tak? – rzuca wyzywająco Maggie. – Naprawdę dlatego o tym myślisz? Uważasz, że to najlepsze, co można zrobić dla Iris?

– Koniec końców tak – odpowiadam.

– A może robisz to po prostu, żeby... – Znowu urywa.

– Co? – Chyba wiem, o czym myśli, ale chcę, by powiedziała to sama.

– Zajrzę do Iris. – Maggie zamyka zmywarke, wymija mnie i idzie na górę, a ja zostaję sam na sam z własnymi myślami.

Wydawało mi się, że wszystko minie, kiedy pójdę do szkoły średniej. Te wszystkie „B-B-B-Ben”, „B-b-b-bardzo podły masz dzisiaj dzień?” i „b-b-b-beksa”.

W czasie wakacji wmówiłem sobie trzy rzeczy. Po pierwsze, że jękanie, które

towarzyszyło mi od dzieciństwa, cudownym sposobem zniknie, po drugie, że skoro najgorsi prześladowcy idą do innej szkoły, pozostałym znudzą się docinki, a po trzecie, że chłopcy i dziewczyny, których nie spotkałem nigdy wcześniej, uznają moją lekką wadę wymowy za coś sympatycznego raczej niż za okazję do dowalania.

Moje złudzenia nie przetrwały pierwszego dnia. Skąd to się bierze, dumam, że ludzie tak często jękają się na pierwszej literze swojego imienia? „Deakin” nie sprawiał mi problemów, ale w lśniącem, nowym liceum rejonowym, do którego poszedłem, inaczej niż w podstawówce, nie wołano uczniów po nazwisku. Gdybym się urodził kilka lat wcześniej, może uniknąłbym nieustannego dręczenia, wywołanego koniecznością używania słowa „Ben”.

Tymczasem już pierwszego dnia nauczyciel geografii obnażył mój problem, bo zapytał mnie równocześnie o imię i stolicę Niemiec – i tak z miejsca zostałem zdemaskowany, narażony na nieuniknione drwiny.

Z początku dawało się wytrzymać. Szkoła była duża. Znajdowaliśmy się na samym dole w hierarchii. Ci, którzy mieli się okazać najgorsi, wciąż jeszcze próbowali się zorientować w sytuacji. Inni koniecznie chcieli się zaprzyjaźnić.

Ale po kilku tygodniach od początku nowego semestru chłopak imieniem Matthew (czemu nie nazwali mnie „Mike”? Z „M” też nie miałem kłopotu) zdecydował, że zdobędzie popularność, jeśli zachęci resztę klasy do udziału w pewnej grze. Polegała na zadawaniu mi takich pytań, na które odpowiedź zaczynała się na B albo P.

Próbowałem się nie przejmować, śmiałem się ze wszystkimi i zmodyfikowałem zabawę po swojemu: w wymyślanie alternatywnych odpowiedzi.

- Co to za chleb? – pytał Matthew, wskazując moją kanapkę.
- Razowy. – To ja zyskałem punkt u reszty dzieciaków.
- Jakiego koloru bluzy nosiliście w poprzedniej szkole?
- Niebieskie.
- Jak ci poszedł dzisiejszy mecz krykieta, Ben?
- P-p-paskudnie.

Myślę – ponieważ zawsze żartował i ja też się starałem – że Matthew naprawdę uważał to za dobroduszne przekomarzanki. Nikt nie zdawał sobie sprawy, że nie znoszę tego, że nie potrafię płynnie wypowiedzieć wielu słów, że wieczorami często płaczę, póki nie zasnę.

Trzy tygodnie po rozpoczęciu semestru zjawił się Eric – blond, lśniący oraz pewny siebie, i z tego powodu egzotyczny. Egzotyczny również dlatego, że spóźnił się trzy tygodnie na rozpoczęcie nowego roku w nowej szkole, a dyrekcja najwyraźniej dała mu dyspensę na dokończenie tego, czym się zajmował.

- Byłem z rodzicami w Rio – wyjaśnił. – Tata pojechał na konferencję i pozwolili mu zabrać ze sobą rodzinę. Takiej okazji nie mogliśmy przepuścić.
- Czym się zajmuje twój ojciec? – spytał ktoś.
- Pracuje dla jakiegoś think tanku – wyjaśnił, jak gdyby każdy wiedział, co to takiego.

Oczywiście nikt nie miał pojęcia, ale też nikt się nie przyznał.

- Wcześniej działał w polityce – dodał Eric, by nas niezobowiązująco

poinformować, kim jest jego ojciec, albo dać wskazówkę niezorientowanym, czym jest think tank.

Spojrzałem na stosik jego zeszytów leżący na ławce obok moich. Chłopak, który zjawia się trzy tygodnie po rozpoczęciu roku szkolnego, nie ma wyboru, gdzie go posadzą, przypadło mu miejsce obok unikanego przez wszystkich jąkały. Na okładkach napisał „Eric Jordan” – i wszystko nabrało sensu. Spóźniony przyjazd, wycieczka do Rio, ojciec, który kiedyś zajmował się polityką... musiał być synem Ralfa Jordana, byłego lokalnego posła laburzystów i uczestnika kampanii na rzecz reform społecznych.

Synowi Ralfa Jordana naturalnie nie przeszkadzało siedzenie obok klasowego jąkały – nie tylko nie miał nic przeciwko temu, ale też nakłonił innych – w takiej formie, by ich nie zrazić ani do siebie, ani do mnie – by odpuścili sobie docinki. A jego matka, nauczycielka aktorstwa, nauczyła mnie nie tylko grać, ale co ważniejsze: mówić.

Czasem się zastanawiam, jak potoczyłyby się moje losy, gdyby Eric nie przyszedł do naszej szkoły. Gdybyśmy nie zostali przyjaciółmi, nigdy bym nie poznał jego matki, która jakimś sposobem mnie nauczyła nie angażować się w wypowiedane słowa, lecz po prostu je wygłaszać. „Być albo nie być”. Wciąż pamiętam dreszcz, z jakim deklamowałem to pierwszy raz, nie potykając się o krnąbrne „b”. Nigdy sobie nie wyobrażałem, że w szóstej klasie zagram główną rolę w *Hamlecie*, na środku sceny, wobec widowni złożonej z uczniów i rodziców, *byciując-albo-niebyciując* bez najmniejszego problemu. Nie przyszłoby mi też do głowy, że zdam na studia teatralne i spróbuję robić karierę jako aktor.

Z tamtych ambicji nic nie wyszło, ale już samo ich posiadanie zdawało mi się ogromnym osiągnięciem.

Oczywiście to także Eric obudził we mnie zainteresowanie polityką, które zawiodło mnie na UEA i do Bel.

Zastanawiam się, co by się ze mną stało, gdyby poszedł do prywatnej szkoły na drugim końcu miasta.

Jedno z wielu „gdyby” w moim życiu. Gdybym nie przekonał Maggie do wyjazdu na wakacje z moimi znajomymi? Gdyby Isobel i Eric nie przyjechali? Gdyby Gabby nie zachorowała? Czy nadal mielibyśmy zdrowe, słyszące dziecko, czy też wmieszałoby się inne „gdyby”, żeby dopełnić naszego przeznaczenia?

Kiedy Iris przyszła na świat, Maggie miała czterdzieści pięć lat i wysokie ryzyko urodzenia dziecka z zespołem Downa. Chociaż o tym wiedzieliśmy, nie zrobiliśmy badań, bo przecież nie zamierzaliśmy pozbyć się dziecka, prawda? Może od początku było nam przeznaczone, że okaże się niedoskonałe.

Wiem, że to niepoprawne politycznie. Prawdę mówiąc, nigdy nie powiedziałbym tego na głos, chociaż miałbym ochotę. Ale tak właśnie czuję. Mieliśmy idealne dziecko, a potem coś się wmieszało i je zepsuło.

A gdybym nie spytał Isobel, czy Eric może przenocować w jej pokoju, w tamten weekend, gdy mnie odwiedził? Zaintrygowała go, wiedziałem od początku. Oczywiście chciał ją poznać.

A kiedy rzeczywiście się spotkali, wszelkie skrywane nadzieje, które wciąż żywiłem – że Isobel być może czuje do mnie coś więcej, niż daje po sobie poznać – diabli

wzięli. Po paru minutach, odkąd ich sobie przedstawiłem, wyglądali już jak para.

– O, Bel, to jest Eric.

Staralem się mówić swobodnie, gdy zapukała do moich drzwi, i starałem się tak czuć, kiedy weszła, usiadła obok niego i zaczęła coś mówić, a zaraz potem gawędzili, jakby się znali od zawsze.

Zobaczyłem wtedy, jak dwoje ludzi błyskawicznie nawiązuje ze sobą więź. Bolało mnie, oczywiście, kiedy stopniowo zaczęli się do siebie zbliżać – z początku tylko listy, bo nie było jeszcze komórek ani mejli. Potem Eric znowu się zjawił i wiedziałem, że to nie mnie tak naprawdę przyjechał odwiedzić.

Powiedział mi, kiedy go odprowadzałem na stację.

– Ben, spytałem Isobel, czy chce spędzić ze mną weekend w Cambridge.

Poczułem, jakby mnie ktoś wałnął pięścią w brzuch. W głębi ducha byłem na niego wściekły. Dlaczego Eric musi mieć wszystko? Dostał miejsce w Cambridge i politycznie poprawnego ojca, dzięki czemu działał jak magnes na połowę kobiet z UEA. Był przystojny i mógł sobie wybrać dosłownie każdą. Dlaczego zapragnął właśnie Isobel?

Ale Eric nie wiedział, co do niej czuję, a ja nie zamierzałem mu o tym mówić.

Od tamtej chwili przestałem mu się zwierzać. Wcześniej mnóstwo rozmawialiśmy. Wtedy jednak dotarło do mnie, że istnieją rzeczy, których nigdy nie będę z nim dzielić.

Nigdy mu nie powiedziałem, jak beznadziejnie byłem zakochany w Isobel, chociaż zdawałem sobie sprawę, że nie odwzajemnia mojego uczucia. I nigdy nie powiedziałem ani jemu, ani nikomu innemu, co się zdarzyło później.

Isobel, wtorek wieczorem

– E! – Słyszę w swoim głosie irytację, chociaż staram się, by brzmiał jedynie nagłaco.

Eric w dalszym ciągu milczy. „Rozmawiałaś z Gabriellą?“, zapytałam, kiedy przywiózł ją z próby wczoraj wieczorem. „Powiedziała coś?“

„Właściwie nie” – to wszystko, co udało mi się z niego wydobyć.

– Eric! – Tym razem używam jego pełnego imienia.

Wrócił wcześniej. Dzisiaj mamy wywiadówkę w szkole Gabrielli i mielibyśmy mnóstwo czasu na rozmowę, ale postanowił jeszcze wejść pod prysznic.

– Śmierdzi przypaloną gumą – oświadczył, jak gdyby to kuchenne zapachy zmusiły go do kąpieli.

– Harvey topił winyle.

Wskazałam gestem blat, na którym stygł rząd miseczek. Harvey zrobił je z kolekcji starych EP-ek kupionych przed kilkoma tygodniami na targu. Po powrocie ze szkoły podgrzał je w piekarniku, a potem uformował z nich niekształtne miski. To było zadanie domowe z projektowania i technologii.

– Gorący towar – rzucił Eric, oglądając miski, pogodzony ze smrodem, skoro stanowił on skutek uboczny działalności twórczej syna.

– Już nie – zażartowałam, próbując rozładować atmosferę, Eric jednak zignorował mnie i poszedł do łazienki na piętrze.

Teraz Harvey pomaga Vincentowi w lekcjach.

– Mam zrobić listę paskudnych słów, którymi ludzie się wyzywają – oznajmia Vincent, wyjmując niebieski notes na zadania domowe z plecaka z podobiznami Simpsonów.

– Pomogę ci – proponuje Harvey, a ja się uśmiecham, bo widać, że zadanie mu się spodobało.

– Z jakiego przedmiotu?

– Wychowanie społeczne. – Vinnie szczerzy zęby, wyraźnie zachwycony.

– Fiut – dyktuje Harvey, siadając obok. – Kołek...

– Nie zgadzam się na „fiuta” – wtrącam.

Gabrielli nigdy nie pozwalałam używać tego słowa, kiedy miała dziewięć lat, ale z chłopcami jest trudniej. Z racji posiadania starszego rodzeństwa obaj dowiadują się wielu rzeczy znacznie wcześniej.

– To znaczy, że „dupka” też nie możemy wpisać? – pyta wyzywająco Harvey.

– Harvey! – Staram się, by w moim głosie zabrzmiało ostrzeżenie.

– Gej. – Tym razem nie pyta. Wskazuje tylko kartkę, dając znać Vincentowi, że powinien to zapisać. Ale zerka na mnie kątem oka, spodziewając się upomnienia.

– Nie powinieneś używać słowa „gej” jako wyzwiska – pouczam, lecz bez przekonania.

Jedyne, o czym mogę myśleć, to głuchota Iris. Co mogę zrobić? Tragedia już się

wydarzyła. Nie mogę jej cofnąć. Mogę spróbować się wytłumaczyć. Chociaż wiem, że Ben nie zawsze bywa otwarty na moje wyjaśnienia.

Zraniłam go już kiedyś – niezamierzenie, ale jednak zraniłam. Postąpiłam wobec niego bezmyślnie, a Ben jednak zinterpretował bezmyślność jako premedytację.

– Świnia, idiota, mazgaj. – Wyzwiska Vinniego są mniej dosadne.

– Baran, złamas, słowo na K. – Ma dość rozumu, by go nie wypowiadać w całości.

– Nie pisz tego, Vinnie.

– Kochanie – rzuca Vince z nutką triumfu w głosie.

– To nie jest niegrzeczne, ty kurzy mózdzku – protestuje Harvey.

– Jest. – W głosie Vinniego pobrzmiwa dziecinna złośliwość, której nie nauczył się jeszcze kontrolować, szczególnie gdy chodzi o brata.

– „Kochanie” to czułe określenie, półgłówku – śmieje się z niego Harvey. – Mówisz tak, kiedy kogoś kochasz, Tinky Winky.

– Nie tylko. – Vincentowi drży głos. – Mama tak mówi do taty, kiedy się na niego złości!

Poprawiam pokrywkę rondla, hałasując, zamiast zareagować, kiedy zjawia się Eric. Patrzę na chłopaków, zastanawiając się, czy wyczuwają panujące między nami napięcie. Musieli wyczuć. Są wystarczająco duzi, by dostrzec różnicę między serdecznością i troską a powierzchowną uprzejmością. Gabriella natomiast wykorzystuje każdą okazję do kłótni, by zademonstrować, co o mnie sądzi.

Zdejmuję z gazu rondel z makaronem i nakładam dzieciom na talerze.

– Mogę pesto? – pyta Vincent.

– Nie dzisiaj – odpowiadam.

– Czemu?

– Bo Harveyowi nie wolno, a my zaraz wychodzimy.

Vincent wciąż się buntuje, że pozwalam mu jeść potrawy zawierające orzechy jedynie pod nadzorem. Ale nie mogę ryzykować. Harvey zapomniał już, co się działo, kiedy ostatni raz zjadł orzecha. A ja wciąż się boję, bo odkąd osiągnął wiek, gdy mu się wydaje, że jest niepokonany, nie traktuje swojej przypadłości poważnie. Może ulec pokusie, by czegoś spróbować. A ja wtedy chcę być w pobliżu.

– Dobra – ustępuje Vincent tym razem. – Czy już prawie gotowe?

– Już gotowe – odpowiadam, kiedy zjawia się Eric.

– Gotowe! – powtarza za mną jak echo.

Przez to nie muszę na niego wołać „E”, „Eric”, „kochanie” – ani nic innego.

– Czy u Gabrielli wszystko w porządku? – pyta nauczyciel angielskiego pan Gill. – Wydaje się trochę rozkojarzona.

„Rozkojarzona” to jeden z tych eufemizmów, za którymi mogą się kryć najrozmaitsze zachowania.

– Tak? – pytam. – W jakim sensie?

– Cóż, na ogół bardzo się udziela w klasie. Należy do najaktywniejszych. Zwykle mam pewność, że odpowie na pytanie i skłoni pozostałych, by poszli za jej przykładem. Ale dzisiaj wydawała się myślami gdzieś indziej.

– Pewnie po prostu jest przemęczona. – Eric rusza córce na odsiecz. – Ciężko

pracowała.

– Tak, naturalnie – zgadza się nauczyciel. – Naprawdę chodziło tylko o dzisiejszy dzień. Generalnie to prawdziwy skarb dla klasy.

– To świetnie.

– I Harvey też – dodaje, jakby nagle skojarzył, że Gabriella ma młodszego brata. – Pokazał państwu swój wiersz o marmicie?

– Nie – mówię i zaskakuje mnie odpowiedź Erica.

– Tak, bardzo zabawny.

– Genialny – ciągnie pan Gill. – Naprawdę błyskotliwy. Szekspirowski w stylu, imponujący pod względem formy.

Dalej rozpląta się w zachwytach na temat Harveya, ale moje myśli biegną w innym kierunku. Martwię się, jak to wszystko wpływa na Gabs. Muszę z nią pomówić, uświadomić, że to nie jej wina, zadbać, by nie wpłynęło to na jej oceny, nie w tym roku, kiedy ma egzaminy na zakończenie szkoły średniej.

– Kto następny? – pyta Eric, kiedy wstajemy po przepisowych dziesięciu minutach z nauczycielem angielskiego.

Patrzę na listę, którą dostałam wcześniej od Gabrielli.

– Pan Coles.

Przypomina to krążenie wśród gości na eleganckim przyjęciu: ta wywiadówka w ogromnej szkole rejonowej, gdy matki i ojcowie trzech setek dzieci kręcą się po korytarzu i klasach, próbując odszukać nauczycieli, z którymi zostali umówieni przez swoje potomstwo. Spóźniają się na wyznaczone godziny, przed biurkami pedagogów głównych przedmiotów tworzą się kolejki. Zdarzało nam się wracać do domu, nie odbywszy jednego lub dwóch umówionych spotkań.

Dostrzegamy pana Colesa. Oznajmia, że jego zdaniem Gabriella, jeśli zechce, może zdać na studia muzyczne w Oksfordzie albo Cambridge.

– Ale naturalnie najbliższy etap to egzaminy na poziomie rozszerzonym. Zastanawiała się już, gdzie zamierza do nich podchodzić?

– Jeszcze nie postanowiła – odpowiadam i dziwi mnie milczenie Erica. – Naprawdę miałyby szanse na Oksford lub Cambridge?

– Owszem, jeśli będzie pracować równie ciężko, jak dotąd, i grać na takim samym poziomie... bez większego wysiłku, jeśli tylko zechce – odpowiada.

– To bardzo motywujące – uśmiecham się i zerkam na Erica, by też coś powiedział, on jednak rozgląda się niecierpliwie wokół, jakby chciał już wyjść. – Cóż, dziękuję panu – zwracam się do nauczyciela muzyki i wstaję.

– Skończyliśmy? – pyta Eric i wiem, o czym myśli, ponieważ przyszło mi do głowy to samo.

Talent muzyczny Gabrielli, który do tej pory wydawał się błogosławieństwem, stał się nagle czymś, co uwydatnia straszne położenie, w jakim znaleźli się Maggie i Ben.

– Co twoim zdaniem powinnam zrobić, Ericu? – pytam w samochodzie, kiedy prowadzi ze wzrokiem wbitym w drogę. – Zadzwoń do Bena? A może napisać?

– Parę dni temu zobaczyłem kolejną starą lesbijkę – odpowiada. – Ale mu jej nie wysłałem.

To zabawa, którą ciągną z Benem, odkąd obaj skończyli po dwadzieścia lat. Wyszukują w gazetach zdjęcia facetów, którzy na starość zaczynają przypominać „podstarzałe profesorki lesbijki” (zauważam seksizm tego określenia). Bywa, że przesłane mejlem zdjęcia to ich jedyny kontakt przez całe miesiące. Ale najwidoczniej sprawdza się jako forma komunikacji.

– Powiedział kilku innym osobom – ciągnę. – Więc musi zdawać sobie sprawę, że wiemy.

Chcę, by Eric obiecał, że zadzwoni do Bena, by wziął na siebie odpowiedzialność chociaż za ten pierwszy ruch. Chcę, by się zorientował w sytuacji i dowiedział, czy kontakt z mojej strony będzie akceptowany. Na miłość boską, chcę, żeby pogadał ze swoim najbliższym kumplem.

Wyjmuję komórkę z torebki.

– Wyślę Gabs esemesa, czy w domu wszystko w porządku.

– Czemu miałoby nie być? – mruczy Eric, ale jest skoncentrowany na drodze.

Wysyłam krótką wiadomość. A potem następną, do Bena.

„Tak mi przykro z powodu tego, co was spotkało”, piszę. „Czy możemy jakoś pomóc? Proszę, daj znać. Bel x.”

Patrzę na tekst. Nie wyraża wszystkiego, ale chyba wystarczająco dużo w tej chwili – w każdym razie jak na esemesa. Wciskam „Wyślij”.

Kilka minut później aparat wibruje w odpowiedzi.

Wiadomość od Gabs.

„W porządku” – tylko tyle, krótko i na temat.

Ben, wtorek wieczorem

„O której wrócisz?”

Czytam esemesa od Maggie i czekam, aż kolejna transza rodziców zamelduje się przy moim biurku na szkolnym korytarzu.

Na liście nie mam wielu spotkań. Dzieciaki umawiają je osobiście, ale czasami rodzice decydują się podejść mimo to, jeśli dopadną wolnego nauczyciela.

„Ostatnie spotkanie o wpół do ósmej”, wystukuję w odpowiedzi i gapię się na komórkę, podczas gdy wiadomość jest wysyłana. A potem gapię się dalej. Nie mieści mi się w głowie, że Isobel nie dała znaku życia.

– Panie Deakin, poświęci mi pan moment? – Do mojego biurka podchodzi nerwowa kobieta w dziwnym żakiecie przypominającym dywanik ze sztucznego owczego runa. – Nie byłam umówiona, ale zastanawiam się, czy mógłby pan ze mną chwilę porozmawiać.

– Jasne.

Wskazuję ruchem głowy wolne krzesło dla rodziców i myślę w duchu, że żakiet musi strasznie grzać. Na korytarzu panuje zaduch. Ciuch bez wątplenia jest modny, ale nosić go tutaj wydaje się lekkim idiotyzmem.

– Jestem matką Alice Penwarden – przedstawia się. – Gina.

– Aha – odpowiadam, próbując sobie przypomnieć, kim jest Alice Penwarden.

– Właściwie jej pan nie uczy – podsuwa Gina.

– Tak? – Zastanawiam się, czego w takim razie ode mnie chce.

– Jej nauczycielką aktorstwa jest panna Effingham – wyjaśnia.

– Jest tu dzisiaj – mówię, wskazując głową biurko, przy którym Julie Effingham gawędzi z jakimś brodatym gościem.

Gina nachyla się i zniża głos.

– Tak, wiem, ale to z panem chciałam porozmawiać.

– No cóż – odpowiadam i zbieram siły na konfrontację, do której wcale się nie palę.

– Skoro ma pani zastrzeżenia do panny Effingham, to nie ja jestem właściwym rozmówcą.

– Och, nie chodzi o zastrzeżenia – zapewnia Gina, po czym dodaje: – Niezupełnie.

– Więc o co?

– Cóż, jedynie o to, że Alice jest bardzo uzdolniona aktorsko... chodzi na zajęcia od piątego roku życia – opowiada, a ja z wysiłkiem próbuję zachować wyraz uprzejmego zainteresowania na twarzy. Nie cierpię takich rodziców. Tych, którzy uważają swoje dziecko za geniusza i chcą mieć pewność, że wszyscy inni zdają sobie z tego sprawę.

– Z pewnością.

– Z pewnością. – Gina uśmiecha się, nieświadoma mojego sarkazmu. – A mimo to wciąż jest pomijana w klasowych inscenizacjach. Rozmawiałam o tym już wcześniej z panną Effingham, ale...

– Niewątpliwie panna Effingham zdaje sobie sprawę z jej talentów... – przerywam, lecz Gina natychmiast wchodzi mi w słowo.

– Cóż, wydaje mi się, że nie wzięła sobie tego do serca – ciągnie, lekko podnosząc głos. – I zastanawiałam się, czy pan mógłby interweniować w tej sprawie.

– Nie bardzo wiem, czego pani ode mnie oczekuje?

– Mógłby pan porozmawiać z panną Effingham i uświadomić jej, że pańskim zdaniem Alice powinna dostać rolę w najbliższej inscenizacji.

– Ale ja nie uważam, że Alice powinna dostać rolę – odpowiadam z uśmiechem. Czuję irytację, ale staram się być uprzejmy. – Nawet jej nie znam.

Nie jestem arogancki – prawdę mówiąc, sędzę, że postąpiłem rozsądnie – lecz Gina Penwarden reaguje, jakbym oświadczył, że jej córka nie nadaje się nawet do roli końskiego zadu w pantomimie.

– No, doprawdy – oświadcza, odsuwając krzesło i wstając. – Oczekiwałam czegoś więcej.

Gryzę się w język, bo korci mnie, żeby za nią zawołać: „Czego? Czego pani oczekiwała?”. Pokusa jest przemożna. Prawdę mówiąc, mam ochotę iść za nią, złapać za kołnierz jej idiotycznego żakietu, przywlec z powrotem na krzesło i zmusić, żeby mnie wysłuchała.

Chcę jej oświadczyć: „Niech pani posłucha, matko Alice Penwarden. Z pewnością pani córka jest bardzo zdolna i pewnie mogłaby albo może nawet powinna otrzymać rolę w najbliższym szkolnym przedstawieniu. Nie wiem tego, bo jej nawet nie kojarzę. I szczerze mówiąc, mam to w głębokim poważaniu. Wiem natomiast, że pani córka słyszy i mówi, a jeśli fakt, że nie dostała głównej roli w szkolnej sztuce, jest pani największym zmartwieniem, to jest pani wielką szczęściarą”.

Nie robię tego. Wyjmuję znowu komórkę, zastanawiając się, czy podczas gdy ubolewałem wraz z panią Penwarden nad losem jej biednej, utalentowanej, lecz pominiętej córki, Isobel Blake przyszło do głowy, by się uzalić nad moją zepsutą, głuchą córką.

Do tej pory musiała się dowiedzieć, do cholery. Pewnie jest w tej chwili na wywiadówce. Odbywają się dzisiaj w całym kraju. Spodziewałem się, że zadzwoni, przyśle esemesa – może mejla – cokolwiek... że jakoś zareaguje. Tymczasem milczy – dziwne. To do niej niepodobne.

Na ostatnim roku studiów nie widywałem Isobel codziennie, ale wciąż spotykaliśmy się dość często. Wynajmowała dom w okolicy Unthank Road z Yasmin i Siobhan. Siobhan siedzi teraz w Afryce. Trzyletnie studia na politologii otwały jej drogę do szybkiej kariery w dziedzinie zbawiania świata. Nie jestem do końca pewien, co robi, ale na pewno coś szlachetnego. Brzmi to, jakbym był bardziej cyniczny, niż jestem w rzeczywistości. Lubiłem Siobhan i zajmuje się tym, czym zawsze chciała – a to więcej, niż można powiedzieć o większości z nas.

Tak czy inaczej mieszkałem kilka ulic dalej, dzieląc dom z Paddym i Sally oraz chłopakiem imieniem Tom. Nie mam pojęcia, co teraz porabia.

W dalszym ciągu spędzaliśmy więc ze sobą sporo czasu: razem chodziliśmy do kampusu, wyskakiwaliśmy na kawę, tego rodzaju rzeczy. Isobel nadal często gotowała.

Zawsze jeśli groził mi głód, mogłem liczyć, że mnie nakarmi.

Raz nawet pojechaliśmy do Cambridge odwiedzić Erica, co było dziwne. Wróciłem wcześniej i zostawiłem ich samych, ale poszło w porządku. Między nami układało się w porządku. Nasza przyjaźń pozostała silna. Gdy jednak na horyzoncie zamajaczył koniec ostatniego roku, zacząłem się zastanawiać, co się z nami stanie, kiedy rozjedziemy się w różne strony. Z nami wszystkimi, ale przede wszystkim ze mną i Isobel. Wiedziałem, że tracimy tę szczególną bliskość płynącą po prostu z przebywania ze sobą przez większość czasu.

W tamtym okresie dużo się działo: egzaminy, rozmowy w sprawie pracy, imprezy, pozbywanie się większości gratów, jako że mieliśmy opuścić miejsca, gdzie je nagromadziliśmy. Widywałem Bel tu i tam, ale właściwie nigdy samą, nie miałem okazji posiedzieć z nią i pogadać do rana, jak dawniej, aż pewnego wieczoru wpadła do mnie, kiedy nikogo nie było w domu. Paddy i Sally pojechali do Londynu szukać mieszkania. Musieli coś znaleźć, bo Sally zbliżał się termin porodu. Tom wyszedł, miałem więc chatę dla siebie i rozkoszowałem się przestrzenią, kiedy ktoś zapukał w okno i zobaczyłem Bel stojącą we frontowym ogródku i dającą znaki, żebym się ruszył z sofy i otworzył drzwi.

– Zajęty? – spytała.

Widziała, że nie.

– Bardzo! – odparłem.

– Głodny?

– Tak. – Gdy tylko spytała, zaburczało mi w brzuchu, ale w domu jak zwykle nie było nic do jedzenia. – Tyle że w szafkach pustki.

– Jak u reszty – stwierdziła. – Dziwne uczucie, co nie? Wiedzieć, że wszyscy niedługo wyjedziemy. Wpadniesz do nas, a ja coś ugotuję?

– Nie – odpowiedziałem. – Ja coś upichcę. Zostań tu, to skoczę do sklepiku po zakupy.

– Pójdę z tobą – zaproponowała.

Więc ruszyliśmy do sklepu w dziwnym, na pół skrępowanym milczeniu. Czekala, gdy kupowałem makaron, a potem szarpnąłem się na mielone mięso oraz puszkę pomidorów – i butelkę wina.

– Świętujemy – oświadczyłem, wyjmując sprawunki z torby po powrocie do domu.

– Tak? Co mianowicie?

– Po pierwsze, to ja gotuję dla ciebie – zażartowałem, ale zaraz spoważniałem. – I to może ostatni raz, kiedy jemy razem, w każdym razie tutaj. Wyprowadzamy się za tydzień, a potem...

– Co?

– Nie wiem.

Otworzyłem wino i nalałem jej do kieliszka. Teraz wydaje się to czymś zwyczajnym. Ale w czasach studenckich to był gest, a Isobel potrafiła go docenić.

– Nadal będziemy się widywać, Ben. Zdrowie!

– Ale i tak wszystko się zmieni, prawda? Zdrowie. Zaczynamy nowy etap. Ty będziesz w Londynie. Eric też. Ja nie wiem, gdzie trafię. Jedyne, co zdołałem, to wywozić część gratów do domu.

Wskazałem rzeczy, które zacząłem składać w posortowanych z grubsza stosach: książki, płyty – wszystko prócz ubrań i mojego jedyne go talerza.

Właśnie próbowałem się uporać z resztą swoich żalonych ruchomości, kiedy Bel wstała i podeszła do mnie.

– Tęsknię za tobą, Ben – powiedziała, obejmując mnie w pasie.

Możliwe, że w jej zamierzeniu był to zwykły, swobodny gest, mówiący: „Zobacz, przecież zawsze będziemy sobie bliscy”, ale uznałem go za coś więcej.

Zwróciłem się do niej, tak że nie staliśmy już ramię w ramię, jak w historyjkach obrazkowych z serii „Miłość to”, tylko twarzą w twarz, blisko.

Mogła się cofnąć, ale się nie cofnęła.

Więc ją pocałowałem.

Mogła mnie powstrzymać, ale nie powstrzymała. Odstawiła kieliszek i przyciągnęła mnie na tyle blisko, że mogła wyczuć, jak twardnieję. Gdy całowaliśmy się dalej, wsunąłem jej rękę pod bluzkę i przesunąłem po ciepłej skórze, a potem w dół, pod pasek dżinsów, na pośladek.

Dopiero kiedy zsunąłem dłoń jeszcze niżej, oderwałem się od jej ust i zacząłem całować piersi, znieruchomiła.

– Nie powinniśmy tego robić – zauważyła. – Jestem z Erikiem. To twój najlepszy przyjaciel.

Przerwałem, wyprostowałem się i spojrzałem na nią.

– Nic mu nie powiem – oświadczyłem, patrząc jej w oczy, bo pragnąłem jej bardziej niż kiedykolwiek, bo bałem się, że to koniec nas – cokolwiek owo „my” oznaczało.

Spodziewałem się z jej strony choćby lekkiego oporu.

– W takim razie możemy iść do twojego pokoju? – zapytała.

Zamknęła za nami drzwi, a ja zaciągnąłem zasłony.

– Ben... – Zawahała się przy drzwiach i pomyślałem, że zamierza się wycofać, ale podeszła do mnie. – Chciałam się tylko pożegnać.

Zastanowiłem się przelotnie, czy nie chodzi jej o to, że przyszła właśnie w tym celu – dosłownie powiedzieć mi „do widzenia”, nie zaś pożegnać się w taki sposób. Ale nie spytałem, ściągnąłem przez głowę T-shirt i zacząłem nieudolnie rozpinać guziki jej bluzki.

Położyła dłonie na moich i znowu pomyślałem, że zmieniła zdanie. Ale ona chciała jedynie przerwać moje niezgrabne wysiłki, żeby zdjąć bluzkę – bardzo sprawnie – i równie sprawnie pozbyć się dżinsów oraz fig. Stała w moim pokoju naga i piękna, i tak cholernie pociągająca, że zacząłem się dziwić, jakim cudem przetrwałem ostatnich parę lat, pieprząc się z innymi, skoro wciąż pragnąłem jej.

Nie rozebrałem się wtedy, nie od razu. Chciałem, by to trwało jak najdłużej, bo gdyby nic się nie zmieniło, musiało mi to wystarczyć na długo – w sensie: na zawsze.

Wtedy jedyny raz doszedłem równocześnie z kobietą, z którą się kochałem. Naturalnie mogła udawać, ale nie sądzę. Więc tak: do dziś tamten raz z Isobel, tamten raz, kiedy nie powinniśmy ze sobą spać, ale to zrobiliśmy, bo oboje wiedzieliśmy, że nasze drogi się rozejdą, na zawsze pozostał czymś w rodzaju durnego kamienia milowego.

Potem sam nie wiedziałem do końca, czy tamto doświadczenie mnie ucieszyło, czy raczej zasmuciło, bo Isobel jasno dała mi do zrozumienia, że nigdy więcej się nie powtórzy.

– Czemu? – spytałem, kiedy odpoczywaliśmy przez kilka minut przed tym, gdy oświadczyła, że musi iść.

– Bo powinnam wracać do domu – wyjaśniła.

– Nie, chodzi mi o to, czemu teraz, Bel? Czemu po tak długim czasie? Czemu teraz, kiedy jesteście z Erikiem tak blisko?

– Bo naprawdę cię kocham, Ben – odparła. – Tylko nie w taki sposób, jak ty byś chciał. I chciałam, żebyśmy mieli coś wspólnego, co będziemy mogli wspominać.

– Mieliśmy już wcześniej – zauważyłem.

– Wiesz, o co mi chodzi – rzuciła i usiadła, przesunęła się na skraj łóżka i podniosła swoje ubrania z podłogi. – Obiecujesz, że nie powiesz nikomu i nigdy?

– Obiecuję – przyrzekłem i nie kłamałem.

Wiedziała, czego chce – i nie byłem to ja – ale cieszyłem się, że dostałem tamten wieczór, nawet jeśli to oznaczało, że przez resztę życia będę musiał okłamywać swojego przyjaciela, nawet jeśli oznaczało, że będę żył ze świadomością, jak mogło być, wiedząc, że to dla mnie nieosiągalne.

Ale bardzo szybko zacząłem ją za to nienawidzić.

Komórka piszczy w kieszeni, wyjmuję ją i widzę imię Isobel przy wiadomości w skrzynce odbiorczej.

„Tak mi przykro z powodu tego, co was spotkało. Czy możemy jakoś pomóc? Proszę, daj znać. Bel x.”.

– Pieprz się! – warczę i zalewa mnie fala wściekłości.

Tylko tyle ma do powiedzenia? „Tak mi przykro z powodu...”. To nie coś nas, do cholery, spotkało. To nie coś, to ona spowodowała. Tak, Isobel Blake, mogłaś coś zrobić, co pozwoliłoby tego wszystkiego uniknąć. Ale nie zrobiłaś.

Wystukuję w komórce „Pieprz się”, żeby pozbyć się choć części gniewu, i zapisuję wiadomość w folderze „Kopie robocze”. Nie dam jej satysfakcji, nie zareaguję w jakikolwiek sposób, póki się nie dowiem, co ma do powiedzenia prawniczka.

Isobel, wtorek wieczorem

Kiedy docieramy do domu, wyłączam aparat, żeby nie sprawdzać co chwila, czy przyszła odpowiedź od Bena. Wiem, że gdybym usłyszała, jak komórka wibruje, kusiłoby mnie, by natychmiast po nią sięgnąć. Ale muszę się skupić na Gabrielli, przekazać jej, co nam powiedzieli nauczyciele.

Czasami nienawidzę tego, że obecnie wszyscy jesteśmy uwiązani na elektronicznej smyczy niczym przestępcy na zwolnieniu warunkowym. Pamiętam, jak pierwszy raz poproszono mnie w pracy, bym nosiła przy sobie pager i oddzwaniała, jeśli ktoś się ze mną skontaktuje: wydawało się to naruszeniem mojej wolności. Odtąd mogli do mnie dzwonić w weekendy i wieczorami. Nawet wtedy jednak mogłam przynajmniej skłamać, że w pobliżu nie było telefonu, jeśli nie odezwałam się natychmiast. Teraz noszę ze sobą komórkę cały czas i sprawdzam ją nieustannie, głównie na wypadek, gdyby potrzebowało mnie któreś z dzieci.

– Gdzie Vinnie? – spytałam zaraz po wejściu do domu.

Harvey i Gabriella grają w kuchni w scrabble.

– Ogląda telewizję – odpowiada Gabs. – A my gramy.

– Po francusku – dodaje Harvey, podnosząc wzrok.

– Po francusku? – dziwi się Eric.

– Mam jutro test – wyjaśnia Gabs. – Chciałam poćwiczyć.

– A ja sprawdzam słowa – mówi Harvey, poklepując leżący na blacie stary słownik francusko-angielski Erica.

– Jest takie słowo *coit*? – pyta Gabriella.

– Mhm. – Po twarzy Harveya przemyka uśmiech, kiedy kartkuje strony i znajduje odpowiedź. – Oznacza seks.

– Ha! – Gabriella triumfalnie układa litery. Dopiero potem pyta: – Co mówili nauczyciele?

– Wszyscy twierdzą, że wspaniale sobie radzisz – odpowiadam. – Pracujesz naprawdę ciężko. Jesteś uprzejma i aktywna w klasie.

Harvey prycha.

– Gill wspomniał też o tobie – zwracam się do niego. – Bardzo mu się podobał twój wiersz. Chciałabym go zobaczyć.

– To tylko głupie wierszydło – mruczy.

– A co mówił o mnie? – pyta Gabriella.

– Też cię chwalił – mówię.

Informację, że zdaniem nauczyciela angielskiego była rozkojarzona, zachowuję dla siebie.

– Możemy już skończyć? – pyta Harvey.

– Okej – zgadza się Gabriella. – Dzięki, Harves.

– W porzo – mamrocze, po czym wstaje i wychodzi z kuchni.

– Widzieliście się z panem Colesem? – zwraca się do mnie córka.

– Tak, oczywiście. Twierdzi, że jesteś na dobrej drodze, żeby zostać wybitnym muzykiem. Uważa, że mogłabyś się nawet dostać do Cambridge, jeśli utrzymasz obecny poziom. Wszyscy twoi nauczyciele powtarzali, że jeśli nie opuścisz się w pracy, naprawdę dobrze poradzisz sobie ze wszystkich przedmiotów.

Wiem, jakie to dla niej ważne, by to usłyszeć. Dzięki temu – świadomości, że nauczyciele, Eric i ja jesteśmy z niej zadowoleni – te wszystkie godziny, które będzie musiała poświęcić w nadchodzących miesiącach, nie będą stracone.

– Jesteś wzorową uczennicą – wzmacnia moje pochwały Eric.

– I dzięki za opiekę nad chłopakami – dodaję. – Wszystko było okej?

– Tak, w porządku – potwierdza Gabs. – W garnku zostało trochę makaronu.

Później, kiedy chłopcy i Eric już śpią, a Gabs jest na górze w swoim pokoju, włączam komórkę.

Mam jedną nową wiadomość.

Ale nie od Bena.

„Jak leci?”. To od Sally. „Mam nadzieję, że wszystko gra. Zadzwoń w wolnej chwili. Xx”.

„Nie za późno na telefon teraz?”, odpowiadam.

„Nie”, esemesuje. „Paddy nocuje w Londynie, a ja oglądam bzdury w TV”.

Wciskam „Oddzwoń” do nadawcy i czekam kilka sekund, by odebrała.

– Hej. Zaczekaj moment. Wyłączę telewizor.

Następuje pauza, a potem znowu słyszę jej głos.

– Cześć, Bel. Jak się miewasz?

– W porządku – odpowiadam ze znużeniem. – Ostatnich kilka dni było dość ciężkich.

– Tak myślałam. Rozmawiałas z Benem? – pyta.

– Nie. Wysłałam mu esemesa, ale nie odpowiedział.

Kiedy to mówię, uświadamiam sobie, jak kulawo to brzmi.

– Próbowalaś zadzwonić?

– Nie. Myślałam... nie wiem, czy ma ochotę ze mną rozmawiać. Pomyślałam, że zaczekam i zobaczę, czy odpowie. Zresztą nie bardzo wiem, co powiedzieć. Co mam mu powiedzieć?

– Może się zorientujesz, kiedy z nim pogadasz?

– Nie wiem. To straszne, co się stało, i naturalnie czuję się odpowiedzialna. Po prostu nie potrafię sobie wyobrazić, co teraz myśli. Czy mnie wini? Czy mnie nienawidzi?

– Nie wiem – mówi Sally. – Yasmin rozmawiała z nim przed imprezą i mówiła, że był tylko bardzo rzeczowy. Oświadczył, że mają złe wieści, wyjaśnił jakie, i dodał, że nie czują się na siłach nikogo oglądać, przynajmniej na razie.

– Nikogo czy mnie? – pytam.

– Sądzę, że nie czuli się na siłach przyjść na imprezę pełną ludzi. Yasmin mówiła, że jej też było trudno po diagnozie Conrada. Pewnie pamiętasz?

– Tak jakby – odpowiadam.

Pamiętam moment, kiedy Yasmin mi powiedziała, i falę współczucia zmieszanego z ulgą. Współczucia dla niej i Antona, bo to, z czym musieli się zmierzyć, było takie

straszne – ale też ulgi, bo w tamtym okresie, mając niewielkie doświadczenie z dziećmi, zastanawiałam się, czy wszystkie maluchy zachowują się jak Conrad, kiedy podrosną. Był na zmianę nadąsany i zamknięty w sobie albo gwałtowny i wściekły, urządzał sceny, które zgodnie z moją wiedzą były typowe dla jego wieku, ale które wydawały się ekstremalne. „Koszmary dwulatek”, komentowała Yasmin, wzruszając ramionami, kiedy rzucał się na podłogę, wciskał twarz w dywan i zaczynał wyć. Robi tak do dzisiaj.

Śmiałam się razem z nią, ale gdy patrzyłam na swoją promienną, uśmiechniętą Gabby, nie chciało mi się wierzyć, że drugie urodziny wywołają u niej równie totalną zmianę charakteru. Kiedy stwierdzono, że Conrad jest autystyczny, wszystko nabrało sensu. Jego zachowanie nie było normalne. Conrad był inny – i istniała straszna możliwość, że ta zmiana miała przyczynę.

– Co jeszcze mówiła Yasmin? – pytam Sally.

– Właściwie tylko tyle. Zdaje się, że rozmawiała z nim bardzo krótko.

– Co mówiła o mnie? – tłumaczę, chociaż zdaję sobie sprawę, że stawiam Sally w niezręcznej sytuacji. – To znaczy na przyjęciu, zaraz po tym, kiedy się dowiedziałam, wydała mi się...

– Jaka?

– Właściwie nic nie powiedziała. Spodziewałam się...

Urywam, bo w sumie nie wiem, czego się spodziewałam. Nie powinnam od niej oczekiwać współczucia dla mojej trudnej sytuacji, skoro zarówno ona, jak i Ben znajdowali się w znacznie gorszej.

– Też próbowałam dzwonić do Bena – zmienia temat Sally. – Ale nie odebrał, a ja nie zostawiłam wiadomości.

– Kiedy?

Wiem, że nie mam do tego prawa, ale czuję się trochę dotknięta. Gdy Sally przysłała mi esemesa, sądziłam, że niepokoi się o mnie, jak się czuję. Wiem, że pewnie tak jest, ale teraz nabieram podejrzeń, że występuje w roli pośrednika.

– Dzisiaj wieczorem... – robi pauzę. – Słuchaj, Bel. Rozumiem, że to musi być dla ciebie trudne, i chciałam tylko powiedzieć, że cię nie obwiniam. Wiem, jak trudno podejmować decyzje, które dotyczą albo mogą dotyczyć twoich dzieci. Ale rozumiem też, że z punktu widzenia Bena...

– Co?

– No cóż, jego dziecko straciło słuch. Może nie chce mu się wysilać na wyrozumiałość. Przynajmniej na razie.

Więc chyba nie jest pośrednikiem.

– Co powinnam zrobić twoim zdaniem? – pytam. – W kółko się nad tym zastanawiam i nic nie przychodzi mi do głowy. Eric zamknął się w sobie i nie chce rozmawiać. Gabs wygląda na nieszczęśliwą, ale też odmawia rozmowy. Nie wiem, jak się czuje Ben, i oczywiście martwię się o niego. Ale nie mam pojęcia, co w zasadzie miałabym zrobić.

– Może zadzwoń do Maggie? – podsuwa. – Na przykład w ciągu dnia, kiedy Ben jest w szkole?

– Czy ja wiem... – odpowiadam.

Ale zastanawiam się nad tym później, kiedy podłączam komórkę do ładowarki i znajduję przyklejoną do gniazdka żółtą karteczkę.

„Rozchmurz się, mamó ☺”, napisał Vincent, i się uśmiecham.

Przynajmniej nie jest krytyczna, jak tamta na metalowym zagłówku łóżka w pokoju, który ja i Eric dzieliliśmy z Gabriellą we Francji. Gabs oświadczyła, że jest za duża, żeby biwakować z chłopakami w chatce w ogrodzie, zaskoczyło mnie jednak, że woli mieszkać z nami. Oznaczało to, że miała bardzo niewiele prywatności – i my też.

Jak się okazało, to zapewne uchroniło chłopców przed zachorowaniem.

„Czemu jesteś taka okropna dla mnie i Maggie?”, nabazgrał grubym czarnym flamastrem, przez co z jakiegoś powodu liścik wydawał się groźniejszy i mniej życzliwy niż pozostałe.

Zastanowiłam się, czy Gabs widziała go wchodzącego z notką, nim wreszcie zapadła w niespokojny sen. Jej oddech wydawał się taki wysiłony, że z trudem mogłam go słuchać.

I zastanowiłam się, czy ktoś jeszcze zauważył, że moje relacje z Maggie są trudne. Staralam się to maskować, ukrywać swoje uczucia najlepiej, jak potrafiłam. Ale skoro Vinnie zauważył, to pewnie wszyscy pozostali również?

Nie powinnam na niego krzyczeć wcześniej tamtego wieczoru, ale wtedy już naprawdę poważnie martwiłam się o Gabby, a nieustanne brzęczenie jego zdalnie sterowanego samochodu doprowadzało mnie do szału. Bawił się na tarasie pod oknem naszej sypialni, puszczając zabawkę tam i z powrotem po terakotowych płytkach, manewrując nią, tak że od czasu do czasu zderzała się z donicami. Gabs próbowała zasnąć, ale ocknęła się, kiedy zajrzałam sprawdzić, jak się miewa. Była rozpalona i ciągle kaszlała, a to, co zdawało się mglistym podejrzeniem, zmieniało się w niewątpliwą możliwość.

Wiedziałam, że Sam chorował na odrę. Wiedziałam, że przed wyjazdem widywała się z nim. I wiedziałam rozlewające się po jej ciele gorączkowe zaczerwienienie, które z łatwością mogło być początkiem wysypki.

– Okropnie boli mnie głowa – powiedziała, a mnie też zaczynała boleć głowa, ze strachu.

Martwiłam się o Gabs, martwiłam się, by chłopcy nie zachorowali. I naturalnie wiedziałam, że córka spędziła poprzedni dzień z Iris. Skoro ja niepokoiłam się o Gabriellę, w miarę silną piętnastolatkę, Bóg wie, jak czułaby się Maggie, gdyby zachorowała jej córeczka.

– Mam wrażenie, że wszystko na mnie napiera – jęknęła Gabriella. – To naprawdę boli.

– Gdzie cię boli?

– Wszędzie. Chcę tylko spać, ale nie mogę.

Czułam się kompletnie bezsilna – oraz winna – gdy patrzyłam, jak cierpi, a ja nie potrafię jej w żaden sposób ulżyć.

To wtedy krzyknęłam na Vincenta – otworzyłam okno i częściowo wyładowałam lęk w postaci złości.

– Vincent, przestań wreszcie!

Na dźwięk mojego głosu podniósł wzrok, zaskoczony i nieświadomy, że to lęk, nie gniew, i że nie jest wymierzony w niego.

– Wyłącz natychmiast ten samochód.

Nie protestował. Posłuchał od razu. Podniósł samochodzik, wyłączył go i stał, patrząc na mnie z dołu, zmieszany i niepewny.

Rozumiałam, czemu czuje się niesprawiedliwie potraktowany, ale zastanowiło mnie, dlaczego uznał, że źle traktuję również Maggie, i czy inni też to zauważyli. A skoro tak, czy uznali, że jestem zazdrosna o Bena?

Zadałam sobie to pytanie, bo zaskoczyło mnie uczucie tłumionego gniewu, jakie ogarniało mnie w obecności Maggie. Czyżbym po tylu latach czuła się zazdrosna, że Ben w końcu znalazł kogoś, z kim wydawał się naprawdę szczęśliwy? Był czas, kiedy mi pochlebiano, że wciąż wydaje się trochę we mnie zadurzony. Lubiłam go mieć pod ręką. Zdawał się jak brat, którego nigdy nie miałam. Niewykluczone, że zareagowałabym zazdrością, gdyby troskliwy brat nagle pozwolił, by jego uwagę zaprzętnęły nowa partnerka i dziecko.

Lubiłam jednak myśleć, że nie jestem aż tak małostkowa ani złośliwa.

Dlaczego więc za każdym razem, kiedy schodzili razem na śniadanie – gruchając nad swoją małą, jakby im jednym na świecie urodził się potomek – czułam taką niechęć?

Wciąż zadawałam sobie to pytanie i chyba już znam odpowiedź.

Zazdrościłam Maggie. Ale nie z powodu jej relacji z Benem. Z powodu tego, jak się odnosiła do dziecka. Szczerze mówiąc, zazdrościłam wszystkim obecnym tego, jak im się ułożyło w życiu.

Wydawało się, że dla nich to takie proste. Nawet dla Yasmin z jej wielkim, niesfornym autystycznym nastolatkiem wpadającym w furie, wrzeszczącym i odmawiającym współpracy wszystko zdawało się łatwiejsze niż dla mnie.

A Maggie, która została matką w wieku czterdziestu pięciu lat, wykazywała absolutny, naturalny talent macierzyński.

– Wrócisz do pracy? – spytał ją ktoś pewnego wieczoru przy kolacji.

– Owszem, planuję, kiedy Iris skończy rok – odparła. – Może zacznę od uczenia. Nie jestem pewna, na ile łatwo będzie jeździć w trasy, ale wciąż mogłabym liczyć na sesje nagraniowe od czasu do czasu.

– Wiedzieliście, że to Maggie gra na trąbce w tym kawałku, który puszczają w samolotach Ryanaira, kiedy wylądują punktualnie? – ogłosiła przejęta Gabriella.

– Poważnie? – Eric był odpowiednio poruszony.

– Tak. Da da, da da! To ja! – zaśmiała się Maggie. – Z Europejską Orkiestrą Symfoniczną grałam Brücknera, który jest bardzo trudny, a tymczasem na wszystkich największe wrażenie robi trąbka w Ryanairze.

– Maluchy nie stają się ani trochę mniej wymagające, kiedy skończą roczek. Potrzebują matki bardziej, w miarę jak dorastają – zauważyłam. Kiedy przy stole zapadło niezręczne milczenie, żałowałam, że nie ugryzłam się w język.

– Isobel mówi tak tylko dlatego, bo zachodzi w ciążę za każdym razem, kiedy pojawia się groźba powrotu do pracy! – zażartował Eric.

W innej sytuacji pewnie bym się z nim pokłóciła, że opiekowanie się dziećmi na

pełny etat to nie jest kaszka z mleczkiem, ale tym razem zmilczałam.

– Czemu powiedziałaś, że maluchy z wiekiem coraz bardziej potrzebują matki? – spytał ze złością, kiedy myśliśmy zęby i rozbieraliśmy się do snu.

– Nie miałam na myśli nic złego – zaprotestowałam, unikając jego wzroku w lustrze.

– Ciągłe wbijasz Maggie szpile, Isobel. – Eric nazywa mnie „Isobel”, tylko kiedy się złości. – Kompletnie tego nie rozumiem. Czym ci się naraziła?

– Niczym – zapewniłam. – I wcale nie wbijam jej szpil.

– Wbijasz. – Eric odkręca kran i zwilża szczoteczkę, a potem wyciska pastę. – Jak wcześniej uwagą o karmieniu piersią.

Wiem doskonale, o co mu chodzi. Paddy wybierał się do wsi i poprosiłam, żeby kupił w aptece paracetamol dla Gabs. Maggie zapytała, czy mógłby przywieźć odżywkę. „W ogóle nie karmiłaś piersią?”. Moja uwaga była niepotrzebna i podszyta okropnym poczuciem wyższości osoby, która ponad rok karmiła każde ze swoich dzieci.

– Po co to powiedziałaś? – spytał Eric ze szczoteczką zawieszoną w powietrzu.

– Nie miałam na myśli nic złego. Tylko spytałam.

– Tylko spytałaś, sugerując, że z jakiegoś powodu nie stanęła na wysokości zadania, bo nie karmiła piersią.

– Nie – zaprzeczyłam. – Sugerowałam, że przynajmniej mnie się udało.

Wiem, że to drobiazg w obliczu wieczności, ale nabiera znaczenia, kiedy jest się matką na pełny etat. Nie osiągnęłam nic poza prowadzeniem domu. Mnie karmienie dzieci piersią wydawało się wielkim osiągnięciem. Dlaczego Maggie z jej karierą zawodowej trębaczki i dzieckiem, z którym tak świetnie sobie radzi, miałyby odnieść sukces również w tej dziedzinie? Czemu nie mogłam mieć przynajmniej tej satysfakcji?

Nic nie powiedziałam i myłam zęby w milczeniu, upokorzona, że moje irracjonalne uczucia wobec Maggie są tak widoczne. Eric je zauważył, Vincent też. Miał rację, kiedy nabazgrał wiadomość na karteczce i zostawił, żebym ją znalazła, kiedy będę się kładła spać.

Ben, wtorek wieczorem

Maggie położyła się wcześniej. Jest wyczerpana. Ja też. Wywiadówki mnie wykańczają. Ale siedzę i oglądam jakieś bzdury w telewizji, co jakiś czas gapię się w komórkę, by przeczytać kolejny raz wiadomość od Isobel, i zauważam, że mam nieodebrane połączenie od Sally.

Pewnie za późno, żeby oddzwaniać teraz. Zastanawiam się, czy rozmawiała z Bel. Zawsze były ze sobą blisko, za to Paddy to bardziej „mój” kumpel. Chodziliśmy na te same zajęcia z aktorstwa, chociaż nie umiał grać – fakt, który przysłużył mu się w późniejszym życiu. Przerzucił się na pisanie i zawiózł swoją sztukę na festiwal Edinburgh Fringe. Wzbudziła zainteresowanie telewizji Channel 4 – zamówili u niego serial fabularny. Paddy, syn górnika z Sheffield, na użytek tego zlecenia założył własną firmę producencką i ruszył jak burza. Zbił fortunę. Chłopak wyszedł na ludzi. Wysłali dzieci do prywatnej szkoły. Mieszkali w ogromnym domu w Highgate, póki go nie sprzedali, by się przeprowadzić do nieco mniejszego na wsi pod Brighton, a za resztę kasy kupić letnią siedzibę we Francji.

Myślę, że po przeprowadzce spotykali się trochę częściej z Erikiem i Isobel. Zastanawiam się, czy Sally widziała się z Bel od imprezy u Antona... czy wie, jak Bel zareagowała na nowinę i co zamierza z tym zrobić, o ile cokolwiek. Zastanawiam się, czy jeśli Sally wie, powiedziała mi, co słyhać w gospodarstwie Blake’ów/Jordanów. Czyby mi powiedziała, jakie wrażenie nowina wywarła na Isobel?

Tamtego popołudnia, kiedy wszystko się zaczęło, Isobel nawrzeszczała na Vincenta.

Wylegiwaliśmy się nad basenem, nas troje plus Iris, która siedziała w nadmuchiwanej łódce napełnionej kilkunastoma centymetrami wody wraz z garścią pingwinów origami. Harvey zrobił je w ciągu dnia i podarował małej. Zabawny dzieciak.

– Rozmokną, bo Iris je wrzuci do wody – utyskiwała Maggie.

– To pingwiny – odparł i ulotnił się, lekko zawstydzony własnym gestem.

Na tarasie przy domu Vincent manewrował zdalnie sterowanym samochodem znalezionym w kredensie.

– Pamiętam, że Chris bawił się tak samo – rzucił Paddy, obserwując chłopca z zabawką, która wcześniej należała do jego syna. – Rosną tak szybko.

Przeniósł wzrok z Vincenta na chlapiącą radośnie Iris, a ja podążyłem za jego spojrzeniem i zatrzymałem wzrok na córeczce: doskonała w malutkim kostiumie kąpielowym, nabierała wody do kubka i polewała swoje papierowe pingwiny, skupiona na tym zadaniu i pozornie nieświadoma brzęczenia samochodu Vincenta oraz okazjonalnego trzasku, kiedy zabawka zderzała się z donicą. Wydawało się niemal niemożliwe, że pewnego dnia osiągnie wiek Vincenta, nie mówiąc o dorosłości i wyprowadzeniu się z domu. Obserwowałem ją, aby zatrzymać ten moment, jak najdłużej

się da. Atmosferę popsuła Isobel, która wychyliła się przez okno sypialni i ryknęła na syna.

– Vincent, przestań wreszcie! Natychmiast wyłącz ten samochód.

Wydawała się wściekła nieadekwatnie do sytuacji. Vincent drgnął i usłuchał – podniósł samochodzik i wyłączył go bez słowa sprzeciwu.

– To pewnie menopauza – skomentował Paddy, na co się roześmiałem, ale Maggie skarciła mnie wzrokiem.

Podszedł zgnębiony chłopiec.

Paddy podniósł się do pozycji siedzącej.

– Masz ochotę na zawody w nurkowaniu, Vince?

Z powodu czegoś, co gryzło Isobel, leniwa atmosfera popołudnia gdzieś się ulotniła. Wstałem i zauważyłem przelotnie, jak odwraca się od okna i znika w głębi pokoju na piętrze, zastanawiałem się, o co jej chodzi. Od paru dni była podminowana. Ciągłe rzucała kąśliwe uwagi pod adresem Maggie, robiła komentarze o karmieniu piersią, bo Maggie nie karmiła, pytała ją, czy zamierza wrócić do pracy, i dawała do zrozumienia, że jeśli to zrobi, w jakiś sposób skrzywdzi dziecko. Co to obchodziło Isobel, czy Maggie pójdzie do pracy?

A teraz pewnie nie będzie mogła wrócić. Szanse są niewielkie, przynajmniej w najbliższej przyszłości. Trzeba pomyśleć o zbyt wielu rzeczach: jak się nauczyć komunikacji z własnym dzieckiem, w jaki sposób starać się zwalczyć jego głuchotę, kto będzie się nim zajmował, kiedy Maggie rzeczywiście wyruszy znowu w trasę.

Miałem ochotę powiedzieć Isobel, żeby się odpieprzyła i zostawiła moją żonę w spokoju. Ale oczywiście nie powiedziałem. Nie mogłem. Zamiast tego, kiedy poszliśmy po kolacji na górę i Maggie zaczęła się rozbierać – przy zgaszonym świetle, by nie przeszkadzać śpiącej Iris, stanąłem za nią i poprosiłem, by zaczekała.

– Pozwól mi to zrobić – szepnąłem w mroku, gdy zaczęła rozsuwać zamek sukienki.

Nie odpowiedziała. Uniosła ręce, kiedy zdejmowałem jej sukienkę przez głowę, i przysunęła się, kiedy rozpiąłem jej biustonosz.

– Kocham cię, Maggie – szepnąłem. – Nie przejmuj się Isobel.

Ukląknę i całując ją, zdjąłem jej bieliznę, aż mnie powstrzymała i przenieśliśmy się na łóżko.

– Ja też cię kocham, Ben – powiedziała po wszystkim. – Wszystko między nami jest w porządku, prawda?

– Bardziej niż w porządku – zapewniłem.

Isobel, środa rano

– No to do widzenia. – Eric wciąż jest na mnie wkurzony.

Odbyliśmy dyskusję, która ciągnęła się przez kilka ostatnich dni.

Jestem pewna, że też czuje się winny, bo go znam, ale chyba manifestuje swoje wyrzuty sumienia poprzez niechęć do mnie.

– Co zamierzasz zrobić? – pyta.

– A co mogę zrobić? – odpowiadam pytaniem.

– Skontaktować się z Benem – mówi.

– Wysłałam mu esemesa i nie odpowiedział.

– Więc zadzwoń.

Najpierw muszę z kimś porozmawiać o tym, co powiedzieć. Potrzebuję pomocy Erica. On odmawia.

– Idę dzisiaj na lunch z Sally – oświadczam, kiedy kieruje się do drzwi, by zdążyć na wczesny pociąg do pracy. – Rozmawiałam z nią wczoraj wieczorem, kiedy się położyłaś.

– Cóż, rzeczywiście aktywna postawa – rzuca i wychodzi.

– Przynajmniej ktoś wyraził chęć, żeby usiąść i ze mną porozmawiać! – wołam za nim.

Włączam radio, by wypełnić ciszę. W wiadomościach leci materiał o hodowcach strusi plajtujących z powodu recesji.

– Nawet nie wiedziałem, że w Anglii są strusie farmy. – Harvey dołącza do mnie w kuchni i gdy tylko przestępuje próg, otwiera lodówkę w rozpaczliwym poszukiwaniu jedzenia. – Gdzie bajgle? – pyta.

– Nie w lodówce – mówię.

– A szynka? – Nie przerywa poszukiwań.

– Na środkowej półce.

– Ser?

– Ależ głód cię dopadł od rana!

Chrząka, wyjmując szynkę i ser, a potem rusza do pojemnika na chleb.

– Masz na coś ochotę, mamo?

– Nie, dziękuję, skarbie.

Nie jadam obfitych śniadań. Nalewam z french pressa resztkę kawy, którą zaparzył dla siebie Eric, i siadam przy stole, by nie wchodzić w drogę Harveyowi krzątającemu się przy swoim śniadaniu. Radio brzęczy w tle, aż nagle atakują mnie słowa.

– ...rosnące zaniepokojenie liczbą zgłoszonych przypadków – mówi spiker. – Ministrowie apelują do rodziców, których dzieci nie zostały zaszczepione, o zgłaszanie się w dodatkowych punktach tworzonych w całym mieście.

– A, tak, Joe dzisiaj idzie – rzuca Harvey.

– Dokąd?

– Na zastrzyk. – Nie miałam pojęcia, że syn słucha. – Powiedziałem, że nas zaszczepili we Francji.

– Jeszcze któryś z twoich kolegów się wybiera? – pytam, zastanawiając się, czy

Harvey słyszał o kontrowersjach wokół szczepionki MMR. Dopiero kiedy Gabs zachorowała, popędziliśmy z chłopcami do miejscowego, francuskiego lekarza rodzinnego i zapytaliśmy, czy może ich zaszczepić, w nadziei, że spędzali na dworze dużo czasu, więc nie złapali wirusa od Gabby.

Harvey zazwyczaj nie zwraca uwagi na to, co się dzieje na świecie, ale teraz słucha radia jednym uchem.

– Jeden z lekarzy rodzinnych w epicentrum niedawnej epidemii wspomniał, że niektórych rodziców zapraszano do zaszczepienia dzieci piętnaście razy – mówi prowadzący. – Łączymy się teraz z doktor Ailsą Millington...

– Niektórzy – odpowiada syn na moje pytanie. – Alfie chyba, tak mi się zdaje. Zabiera się do swojego bajgla.

– Poziom wyszczenia w grupie od dziesiątego do osiemnastego roku życia spadł w okolicy do tak niskiego poziomu, że jedynie kwestią czasu pozostaje wybuch epidemii na wielką skalę – mówi doktor Millington. – Rodzice, którzy wciąż nie zaszczepili swoich dzieci, to osoby karygodnie nieodpowiedzialne.

– Mama Seana powiedziała tak o tobie. – Harvey podnosi wzrok.

– Kiedy? – Czuję się dotknięta, że inni dyskutują o mnie za moimi plecami, chociaż w sumie mogłam się tego spodziewać.

– Jak u nich byłem w zeszłym tygodniu – wyjaśnia Harvey, maskując nonszalancją nieznaczny, radosny uśmieszek w kącikach ust.

Najwidoczniej wysłuchiwanie, jak inny rodzic obgaduje twoją matkę, sprawia chłopcom coś w rodzaju satysfakcji.

– Co konkretnie mówiła? – Tak naprawdę wcale nie chcę wiedzieć, ale nie potrafię się powstrzymać.

– Że jesteś karygodnie nieodpowiedzialna. – Harvey uśmiecha się szeroko z ustami pełnymi szynki i sera, a ja odwracam wzrok. – Declan przyniósł ze szkoły ulotkę o odrze i wspomniałem, że Gabs zachorowała na wakacjach, a wtedy ona zaczęła nadawać.

Declan to młodszy brat Seana.

– I co powiedziałaś?

– Zapytałem, do jakiej szkoły pójdzie Declan w przyszłym roku.

– Chodzi mi o to, co odpowiedziałaś, kiedy nazwała mnie karygodnie nieodpowiedzialną?

– Nic. – Odgryza kolejny kęs bajgla.

– W tym regionie mieszka najbardziej liczna grupa wiekowa, zagrożona epidemią – mówi lekarka w radiu. – Obawiam się, że to jedynie kwestia czasu, zanim dojdzie do zgonów.

– To ona jest karygodnie nieodpowiedzialna, bo nie zainstalowała siatki dokoła swojej trampoliny – odpieram oskarżenie mamy Seana, chociaż nie może mnie słyszeć i chociaż miała pełne prawo powiedzieć to, co powiedziała. Ale nie mojemu synowi.

– Cholera, mamó. To było sto lat temu – zauważa Harvey.

Widocznie też pamięta tamten incydent. Miał siedem albo osiem lat, kiedy po szkole poszedł się pobawić do Seana i spadł z trampoliny na taras. Otarł sobie rękę. Myślałam, że ją złamał, bo narobił takiego rabanu. Popędziłam z nim na pogotowie, ale

po obejrzeniu zapewnili, że jest tylko mocno stłuczona. Lecz mimo to zwymyślałam matkę jego kolegi, że nie pilnowała chłopców, kiedy skakali, chociaż wiedziałam, że nie da się nadzorować dzieci cały czas. Zwymyślałam ją też za to, że nie mają siatki wokół trampoliny.

Szczerze mówiąc, nigdy szczególnie nie lubiłam tej konkretnej matki, ale musiałam zachowywać pozory ze względu na przyjaźń Harveya z Seanem. Teraz jednak obaj są w drugiej klasie gimnazjum, otoczeni innymi kolegami, i nie czuję się przymuszona, by akceptować esemesowe zaproszenia na „improvizowane drinki”, które od czasu do czasu wciąż mi wysyła.

„Przykro mi, nie ma nas dzisiaj w okolicy”, kłamię w odpowiedzi – korzystam z prawa, by nie musieć się z nią przyjaźnić, odkąd chłopcy rzadziej się widują.

Bez wątpienia ona też się cieszy, że ma mnie z głowy.

– A gdyby doszło do poważnego wypadku? – zapytałam, gdy Harvey spadł z trampoliny.

– Ale nie doszło – odpowiedziała. – Przesadzasz.

Patrząc z perspektywy czasu, miała rację, lecz wtedy naprawdę sądziłam, że Harvey poważnie się zranił. Kiedyś trampoliny stały zaledwie w kilku ogródkach. Google Earth nie pokazałby nawet połowy tych czarnych kręgów między szeregówkami, co obecnie. Dom Seana był jednym z pierwszych, dokąd chłopców zapraszano, by sobie poskakali, a gdy Harvey spadł, mimo woli czułam, że to wina tamtej matki.

Teraz to na nią przyszła kolej, żeby mnie nazwać karygodnie nieodpowiedzialną.

Ben, środa rano

Obecna epidemia odry zwalnia tempo, ale wciąż zbyt mała liczba młodzieży jest chroniona przed zachorowaniem – mówi spiker, kiedy włączam radio.

Jest wcześnie. Maggie i Iris jeszcze śpią. Robię w kuchni śniadanie. Audycja to jedynie szum w tle pośród porannej ciszy. Myślami błędzę gdzie indziej, ale temat przyciąga moją uwagę.

– Jeśli nie nastąpi znaczący wzrost liczby szczepień, grożą nam kolejne wielkie epidemie tej choroby – ciągnie lektor. – Wczoraj doniesiono o sześciu nowych przypadkach, a pracownicy służby zdrowia spodziewają się kolejnych.

Słucham uważnie, czekając, aż grzanki wyskoczą z tosteru.

– Apelujemy do rodziców, których dzieci nie zostały zaszczepione, by zgłaszali się jak najszybciej do dodatkowych przychodni otwartych w różnych punktach miasta.

Następuje dyskusja. Jakaś lekarka informuje, że niektórych opiekunów zapraszano na szczepienie po kilkanaście razy, a mimo to się nie zjawili.

– Dziwi to panią? – pyta prowadzący, co stanowi odmianę tego samego pytania, jakie zadała mi Hedda, gdy widziałem się z nią w poniedziałek.

„Czy zaskoczyło pana, że pani Blake nie zaszczepiła swoich dzieci?”

– Byłem zaskoczony, gdy nam oznajmiła, że Gabriella ma odrę – odparłem. – Nie sądziłem, że ktoś jeszcze na to choruje. Maggie naturalnie się zaniepokoiła. Oboje się zaniepokoiiliśmy.

Prawdę mówiąc, w tamtym momencie bardziej mnie uderzyła dziwaczność tego faktu: zachorować na odrę. Sądziłem, że w zasadzie została wyeliminowana.

– Tak, zaskoczyło mnie to – powiedziałem Heddzie. – Isobel była zawsze bardzo zasadnicza. Jakbym słyszał jej pomstowanie w tej kwestii.

– Pomstowanie? – spytała.

– Perorowanie, wyrażanie opinii – wyjaśniłem. – To znaczy, w tamtym okresie to nie była sprawa kontrowersyjna. Ale gdyby była, Bel z pewnością miałaby swoje zdanie.

Na uniwerku wszyscy obnosili się z naszymi zdecydowanymi poglądami. Było to miejsce dla idealistów, radykałów oraz ludzi pragnących zmienić świat. Isobel też się do nich zaliczała. I wcale mnie to nie dziwiło, bo była inteligentna, energiczna i szczerze wierzyła, że wystarczy do tego odrobina wysiłku i organizacji.

Nie miała przesadnie ambitnych planów. Nie zamierzała w pojedynkę zaprowadzić pokoju na świecie ani skończyć z apartheidem. Pragnęła tylko niewielkich zmian. Kiedyś oświadczyła: „Gdyby moja matka mieszkała dwadzieścia mil dalej, może by żyła”, i jak pomyślałem, że to niewyobrażalnie smutne. „Odmówiono jej leczenia, które uratowałoby jej życie, ponieważ służba zdrowia w naszym miejscu zamieszkania tego nie refundowała”.

Perorowała w sali pełnej ludzi zaangażowanych co do jednego w przesiadywanie z założonymi rękami i zmienianie świata za pomocą gadaniny. Słuchali jak zahipnotyzowani. „Cóż to za sprawiedliwość, że mieszkasz dwadzieścia mil od kogoś

cierpiącego na ten sam rodzaj raka i jedno z was dostaje lek ratujący życie, a drugie nie?”.

Pomyślałem, że Bel jest piękna, gdy się czymś emocjonuje – a w młodości emocjonowała się bez przerwy. Obecnie, jak się wydaje, podnieca ją jedynie to, czy dzieci zjadły wystarczająco dużo owoców.

Wiem, że wszyscy trochę dojrzeliliśmy i zmieniły się nasze priorytety, ale nigdy nie sądziłem, że ona zmieni się tak radykalnie.

– A pańska żona? – spytała Hedda. – Zirytowało ją, że pani Blake nie zaszczepiła swoich dzieci?

– Tak, zirytowało. – Kiwnąłem głową. – Irytowała się, ponieważ nasze dziecko zostało narażone na ryzyko, szczególnie że od początku niezbyt chciała jechać na te wakacje.

– Dlaczego?

– Czy to wszystko ma związek ze sprawą?

– Może mieć. Zbieram informacje – wyjaśniła. – Jeśli sprawa trafi do sądu, będzie pierwszą tego rodzaju. Wypływamy na nieznanne wody.

Podniosła wzrok znad notesu i w jej oczach pojawił się błysk, którego nie widziałem wcześniej. Myślę, że był to zapal. Zależy jej na tej sprawie nie dlatego, że zmieniłaby sytuację moją i Maggie – ona pragnie zostać pionierką.

– Było parę podobnych przypadków w Stanach – wyjaśniła, nawijając na palec prawie białe włosy: nieświadomy gest, który chyba pomagał się jej skoncentrować. – Kiedy pozywano z sukcesem za celowe zarażenie HIV. Ten jest inny, trudniejszy do udowodnienia, ale jeśli mamy tego dokonać, muszę wiedzieć jak najwięcej o relacjach wszystkich zaangażowanych stron.

Nadaje się na pionierkę. Wyobrażam ją sobie w wiadomościach, jak rozmawia z dziennikarzami, streszczając im sprawę na stopniach budynku sądu, zanim wejdziemy do środka, by usłyszeć wyrok – o ile tak to wygląda.

– Maggie nie znała reszty towarzystwa równie dobrze, jak ja – wyjaśniłem. – I nie miała wielkiej ochoty podróżować z dzieckiem.

– Dlaczego?

– Po prostu dobrze czuła się w domu.

– Ale pan mimo to postanowił jechać? – dopytywała Hedda.

– Tak, ja bardzo chciałem jechać. Czułem, że potrzebuję wakacji... jak wszyscy nauczyciele pod koniec letniego półrocza... a poza tym chciałem, by moi kumple poznali Maggie i Iris.

To mnie popchnęło do podjęcia decyzji. Chciałem się pochwalić żoną i dzieckiem. Pokazać, że jestem teraz jednym z nich, facetem ustatkowanym i szczęśliwym. Chciałem, żeby wszyscy mogli poznać Maggie.

Ukryty problem stanowiła Isobel.

Wiedziałem, że obie traktują się nieufnie. Nie wspomniałem Maggie, co czułem niegdyś do Isobel, ale choć nigdy nie poruszała tego tematu, sądzę, że instynktownie coś wyczuwała. Kiedy się poznaliśmy, zaintrygowało ją, dlaczego wcześniej się nie ustatkowałem. Chyba podejrzewała, że w mojej przeszłości był ktoś, od kogo nie uwolniłem się do końca, ktoś, kto powstrzymywał mnie przed pójściem naprzód. A gdy

poznała Bel, chyba się domyśliła, że to ona.

Isobel, środa w porze lunchu

– *Grazie mille*. – Kelner wycofuje się po tym, gdy zamawiamy parę kieliszków wina.

Jesteśmy we włoskiej restauracji nad morzem. W obecnej sytuacji wydaje się trochę zbyt wytworna. Kiedy Sally zaproponowała, że przyjedzie spotkać się ze mną na lunchu, sądziłam, że zjemy kanapkę w jakiejś kafejce, ale nalegała na przyjście tutaj.

– Ja stawiam – dodała.

Jest bardziej dekadenccka niż ja. Stać ją na to. Co nie znaczy, że nie jest hojna. Jest – zawsze była. Nawet w czasach, zanim Paddy się dorobił, gdy urodziła dziecko i nie pracowała, nigdy nie powstrzymało to żadnego z nich od dzielenia się tym, co mieli.

– Uwielbiam ten zwrot – oświadcza. – Włoski to taki wylewny język. – „Stokrotne dzięki” to nasz najbliższy odpowiednik *grazie mille*.

– Gabriella i jej kumple mawiają chyba „strrrasne dzięki”, a to prawie to samo.

Sally się śmieje. Odkładam menu i chowam okulary do czytania.

– Masz nowe etui – zauważa.

– Dzieło Harveya.

Uśmiecham się, spoglądając na etui – które mnie już się opatrzyło – jej oczami. Zostało zrobione z kartonu po soku – polskim, kupionym przez syna w jednym z coraz liczniejszych polskich supermarketów, które wyrosły jak grzyby po deszczu, by zaspokoić potrzeby rosnącej populacji Polaków w Brighton. Dlatego jest ozdobione ciekawą grafiką, której nie potrafię rozgryźć, oraz różnymi czerwonymi i zielonymi owocami. Musiał to być sok wieloowocowy, a po wypiciu go karton złożono i sklejono w funkowe etui na okulary.

– Powinien je sprzedawać – rzuciła Sally. – Oryginalny pomysł.

– Postanowił zająć się wzornictwem przemysłowym – mówię. – Wciąż znosi rozmaite śmieci i przerabia je na coś przydatnego. Ostatnio siedzi przy stole kuchennym w nowo stworzonym fotelu z wózka z supermarketu.

– To wspaniale – chwali Sally. – Ma talent do projektowania. Było już widać po tych zabawkach origami, jakie składał na wakacjach.

– Może – odpowiadam dumna z pączkujących zdolności Harveya. – Ojciec jego kolegi projektuje pokrywy na studzienki ściekowe. Chyba on go zainspirował.

– Cóż, pokrywy na studzienki są potrzebne, ale sądzę, że Harvey mógłby zejść dalej. Bystry z niego chłopak i możesz być z niego dumna.

– Dzięki – odpowiadam z wdzięcznością.

– A co słyhać u reszty twoich utalentowanych dzieci? – ciągnie. – I co ważniejsze, jak ty się miewasz?

– Tak sobie – odpowiadam, choć czuję się odrobinę lepiej teraz, gdy mam przed sobą kogoś życzliwego.

– Naprawdę bardzo mi przykro z powodu tamtej imprezy – mówi Sally. – Chodzi mi o sposób, w jaki powiedziałam ci o Iris. Po prostu byłam pewna, że wiesz.

– Nie. – Kręcę głową. – Rozmawiałam z Benem parę razy od wakacji. Wiedziałałam, że Iris chorowała. Ale kiedy gadaliśmy ostatnio, twierdził, że już wszystko w porządku.

– Powinnałam się była domyślić. Kiedy usłyszeli diagnozę, zadzwonił, by pogadać z Paddym. Uznałam, że tobie też powiedział. Rozumiem, że to dla niego trudne. Wobec tego pewnie oczekiwał, że to my prześlemy wiadomość.

– Prosił cię o to?

– Cóż, możliwe, że poprosił Paddy'ego, ale nic o tym nie wiem.

Kelner wraca z dwoma kieliszkami pinot grigio i butelką wody gazowanej.

– Dziękuję – rzucam.

– Strrraszne dzięki – dodaje Sally, a potem zwraca się do mnie: – Zdrowie.

– Zdrowie. Dziękuję, że zadzwoniłaś, Sally. I dziękuję, że przyjechałaś. – Upijam łyk wina i rozglądam się po restauracji. – Wspaniale cię widzieć, ale to wszystko wydaje się trochę nie w porządku. Takie normalne.

– A ty czujesz, że wszystko jest nienormalne?

– Cóż, właśnie tak. – Odstawiam kieliszek. – Bez przerwy rozmyślałam o tym, że Iris ogłuchła, i stresuję się wszystkimi „a gdyby”, zastanawiam się, co należało zrobić, żeby sprawy potoczyły się inaczej.

– Nie ma sensu zdręzczać się tym teraz. – Sally ze wszystkich sił stara się dodać mi otuchy.

– Ale nie umiem się powstrzymać. Wiem, czemu wtedy tak postąpiłam, ale teraz oczywiście żałuję, że nie zrobiłam inaczej. Żałuję, że zostawiłam Gabby z Maggie i Iris tamtego dnia, kiedy pojechaliśmy na wydmę, ale chciałam być z chłopcami.

– To pewnie niewiele by zmieniło.

– Ale mogłoby.

– Może, ale Gabs miała odrę, a wszyscy mieszkaliśmy w jednym domu. Nie sądzę, że powinnaś się biczować, ponieważ pojechałaś na wycieczkę.

– Więc powinnaś się biczować za to, że jej nie zaszczepiłam?

– Tego nie powiedziałam, Bel. Miałaś swoje powody. Szanuję to.

– Naprawdę? Większość jest innego zdania. I teraz wszystko mi o tym przypomina.

– Mianowicie?

– Pewnie chodzi tylko o to, że kiedy jesteśmy w coś uwikłani, stajemy się bardziej świadomi różnych rzeczy. Gdy dzisiaj rano włączyłam radio, mówili o epidemii odry w Walii, nawołując rodziców, by koniecznie zaszczepili dzieci. Miałam wrażenie, jakby zwracali się do mnie osobiście.

– Rozumiem cię – odpowiada Sally. – Ale jest tak, jak mówisz: po prostu zaczęłaś to zauważać. W poniedziałek Paddy po powrocie z pracy opowiadał, że konduktor był głuchy, a on się nie zorientował, nie pamiętam dokładnie, ale chyba zamienili parę słów, zanim Paddy zauważył aparaty słuchowe i zrobiło mu się głupio.

– Coś powiedział? – pytam.

– Cóż, pewnie poczuł się skrępowany, ale wspomniał o tym bardziej dlatego, że jak twierdzi, zaczął zauważać, jak dużo jest wszędzie głuchych ludzi.

– Chodziło mi o Iris.

– Cóż, naturalnie uważa, że to bardzo zła nowina. Będzie im trudno. I to smutne,

bo... no cóż, bo mało prawdopodobne, żeby Maggie urodziła kolejne dzieci.

– A co by to zmieniło? – pytam.

– Nie wiem. Tylko po prostu, jeśli to twoje jedyne dziecko, w jakimś sensie wydaje się to gorsze – odpowiada Sally.

– A jeszcze gorsze, jeśli wiesz, że można było tego uniknąć? – dodaję.

– Nic takiego nie powiedziałam. – Sally obrusza się. – Nie twierdzę, że to twoja wina. Iris mogła się zarazić odrą gdzieś indziej.

– Ale się nie zaraziła, prawda? – odparowuję. – Wiele razy analizowałam okoliczności i usiłowałam wymyślić jakikolwiek scenariusz, w którym Iris rzeczywiście zaraża się od kogoś innego, i zapewniam cię, chociaż starałam się ze wszystkich sił, nie udało mi się. Spędziliśmy w waszym domu dwa tygodnie, Sally. Maggie i Iris w ogóle się stamtąd nie ruszały. Jediną osobą, z którą Iris miała kontakt, była Gabriella.

– Nawet jeśli tak, to jakie było prawdopodobieństwo, że straci słuch? Po prostu pech. Nikt nie mógł przewidzieć, że ogłuchnie.

– W wypadku małego dziecka ryzyko jest spore. – Wzdycham. – Absolutnie nie powinnam zostawiać z nimi Gabrielli tamtego dnia, kiedy pojechaliśmy na wydmę. Powinnam zostać i zająć się nią sama.

– Zadręczanie się w niczym nie pomoże, Isobel. Każdemu z nas zdarzyło się postąpić w taki sposób. Pamiętam, że na jakimś wyjeździe kazałam Chrisowi chodzić w bluzie z kapturem, bo miał ospę wietrzną, a nie chcieliśmy rezygnować z wakacji.

– To co innego...

– Ależ nie. Wiedziałam, że nie wpuściliby nas do samolotu, gdyby obsługa zauważyła u niego krostki, wiedziałam, że stanowi zagrożenie dla innych pasażerów, ale i tak to zrobiłam. Ty nawet nie zdawałaś sobie sprawy, że Gabs ma odrę. Nie bądź dla siebie taka surowa.

– Nie, ale... – zaczynam.

To prawda, nie wiedziałam na pewno, przynajmniej póki lekarz tego nie potwierdził, ale miałam pewne podejrzenia. Nie, więcej niż podejrzenia, mogę to przyznać przed sobą, ale nie przed Sally.

– Iris dotknęło nieszczęście – ciągnę. – Czuję, że to moja wina. Eric najwyraźniej też tak uważa, i Gabby. Nie wiem, co robić.

– Ja też jestem częściowo odpowiedzialna – przyznaje Sally. – Bo to się stało w naszym domu.

– Ale wy jedynie opiekowaliście się nami wszystkimi. Nie macie z tym nic wspólnego.

– Mimo to...

– Ale to nie to samo, prawda? Po prostu chciałabym coś zrobić, znaleźć jakiś sposób, by cofnąć czas.

– I zrobiłabyś to? – pyta Sally.

– Czyli?

– Gdybyś cofnęła czas, postąpiłabyś inaczej? Może takie myślenie jest bezprzedmiotowe. I wcale byś tego nie zrobiła.

– Zrobiłabym, gdybym wiedziała to, co wiem teraz.

– Ale nie wiedziałaś, Isobel.

Przerywa, by posmarować chleb masłem, a ja uświadamiam sobie, że nie jestem głodna.

– Kiedy postanowiłaś nie szczepić Gabs, we wszystkich wiadomościach trąbiono o zagrożeniach, o ryzyku autyzmu – ciągnie Sally. – Poza tym zdiagnozowano Conrada. Na twoim miejscu może postąpiłabym tak samo.

– Serio? – Z jakiegoś powodu w to wątpię. Sally jest bardziej praktyczna i znacznie mniej emocjonalna niż ja.

– Poważnie by mnie to zaniepokoiło. Gdybym urodziła dzieci później, kiedy media trąbiły o MMR, prawdopodobnie też bym ich nie zaszczepiła, choć wiem, że Paddy tupnąłby nogą.

– Więc uważa, iż źle postąpiłam? – Nie chcę tego wiedzieć, ale czuję, że muszę.

– Cóż, znasz Paddy’ego. – Sally odwraca wzrok.

– Uważa, że jestem „cholerną rozhisteryzowaną idiotką”? – pytam, naśladowując jego sheffieldzki akcent.

– Prawdę mówiąc... – zaczyna, lecz urywa.

– Co? Powiedz. Zdaję sobie sprawę, że ludzie będą mnie krytykować. Jezu, wystarczająco ciężko było, kiedy po powrocie z wakacji inni rodzice dowiedzieli się, że Gabs przechodziła odrę. Na początku semestru zebrałam komplet niechętnych spojrzeń i jadowitych uwag na placu zabaw. Cały czas zbieram.

– Cóż, Paddy rzeczywiście myśli, że byłaś „głupia jak cholerny but”, ale wini nie tylko ciebie – mówi.

– Tylko ja jedna nie zaszczepiłam dzieci.

– Ale nie byłaś sama, prawda? Eric jest ich ojcem. Powiedziałam Paddy’emu, że czujesz się okropnie, a Eric nie chce z tobą rozmawiać, na co odparł, że jego zdaniem Eric jest winny w równym stopniu. To znaczy, jeśli ktoś w ogóle jest. Bo to nie do końca wasza wina.

– Eric chyba uważa inaczej – mówię wdzięczna, że nawet jeśli Paddy rzeczywiście uznał moje postępowanie za nieodpowiedzialne, to nie zwała całej winy na mnie.

– A co mianowicie?

– Cóż, w gruncie rzeczy nie wiem, bo nie rozmawialiśmy, ale traktuje mnie, jakbym była winna.

– Przecież decyzję, by nie szczepić dzieci, podjęliście razem? – dziwi się Sally.

– Niezupełnie – próbuję tłumaczyć. – Dyskutowaliśmy, a on widział, że się niepokoję, i usiłował mnie przekonać, że nie ma powodów do obaw.

– Ale cię nie przekonał?

– Próbował, ale koniec końców decyzję zostawił mnie.

– Więc musi się podzielić odpowiedzialnością za jej skutki.

– On chyba widzi to inaczej – przyznaję z żalem.

Nadal trudno byłoby mi się pogodzić z obrotem spraw, ale byłoby o niebo łatwiej, gdybym go miała po swojej stronie.

– Ben i Maggie muszą nas serdecznie nienawidzić – zmieniam temat.

– Pewnie w tej chwili nie myślą o was szczególnie ciepło – przyznaje Sally, kiedy

kelner wraca po zamówienia. – Ale może potrzebują czasu. Nie wierzę, że przestaniecie się przyjaźnić. Ty i Ben zawsze byliście tak blisko.

– Nie zawsze – zaprzeczam, niepewna, czego Sally się domyśla.

Czasami łudzimy się, że mamy tajemnice, a potem odkrywamy, że wszyscy wokół wiedzieli o nich od początku. Sally zna mnie prawie równie długo, jak ja znam Bena. I czasami myślę, że wie – nawet jeśli tylko intuicyjnie – o mnie i o Benie. Sądzę, że mogła się domyślić. Ale może nie. Może nie chce wiedzieć.

Niekiedy życie jest łatwiejsze, jeśli się pozostaje w stanie niewiedzy.

Ben, środa po południu

– Napijesz się herbaty? – pytam.

Zaparzyłem dzbanek – wydaje się czymś w rodzaju rekwizytu, czymś, czego oboje z Maggie potrzebujemy, aby ze sobą „porozmawiać”.

Wróciłem ze szkoły wcześniej, jak zwykle w środy, gdy nie mam ostatniej lekcji. Oboje zarezerwowaliśmy sobie ten czas na dyskusję o naszych zamiarach. Pierwszy raz od poniedziałkowego spotkania z Heddą mamy szansę usiąść i pogadać. I oboje wiemy, że prawdopodobnie nawet ta dyskusja zostanie przerwana przez Iris.

Maggie przypina ją w dziecinnej huśtawce zawieszanej w wejściu do kuchni z korytarza. To uszczęśliwia małą na długo. Czasami potrafi się huścić dobrych dwadzieścia minut, wydając różne dźwięki i patrząc na nas.

Uśmiecha się teraz, gdy Maggie przysuwa krzesło do kuchennego stołu i siada pod kątem prostym do mnie.

– Więc co powiedziałaś prawniczce? – pyta, gdy nalewam jej herbaty do kubka. – Na czym stanęło?

– Że porozmawiam z tobą.

– Wolałabym, żebyś to zrobił, zanim się z nią umówiłeś.

– Wyjaśniałem ci już, że nie wiedziałem, czy będzie o czym. Dość masz na głowie. Nie chciałem dokładać ci zmartwień, na wypadek gdyby to wszystko nie miało sensu.

– Dokładnie – odpowiada.

– A dokładnie co „dokładnie”?

Iris wydaje okropny, gardłowy dźwięk i oboje się oglądamy. Nic się nie stało. Obróciła się, tak że buzią jest zwrócona w przeciwnym kierunku, to wszystko, ale zaczęła protestować. Maggie podchodzi, obraca huśtawkę, tak że mała znowu nas widzi. Iris przestaje marudzić, wciąż jednak pozostaje skrzywiona.

W głębi duszy cieszę się, że jest w takim nastroju, nawet jeśli przeszkadza nam w rozmowie. Pokazuje to dobitnie, dlaczego muszę działać, stanowi dowód, że mała nie jest taka jak wcześniej. Nie jest taka, jak chcę. Nie zawsze była idealna, ale niemożność nawiązania z nią kontaktu to co innego, nie akceptuję tego. Wiem, że to nie jej wina, ale i tak przyłapuję się na irytacji na córkę – nie teraz, gdy chcę wykorzystać jej drażliwość do własnych celów, ale generalnie. „Po prostu bądź taka jak wcześniej, Iris”, mam ochotę jej powiedzieć.

Mógłbym to zrobić. Przecież nie słyszy, dlatego myśl, że byłoby jej przykro, gdybym to wyartykułował, jest irracjonalna. Ale i tak nie mogę wypowiedzieć tego na głos. Nie mogę, nawet w obecności Maggie. Ona też jest pełna złości, to oczywiste, ale zarazem bardziej akceptująca.

To coś, do czego nikt się nie przyzna, podstawowa zasada milczenia, słoń w salonie: jeśli masz niepełnosprawne dziecko, nie możesz powiedzieć nikomu, że tego nienawidzisz. Musisz nauczyć się z tym żyć, dokładnie tak, jak radził lekarz. To jedna z rzeczy, których „się nie robi”, jak stwierdziłaby moja mama: nie mówisz, że uważasz

posiadanie dziecka, które kompletnie nie słyszy i nie reaguje, za trochę przerażające. Nie możesz zwierzyć się kumplom, że frustracja, jaką Iris niewątpliwie czuje, również ciebie doprowadza do szału. Ty jesteś dorosły. Ty musisz sobie poradzić.

Tymczasem byłoby o niebo łatwiej, gdyby można po prostu oświadczyć każdemu człowiekowi, którego spotykasz: „Moja córka jest głucha. To koszmar. Przez większą część czasu jest z tego powodu marudna i drażliwa, i będzie się musiała nauczyć języka migowego albo mieć implanty czy coś. To cholerny kanał i wielka niesprawiedliwość. Nie zasłużyliśmy na to”.

Byłoby o niebo łatwiej, gdybym mógł po prostu oznajmić każdemu Tomowi, Dickowi i Harry’emu: „Przede wszystkim nigdy nawet nie chciałem mieć dzieci, a teraz nie dość, że mam córkę, to jeszcze głuchą. Ironia losu, prawda?”.

I to również ironia, że gdyby mówienie takich rzeczy nie było źle widziane, może poczułbym się odrobinę lepiej – ale jest źle widziane, więc się nie poczuję. Zdarzyło się coś strasznego, owszem, ale przecież mogłoby być znacznie gorzej, a ja udaję, że radzimy sobie, dziękuję bardzo. Tyle że tak naprawdę ja sobie nie radzę.

Nie potrafię tego zaakceptować i żyć dalej. Więc skoro pomoże mi prawniczka i dokopie Isobel, to proszę bardzo, nawet jeśli Maggie będzie niezadowolona. Lepsze to niż oświadczyć partnerce, którą naprawdę kocham: „Po pierwsze, nigdy nie marzyłem o dziecku, i zobacz. Jak według ciebie się z tym czuję?”.

– Więc co się stanie, jeśli zdecydujemy się w to wejść? – Maggie podkreśla słowo „jeśli”.

– Wysłałaby do Isobel i Erica pismo przedstawiające nasze stanowisko.

– Mianowicie?

– Mieli obowiązek troszczyć się o nasze dziecko, ale dopuścili do zarażenia Iris, bo nie powiedzieli nam, że wiedzą, iż Gabby ma odrę. Dlatego są w znaczącym stopniu odpowiedzialni za poniesiony przez nią uszczerbek słuchu i domagamy się odszkodowania za koszty związane z wychowywaniem głuchego dziecka.

– Sam brzmisz jak prawnik – zauważa Maggie. – I co potem?

– Hedda zaczeka na ich odpowiedź – wyjaśniam. – Będą musieli sami wynająć prawnika. Ich prawnik zapewne początkowo wszystkiemu zaprzeczy. Napiszą mnóstwo listów i koniec końców osiągniemy porozumienie, a jeśli nie, pójdziemy do sądu.

– Brzmi jak coś, co potrwa wieki, będzie dla nas stresujące i być może donikąd nas nie zaprowadzi. – Maggie dostrzega same negatywy.

– Przynajmniej coś zrobimy. – Chcę, by spróbowała spojrzeć na to z mojego punktu widzenia. – Przynajmniej ja coś zrobię.

– Można podjąć inne działanie – rzuca w zamyśleniu.

– Mianowicie?

– Nie wiem. Po prostu się zastanawiam, czy istnieje inny sposób, by przedstawić nasze racje. Jeśli to na tym ci zależy.

– Nie tylko – odpowiadam. – Istnieją też implikacje finansowe. Nie wiesz, czy i kiedy wrócisz do pracy. Iris będzie potrzebowała dodatkowego wyposażenia, specjalnej szkoły i tak dalej.

– Ale Eric i Isobel nie są bogaci – zauważa Maggie. – Nawet jeśli twoja prawniczka

rzeczywiście zdoła z nich coś wycisnąć, dużo tego nie będzie. Naprawdę to warte tylu nerwów?

– Chodzi też o zasadę. – Próbuję przemówić do jej poczucia sprawiedliwości, ale rozprasza ją Iris, która znowu zaczyna płakać. – Ćśś, ćśś... – Maggie zwraca się w stronę drzwi, przykładając palec do ust w geście znanym wszystkim, nie tylko ludziom, którzy zaczęli czytać książki o języku migowym.

– Eric i Isobel milczą. Właściwie nie mieliśmy od nich żadnych wieści – przypominam.

Nie wspomniałem o esemesie od Isobel. Za bardzo mnie wkurzył, zresztą właściwie nic nie znaczył.

– Wiem. – Maggie podchodzi do huśtawki i wyjmuję małą. Sadza ją sobie na kolanie, ale Iris próbuje się wyswobodzić, więc Maggie puszcza ją na podłogę, gdzie mała przez chwilę wydaje się szczęśliwa, obgryzając nogę stołu.

– À propos, dzwoniła Sally – rzuca Maggie.

– Serio? – Fakt, że Sally próbowała się dodzwonić również do mnie, też przemilczałem. – Na stacjonarny?

– Tak. – Maggie patrzy na mnie dziwnie.

– Co mówiła?

– Że jej przykro, ponieważ nie przyszliśmy na imprezę, bo spodziewała się nas zobaczyć i dowiedzieć się, co u nas słychać...

– I co ty na to?

– Że wszystko w porządku i odezwiesz się do niej za jakiś czas.

– To wszystko?

– Cóż, naturalnie rozmawiałyśmy chwilę dłużej. Opowiedziałam jej trochę o Iris. Ale odniosłam wrażenie, że chciała mówić z tobą, chociaż musiała wiedzieć, że jeszcze będziesz w szkole. Obiecałam, że oddzwonisz po powrocie.

– Na pewno gadała z Isobel. Wspomniała o tym?

– Nie.

– „Nie, nie rozmawiała z nią” czy „nie, nie wspomniała”?

– Nie, nie wspomniała, Ben. – W głosie Maggie słyszę irytację. – Powiedziała, że dzwoni zapytać, jak się miewamy. Nic nie mówiła o Isobel.

– W porządku.

– Skoro chcesz wiedzieć, co myśli Isobel, czemu sam do niej nie zadzwonisz? – stawia się Maggie.

– Gówno mnie obchodzi, co ona myśli – odpowiadam.

– Najwyraźniej jednak obchodzi.

– Co to ma znaczyć?

– Nic – odpowiada Maggie, bo Iris zaczyna zawodzić.

Wydaje koszmarny, cienki, fałszujący skowyt. Brzmi jak krzyk kogoś, kto nie może usłyszeć własnego głosu. Gdyby słyszał, to sam pewnie nie potrafiłby go znieść, nawet gdyby płakał, by przyciągnąć uwagę rodziców i skłonić ich do interwencji. Krzywię się, a Maggie podnosi małą i rusza w kierunku korytarza.

– Zabiorę ją na spacer – oznajmia, po czym wyciąga spacerówkę z kąta przy

wieszaku na płaszcze i zdejmuje z niej kubraczek Iris. – Chcesz iść z nami?

– Dobra.

Możemy iść i rozmawiać. Chyba tak będzie łatwiej.

– Nie w tym rzecz, że nie chcę nic zrobić – tłumaczy Maggie, kiedy spacerujemy ulicą. – Jestem równie wściekła, jak ty. Tylko obawiam się, że podjęcie kroków prawnych może być trudne dla ciebie. Dla nas. Ugrzęźniemy w prawnikach i pozwach, podczas kiedy powinniśmy skupić się na innych sprawach. I martwię się, że będziesz tego później żałował.

– O co ci chodzi?

Pcham wózek, więc nie mogę jej wziąć za rękę, chociaż bym chciał. Pragnę czuć, że jest ze mną, nawet jeśli nie jest.

– Chcę nimi wstrząsnąć, Maggie. Chcę wymusić na nich jakąś reakcję. Chcę, by sobie uświadomili, że to, co zrobili, było nieodpowiedzialne i złe.

– Ja też – odpowiada, schyla się, żeby wyjąć koczek z kosza pod wózkiem, i opatula Iris. – Ale nie jestem pewna, czy to właściwy sposób.

– Nie potrafię wymyślić innego. A ty?

Milczy, zaabsorbowana opatulaniem.

– A ty? – pytam znowu.

– To nie są moi przyjaciele. – Zerka na mnie przelotnie i znowu odwraca wzrok. – Dla mnie to wygląda inaczej.

Nie wiem, co chce przez to powiedzieć.

– Kiedy Sally dzisiaj zadzwoniła, pomyślałam, że to miłe z jej strony i tak dalej, ale nie jest osobą, do której bym się zwróciła, gdybym chciała z kimś pogadać. Mam własne przyjaciółki. Więc tak naprawdę nie dbam o to, co pomyślą twoi kumple... ale ciebie ich zdanie obchodzi. Na przykład, co pomyśli Sally, gdy jej oświadczysz, że zamierzamy się procesować?

– Nie chciałem tego wszystkiego – odpowiadam i głos podnosi mi się ze wzburzenia. – Nie chciałem, żeby Iris ogłuchła, to oczywiste. Nie chciałem być w sytuacji, kiedy w ogóle muszę rozważać podjęcie działań prawnych przeciwko dwojgu moich najdawniejszych przyjaciół. Czuję się cholernie bezsilny. Ale w takiej sytuacji się znaleźliśmy.

– Wiem.

– Muszę coś zrobić i nie potrafię wymyślić nic innego. A ty?

Maggie milczy.

Wracamy do domu w ciszy, a ja zastanawiam się, czy ma inny plan, coś, o czym mi nie mówi.

– Dla ciebie ta sytuacja będzie trudniejsza, Ben – oznajmia na koniec, kiedy zbliżamy się do naszego domu. – Możesz stracić przyjaciół. Nie tylko Isobel i Erica, bo inni opowiedzą się po którejsz ze stron. Jesteś na to przygotowany?

Kiwam głową.

– Nie chodzi tylko o nas... – zaczynam. Mam gotową całą tyradę, ale ona wchodzi

mi w słowo.

– Dobrze. – Maggie odpina Iris. – Powiedz Heddzie, żeby na początek wysłała list. Zobaczmy, jak zareagują.

Isobel, piątek rano

To przypomina wstrząsy wtórne po trzęsieniu ziemi, jak sobie wyobrażam. Myślisz, że już po wszystkim, że najgorsze minęło, a wtedy następuje kolejny dygot i ziemia usuwa ci się spod nóg. Wiem, że Eric na mnie patrzy, ale nie wiem, co myśli. Czy zauważył, że jestem od nowa zszokowana i zrozpaczona? Zapyta, co się stało? A jeśli mu powiem, czy spróbuje mi dodać otuchy? Czy też pośle mi to milczące, oskarżycielskie spojrzenie? Spojrzenie mówiące, że to wyłącznie moja wina i że wszyscy cierpią przeze mnie?

Jeśli mam być szczerą, zaczynałam się już do tego przyzwyczajać: do faktu, że Iris jest głucha, że jestem za to częściowo odpowiedzialna i że to zmieni życie nas wszystkich. Kilka dni po przyjęciu nie myślałam o niczym innym, ale dzisiaj rano, prawdę mówiąc, obudziłam się i wykonałam zwykłe czynności i w ogóle o tym nie pamiętałam.

A potem przyszła poczta.

Staram się nie okazywać emocji, nie przy dzieciach. Stoję przy blacie w kuchni, kawałek od stołu śniadaniowego, z otwartym listem w dłoni, a jego treść pulsuje mi w pamięci, budzi w moim ciele bezgłośnie mdłości.

W pomieszczeniu panuje hałas, zbyt wielki hałas, by myśleć jasno.

Radio jest włączone, ale nikt go nie słucha. Vincent gra na pianinie wciśniętym we wnękę za stołem. I śpiewa jakiś utwór Adele. Jego dziewięcioletni, niezmutowany głos bierze wysokie dźwięki z taką niewinną czystością, że zbiera mi się na płacz.

Utwór opowiada o bliźnach miłości. Vinnie daje z siebie wszystko, zapomina o nas, napełnia słowo „rozpacz” znaczeniem, chociaż nie jest to uczucie, jakie miał szansę poznać w swoim krótkim życiu.

To ja odczuwam ją teraz.

– Ładna melodyjka, Vinnie Liberace.

Harvey odsuwa od stołu swoje krzesło z wózka, wstaje i mijając Vincenta, ociera się o niego. Fizyczny kontakt mógł być przypadkowy, ale mały odrywa dłoń od klawiszy, na których wygrywał akord, i wymierza Harveyowi klapsa.

– Łapy przy sobie!

– Auu, to boli! – Głos starszego brata brzmi przesadnie zniewieściale, co wyraźnie sugeruje, że dotknięcie nie było przypadkowe.

– Przestańcie się zachowywać jak cipy – beszta ich Gabriella, zirytowana, że sprzeczka przeszkodziła jej w konsumpcji grzanki.

– Harvey – zaczynam i chłopak spogląda na mnie, oczekując dalszych napomnień, ale nie mam na to energii i woli.

Gdyby to Eric przyniósł pocztę, pewnie wyrzuciłby list do śmieci. Poza wyciągami z konta albo z kart kredytowych nigdy nie dostaje listów. Ja też nie. O wszystkim, co ważne, dowiadujemy się z mejli, a reszta to makulatura, którą ja i tak sprawdzam, na wszelki wypadek.

List, który trzymam teraz, niczego nie zdradzał. Przez celofanowe okienko

w kopercie formatu DL widziałam wydrukowane moje nazwisko i adres, ale nic więcej. Nigdy bym się nie domyśliła, że pochodzi od prawnika ani co zawiera. Potrzebowałam chwili, by to wykombinować. Sformułowania nie są jasne. Eric miałby używanie, gdyby tylko był w odpowiednim nastroju. Ale wyobrażam sobie, że treść jego także ogłuszy i nie znajdzie w sobie ochoty, by się zniecać nad gramatyką i doborem słów. Ja mam wrażenie, że ktoś walnął mnie w brzuch.

Na koniec reaguje Eric.

– Dobra, moi drodzy. – Podnosi głos, by przekrzyczeć Vincenta, który już wrócił i nadal nurza się w otchłaniach rozpaczy. – Wychodźcie za pięć minut. Idźcie po swoje rzeczy.

Harvey się ulatnia. Gabriella skończyła grzankę i wstawia talerz do zmywarki. Patrzy na ojca pytająco, chce wiedzieć, czy polecenie jej również dotyczy, czy może dostanie dyspensę jako starsza.

– Gabs... – zaczyna Eric.

Wzrusza ramionami, gotowa opuścić pomieszczenie, lecz Vince wyśpiewuje dalej.

– Vinnie – mówi Eric.

– Mmm hmhhh?

Mały nie podnosi wzroku, ale przestaje grać i robi pauzę na tyle długą, by dać znać tacie, że jest otwarty na wskazówki.

– Ruchy!

Posłusznie przekręca się na stołku od pianina i pędzi na górę umyć zęby, wciąż zawodząc o bliznach, które nie pozwalają mu żyć.

– Co się stało? – pyta Eric. – Od kogo jest ten list?

– Od prawnika – wyjaśniam.

– Czemu? Ktoś umarł?

Kusi mnie, by odpowiedzieć: „ja, częściowo”, ale zamiast tego podaję mu pismo.

– Od prawniczki twojego najlepszego przyjaciela.

Mówię to, bo teraz on też ma problem, nawet jeśli wcześniej próbował sprawiać wrażenie, że tak nie jest.

Mówię to również, by sprawdzić, wobec kogo jest lojalny.

– Masz na myśli Bena? – pyta.

– Oczywiście – przytakuję i przyglądam się, jak mruży oczy i wyteżę wzrok bez okularów do czytania.

Jego emocje są ledwie dostrzegalne, gdy przyswaja informacje, ale coś się w nim zmienia. To jak obserwowanie klepsydry, w której ziarnka piasku wolno przesypują się z jednej części do drugiej, prawie nie wywołując zmiany, a jednak doprowadzają do jej odwrócenia.

Wydaje się, że teraz piasek w klepsydrze przesypał się do końca i pozwolił, by głowę Erica wypełniły inne uczucia.

– Kurwa – rzuca i mam ochotę go uderzyć, bo ta reakcja nic mi nie mówi. – Co za pieprzony kanał.

Tyle sama wiem.

– Kurwa, Isobel – powtarza. – Jest coraz gorzej.

– Wiem – przytakuję wściekła, że wciąż jest wściek-ły i najwidoczniej wciąż zdecydowany mnie obwiniać. – Czemu on to robi? – pytam, starając się wywikłać. – Czemu Ben robi nam to wszystko?

– Sądzisz, że nie ma powodu? – pyta Eric, patrząc na mnie oskarżycielsko.

– Rozumiem, że jest wściekły i nieszczęśliwy. Ale wie, że to wszystko nie było zamierzone. Co dobrego przyjdzie z wciągania w to prawników?

– Tylko że on o tym nie wie, prawda? – odpowiada Eric. – Nie wie, że nie zamierzałaś skrzywdzić jego dziecka, bo z nim nie porozmawiałaś. Nie wie, że ci przykro, bo mu nie powiedziałaś.

– Jezu Chryste, Eric! – warczę. – Nie wierzę, że znowu to robisz.

– Co takiego?

– Zwalasz wszystko na mnie. Udajesz, że to wyłącznie moja wina. Nie potrafisz mi powiedzieć jednej dodającej otuchy rzeczy. Ani nawet udzielić żadnej praktycznej rady.

Patrzy na mnie.

– Nie kiwnęłaś palcem, Isobel. Przez ostatni tydzień, odkąd się dowiedziałaś, że Iris ogłuchła, w żaden sposób nie dałaś Benowi znać, że jest ci przykro. Nie zapytałaś, czy możemy coś zrobić.

– Wysłałam esemesa. Nie odpowiedział. Nie wiedziałam, co zrobić więcej, a ty też nie rwałaś się do pomocy.

– Czego ode mnie oczekujesz?

– Stoisz tu i oskarżasz mnie, że nic nie robię, że nie spytałam, czy możemy jakoś pomóc, że nie dałam mu znać, jak nam przykro, ale sam w stosunku do mnie nie zrobiłeś żadnej z tych rzeczy – odpowiadam. – Masz pojęcie, jak okropnie się czuję? Masz pojęcie, jak bardzo bym chciała, żeby wszystko potoczyło się inaczej? Pojawiasz się i znikasz, zachowujesz się, jakby to była wyłącznie moja wina, chociaż doskonale wiesz, że gdybyś w przeszłości tak bardzo chciał zaszczerpić dzieci, tobyś postawił na swoim. A poza tym sam też nie kiwnęłaś palcem, odkąd się dowiedzieliśmy o Iris.

– Byłem zajęty – oświadczam. – Kursuję cholernym pociągiem do Londynu i zasuwam cały dzień w gównianej robocie, zanim wrócę do domu, podczas gdy ty zajmujesz się nie wiadomo czym.

– Więc o to chodzi? – pytam.

Czyżby miał mi za złe, że nie wróciłam do pracy? Czyżby sądził, że całymi dniami przesiaduję w domu i zbijam bąki?

– Chodzi o działanie, Isobel. Dawniej byłaś aktywna, a teraz tylko czekasz, co się wydarzy. Rzecz nie w tym, co zrobiłaś, rzecz w tym, czego nie zrobiłaś.

– Na miłość boską, Eric. Czemu po prostu nie odpuścisz sobie tej gadki „to wszystko twoja wina” i sam czegoś nie zrobisz?

– A co właściwie miałbym zrobić? – pyta. – Iść do Bena i oświadczyć: strasznie żałujemy, że nie zaszczerpiliśmy Gabrielli, ale Bel najpierw się bała, a kiedy histeria minęła, zwyczajnie zapomniała? I że jest ci przykro, ponieważ Iris straciła słuch, ale przez ostatni tydzień jakoś się nie zebrałaś, by mu o tym powiedzieć?

– Skoro nicnierobienie to najgorsze przestępstwo, to owszem, trzeba było działać. Nie możesz w kółko powtarzać, że jestem winna, bo nic nie robię, skoro sam postępujesz

tak samo.

– Stawiasz mnie w sytuacji bez wyjścia – wybucha wzburzony. – Ben to mój najlepszy kumpel. Ty jesteś moją żoną. Współczuję wam obojgu.

– Serio? – pytam w odpowiedzi. – W żaden sposób nie dałeś po sobie poznać, że choćby pomyślałeś, przez co przechodzę.

– Nie myślałem o niczym innym – wyjaśnia odrobinę spokojniej. – Myślałem o tym, jak musisz się czuć ty, i o tym, jak muszą się czuć Ben oraz Maggie.

– I uważasz, że ja nie myślałam?

– Nie wiem. Nie wiem, czy rzeczywiście myślałaś. Ale na miejscu Bena, gdybym nie otrzymał żadnych wieści, żadnego szczerego gestu, chyba czułbym się zmuszony postąpić podobnie.

– Poważnie? – Nie mieści mi się to w głowie. – Czasami mam wrażenie, że już cię nie znam.

– Cóż, może to dlatego, że się zmieniłaś! – warczy ze złością. – Kiedyś miałaś duszę bojowniczkę.

Jestem ogłuszona jego wybuchem. Nie bardzo wiem, jak się bronić. Wiem, że się zmieniłam, jasne że tak, ale zmieniła się też sytuacja. Założyliśmy rodzinę.

– Zmieniłam się, bo mamy troje dzieci, Ericu. Zmieniłam się, bo postanowiłam zajmować się nimi osobiście. Nie jeżdżę codziennie do Londynu, żeby debatować o polityce i bieżących problemach z innymi podobnie myślącymi ludźmi. Siedzę w domu z dziećmi, wyczesuję im z włosów wszy i pilnuję, by odrobiły lekcje. Oczywiście, że się zmieniłam, ale to nie znaczy, że jestem złym człowiekiem.

– Tego nie powiedziałem, Isobel. Tylko...

Robi pauzę i przez moment myślę, że zamierza przeprosić.

– Spóźnię się do pracy – mówi. – Pogadamy później.

– Czyli mam zadzwonić dzisiaj do Bena? – pytam, kiedy sięga po kurtkę.

Nie chcę znowu zostać oskarżona o brak inicjatywy.

– Na razie nie – odpowiada Eric. – Możliwe, że sami będziemy musieli wynająć prawnika. Porozmawiamy później.

I rusza do drzwi frontowych.

– Pieprzyć ich obu – mruczę do siebie, mając na myśli i Bena, i Erica. – To jakiś sen wariata.

Ben, piątek rano

– Do zobaczenia później, piękna – szepczę, schylając się nad łóżeczkiem i całując śpiącą córeczkę przed wyjściem do pracy.

Nie muszę tego robić, by jej nie zbudzić, ale mój mózg nie przyjmuje tego faktu do wiadomości. Tak należy postępować w obecności śpiących: zniżyć głos, by im nie przeszkadzać.

Iris wygląda słodko, gdy śpi. Kontrast między jej snem i czuwaniem stał się obecnie większy. Głuchota sprawia, że w godzinach przytomności stała się marudna. Kiedy zasypia, potrafię niemal zapomnieć. Wdycham jej niemowlęcy zapach, chcę zatrzymać w płucach trochę jej spokoju, bo dziś rano przed wyjściem do szkoły czuję się pobudzony. W kółko o tym rozmyślam, zastanawiam się, czy list już dotarł. Zastanawiam się, czy go przeczytali.

I jeśli mam być szczerzy, trochę mnie mdli na myśl, że lada moment gównem wpadnie w wentylator. Jasne, tego właśnie chciałem, ale umiem sobie wyobrazić, jak zareagowałbym, gdyby ten list wylądował na mojej wycieraczce. Ścisnęłoby mi się serce, żołądek by się skurczył i poczułbym się cholernie wkurzony na człowieka, który kazał prawnikowi wysłać pismo. Chcę, żeby Isobel tak właśnie się poczuła. Musiałem. Nie chcę, żeby zapomniała.

– Dzisiaj wyślę list – oświadczyła Hedda wczoraj. – Powinni go otrzymać jutro z samego rana.

Ale teraz, kiedy „jutro z samego rana” nadeszło – cóż, mam mieszane uczucia.

Więc chociaż naprawdę powinienem już zbierać się do roboty, patrzę na Iris jeszcze przez chwilę – chyba po to, by sobie przypomnieć, dlaczego robię to, co robię, albo po prostu sobie przypomnieć, że naprawdę ją kocham mimo głuchoty.

– Zawsze chciał pan mieć dzieci? – zapytała Hedda na spotkaniu w poniedziałek, a ja zacząłem się zastanawiać: powiedzieć prawdę czy wygłosić cikliwą formułkę, która nada większą wagę „sprawie”.

Zastanawiałem się, czy sędzia miałby więcej współczucia, gdybym oznajmił, że zawsze chciałem mieć dzieci. Dodałoby patosu naszemu nieszczęściu, gdybym był mężczyzną, który marzył o potomstwie, lecz długo nie mógł spotkać właściwej kobiety, a kiedy wreszcie ją poznał, ich jedyne wedle wszelkiego prawdopodobieństwa dziecko spotkało nieszczęście.

Ale ja nie zawsze chciałem mieć dzieci.

– Raczej nie – odparłem zgodnie z prawdą.

Ludzie często zakładają, że ponieważ pracuję z dziećmi, muszę je lubić. Lecz tak nie jest. Nie zostałem nauczycielem, bo zawsze chciałem pracować z dziećmi, zostałem nauczycielem, ponieważ rozpaczliwie pragnąłem zostać aktorem i nie udało mi się zrealizować tej ambicji. Uczenie aktorstwa, popisywanie się przed gromadą smarkaczy w wieku od jedenastu do szesnastu lat, stanowiło namiastkę. Nędzną namiastkę.

Lubię niektóre dzieciaki, ale nie wszystkie, i nie lubię dzieci *per se*. Muszą sobie

zasłużyć na mój niechętny szacunek lub podziw. Na przykład Damian O'Flaherty, chłopak z klasy, którą przygotowuję do egzaminu GCSE – lubię go, bo jest bystrym uczniem, niezłym aktorem i trochę dziwakiem.

– Jaką lekturę przerabiacie na angielskim? – spytałem go w zeszłym tygodniu.

Wiedziałem, że jedną z dwóch powieści, *Myszy i ludzie* albo *Zabić drozda*.

– *Jak zabić drozda* – odparł – i część drugą: *Jak przyrządzić drozda*. To bestsellerowa książka kucharska.

– Jakie przepisy zawiera?

Rzuciłem tę uwagę mimochodem, ale on wyjął komórkę i pokazał mi dokument zatytułowany „Nasza lista”. Okazała się naprawdę pomysłowa. „Polewka z glist (Dickens)”, przeczytałem. „Pieczone skrzydła gołębic (Henry James)”, „Kotlety z lamy andyjskiej (Chaucer)?”.

Roześmiałem się.

– Bardzo zabawne.

– Nie widział pan jeszcze najlepszego – odparł, przewinął stronę w dół i pokazał: „Robimy z synem kruszon”.

Potrzebowałem kilku chwil, żeby skojarzyć, o co chodzi.

– Genialne. Tym się zajmujesz w wolnych chwilach?

– Pracowaliśmy nad tym z Emmą Johnson. – Wzruszył ramionami, jak gdyby wszystkie nastolatki dla zabicia czasu poświęcały godziny na zabawy słowne.

Lubiłem zatem Damiana i kilkoro innych, ale większość były to zwykłe plewy przechodzące przez edukacyjne młyny: nastolatki, których musiałem uczyć, generalnie niezbyt zainteresowane tym, co próbowałem im pokazać.

A obecnie również ci inteligentni i ujmujący budzą moje zastrzeżenia, ponieważ prowadzą życie młodych dorosłych, na jakie moja córka, jak się zdaje, straciła szansę. Mam do nich o to żal.

– Właściwie nigdy nie myślałem o tym poważnie, póki nie poznałem Maggie – oznajmiłem Heddzie w poniedziałek.

– Proszę mówić dalej.

– Kilka moich wcześniejszych partnerek pragnęło mieć dzieci, ale sam bez cienia wątpliwości nie byłem tym zainteresowany. Więc kończyło się rozstaniem.

– Jasne. – Coś zanotowała.

– Szczerze mówiąc, byłem święcie przekonany, że nie chcę mieć dzieci – ciągnąłem. – Gdy w przeszłości wspominałem o tym wcześniejszym partnerkom, doprowadzało to do rozpadu relacji, chociaż w zasadzie żadna relacja nie istniała.

– To znaczy?

– Było parę kobiet, z którymi się spotykałem, i chociaż nawet nie planowaliśmy zamieszkać razem i być ze sobą, wypływał temat posiadania dzieci. Kiedy oświadczałem, że ich nie chcę, dochodziły do wniosku, że nie mają ochoty być z kimś takim. Więc związki się rozpadały, w miarę polubownie. Jestem pewien, że tamte kobiety znalazły sobie partnerów lubiących dzieci i się ustatkowały.

– Co zatem skłoniło pana do zmiany zdania? – spytała Hedda.

– Po pierwsze, poznałem Maggie – odparłem, chociaż kiedy się to stało, dziecko

ani mi było w głowie.

Na papierze Maggie wydała mi się atrakcyjna między innymi dlatego, iż uznałem, że nie jest zainteresowana potomstwem. Choć w informacjach udostępnionych przez biuro matrymonialne nie wspomniała o tym, uznałem to za pewnik po prostu ze względu na jej wiek – czterdzieści trzy lata, kiedy się poznaliśmy – i założyłem, że jeśli kiedykolwiek pragnęła dzieci, ten czas ma już za sobą.

A gdy spotkaliśmy się twarzą w twarz, atrakcyjna okazała się ona sama. Była piękna, inteligentna oraz utalentowana i uwielbiałem jej towarzystwo. Korzystałem z usług biura od jakiegoś czasu i zawsze trochę się stresowałem. Na pierwszej randce trzeba w pewnym sensie grać, a choć lubię aktorstwo, nie lubię odgrywać samego siebie.

Z Maggie jednak już podczas pierwszego spotkania czułem się na luzie, tak samo jak kiedyś przy Bel. Gdy się poznaliśmy z Bel, czuliśmy się w swoim towarzystwie swobodnie. Czasami przychodziła do mojego pokoju i pytała, czy może sobie poczytać, podczas gdy pisałem jakiś esej, a ja lubiłem samą jej obecność. Nawet jeśli się nie odzywałem i pracowałem przy biurku, a ona leżała na łóżku, lubiłem już to, że jest obok.

Na randce jednak trzeba czymś wypełnić chwile milczenia – i naturalnie przeważnie jest co wypełniać. Tymczasem z Maggie chwile ciszy zdawały się raczej przerwami na oddech, na refleksję nad tym, co właśnie zostało powiedziane albo co zostanie zasugerowane za moment.

Będąc z nią, czułem się wspaniale. Była pierwszą osobą od Isobel, która zdawała się w porządku, tak bardzo w porządku, że jeszcze przed końcem spotkania oświadczyłem: „Naprawdę chciałbym się z tobą znowu zobaczyć – niedługo, jeśli nie masz nic przeciwko temu”.

– Dobrze – odparła. – Ja też chciałabym się z tobą jeszcze spotkać. Niedługo.

Czułem się szczęśliwy, gdy tamtego wieczoru wracałem do domu. I zobaczyliśmy się wkrótce, a później spotykaliśmy się tak często, jak pozwalał harmonogram jej tras koncertowych. Kilka tygodni po naszym pierwszym spotkaniu wyjechała na tournée do Szwajcarii, ale codziennie do siebie dzwoniliśmy. I myślałem o niej cały czas. Byłem zdumiony, że po dwudziestu kilku latach szukania właściwej kobiety sprawy mogą toczyć się tak gładko.

Prawie oczekiwałem, że coś się zepsuje: Maggie oświadczy nagle, że plan Hitlera, by stworzyć rasę panów, był całkiem rozsądny, albo wyzna, że jest seryjną morderczynią. Ale nic podobnego się nie wydarzyło. Wciąż mnie zaskakiwała swoją dobrocią i wspaniałomyślnością, poczuciem humoru, tym, co mówiła, i samą sobą.

Pewnego wieczoru, zaraz po tym, gdy wróciła z kilkudniowych występów w Lucernie, przeżyłem swój pierwszy moment w stylu „o, cholera”.

Nie mogłem się doczekać spotkania. Wysprzątałem mieszkanie, zrobiłem zakupy, zorganizowałem kwiaty i wino, ugotowałem coś dobrego, a ona opowiadała o koncertach, które grała, i o sali w Lucernie – podobno jednej z najlepszych na świecie – oraz o rejsie statkiem po jeziorze, na który się wybrali.

– Wszystko razem brzmi wspaniale – zauważyłem.

– I było wspaniale – odparła. – Ale tęskniłam za tobą.

Nachyliłem się przez stół, żeby ją pocałować – nie pierwszy raz tego wieczoru, ale

dłużej.

– Deser? – spytałem na zakończenie.

– Chodźmy najpierw do łóżka – odpowiedziała.

Więc poszliśmy. Idealne zakończenie idealnego wieczoru – póki nie zdjąłem prezerwatywy i nie odkryłem, że została przedziurawiona: na jej końcu widniało maleńkie, niemal niezauważalne rozcięcie, lecz niewątpliwie rozcięcie.

Tydzień, który nastąpił po tym, gdy Maggie powinna dostać okresu, był nie do zniesienia, a dzień, kiedy przyszła do mnie na kolację i przyniosła ze sobą test ciążowy – potworny. Tymczasem chwila, kiedy wynurzyła się z łazienki i wybuchnęła płaczem, przyniosła mi dziwną ulgę. Przynajmniej teraz wiedzieliśmy i wcale nie okazało się to takim koszmarem, jak się obawiałem.

– Chcesz je zatrzymać, prawda? – spytałem, tylko by się upewnić, na co pokiwała głową, stojąc całe jardy ode mnie i zanosząc się płaczem.

– Przepraszam – oznajmiła przez łzy. – Ale tak, chyba chcę.

I wtedy już wiedziałem.

Pokonałem dzielący nas dystans, wziąłem moją szlochającą dziewczynę w ramiona, całowałem ją, tuliłem, gładziłem po włosach i starałem się uspokoić, żeby jej powiedzieć.

– W porządku, Maggie. Ja też chcę. Będziemy mieli to dziecko razem.

– Nie musisz – powiedziała, odsuwając się lekko, tak że mogłem zobaczyć jej śliczną twarz ze śladami łez. – Wiem, że krótko się znamy. Wiem, że nigdy nie chciałeś mieć dzieci. Wiem, że nie o to ci chodziło.

– Nie chodziło, fakt – przyznałem zgodnie z prawdą. – Ale teraz już tak.

I to też była prawda. Gdyby Maggie nie chciała tego dziecka, jasne, w głębi duszy poczułbym ulgę, lecz zastanawiałbym się też, jakie by było. A teraz, kiedy wiedziałem, że kobieta, z którą czułem się swobodniej niż z kimkolwiek od wielu lat, nosi moje dziecko, chciałem się dowiedzieć, jak to jest. Nagle wypełniło mnie dziwne poczucie pewności i celu. Będę miał dziecko.

– Chcę tego dziecka, Maggie – powtarzałem jej raz po raz. – Chcę być z tobą i mieć z tobą dziecko. Wszystko się ułoży. Obiecuję.

I przez jakiś czas wyglądało, że mam rację.

– Kiedy Iris się urodziła... – powiedziałem do Heddy i musiałem zrobić pauzę, bo trochę się rozkleiłem, wspominając tamten moment.

– Proszę mówić dalej.

W sposobie, w jaki wypowiedziała „proszę”, usłyszałem zachętę, bym spróbował dokładnie opisać, co czułem.

– To było jak wszystkie najlepsze emocje, jakie czułem kiedykolwiek w życiu, połączone w jedno. Wcale się tego nie spodziewałem. Myślałem, że trochę potrwa, zanim pokocham to dziecko. Wiedziałem, że je pokocham, ale początkowo nie miałem pewności. Tymczasem kiedy tylko zobaczyłem ją pierwszy raz, miłość zawładnęła mną totalnie. Iris okazała się po prostu najdoskonalszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem. Chciałem, żeby to się nie zmieniło.

Urwałem, bo wiedziałem, że inaczej się rozryczę.

Hedda nie odpowiedziała. Ona też, odkryłem, potrafiła sprawić, że chwila ciszy wydawała się przestrzenią na oddech.

– Ale się zmieniło, nieprawdaż? – zakończyłem ostrzejszym tonem, z surowością, na której dźwięk prawniczka pokręciła głową i odwróciła wzrok.

Isobel, piątek, później

Rozpromieniona buzia Vincenta była dzisiaj jedyną rzeczą, jaka mnie ucieszyła.

– Przyjdiesz pomóc wolnym czytelnikom? – spytał z przejęciem.

Chwilę wcześniej Eric wyszedł na pociąg do Londynu.

– Lepiej rozejrzyj się za jakimś prawnikiem – rzucił mi na pożegnanie.

– Dzisiaj rano pomagam w klasie Vinniego – odpowiedziałam, ale Eric nie skomentował.

Lecz wyraźna ekscytacja Vincenta moją obietnicą sprawiła, że poczułam się kochana.

Vince ma coś, co szkoła określa jako „dodatkowe potrzeby alfabetyzacyjne”. Dokłada się wszelkich starań, żeby żadne dziecko nie czuło się mniej zdolne od pozostałych. Poszczególne grupy oznaczono za pomocą figur geometrycznych, a nie stopni. Są więc kwadraty, równoległoboki, prostokąty, trójkąty, owale i kółka: uczniowie przydzielani są do nich według zdolności, ale oznaczenia mają sugerować, że nie ma to nic wspólnego z umiejętnościami. Mimo to dzieci doskonale się orientują, o którą grupę chodzi. Nawet jeśli niektóre czytają nieco gorzej od reszty (albo nie czytają w ogóle), wcale nie są głupie. Vincent wie, że kwadraty i równoległoboki bez namysłu umieją pojąć znaczenie wyrazów na stronie, że potrafią samodzielnie czytać książki dla dorosłych i wylawiać informacje z arkuszy, które rozdaje nauczycielka. I jest w pełni świadomy, że jemu słowa wydają się dziwnym chaosem kształtów, przez co jest „nieśpiesznym czytelnikiem”.

Jeśli dodać do tego jego dziwne synestetyczne skłonności, zaczynam się zastanawiać, co Vinnie widzi na stronie.

– „Śmiech” to takie błotniste słowo – oświadczył dzisiaj rano, prowokując mnie do śmiechu właśnie.

Jego problemy z czytaniem, kiedy pierwszy raz dały o sobie znać, stały się przyczyną spięcia między mną i Erikiem. Ja chciałam znaleźć przyczynę.

– Myślę, że może mieć dysleksję – rzuciłam pewnego wieczoru.

Gdy wcześniej siedziałam na łóżku synka i czytałam mu po raz tysięczny *Bardzo głodną gąsienicę*, uświadomiłam sobie, że choć na pytanie, co zjadła gąsienica, odpowiedział: „jabłko”, podpowiedzi dostarczył mu obrazek, a nie podpis J-A-B-Ł-K-O.

– Nie jest dyslektykiem. Po prostu potrzebuje trochę więcej czasu niż przeciętny dzieciak, żeby się nauczyć – odparł Eric.

On też czytał z Vincentem. Zdawał sobie sprawę z problemów synka, ale mniej się nimi przejmował.

– Chyba powinniśmy go zabrać do jakiegoś specjalisty, żeby go obejrzał.

– Rozmawiałem z nauczycielką, Bel. To częste u chłopców w jego wieku, że trochę wolniej chwytają te rzeczy, ale w końcu załapie.

– A gdybyśmy mu znaleźli dodatkową pomoc, by załapał szybciej?

– I nazaczyli go na resztę życia? To ma być pomoc? Vincent jest bystrym

dzieciakiem, oboje to wiemy. Zaczyna czytać, chociaż powoli. Dostaje dodatkową pomoc, a nauczyciele nie uważają go za dyslektyka.

– Ale jeśli po prostu się nie zorientowali?

– Znają objawy. Zostali w tym kierunku wyszkoleni – upierał się Eric.

– Lecząc go do kogoś zabrali, zyskalibyśmy pewność.

Chciałam, by istniał powód, dla którego Vincent nie może czytać równie dobrze, jak Gabs i Harvey. Każdego wieczoru czytaliśmy im przed snem. Czytałam Gabs, odkąd była wystarczająco duża, by słuchać, aż nauczyła się to robić sama, a równocześnie Eric czytał Harveyowi w drugim pokoju. Potem czytałam Vincentowi, ale z jakiegoś powodu on sam bardzo powoli opanowywał tę umiejętność.

Jednak to Eric i nauczycielka mieli rację. Teraz mały zaczyna chwycić.

– Wiesz, że Paddy wymawia to bardziej jak „śmich” zamiast „śmiech”? – pyta Vincent, kiedy siedzę w jego grupce podczas pracy grupowej.

– Tak, rzeczywiście. To przez północny akcent.

– Prawdę mówiąc, to słowo wygląda bardziej jak „śmich” – ciągnie. – Przez „ś” i „i”. Powinno się mówić „śmich”, a nie „śmiech”.

Jego postępy tak mnie cieszą, że zapominam o liście, póki nie idę do pokoju nauczycielskiego, gdzie zauważam leżący na stoliku do kawy egzemplarz miejscowej gazety. Nie potrafię się zmusić, by po niego sięgnąć. Wystarczająco wiele wynioskowałam z nagłówka „Piętnastolatek zmarł na odrę” nad zdjęciem chłopca w szkolnym mundurku. Nie kojarzę tego mundurka, ale gazeta jest lokalna, więc dzieciak musiał pochodzić z okolicy.

A potem się orientuję, że jedna z asystentek klasowych przyłapała mnie na czytaniu tytułu, i odwracam wzrok, bo nie chcę zostać wciągnięta w rozmowę. Za późno.

– Pani najstarsza córka nie miała przypadkiem odrę? – pyta krytycznym tonem.

– Podczas wakacji – wyjaśniam, jakby z jakiegoś powodu stanowiło to okoliczność łagodzącą. W rzeczywistości pogarsza sytuację.

– Tak, słyszałam – stwierdza kobieta, a ja się zastanawiam od kogo. – Coś strasznego, prawda?

Uznaję, że chodzi jej o mnie: mówi, iż jestem okropna, ponieważ do tego dopuściłam, ale w tym momencie dostrzegam, że głową wskazuje gazetę.

– Tak. Straszne – potakuję.

– To chyba nie jest pierwszy przypadek i zapewne nie będzie ostatni – zauważa, a potem powtarza: – Naprawdę straszne.

Rzucam jakąś wymówkę i wychodzę, a jej krytyka, choć niewypowiedziana, dźwięczy mi w uszach.

Niedaleko od szkoły znajduje się basen i zwykle spędzam godzinkę, przepływając kilkanaście basenów, w przerwie między pomaganiem w klasie Vinniego a odebraniem go po lekcjach. Stoję pod prysznicem, gdy słyszę, jak ktoś wypowiada moje imię – z wahaniem, jakby nie miał pewności, czy to ja.

– Isobel?

– Hannah?

Wiem, że to ona: mój pytający ton jest wyrazem zaskoczenia, bo nie widziałam jej całe lata. Nie sądziłam nawet, że wciąż mieszka w Brighton.

– Jakie to dziwne, właśnie o tobie myślałam – oznajmia.

– Serio?

I bez tego spotkanie jest wystarczająco niezwykle.

Gdybyśmy się spotkały na ulicy, pewnie byśmy się ucałowały, ale tutaj, pod prysznicami, pokryte szamponem, wysuwamy tylko głowy spod potoków wody i rozmawiamy.

– Sądziłam, że wyjechałaś.

– Bo wyjechaliśmy – odpowiada. – Mieszkaliśmy w Hiszpanii. Wróciliśmy zaledwie kilka tygodni temu.

– I już płyniesz głównym nurtem.

Gra słów jest niezamierzona, ale właśnie na tym basenie poznałam Hannah, kiedy jej córka Rosa i moja Gabby miały parę miesięcy. Obie należałyśmy do grupy, która uczestniczyła regularnie w zajęciach pływania dla niemowląt. Mówiąc o przynależności, nie mam na myśli jedynie tego, że spotykałam się z tymi kobietami na basenie i że razem przywoziłyśmy dzieci na zajęcia, chcę powiedzieć, że czułam się z nimi związana.

W tamtym czasie nie byłam już częścią zespołu, nie należałam do gromady ludzi, którzy każdego dnia zrywają się o świcie, jadą metrem do firmy, gdzie spędzają cały dzień. Czułam potrzebę przynależności do innej grupy. I zostałam częścią właśnie tej: grupy pływania dla niemowląt.

Zajęcia odbywały się w basenie dla dzieci. Wodę podgrzewano do tak wysokiej temperatury, że miało się wrażenie, jakby się brało kąpiel, a niemowlęta miały złudzenie powrotu do matczynego łona. Wydawały się absolutnie zachwycone, gdy przeciągałyśmy je i obracałyśmy w wodzie, chlapałyśmy na nie, a nawet zanurzałyśmy z głową, by za chwilę wyciągnąć uszczęśliwione na powierzchnię.

– Niemowlęta nie boją się wody, póki nie podrosną – wyjaśniła trenerka i miała rację.

Gabriella zdawała się na basenie przeszcześliwa. W tamtym początkowym okresie było to jedno z nielicznych miejsc, gdzie czułam się w jej obecności naprawdę odprężona.

Pozostałe kobiety stały się moimi współpracowniczkami, osobami, z którymi ramię w ramię praktykowałam macierzyństwo. Tak samo jak ja były zdeterminowane „pracować” nad tym. Wszystkie miały wcześniej dobre posady. Teraz postanowiły zastosować swoje wyśrubowane standardy efektywności do wychowywania własnych dzieci. Były to kobiety, które upierały się przy karmieniu piersią, nawet jeśli brodawki pękały im i krwawiły, powodując fizyczny ból. Były to kobiety, które o północy przecierały ekologiczną marchewkę, by nie zatruwać maleńkich ciałek chemią czyhającą w słoiczkach z gotowymi potrawami. Były to kobiety, które czytały i szukały informacji o najnowszych teoriach i nurtach wychowania, dyskutowały o nich między sobą w szatni oraz wierzyły, że opinie, które sobie wyrobiły, są generalnie słuszne – szczególnie

Hannah. Nie przyszło mi do głowy, by cokolwiek kwestionować. Podobnie jak żadnej innej z tamtych wysoce inteligentnych, rozsądnych i myślących kobiet – bo wszystkie chciałyśmy przynależeć do grupy.

Hannah również wierzyła wtedy, że szczepienia są niepotrzebne – wszystkie bez wyjątku: ryzyko przeważało nad korzyściami: odpowiadały za wzrost zachorowań na astmę i alergię, w istocie wyrządzały szkodę układowi odpornościowemu dziecka, stanowiły w rzeczywistości rządowy spisek mający przymusić matki – do czego, nie było dla mnie zupełnie jasne. Kiedy wybuchła panika związana z MMR, zdawało się, że dodało to mocy argumentom Hannah.

– Miałabyś ochotę na kawę, kiedy się ubierzesz? – pytam teraz, podnosząc z podłogi okularki i szampon przed pójściem do przebieralni.

– Jasne, fajnie nadrobić zaległości. Ale nie mogę zostać długo. Muszę być w domu na piętnastą trzydzieści.

– Nie ma sprawy – odpowiadam, czuję się niemal szczęśliwa, wycierając się ręcznikiem i wkładając ubranie.

Jeśli ktoś okaże mi współczucie w sytuacji, w jakiej się znalazłam, na pewno będzie to Hannah.

– Jezu, musisz się czuć strasznie – oznajmia, gdy siedząc przy stoliku z widokiem na basen, pijemy z plastikowych kubeczków płyn będący kawą, jeśli wierzyć opisowi na automacie z napojami. – To znaczy, taki pech.

– Tyle tylko, że to nie pech, prawda? – odpowiadam. – Coś więcej niż złośliwość losu. To skutek tego, że nie zaszczepiłyśmy dzieci. Mogło to spotkać każdą z nas.

– Och, ja swoje zaszczepiłam – wyjaśnia dziarsko, jakby już zapomniała, że wypowiadała się przeciw temu z największą stanowczością.

Jestem totalnie zaskoczona.

– Kiedy? – pytam.

– Przed wyjazdem do Hiszpanii – wyjaśnia z uśmiechem. – Wcześniej podróżowaliśmy trochę po Afryce, więc je zabezpieczyliśmy. W Afryce wciąż wiele osób choruje. Dzieciaki umierają z tego powodu. To okropne.

– Serio?

Ogarnia mnie irytacja, więc nie przychodzi mi na myśl żaden inny komentarz. Hannah była przecież święcie przekonana, że to niepotrzebne.

– Owszem. – W jej głosie słychać dumę z własnej inteligencji. – Zresztą wcześniej awantura z MMR ucichła. Głupio byłoby tego nie zrobić.

Mam ochotę przewrócić kubek i wylać jej kawę na kolana. Jak może tu siedzieć taka spokojna i prawić mi morały, że głupotą byłoby nie zaszczepić własnych dzieci, skoro to właśnie pod jej wpływem uznałam, że nie powinnam tego robić?

Ale oczywiście ma rację. Byłam głupia. Nie musiałam postępować według jej rad tylko dlatego, że chciałam należeć do grupy.

– Muszę już iść – stwierdzam, próbując chronić swoją zranioną dumę. – Muszę odebrać syna ze szkoły.

Po drodze dzwonię do Sally. Wciąż jestem wściekła na Hannah i bardziej jeszcze na Bena. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej przerysowana wydaje się jego reakcja.

– Cholera – podsumowuje Sally. – To się nie mieści w głowie. Co zamierzacie?

– Nie wiem, Sally. List przyszedł dzisiaj rano. Nie mieliśmy czasu na zastanowienie.

– Co sądzi Eric?

– Nie wiem – powtarzam. – Za każdym razem, gdy próbuję z nim pomówić, robi mi wyrzuty, że nie zgodziłam się zaszczepić dzieci. I na tym poprzestaje. Zaczynam go nienawidzić.

– Musi się czuć podle, Bel. Ben to jego najlepszy kumpel. Znasz Erica.

– Byłam pewna, że znam, ale ostatnio mam wątpliwości. Na ogół jest bardziej praktyczny. Zwykle potrafi też zobaczyć sytuację z różnych punktów widzenia, a teraz wydaje się, jakby całą winę zwałił na mnie. Nawet gdy dostaliśmy ten list, miałam wrażenie, że to na mnie jest wściekły, a nie na Bena.

– To musiał być dla niego cholerny szok, kiedy się dowiedział, że Ben chce was pozwać. Mnie samej zrobiło się trochę niedobrze.

– Jasne, że był. Znają się od dzieciństwa. Wcześniej ani razu się nie pokłócili. Po prostu nie pojmuję, w co gra Ben. Czemu z nami wcześniej nie porozmawiał?

– Zadzwoń do niego?

– Nie – przyznaję. – Czekałam, aż pierwszy się skontaktuje. Ale wysłałam mu esemesa, a on nie odpowiedział.

– I do Maggie też nie dzwoniłaś?

– Nie – przyznaję. – Myślisz, że ona wciągnęła w to Bena?

– Nie wiem – odpowiada Sally. – Szczerze mówiąc, nie wierzę, by którekolwiek z nich mogło wpaść na ten pomysł.

– Po prostu tego nie pojmuję.

– Sytuacja jest trudna.

– Jest niemożliwa, Sally. Oczywiście teraz żałuję wielu moich decyzji. Ale nie można powiedzieć, że działałam z premedytacją. A wszyscy mnie tak traktują.

– Wszyscy? – spytała.

– No, ludzie. Dzisiaj rano też miałam scysję w pokoju nauczycielskim.

– Jakiego rodzaju?

– Właściwie nic wielkiego. Zwykła uszczypliwa uwaga. A potem spotkałam tę kobietę, która... – To był temat na dłuższą rozmowę, a nie miałam na nią czasu. – Zresztą nieważne. Po prostu wydaje mi się, że każdy, z kim próbuję porozmawiać, obwinia mnie za wszystko i naprawdę nie mam pojęcia, co robić.

– Może pogadaj z Yasmin? – podsuwa Sally. – Zapytaj ją o radę. To znaczy wiem, że byłoby lepiej, gdybyście wyjaśnili sprawę między sobą, ale jeśli oni naprawdę wynajęli prawnika, może wy też powinniście z kimś pomówić?

– Pewnie masz rację – mówię.

– To mogłoby ci pomóc. Jeśli porozmawiasz z Yasmin, przynajmniej się zorientujecie, jak wygląda wasza sytuacja z prawnego punktu widzenia.

– Hm... Mogłabym zadzwonić do niej do domu. Chociaż pewnie będzie zajęta

Conradem.

– Wydajesz się nieprzekonana. – Sally zauważa moje wahanie.

– Chodzi tylko o to, że... – zaczynam.

– O co?

Nie odpowiadam, bo nie jestem do końca pewna odpowiedzi. Może stałam się przeczulona, ale kiedy na przyjęciu usłyszałam o Iris i Yasmin zaprowadziła mnie do łazienki, nic nie powiedziała, więc może chodzi właśnie o to: nie jestem pewna, czy okaże mi współczucie, dlatego krępuję się prosić ją o pomoc.

– Nieważne, Sally – oświadczam, starając się, by mój głos zabrzmiał pogodnie. – Muszę kończyć i lecę odebrać Vincenta.

– Rozumiem – odpowiada. – Ale gdybyś potrzebowała pogadać...

– Dzięki – mówię i się rozłączam.

Ben, piątek, później

W połowie lekcji zerkam na zegarek i myślę, że do tej pory musieli przeczytać list. Zabawne, jak jedne sprawy wypierają z umysłu inne. Nie potrafię obecnie zapomnieć o pozwie, co znaczy, że trochę mniej rozmyślałam o głuchocie Iris.

Zastanawiam się, ile czasu potrwa, zanim odpowiedzą. „Zrobimy następny krok, jeśli nie otrzymamy odpowiedzi w ciągu tygodnia”, oświadczyła Hedda.

Strasznie długo. Oczekuję natychmiastowej reakcji.

W kancelarii odtworzyliśmy sekwencję zdarzeń. „Proszę pozwolić, że jeszcze raz wszystko powtórzę”, oznajmiła, chociaż notowała każde słowo i wypytywała mnie w trakcie. Nie można jej zarzucić braku skrupulatności. „To bardzo ważne, jeśli sprawa ma się zakończyć pomyślnie”.

Kiwnąłem głową.

– Jest pan pewien, że Isobel Black była świadoma, iż jej córka zaraża, gdy zostawiła Gabriellę z pańską żoną i dzieckiem w waszym wakacyjnym domu we Francji?

Skinąłem znowu.

– Jest pan pewien? – naciskała.

– Tak – potwierdziłem. – Jestem pewien.

W tamtej chwili nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale gdy później zaczęliśmy wszystko analizować, uświadomiliśmy sobie, że musiała wiedzieć.

– Czy ostrzegła państwa, że przeciągający się kontakt z jej córką może stanowić zagrożenie dla państwa dziecka?

Tym razem pokręciłem głową.

– Panie Deakin? – ponagła Hedda i uświadamiam sobie, że musi usłyszeć moją odpowiedź.

– Wtedy nic o tym nie wspomniała. Po powrocie od lekarza, który zdiagnozował odrę u Gabrielli, oznajmiła Maggie, że wiedziała, iż wiele osób choruje. Wiedziała, że kilkoro kolegów ze szkoły Gabrielli zachorowało, i wiedziała, że przed przyjazdem córka spędzała z nimi czas, szczególnie z Samem, swoim chłopakiem... bardzo dużo czasu.

– Zatem pańskim zdaniem wiedziała, że to odra, przy pierwszych objawach choroby córki?

– Jeśli nie wiedziała na pewno, musiała mieć poważne obawy. Isobel nie jest głupia, wręcz przeciwnie. Wiedziała, że Gabby miała styczność z osobami chorymi i wiedziała, że córka nie jest szczepiona, znała też objawy. Zdawała sobie sprawę, że to najbardziej prawdopodobna przyczyna choroby Gabrielli.

– Zatem jest pan pewien, że gdy zapytała, czy może zostawić chorą Gabriellę z pańską żoną i córką, zdawała sobie sprawę, iż naraża pańskie dziecko na ryzyko zarażenia tą wysoce zakaźną chorobą?

– Wiedziała. Musiała wiedzieć – odpowiedziałem, a potem dodałem w duchu, bo nie chciałem, by Hedda to zanotowała: „Ale nie wspomniała o tym, kurwa, ani słowem”. Dopiero następnego dnia, kiedy wróciła z Gabriellą od lekarza.

Odprężyłem się trochę, gdy Isobel pojechała z Gabby do lekarza. Jej wydziwianie nad dziećmiakami – nie tylko nad Gabs, odkąd poczuła się źle, ale generalnie nad całym kompletem – zaczynało mi działać na nerwy.

Kilka dni wcześniej wziąłem sobie brioszkę z pojemnika na chleb i natychmiast usłyszałem, że mam ją odłożyć.

– Ben, mógłbyś ją schować z powrotem? Harvey jeszcze nic nie jadł, a nie wolno mu dawać croissantów, bo z większym prawdopodobieństwem mogły mieć kontakt z orzechami.

Kusiło mnie, by zakwestionować oba te stwierdzenia. A: Harvey siedział przy stole nad miską niedojedzonych płatków, i to nie Złotowłosa je napoczęła, oraz B: byłem prawie pewny, że croissanty nie mają ani trochę większych szans na kontakt z orzechami niż brioszki.

W rzeczywistości Isobel chodziło o to, że Harvey nie przepada za croissantami, a ponieważ została tylko jedna brioszka i mnóstwo rogalików, uznała, iż bułkę należy odłożyć dla kochanego synusia, zamiast oddać na pożarcie mnie. Mowy jednak nie było, aby to przyznała otwarcie: „Czy mógłbyś ją zostawić, bo Harvey je lubi, a ta jest ostatnia, więc wolałabym, żeby on ją zjadł, a nie ty!”.

Wcześniej natomiast urządziła nedorzeczną szopkę bezstronności. Harvey i Vince namalowali obrazki i zapytali, który jest lepszy. Według mnie zdecydowanie dzieło Vincenta, ale zamiast po prostu to przyznać, Isobel zaczęła wyliczać rozmaite zalety obu rysunków. Co nie zadowoliło żadnego z chłopaków.

Vincent wziął pudełko płatków ze stołu.

– Zrobmy słoneczniki z płatków i zobaczymy, czyj będzie ładniejszy!

Roześmiałem się, bo moment wcześniej Harvey zażartował, że obrazek brata przypomina kartofel, na co Vincent odparował: „Mój nauczyciel mówi, że tamten malarz, który zwariował i obciął sobie ucho, malował ludzi tak, że przypominali kartofle”.

– Van Gogh – wtrąciła Isobel.

Najwidoczniej Vincent zapalił się do tematu – czy raczej byłby się zapalił, gdyby zabranie pudełka nie doprowadziło Conrada – który siedział wgapiony w nie i z pozoru nieświadomy obecności innych osób w kuchni – do ataku dzikiego szału. Wydał ten swój koszmarny wrzask, rzucił się na podłogę i zaczął płakać. Ani się obejrzelśmy, jak rosty szesnastolatek leżał na ziemi, waląc w nią pięściami i szlochając jak smarkacz.

Przykro było na to patrzeć.

W pierwszej chwili ogarnęło mnie współczucie – dla Yasmin, która musiała go uspokoić, i dla samego Conrada. „Jak to jest być kimś takim?”, dumałem. „Jaki obłąkany świat zamieszkiwał, skoro drobny epizod wywołuje w nim tak wielką rozpacz?”.

Iris była jeszcze na górze z Maggie w naszym pokoju, więc nie chodziło o to, że scena mogłaby ją wystraszyć. Vincent jednak był wyraźnie wstrząśnięty i nieszczęśliwy.

– Przepraszam – powiedział i odstawił pudełko na miejsce.

Za późno. Mleko już się rozlało.

– Właśnie, przepraszam – dodała Isobel.

Nie wyglądała jednak na skruszoną. Myślę, że była wkurzona, ponieważ stuknięty synek Yasmin wystraszył jej zdrowych chłopców.

Dlatego ucieszyłem się, kiedy pojechała z Gabriellą do lekarza.

Leżeliśmy z Maggie nad basenem. Iris pluskała się pod parasolem w swojej nadmuchiwanej łódce, a w pobliżu widzieliśmy chłopców z Mirą, młodszą siostrą Conrada, próbowali się wspiąć na drzewo i zapewne również rozkoszowali się nieobecnością matki. Nie było nikogo, kto psułby im zabawę uwagami typu: „Ostrożnie”, „Nie wspinajcie się za wysoko” i „Chyba powinniście już zejść”.

Conrad był w swoim pokoju, a Yasmin wcześniej odciągnęła leżak od basenu w spokojniejszą część ogrodu, gdzie czytała. Widocznie każdy potrzebował czasu dla siebie.

– Przejdę się nad jezioro.

Eric wynurzył się z kuchni, gdzie Paddy i Sally nadal siedzieli przy stole, w spokoju pijąc kawę. Jako gospodarze odpowiadali za lwią część interakcji towarzyskich. Nie wydawali się tym przytłoczeni, ale gdy leniwie obróciłem głowę w upale i ujrzałem ich siedzących w milczeniu, uznałem, że nawet oni mają chwilowo dość wylewności i chcą zostać tam, gdzie są, nic nie mówiąc i nic nie robiąc.

Eric przystanął obok nas. Jego uwaga została wygłoszona w tonie oznajmującym, ale wahanie, z jakim się zbierał do odejścia, sugerowało pytanie.

– Baw się dobrze – rzuciłem, uwalniając go od obowiązku wyjścia z propozycją, czy chcemy się przyłączyć.

Zerknął na chłopców, lecz nic nie powiedział, i odszedł.

– Nareszcie spokój – zauważyłem, kiedy znalazł się poza zasięgiem słuchu.

– Zaczyna ci to wszystko działać na nerwy? – spytała wyciągnięta na leżaku Maggie, leniwie wodziła dłonią w płytkiej wodzie w łódce, podtrzymując kontakt z Iris w najbardziej ospały sposób.

– Trochę.

Sięgnąłem i ująłem ją za drugą rękę.

– A tobie?

– Jest w porządku – odparła, ściskając moją dłoń. – Ale miło mieć chwilę dla siebie. Może wezmę Iris, żeby popływała w basenie.

Iris uwielbiała wodę, lecz czuła się niepewnie, kiedy w basenie robiło się tłoczno. Nasza gromadka była tak liczna, że wypełniał się błyskawicznie.

– Przyłączę się – powiedziałem i usiadłem, spoglądając na chłopców i Mirę.

Uznałem, że wkrótce zrobi im się za gorąco i przyjdą się ochłodzić.

– Hej, Iris, idziemy popływać naprawdę? – Maggie nachyliła się do chlapiącej wodą córeczki.

– Ba. – Mała prysnęła wodą, na co Maggie zgarnęła ją z dwucentymetrowej kałuży i zaniósła na stopnie basenu.

Ruszyłem za nimi, ale po niespełna dwóch minutach nadbiegli chłopcy z Mirą, spoceni, pokryci korą i brudem, i wskoczyli obok nas. Harvey miotał się w wodzie, płynąc

czymś w rodzaju niezbornego motylka – stylu zbyt forsownego, by nadać mu nazwę zwiewnego owada. Wzbudził wielkie fale, aż rozkołysana woda chlapnęła Iris na buzię i mała wybuchnęła płaczem.

– Chłopcy! – przybrałem belferski ton. – Trochę mniej gwałtownie. Omal nie skoczyliście Iris na głowę.

– Sorry, Ben – odpowiedziała chórem cała trójka, lecz energia, jaką ze sobą wnieśli, sprawiała, że woda wciąż pozostawała wzburzona.

– Uspokójcie się trochę!

Znowu podniosłem głos, w duchu ciesząc się, że mogę ich skarcić pod nieobecność Isobel. Gdy wcześniej w obecności matki posłałem w ich kierunku kilka łagodnych uwag typu: „Nie chłapcie za bardzo”, słyszałem, jak mruknęła „Są na wakacjach” – jak gdybym nie miał prawa powiedzieć nic, co by im zepsuło zabawę.

– Sorry – powtórzyli znowu chórem.

– Idziemy nad jezioro? – Harvey okazał swoje niezadowolenie z powodu uwagi, sugerując, by się oddalili od irytującego dorosłego. – Popływamy później.

– Dobry pomysł.

Mira posłała mi pełne wyrzutu spojrzenie, kiedy wspinali się na brzeg, po czym ruszyli biegiem w stronę prowadzącej nad jezioro ścieżki, wpadając na wracającego z przechadzki Erica. Nastąpiła krótka wymiana zdań, a potem mężczyzna podszedł do nas i akurat w tej samej chwili jakiś samochód z chrzęstem zaparkował na żwirze z boku domu, a po odgłosie zatraskiwanych drzwiczek zorientowaliśmy się, że Anton, Isobel i Gabriella wrócili.

Eric poszedł się przywitać.

– Jak się czuje? – dosłyszałem jego pytanie.

Patrzyłem, jak obchodzą dom i znikają we wnętrzu, a kilka chwil później doleciały mnie ich głosy z sypialni, którą dzielili z Gabriellą. Były podniesione, jakby się kłócili, ale nie rozróżniałem słów.

Dowiedziałem się dopiero później – chwilę po tym, gdy Maggie z Iris poszły zdjąć mokre stroje kąpielowe, a ja ruszyłem za nimi sprawdzić, co je zatrzymało.

Isobel, piątek po południu

– Jesteś głodna, skarbie? – pytam Gabs, która właśnie wróciła ze szkoły. – Kupiłam w piekarni słodkie bułeczki.

Córka odrzuca mój prezent na zgodę.

– Coś sobie wezmę. – Otwiera pojemnik na chleb i wyjmuje szczerstwiały bochenek. Wyzywająco kroi sobie kromkę.

Vincent pałaszuje pokrojone w plasterki jabłko z kremem czekoladowym. Tylko w ten sposób potrafię go nakłonić do jedzenia owoców.

– Jak było dzisiaj w szkole, Vinnie? – pyta Gabby.

– Żółtawo – odpowiada, oblizując palec z czekolady. – Mama przyszła pomóc.

– Aha. – Gabs zamyka pojemnik. – A co będziesz robił teraz?

– Nic – odpowiada radośnie.

Gabriella najwyraźniej uważa, że bratu należy wskazać właściwy kierunek.

– Chcesz pożyczyć moje ukulele?

Vincent uczy się grać i instrument znikający z pokoju Gabs bywa przyczyną napięć. Wygląda jednak na to, że dzisiaj zależy jej, by brat po niego poszedł.

– Może – odpowiada Vinnie, wstając. – Dzięki.

– Jest pod biurkiem – informuje Gabs, kiedy mały wychodzi z kuchni. Potem zwraca się do mnie: – Co się dzieje?

– W jakim sensie?

– Chodzi mi o list, który dostałaś rano. Najwyraźniej coś w nim było. Co?

– No cóż, to był... – Gabs mnie zaskoczyła. – To był...

– Tak?

– Najpierw muszę porozmawiać z tatą – próbuję.

– Był od Bena? – Okazała się lepiej zorientowana w atmosferze minionego tygodnia, niż zdawałam sobie sprawę.

– Niezupełnie.

– Więc? – pyta nadąsana. – Jeśli nie od Bena, to od kogo?

– Później ci wyjaśnię. Po prostu muszę wcześniej pogadać z tatą.

– Czemu zawsze dowiaduję się o wszystkim ostatnia? – wybucha, nakręcając się coraz bardziej. – Nigdy niczego mi nie mówicie! Mam prawo wiedzieć. Z tego, jak się zachowujecie, widać, że to ma jakiś związek z Benem i Iris. Może powinnaś mi powiedzieć. Może mogłabym coś zrobić. Może gdybyś uznała za stosowne mnie uprzedzić, że nie zostałam zaszczepiona, byłabym w stanie coś zmienić.

– To nie była twoja decyzja...

– Czemu nie? Mogłaś przynajmniej mnie poinformować i pozwolić mi postąpić, jak uznam za słuszne, kiedy podrosnę. Wszyscy mówią o tym w szkole. Inne dzieciaki wiedzą, że nie były szczepione. A ja dowiedziałam się dopiero wtedy, gdy ten francuski doktor obrócił się i oświadczył mi, że mam pieprzoną *rougeole*.

– Gabs, nie mów do mnie w taki sposób... – zaczynam, ale wychodzi z kuchni

i idzie na górę do swojego pokoju, akurat w chwili, gdy ze szkoły nadciąga Harvey.

- Cześć – rzuca dziarsko.
- Cześć, kochanie. Jak mecz? – pytam.
- Aha. W porzo. Umieram z głodu.
- Są słodkie bułeczki – proponuję.
- Świetnie.

Przyjmuje z entuzjazmem to, czym Gabriella wzgardziła. Siada za stołem i najwyraźniej oczekuje, że mu je przyniosę. Robię tak. Przez Gabriellę czuję się, jakbym zawiodła, mogę przynajmniej uszczęśliwić Harveya, dając mu jeść.

Kiedy wróciliśmy od lekarza w Biscarrosse, Eric wpadł w furję.

– Mówiłem ci, że to nieodpowiedzialne, ale nie chciałaś słuchać – mówił podniesionym głosem. – Jezu. Mogłem przypuszczać, że tak się skończy.

Byliśmy w naszej sypialni, a Gabs wróciła do łóżka.

– Ciszej, Gabby próbuje zasnąć – syknęłam, ale bardziej niepokoiłam się otwartym oknem oraz Benem i Maggie, którzy siedzieli przy basenie i mogli nas usłyszeć.

Francuski doktor nie potrzebował wiele czasu, by stwierdzić, że choroba Gabrielli to *la rougeole*. Moja francuszczyzna jest raczej słaba, ale wystarczająca, bym zrozumiała, że to brzmi czerwono i wysypkowo.

– Odra – potwierdził.

– Odra? – zdziwiła się Gabby. – Jakim cudem złapałam odrę?

W odrętwieniu osunęła się na krzesło, dysząc ciężko.

– Pewnie złapałaś od Sama – wyjaśniłam łagodnie, chociaż wiedziałam, że nie o to jej chodzi.

– Co jeszcze powiedział lekarz? – spytał Eric. – Wyjdzie z tego?

– Tak, wspomniął tylko, żeby podawać jej paracetamol na zabicie temperatury i coś od kaszlu, ale poza tym czekać, aż sama wyzdrowieje.

– Ile to potrwa?

– Prawdopodobnie około dwóch tygodni, o ile nie dojdzie do powikłań.

– Cóż, ze względu na ciebie miejmy nadzieję, że nie dojdzie.

– To niesprawiedliwe, Ericu. Nie widzisz, że już czuję się wystarczająco podle? Nie widzisz, że żałuję swojej decyzji, gdy patrzę, jak cierpi Gabs? Nie pomagasz mi tym wypominaniem.

– A co z chłopcami? – spytał spokojniej, choć bez skruchy.

– Uprzedził, że mogli się już zarazić – wyjaśniłam. – Ale mimo to możemy ich zaszczepić, chociaż odporność zyskają dopiero za kilka dni.

– W takim razie zawiozę ich dzisiaj po południu – odparł, wyraźnie chcąc się zdystansować od mojej decyzji i pokazać, że to on postępuje rozsądnie.

– Może nic im nie będzie – powiedziałam z nadzieją. – Głównie spędzają czas na dworze. Prawie nie mieli kontaktu z Gabriellą.

Tak było. Dom wydawał się przestronny, ale przy takiej gromadzie ludzi pękał w szwach, więc zamiast nocować na podłodze w naszej sypialni, chłopcy woleli się

przenieść do letniego domku na końcu ogrodu. Podejrzewam, że właśnie fizyczne odseparowanie od Gabby, kiedy zarażała najbardziej, uchroniło ich przed zachorowaniem.

– Ale Iris się stykała. – Eric ujął w słowa to, co już wiedziałam, a co dręczyło mnie w niemal równym stopniu jak stan Gabrielli. – Gabs spędziła z nią cały dzień, kiedy pojechaliśmy na wydmy.

– Wiem.

Tak jak wiedziałam, zanim lekarz zapytał, czy Gabriella miała kontakt z kimś z „podatnej grupy” – że niemowlęta są bardziej wrażliwe na tę chorobę, a Iris jest za mała na szczepionkę.

– Musisz uprzedzić Maggie – oznajmił Eric, kolejny raz zrzucając odpowiedzialność na mnie.

A Maggie, kiedy jej powiedziałam, zezłościła się tak samo jak on.

Zresztą, sytuacja od pierwszej chwili, gdy zapukałam do jej pokoju, była niezręczna. Chyba sądziła, że to Ben, bo otworzyła wpół ubrana, tylko w figach, zasłaniając piersi T-shirtem.

– Przepraszam – odezwałam się, widząc jej zawstydzenie. – Ja tylko na słówko.

– W takim razie lepiej wejdz – odparła, ale wciąż wyglądała na skrępowaną.

– Może zaczekam chwilę na zewnątrz?

– Nie, wszystko w porządku. – Odwróciła się i włożyła podkoszulek przez głowę, po czym wróciła do siedzącej na łóżku Iris i sięgnęła po parę leżących tam szortów. – Właśnie się przebierałyśmy – stwierdziła rzecz oczywistą i wciągnęła spodni na siebie.

Tak naprawdę żadna z nas nie miała powodów do zawstydzenia. Ale chyba obie czułyśmy się skrępowane. Sytuacja była dziwaczna – jak wtedy, gdy przyłapujesz nago inną kobietę, szczególnie jeśli sypia z facetem, z którym ty sama kiedyś sypiałaś.

Więc od początku zaczęło się kiepsko, a potem było tylko gorzej.

Iris siedziała na łóżku zawinięta w ręcznik z kapturem, uśmiechała się i gaworzyła „ba ba ba ba”. Potem dodała kilka innych przypadkowych dźwięków, jak to dzieci w jej wieku, tak doskonale naśladowując intonację dorosłych, że brzmią niemal, jakby mówiły, tyle że w języku zrozumiałym jedynie dla nich. Matki udają co prawda, że rozumieją – i w pewnym sensie, intuicyjnie, tak jest. Wychwytyują sens, jak ktoś znający kilka słów po francusku, gdy rozmówca jest do niego życzliwie nastawiony.

Maggie zdjęła z krzesła stos porzuconych ubrań Bena, żeby mogła usiąść gdzieś indziej niż na łóżku obok nich. Już zmąciłam im chwilę intymności. Chyba nie chciała, bym wtargnęła głębiej, poza linię krzesła przed toaletką.

– Dziękuję.

– Baaa, baaa – ćwierkała Iris cała w uśmiechach.

– Och, naturalnie, prawda? – odpowiedziała córeczce Maggie.

– Uwielbiam, kiedy maluchy sprawiają wrażenie, jakby mówiły, zanim się naprawdę nauczą. – Odczuwałam dotkliwie, jak marginalną rolę odgrywam w tej scenie.

Iris rozpoczęła kolejny niezrozumiały monolog i obie się roześmiałyśmy.

– Jestem pewna, że dla niej ma to sens. – Zdawało się, że Maggie odrobinę się odprężyła.

– Ja też. Pewnie uważa, że to my wygadujemy bzdury.

– Co jest prawdą w odniesieniu do większości z nas przez większą część czasu.

Ponieważ byłam przeczulona z powodu celu tej wizyty, przyszło mi do głowy, że pije do mnie.

– To część procesu uczenia się, jak mówić... – zaczęłam, ale zabrzmiało to niczym wymądrzanie się doświadczonej matki, jakbym znowu przybrała ton kogoś podkopującego autorytet Maggie, co wytykał mi Eric.

– Jak było u lekarza? – spytała.

– No cóż, widzisz... – utknęłam, a potem zaczęłam nerwowo paplać. – Podobno ostatnio notują sporo przypadków. Tutaj w okolicy i u nas, w kraju, też. Jedna czy dwie osoby z klasy Gabrielli też zachorowały. Więc stykała się często...

– Z czym? – Maggie weszła mi w słowo.

– Z odra. Lekarz powiedział, że to odra.

– Biedna Gabby – zaczęła wolno, jakby wypowiadając najpierw to, co jej zdaniem należy powiedzieć, i równocześnie pozwalając, aż dotrą do niej implikacje tego faktu dla niej i dla Iris. – Nic dziwnego, że tak źle się czuła.

– Ba ba? – Wyglądało to, jakby Iris zaskoczyła wyraźna zmiana nastroju matki.

– Wie-em.

Maggie podniosła ją, mocniej owinęła rącznikami i przytuliła opiekuńczo, nadal rozmawiając ze mną.

– Odra jest bardzo zaraźliwa, Isobel.

– Wiem o tym, chyba że ktoś został zaszczepiony. Iris została?

Lecz wiedziałam, że jest na to za mała, zastrzyk oferowano rutynowo w wieku trzynastu miesięcy. Niektóre dzieci otrzymywały go jednak wcześniej, jeśli wyjeżdżały gdzieś, gdzie mogły się zetknąć z chorobą...

Chwytałam się mentalnej brzytwy.

– Nie! – Maggie podniosła głos i zaraz go zniżyła, gdy Iris przekręciła się, by na nią spojrzeć, zaniepokojona gniewnym tonem. – I Gabriella zapewne też nie!

– Nie. – Pokręciłam głową.

Powinam była milczeć i po prostu przeprosić za wystawienie Iris na ryzyko. Powinam była jasno dać do zrozumienia, jak źle się z tym czuję. Powinam była zaproponować, że Eric zabierze ją samochodem do Biscarrosse, razem z chłopcami.

Mogłam powiedzieć właściwie wszystko – i na pewno byłoby to lepsze od tego, co powiedziałam w rzeczywistości.

– Maluchy często dostają od matki przeciwciała pomagające im uporać się z różnymi zagrożeniami w pierwszym roku życia, szczególnie jeśli... – dotarłszy do końca zdania, uświadomiłam sobie, że jeśli skończę, obrażę Maggie dodatkowo.

Dokończyła za mnie.

– ...jeśli były karmione piersią? To zamierzałaś powiedzieć, Isobel? Jezu Chryste.

Nigdy wcześniej nie słyszałam, by wpadła w gniew albo choćby burknęła na Bena, jak często się to zdarza: nie z braku życzliwości, tylko po prostu wyładowując na człowieku, którego się kocha najbardziej, swoją irytację na świat.

– Przepraszam. Naprawdę przepraszam, Maggie.

– Musiałaś wiedzieć od początku, że to dlatego jest chora. Musiałaś się domyślać. Skoro wiedziałaś, że chorowali jej koledzy, i wiedziałaś, że nie ma odporności, czemu milczałaś? Czemu wcześniej nie zabrałaś jej do lekarza? Czemu mnie nie ostrzegłaś? Już wczoraj wiedziałaś, że zapewne ma odrę, i zostawiłaś ją ze mną, pozwoliłaś jej bawić się z Iris, choć wiedziałaś, jak bardzo zaraźliwa jest odra, wiedząc, że Iris zachoruje.

– Przepraszam. Nie pomyślałam.

– Fakt, nie pomyślałaś. Jezu Chryste, Isobel, co ty sobie wyobrażałaś? Jesteś inteligentną kobietą. To ciężka choroba.

– Nie zawsze. Znam mnóstwo ludzi, którzy ją przechodzili w dzieciństwie.

Iris rozplakała się, wyraźnie wytracona z równowagi rozgrywającą się w jej obecności kłótnią. Nie dodałam już nic więcej, a Maggie wzięła głęboki oddech, jakby próbowała się uspokoić, zanim zajmie się kapryszącą małą.

– Wiem, skarbie. Wiem. – Zaczęła lekko kołysać Iris, skupiona na niej, i podniosła wzrok na mnie tylko po to, by oświadczyć: – Chcę, żebyś natychmiast wyszła.

Odtwarzając tę scenę w pamięci, znowu zastanawiam się, czy to Maggie stoi za listem prawniczki. To po prostu zupełnie nie pasuje do Bena. Nieważne, jak wściekły bywał na mnie w przeszłości, zawsze dochodziliśmy do porozumienia, gdy chodziło o sprawy między nami.

Tymczasem Maggie, jak się zdaje, nigdy naprawdę mnie nie lubiła i nasz konflikt jej nie obchodzi. Nie mogę uwierzyć, że Ben zaryzykowałby utratę któregokolwiek z nas, nawet po tym, co się stało.

– Mogę usiąść? – pytam teraz Gabriellę. Nawet wobec własnej córki czuję lekkie skrępowanie, gdy mam usiąść obok niej na skraju jej łóżka.

– Więc co się dzieje?

Gabs odsuwa się pod ścianę tak daleko, jak to możliwe. Nie mogłaby stworzyć między nami większego dystansu, chyba że przeniknęłaby na drugą stronę. Jej postawa wyjaśnia wszystko. Nie wiem, co odpowiedzieć.

– Widzisz – zaczynam – co do listu z dzisiejszego ranka...

– Tak?

– No cóż, nie omówiłam tego jeszcze z tatą, a to konieczne, i będziemy musieli dowiedzieć się więcej, więc jeśli ci wyjaśnię, czy możesz na razie nie mówić o tym nikomu?

– To zależy – odpowiada.

– Gabs, proszę. To naturalne, że się niepokoisz. Dlatego przyszłam. Ale nie chcę martwić chłopców, jeśli nie będę musiała. Im mniej osób wie, co jest grane, tym lepiej.

– Więc co jest grane?

Przygląda mi się, biorę głęboki oddech.

– List był od prawniczki – wyjaśniam. – Prawniczki reprezentującej Bena i Maggie. Zamierzają nas pozwać do sądu za, no cóż...

Milknę, bo uświadamiam sobie, że muszę ostrożnie dobierać słowa, aby nie poczuła się w jakikolwiek sposób winna, chociaż wiem, że czuje się odpowiedzialna.

– Za to, że Iris straciła słuch – podejmuję. – Chcą, byśmy pokryli część kosztów, które mogą ponieść w związku z takimi sprawami jak specjalne wyposażenie, szkoła, tego rodzaju rzeczy. To było w liście.

– Ale czemu po prostu nas nie poproszą? – dziwi się Gabby. – Ile pieniędzy im trzeba?

– Nie wiem jeszcze – mówię. – I nie wiem też, czemu poszli do prawniczki.

– Co zamierzasz zrobić? – pyta.

To samo stare pytanie, na które mam tę samą starą odpowiedź.

– Nie wiem – rzucam i ze sposobu, w jaki na mnie patrzy, zgaduję, że znowu jej nie zadowoliliam. – Chyba powinniśmy skonsultować się z prawnikiem. Ale najpierw spróbujemy pogadać z Benem. Jestem pewna, że możemy rozwiązać ten problem we własnym gronie.

Próbuję ją uspokoić, ale sama nie jestem o tym przekonana.

DRUGI TYDZIEŃ

Ben, sobota rano

– Mógłbyś po prostu wyłączyć dzisiaj komórkę? – pyta Maggie z irytacją.

Zaprosiła znajomych na lunch. Jedną ze swoich koleżanek – czy raczej byłych koleżanek, jeśli nie wróci do pracy. Zaprosiła Lolę z mężem i dzieckiem w nadziei, że trochę nas to rozerwie, ale po niespokojnej nocy, po niespokojnym tygodniu, chyba tego żałuje.

– Przepraszam. – Chowam aparat do kieszeni.

Ciągle jest włączony i będę na niego zerkać. Skoro tego życzy sobie Maggie, spróbuję udawać, że to zwyczajna sobota. Ale nie jest zwyczajna. Mam dziwne wrażenie, jakby była ostatnia.

Do tej pory musieli dostać list i oczekuję jakiejś reakcji. Tak samo jak w zeszłym tygodniu, kiedy wiedziałem, że Isobel i Eric usłyszeli o głuchocie Iris, i byłem pewien, że się odezwą.

– O której Lola i Joe przychodzą? Co mogę zrobić?

– Około pierwszej. Przyprawdzą ze sobą George'a. Mam na obiad rybę. Zastanawiam się, czy dokupić dla małego paluszków rybnych albo czegoś w tym rodzaju, na wypadek gdyby się okazało, że nie lubi ryby?

– Mam iść kupić? – Jestem pełen dobrych chęci. – Mogę zabrać ze sobą Iris. W drodze powrotnej poszlibyśmy na chwilę do parku, a ty zajęłabyś się obiadem, chyba że wolisz, żebym został i pomógł ci tutaj.

– Nie. – Łagodnieje. – Byłoby fajnie, gdybyś wziął małą do sklepu. A w drodze powrotnej kup jeszcze wino.

– Jasne – odpowiadam.

Od dawna z nikim się nie spotykaliśmy. Wino to dobry pomysł. Trzeba się trochę rozerwać. Wiem, że ostatnio nie jestem szczególnie wyluzowany. A nie chcemy, by nasi przyjaciele trafili w miejsce przepełnione beznadzieją i lękiem.

Isobel wydawała się odmieniona, kiedy poszedłem ich odwiedzić pierwszy raz po narodzinach Gabrielli. Oczekiwałem, że będzie zaabsorbowana małą, zmęczona i tak dalej, ale pozostanie w zasadzie tą samą Isobel. Nie pozostała.

Po pierwsze, wkurzyła się na mnie, że nie zjawiłem się kilka miesięcy wcześniej. Gabs miała pół roku, kiedy ich odwiedziłem. Wcześniej wysłałem kartkę i kwiaty, zadzwoniłem do Erica z gratulacjami. Ale faktycznie nie poszedłem do nich, faktycznie nie obejrzałem dziecka.

Nie zdawałem sobie sprawy, że to takie ważne. Byłem wtedy zajęty. Miałem dwie prace, jedną jako barman w pubie w Soho, a drugą – której nie znosiłem – prowadzenie badań rynkowych na Oxford Street, a na dodatek agenta ustawiającego mi przesłuchania do ról, których nigdy nie dostawałem.

Nie miałem pojęcia, że podczas gdy pchałem naprzód własne życie, w głowie

Isobel powstało wrażenie, że ją olewam – dopóki nie zadzwonił Eric.

– Planujesz w ogóle się u nas zjawić? – spytał, i to „w ogóle” sugerowało urazę.

Była to sugestia, że ich zaniedbałem, więc lepiej, żebym ruszył tyłek do Brighton i obejrzał cholernego bachora.

Więc obiecałem, że przyjadę w jakąś sobotę.

Zaprosili mnie na lunch, ale kiedy dotarłem na miejsce, Bel wciąż w szlafroku siedziała na sofie, karmiąc małą, a co do lunchu, to wyraźnie nikt nawet o nim nie pomyślał, nie mówiąc o jego podawaniu.

Drzwi otworzył Eric. Muszę przyznać z ręką na sercu, że cała sytuacja wydała mi się dziwna: fakt, że zostali rodzicami, a zwłaszcza szopka (jasne, wiem, „szopka” nie jest określeniem politycznie poprawnym, ale takie właśnie odniosłem wtedy wrażenie), kiedy Isobel przywołała mnie gestem do sofy, na której tkwiła, nie mogąc się ruszyć, bo mała (znacznie większa, niż się spodziewałem) przysysała się do jej piersi.

Wiem, że dzisiaj to brzmi niedojrzale, samczo, nie w stylu „nowego mężczyzny”, ale widok karmiącej kobiety mnie krępuje, szczególnie jeśli tą kobietą jest Isobel. Szlafrok miała rozchylony, a pierś tak obnażoną, że każdy – no cóż, w każdym razie ja – by skamieniał na ten widok. Jakby dla pogorszenia sytuacji, gdy się nachyliłem, żeby cmoknąć Isobel, niemowlę przestało ssać i przekreśliło główkę, by na mnie spojrzeć.

W efekcie w chwili, kiedy się schyliłem do pocałunku, znalazłem się nagle tuż przed jej sutkiem, większym, ciemniejszym i bardziej nabrzmiałym, niż gdy ostatni raz widziałem go z tak bliska.

– Jak ci się podoba? – spytała Isobel.

– Śliczna – odparłem, bo nie bardzo wiedziałem, co innego mógłbym powiedzieć.

– Napijesz się czegoś? – zaproponował Eric i byłem mu wdzięczny za zmianę tematu.

– Wystarczy kawa – rzuciłem, wyobrażając sobie, że to w miarę proste życzenie.

– Niestety, nie mamy kawy – odparł i spojrzeli na siebie z Isobel. – Herbata?

– Świetnie.

– Zaparzę ją, a potem wyskoczę tylko do sklepu po kilka rzeczy.

– Jak Gabs skończy jeść, mógłbyś na nią zerknąć, a ja wezmę prysznic i się ubiorę?
– spytała Isobel.

– Pewnie – zgodziłem się, choć bez przekonania.

Eric wrócił z kubkiem, a wkrótce później zostawili mnie dosłownie z dzieckiem na rękach, podczas gdy on poszedł kupić lunch, a Bel myła się i przebierała. Niemożliwe, żeby była nieobecna dłużej niż dziesięć minut, ale mnie wydawały się wiecznością. Nie miałem pojęcia, co robić, więc potrząsałem nad małą zabawkowym królikiem z koralikami w brzuchu z nadzieją, że się nie rozplacze.

Po makaronie z sosem z lokalnego sklepiku Isobel oświadczyła, że znowu zamierza nakarmić Gabriellę, a potem odpocząć. Eric zaproponował, byśmy wyskoczyli do pubu. A raczej spytał Bel, czy nie będzie miała nic przeciwko temu. Żeński imperatyw.

– Wezmę ze sobą komórkę. Możesz przysłać esemesa, kiedy się zbudzisz albo będziesz mnie potrzebować – uspokoił ją w sposób sugerujący, że udajemy się na wyprawę w Himalaje, zamiast osuszyć pintę w pubie na końcu uliczki.

– Więc co słytać? – spytałem, kiedy zainstalowaliśmy się w kącie Open House.

– Jeśli mam być szczery, łatwo nie jest. – Upił łyk piwa.

– Wyobrażam sobie – przytaknąłem, chociaż tak naprawdę sobie nie wyobrażałem.

Wręcz nie miałem o tym pojęcia. Zastanawiałem się, jak trudna może być opieka nad dzieckiem. – Mała jest fantastyczna – dodałem. – A Bel wygląda na naprawdę szczęśliwą.

– Fakt. Gabs jest niesamowita. Poważnie, Ben, nigdy nie sądziłem, że mógłbym pokochać kogoś równie mocno, jak kocham Gabriellę, a Isobel poświęciła się jej całkowicie.

Wyczułem jakieś „ale”.

– Ale?

– Właściwie sam nie wiem. To znaczy, Bel jest wspaniałą matką. Praktycznie nie rozstaje się z Gabs i radzi sobie naprawdę dobrze. Ale czasami wydaje się, jakby trochę wyolbrzymiała różne rzeczy.

Kiwnąłem głową, ale nie do końca rozumiałem, o co mu chodzi.

– Wczoraj wróciłem do domu... – Eric zniżył głos, choć pub był prawie pusty. – Gabriella spała w łóżeczku, więc liczyłem, że Isobel skombinowała nam coś do jedzenia. Wiem, że to brzmi staromodnie.

– Nie całkiem.

Isobel cały dzień siedziała w domu z dzieckiem. Eric kursował do Londynu i przez cały dzień tyrał w robocie. Nadzieja, że na koniec tego dnia dostanie obiad, nie była powrotem do lat pięćdziesiątych, wydawała się rozsądna.

– Wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale tak jakby musimy jeść, kiedy trafia się okazja, a to że Gabs spała, było taką okazją. Tylko że Isobel nic nie przygotowała na obiad. – Eric zrobił pauzę, po czym dodał: – Co jest w porządku. Nie mam problemu z tym, żeby po powrocie do domu upichcić coś dla nas obojga.

– Mów dalej.

– No cóż, wróciłem trochę wcześniej. Pędziłem, bo w ciągu dnia rozmawiałem z Bel i wydawała się nieszczęśliwa. Gabs miała mały wypadek.

– Jaki?

– Trochę się zadrapała. Nie wyglądało to groźnie, ale Isobel uznała, że to jej wina. Zmieniała małej pieluszkę, kiedy zadzwonił telefon, więc trochę za szybko chwyciła Gabs z podłogi i mała zawadziła główką o kant szafki w łazience. Rzeczywiście miała na buzi ślad.

– Wypadki się zdarzają. – Zastanawiałem się, w czym problem.

– To samo powiedziałem, ale jak dotarłem do domu, Bel zachowywała się jak opętana. W pierwszej chwili nawet nie zauważyła, że wszedłem. Cięła na kawałki gąbkę i oblepiała każdy kant, jaki znalazła: narożniki stołów, oparcia krzeseł, nawet poręcz schodów.

– Po co? – Nie załapałem.

– To było naprawdę chore. Twierdziła, że chce uchronić małą przed ponownym zranieniem, ale do połowy miejsc, które zabezpieczyła, Gabs nawet nie dosięgnie. Rozumiesz, nawet nie umie jeszcze raczkować.

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Próbowałem przemówić jej do rozumu. Oświadczyłem, że życie jest pełne zagrożeń i nie zdoła ochronić Gabrielli przed każdym z nich, ale usłyszałem tylko coś w stylu: „Cóż, zamierzam zrobić wszystko, co w mojej mocy”, a potem Bel się rozplakała.

– Rzeczywiście brzmi trochę dziwnie – wyraziłem swoją opinię na tyle stanowczo, na ile się ośmieliłem. Prawdę mówiąc, to było kompletnie porąbane.

– I nie odpuściła. Była zmęczona i głodna, ale w dalszym ciągu się tym zajmowała, podczas gdy ja gotowałem. Gdy skończyłem, owijała kłamki od drzwi kawałkami prześcieradeł.

– A potem?

– Trochę się uspokoiła. Skłoniłem ją, żeby zjadła, potem Gabs się zbudziła i trzeba ją było nakarmić, a kiedy skończyła, czuła się taka wykończona, że poszła spać. Następnego ranka wstała trochę pogodniejsza, wzruszyła ramionami i oświadczyła, że trochę przesadziła, po czym nawet zdjęła niektóre zabezpieczenia!

– Więc to był tylko jednorazowy wypadek?

– Na to wygląda...

Czekałem.

– Strasznie się wszystkim przejmuję, Ben. Nie wiem, czy to normalne, czy też coś więcej. Myślałem, że będzie jej łatwiej. Martwię się, że wpadła w depresję poporodową.

Zasugerowałem coś w rodzaju: „Może powinna się spotkać z psychologiem?”. Ale nie wiem, czy to zrobiła. Nie wiem, czy Eric myślał o tym poważnie. Wydaje mi się, że tamtego wieczoru chciał tylko pogadać.

I niemal jak na zawołanie – właśnie gdy o tym myślę, wkładając płaszcz i przygotowując spacerówkę, by zabrać Iris do sklepu – komórka wibruje mi w kieszeni, a kiedy ją wyjmuję, widzę znajomy numer.

Eric.

– Halo. – Staram się, by mój głos brzmiał neutralnie.

– Ben, tu Eric.

– Wiem.

– Słuchaj, możemy porozmawiać?

– Trochę późno – zauważam.

– Chcesz, żebym zadzwonił kiedy indziej?

Najwyraźniej nie rozumie.

– Chcę powiedzieć, że telefonu od ciebie spodziewałem się wcześniej.

– Wiem, Ben, powinienem był zadzwonić. Tylko... słuchaj, naprawdę wam współczuję z powodu tego, co spotkało Iris. To straszna wiadomość, przykro mi i wiem, że jesteście częściowo odpowiedzialni...

– Więc dlaczego nie zadzwoniłeś? – pytam. – Czemu nie zadzwoniłeś, kiedy się dowiedzieliście? Sally dzwoniła w zeszłym tygodniu. Inni dzwonili, przysyłali mejle albo listy. Cały czas czekałem, aż ty albo Isobel się odezwiecie. I nic. Czemu milczeliście?

– Przepraszam, Ben. Uwierz mi. Chciałem, ale...

– Więc co ci przeszkodziło?

– Byłem wściekły.

– Wściekły? Dlaczego? – Podniosłem głos, aż Maggie, która znajdowała się w kuchni, podeszła do drzwi z Iris na rękach i spojrzała pytająco. – Eric – wyjaśniłem bezgłośnie.

– Byłem wściekły na Isobel – wyjaśnił. – Wiem, że ja też zawiniłem. Naprawdę wiem. Ale wściekłem się na Isobel. Wiem, powinienem do was zadzwonić, kiedy tylko się dowiedzieliśmy, i naprawdę żałuję, że nie zadzwoniłem, ale chciałem, żeby to ona coś zrobiła.

– Cóż, nie zrobiła. – Esemesa od niej nie liczę.

– Wiem, i przykro mi, że ja też nie – odpowiada Eric, a potem robi pauzę, jakby czekał na moją reakcję.

– Skoro tylko po to dzwonicz, to właśnie wychodzę z Iris do parku – mówię i dodaję: – Szybko się teraz nudzi.

– Przepraszam – powtarza Eric. – Mam zadzwonić później?

– Nie, znajomi przychodzą na lunch.

– W porządku – odpowiada, i to wszystko. Rozłącza się.

– Co powiedział? – pyta Maggie.

– Nic ważnego.

– Musiał coś powiedzieć.

– Że mu przykro z powodu Iris i żałuje, że nie zadzwonił wcześniej – wyjaśniam.

– Dostali list?

– Tak sądzę – odpowiadam. – Myślę, że to go skłoniło do rozmowy. Ale nie wspomniał o tym.

– Dlaczego nie zapytałeś?

– Nie wiem.

To prawda. Sam nie wiem, czemu tak mało mu powiedziałem. Czekałem na jego telefon, ale kiedy usłyszałem jego głos – cóż, to był Eric, a ja się nie kłóczę z Erikiem. W gruncie rzeczy to sprawa między mną a Isobel. On chyba też to rozumie i dlatego był taki lakoniczny.

Isobel, sobota rano

– Co powiedział? – pytam, kiedy Eric wraca z ogrodu i wsuwa komórkę do kieszeni.

Jest sobotni rano. Wczoraj wrócił późno wieczorem, zmęczony i głodny, i marzył, by się położyć, ale najpierw porozmawialiśmy chwilę i obiecał, że dzisiaj rano zadzwoni do Bena, zanim cokolwiek postanowimy. Wyszedł do ogrodu, bo dom jest pełen dzieci. Ale kiedy wraca, mamy kuchnię dla siebie.

– Właściwie nic – odpowiada, zamykając drzwi do ogrodu.

– Ale coś musiał powiedzieć? – dopytuję, choć nie było go zaledwie dwie minuty.

– Wydawał się zirytowany.

– To oczywiste, ale co powiedział?

– Serio, prawie nic. Wyznałem, że mi przykro, ponieważ nie zadzwoniłem, a on na to, że jemu też. I że jest zły. Zły, że żadne z nas się nie odezwało. A potem stwierdził, że musi kończyć.

– Czyli o liście nie wspomniał ani słowem.

– Nie.

Eric zaczyna się krzątać przy czajniku i teraz to mnie ogarnia irytacja – na niego. Zastanawiam się, czy coś przede mną ukrywa.

– Ale go zapytałeś?

– O co?

– Dlaczego wysłali list?

– Wiemy dlaczego, czyż nie, Bel? – Zwraca się do mnie. – Wszystko zostało tam napisane, jasno wyłożone.

– Ale sądziłam, że właśnie dlatego do niego zadzwoniłeś. Żeby znaleźć jakieś wyjście z sytuacji.

– Tak było. Ale on nie chciał gadać.

– Więc po prostu odpuściłeś?

– Nie odpuściłem. Zadzwoniłem i przeprosiłem za to, co się stało... za naszą w tym rolę. Któreś z nas musiało, a ty się nie kwapiłaś. Miałaś cały tydzień, a palcem nie kiwnęłaś.

– Nie bardzo wiedziałam, co ani jak... – Już to przerabialiśmy. Nasze życie zaczyna przypominać *Dzień Świstaka*. Pierwszy szok minął i nasze dyskusje stają się podobne.

– Nic nie wspomniałem o liście. Ben też nie. Właśnie wychodził na dwór z Iris.

– Więc zadzwonisz do niego później?

– Zaproponowałem to, ale powiedział, że przychodzą do nich znajomi.

Staram się nie okazywać furii, jaką budzi we mnie jego niezadowolająca odpowiedź.

– Więc tak to zostawiłeś.

– Owszem, tak to zostawiłem, Bel. Do cholery, to mój najdawniejszy przyjaciel. Zadzwoniłem do niego, a on jasno dał mi do zrozumienia, że nie chce ze mną gadać.

Według ciebie jak się z tym czuję? Co miałem powiedzieć?

W głosie Erica słyhać ostry ton i to nie gniew. Myślę, że jest nieszczęśliwy.

– Przepraszam – mówię i podchodzę niego. Wyciągam rękę, żeby go dotknąć, ale się odsuwa.

– Nie, Isobel – rzuca. – Po prostu nie.

– Nie rozumiem... – zaczynam.

– Czego nie rozumiesz? Co miałem mu powiedzieć? „Przykro mi, że wasza córka ogłuchła i że myśmy do tego doprowadzili, i wiem, że życie twoje i Maggie stanie się cięższe, ale nic nie możemy na to poradzić, więc czy mógłbyś dać sobie spokój z prawniczką? Wybacz, że Isobel nie zadała sobie trudu, by zadzwonić osobiście, ale była zajęta pomaganiem chłopcom w lekcjach”?

– Och, na litość boską, Ericu. Po prostu sądziłam, iż będzie łatwiej, jeśli to ty z nim porozmawiasz, przecież wiesz. Owszem, jest twoim kumplem z dzieciństwa, a ja, co w kółko powtarzasz, niewątpliwie jestem winna. Mogłeś mu to wszystko powiedzieć. Mogłeś mnie obsmarować za moimi plecami.

– Więc taką masz o mnie opinię? – pyta Eric, a jego przekonanie o własnej wyższości bez względu na to, w jakim kierunku zmierza awantura, doprowadza mnie do szału. – Sądziłaś, że zadzwonię do niego tylko po to, żeby cię obsmarować?

– Nie o to mi chodziło.

– Więc o co?

– Po prostu czasem mam wrażenie, jakby twoja przyjaźń z Benem była ważniejsza niż nasze małżeństwo.

– Bzdura – kontruje. – Szczególnie biorąc pod uwagę, jak się czasem zachowujecie z Benem.

– Co sugerujesz? – Słowa padają i żałuję, że je wypowiedziałam. Czy Eric wie więcej, niż daje po sobie poznać?

– Że nigdy do końca nie odpuściłaś.

– To niedorzeczne – protestuję, być może zbyt gwałtownie. – Ben jest moim przyjacielem, odkąd go znam. Dzięki niemu poznałam ciebie. Gdyby nie wasza przyjaźń, pewnie straciłabym z nim kontakt.

– Naprawdę jesteś bardziej zapatrzona w siebie, niż sądziłem – rzuca, a ja czuję się zbyt urażona, by odpowiedzieć. – Musiałaś wiedzieć, że Ben miał na twoim punkcie obsesję. Ubóstwiał cię, a ja nigdy cię nie winiłem, że nie odwzajemniasz jego uczuć, ale musiałaś zdawać sobie z tego sprawę. Nawet po naszym ślubie, zanim poznał Maggie, wciąż był w ciebie wpatrzony... a ty na to pozwalałaś.

– Cóż, skoro tak bardzo ci to przeszkadzało... – zaczynam.

– Przeszkadzało, owszem – potwierdza i wpadam w panikę. – Przeszkadzało mi, kiedy cię poznałem, bo mogłem się domyślić, co czuje, chociaż nigdy nie pisał ani słowa. Wiedział, że mi się podobaś, i nigdy w żaden sposób nie zasugerował, że nie jest zachwycony, ponieważ ze sobą chodzimy, ale wiem, jak to musiało go boleć.

– Ja też wiedziałam – zapewniam, by nie wyjść na totalnie nieczułą.

– Więc powinnaś pozwolić mu odejść wcześniej – stwierdza Eric. – I fakt, może ja też powinienem coś zrobić. Może byłbym dla niego lepszym kumplem, gdybyśmy

rzadziej się z nim spotykali, ale to częściowo przez...

– Przez co? – pytam zaciekawiona i jednocześnie pełna lęku.

– Przez ciebie – wyjaśnia krótko.

Czekam, aż to rozwinie.

– Przez to, jak traktowałaś dzieci, jak zmieniły się twoje zainteresowania... Czasem czułem, jakbyś stała się obcą osobą. Potrzebowałem mieć przy sobie kogoś, kto wciąż widział cię taką jak dawniej. To mi pomagało.

– Nie wiem, co powiedzieć.

Tylko to mi przychodzi do głowy. Nie wiem, od jak dawna Eric tak czuje. Naprawdę jego zdaniem tak bardzo się zmieniłam? Naprawdę tak bardzo go rozczarowałam?

– Cóż, po prostu nie zamierzam pozwolić, żeby nam to zrobił – oznajmiam, nabierając stanowczości w kwestii, w której wcześniej byłam niezdecydowana. – Teraz to dotyka także nas, Ericu... nas wszystkich. Wiem, że to, co spotkało Iris, jest straszne, ale nie możemy pozwolić, żeby Ben i Maggie zniszczyli również nasze życie.

– Nie sądzę, by tego chcieli – zauważa.

– Nie? Więc czemu rozdmuchali całą sprawę, jeśli nie po to, by się odegrać?

– Ktoś im musiał doradzić – wyjaśnia cicho. – Może lekarze podpowiedzieli takie rozwiązanie. Kimkolwiek była ta osoba, zapewne nie знаła charakteru łączących nas relacji. Może chodzi im po prostu o dobro Iris.

Chryste, czy Eric musi być tak cholernie rozsądny?

– A co z naszym dobrem?

– Po prostu musimy stawić temu czoło, Isobel – odpowiada irytująco wyważonym tonem.

– Więc co teraz zrobimy?

– Jak mówiłem, poszukamy prawnika i poprosimy o poradę – stwierdza, ale w tym momencie przerywa nam Gabriella, która schodzi na śniadanie.

– Co się dzieje? – kieruje pytanie do nas obojga.

– Myślałem, żeby zabrać chłopaków dzisiaj przed południem na kręgle – odpowiada Eric, chociaż wie równie dobrze jak ja, że Gabs nie o to chodzi. – A ty jakie masz plany?

– Idziemy z Lucy pograć na ulicy – wyjaśnia.

Robią tak od czasu do czasu, Gabriella i jej przyjaciółka Lucy: wyruszają w nieznane i wykonują kilka piosenek na ulicach Brighton. Lucy gra na gitarze i śpiewa, a Gabs akompaniuje na waltorni i śpiewa drugim głosem. Świetnie się razem prezentują, brzmią uroczo – i zgarniają sporą kasę. W pół godziny zarabiają znacznie więcej, niż ja mogłabym dostać teraz, po tak długiej przerwie w pracy.

Od czasu do czasu przeglądam ogłoszenia w gazetach i zastanawiam się, czym mogłabym się zajmować i ile zarobić, gdybym spróbowała wrócić na etat. Jak się okazuje, w pierwszej i drugiej kwestii odpowiedź brzmi: przygnębiająco mało.

Nie żałuję, że zrezygnowałam z pracy. Za nic nie chciałabym stracić pierwszych lat życia dzieci, nie potrafiłabym ich oddać nikomu pod opiekę. Ale teraz, gdy dorastają i mam nieco więcej czasu dla siebie, trochę żałuję, że nie zadbałam o to, by mieć

w zanadrzu jakieś opcje. Że nie planowałam różnych rzeczy, zamiast pozwalać, by po prostu mi się przydarzały.

Po pierwszym szoku, gdy upewniłam się, że jestem w ciąży, weszłam w dziwną fazę i niemal uwierzyłam, że to się nigdy nie zdarzy: że jeśli dalej będę się zachowywała jak zwykle i zignoruję ruchy dziecka, coraz silniejsze z każdym dniem, jakimś sposobem wszystko minie. Może ciąża osiągnie punkt szczytowy, a potem się cofnie: moje ciało stopniowo wchłonie dziecko rosnące w moim wnętrzu, i powróci do punktu sprzed poczęcia.

Byłam w trzydziestym drugim tygodniu, fizycznie w niezłym stanie, lecz wciąż na emocjonalnej huśtawce, kiedy to się stało.

Wracałam samolotem z Krakowa z grupką kolegów. Na zakończenie trzydniowej delegacji w celu zebrania danych oraz obejrzenia rozmaitych obszarów przemysłowych poszliśmy do restauracji na pierogi. Wcale nie opychałam się za dwoje, ale zgłodniałam w podróży, a ciepłe faszerowane ciasto zaspokajało chętkę na sycące jedzenie.

Objadłam się okropnie, więc kiedy w samolocie poczułam lekkie mdłości i rozboleł mnie brzuch, uznałam, że po prostu ponoszę konsekwencje nadmiernego dogadzania sobie. Zanim wystartowaliśmy, ból przybrał na sile. Mogłam go porównać jedynie do zatrucia pokarmowego, jakie przeżyłam w Indiach, dlatego zaczęłam przeklinać samą siebie za obżarstwo.

– Za dużo zjadłam wczoraj wieczorem – wyjaśniłam znajomej, obecnie pani minister, przeciskając się przejściem między fotelami do toalety w tylnej części samolotu, z nadzieją, że spacer złagodzi ból.

– Dobrze się czujesz? – spytała Helen.

– Chyba się zatrulałam. Mam okropne bóle brzucha.

– Jak często się powtarzają? – Wyglądała na zaniepokojoną, lecz nawet wtedy nic mi nie zaświtało. – I kiedy się zaczęły?

– W nocy – odpowiedziałam. – Z początku nie były mocne, ale mam wrażenie, że przybierały na sile.

Moje ciało przeszył nagły skurcz, aż musiałam się schylić i oddychać głęboko, by opanować ból. Helen wcisnęła guzik i wezwała obsługę pokładową.

– Isobel – oznajmiła tak łagodnie, że wciąż płaczę na to wspomnienie. – Zaczęłaś rodzić.

Z lotniska Gatwick karetką najszybciej można dotrzeć na oddział położniczy w Redhill, gdzie Gabriella przyszła na świat. Personel nie mógłby być życzliwszy, a opieka, jaką mała została otoczona, lepsza, ale szpital znajdował się dobrą godzinę jazdy od domu i po upływie pierwszego tygodnia, gdy nie wymagałam już opieki medycznej, nie mogłam w nim zostać.

To było najgorsze w całej sytuacji: że musieliśmy ją zostawić w inkubatorze, utrzymywaną przy życiu dzięki rurkom i aparatowi tlenowemu, i wrócić do naszego

londyńskiego mieszkania, wiedząc, że mamy dziecko – gdzieś tam w świecie, nie przy sobie.

Helen przyszła nas odwiedzić, była serdeczna i zabawna w tym dobrym sensie. Sprawiała, że zaczęłam się śmiać z własnej niewiedzy, z tego, że naprawdę nie miałam pojęcia, iż zaczynam rodzić.

– Zastanawiam się, co by się stało, gdyby nie było cię w pobliżu – zwrócił się do niej Eric. – Mogłaby urodzić dziecko w samolotowej toalecie.

Aż się wzdygnęłam. Kiedy Helen podniosła alarm, stewardesa wiedziała, co robić. Była gotowa odebrać poród, ale na szczęście do tego nie doszło. Gdyby Gabby naprawdę się urodziła, nim dotarłybyśmy do szpitala, nie byłoby jej teraz z nami.

W momencie, gdy Helen powiedziała: „Zaczęłaś rodzić”, moje nastawienie uległo zmianie. Wiedziałam, że kocham to dziecko najbardziej na świecie i że gdyby coś mu się stało, byłabym zdruzgotana. Wszelkie obawy, że mogę nie być zdolna go pokochać, ulotniły się bez śladu. Pokochałam ją całą sobą, kiedy pierwszy raz zobaczyłam to drobnutkie ciało nie większe od łyżki. Zamartwianie się, że mogłaby nie przeżyć, gdy leżała na intensywnej terapii, przypominało mi ból po stracie matki, tylko znacznie silniejszy. Zabrzmiało to strasznie, bo kochałam matkę i wciąż rozpaczliwie za nią tęsknię, teraz nawet bardziej – ale co do tamtej straty, wiedziałam, że zdołam ją przetrwać, i tak było. Nie sądzę, że zdołałabym znieść utratę tego dziecka.

Ojciec rozplakał się, kiedy pierwszy raz zobaczył nas obie. Spojrzał na Gabriellę leżącą w małym akwarium inkubatora i wybuchnął płaczem.

Przepraszał raz po raz.

– Wybacz, Bel. Tak strasznie mi przykro.

– Proszę, nie mów tak – powtarzałam w kółko, bo myślałam, że jego zdaniem mała nie przeżyje i że już mi współczuje po stracie.

Ale on żałował, że muszę przez to przechodzić. Wyjaśnił, że nie umiał znieść widoku mojego bólu.

A cierpiałam rzeczywiście. Z radością macierzyństwa mieszała się straszliwa udręka: niemal maniackalne pragnienie, by ochronić potomstwo przed każdym zagrożeniem, jakie niesie świat, wraz z okropnym, paraliżującym strachem, że jest niemożliwością tego dokonać.

Przywiezienie jej do domu nasiliło lęk. Zostałam sama. Byłam odpowiedzialna za tę kruszynę. To ja musiałam podejmować decyzje mające wpływ na jej przyszłość. Nagle wszystkie drobne rozstrzygnięcia, z którymi świetnie sobie radziłam w pracy, wydały mi się doniosłe, a ich skutki niewyobrażalne.

Nie uświadamiałam sobie wtedy, jak bardzo niewyobrażalne.

Ben, niedziela wieczorem

– Powiedz mu, że żałujemy, że nie przyszliśmy na jego pięćdziesiątkę – mówi Maggie.

Maluje z Iris. Tworzą jednego z tych motyli, jakie robią dzieci, zamalowując połowę kartki, a potem składając ją na pół, by powstało odbicie.

– Nie ma nam tego za złe. Zna powody.

– Cóż, i tak powiedz, że nam przykro – nalega Maggie, jakby miała w tym jakiś cel. Nie bardzo wiem jaki.

– Niedługo wrócę. – Domyślam się, że wolałaby mnie mieć pod ręką w niedzielny wieczór. – Anton wylatuje wcześniej rano.

Maggie już o tym wie. Zadzwoił wczoraj zaraz po wyjściu naszych znajomych. Odebrałem, bo myślałem, że może to znowu Eric, ale zaskoczony usłyszałem głos Antona – chyba nie telefonował do mnie nigdy wcześniej – wyjaśnił, że rano wylatuje na konferencję z lotniska w City, nocuje w hotelu i zapytał, czy mam chęć na drinka.

Ze sposobu, w jaki to powiedział, wywnioskowałem, że mógłby się okazać współczującym słuchaczem.

– Nie chodzi mi o czas – odpowiada Maggie, chociaż wciąż zdaje się trochę zrzędliva. – Dobrze ci zrobi rozmowa z kolegą.

– W porządku, do zobaczenia później.

Całuję ją i Iris.

Mam mieszane uczucia przed spotkaniem z Antonem. Nie widziałem go od wakacji i podejrzewam, że za propozycją drinka stoi Yasmin. Zastanawiam się, czy to Bel ją do tego nakłoniła. Może po otrzymaniu listu Heddy zadzwoniła do Yasmin po radę, a Yasmin wysłała Antona, aby wybałał, o co nam chodzi.

A może niesłusznie oskarżam Antona, bo jedynie oferuje mi ramię, bym się mógł wypłakać. Wie lepiej niż ktokolwiek, co to znaczy odkryć, że twoje dziecko nigdy nie będzie miało życia, jakie dla niego zaplanowałeś – że twoje dziecko jest inne i pozostanie takie na zawsze.

Dla mnie najgorsza w tym wszystkim jest konieczność wyjaśniania ludziom – odpowiadania na banalne pytania „Jak tam maleństwo?” w pokoju nauczycielskim ze świadomością, że wszyscy oczekują odpowiedzi: „W porządku”. Połowa z nich – ci młodszy, bezdzietni oraz mężczyźni z dziećmi – nie pamięta, czy to chłopiec, czy dziewczynka. Nauczycielki będące matkami pamiętają wszystko. To zdumiewająca umiejętność, której większość mężczyzn (w tym ja) wydaje się pozbawiona. Wiem, że Julie Effingham, zastępczyni dyrektora do spraw aktorskich, ma dzieci, bo co jakiś czas znika na urlopie macierzyńskim, a po powrocie w kółko o nich opowiada. Ale chociaż spędzamy sporo czasu razem, tak jakoś pozwalam, by przelatywało mi to mimo uszu – cała ta paplanina o jej dziecku czy dzieciach. W zasadzie nic z tego do mnie nie dociera.

Maggie nie pojmuje, że naprawdę tak mało wiem o ludziach, z którymi pracuję. „Ile ona ma dzieci?”, „Gdzie mieszka?”, „Co robiła, zanim przyszła do pracy w tej

szkole?”. Nigdy nie potrafię udzielić zadowolającej odpowiedzi, tymczasem ona w ciągu krótkiego spotkania na szkolnym przedstawieniu uzyskała wszystkie potrzebne informacje i zachowała je w pamięci.

– Jak Ruby radzi sobie w przedszkolu? – pyta, jeśli wspomnę o Julie.

Nie bardzo wiem, kim jest Ruby. Nie miałem pojęcia, że poszła do przedszkola, nie mówiąc o tym, jak sobie tam radziła wcześniej.

– W porządku. – Udaję, że wiem, i wracam do czegoś, na czym się znam, na przykład do inscenizacji, którą planujemy dla dziesiątej klasy. – Myślisz, że *Przebudzenie wiosny* będzie odpowiednie dla tej grupy wiekowej?

Dlatego rozumiem niektórych kolegów z pracy, że mają mgliste pojęcie o Iris. Szczerze mówiąc, cieszy mnie to. Zmniejsza ryzyko, iż zapytają, co u niej słychać, a ja będę im musiał powiedzieć.

Julie naturalnie pytała, na okrągło. „Jak się miewa Iris?”, „Przesypia całe noce?”, „Zaczęła ząbkować?”, „Już raczkuje?”. Dopytywała tak regularnie, że byłem zmuszony skonsultować się z Maggie w sprawie imion oraz wieku jej dzieci, i przygotować listę pytań, które mógłbym jej zadać w rewanżu.

– Jak tam Iris?

Pierwsza o to zapytała, kiedy wróciliśmy do szkoły po wakacjach.

– Teraz już dobrze. Ale naprawdę się wystraszyliśmy – odparłem, a potem opowiedziałem, jak koszmarnie przerażająca była jej choroba: jak musieliśmy ją pędem zawieźć do szpitala i jak niemal w ciągu kilku minut jej lekko zaróżowione ciało pokryło się jadowitą wysypką, a oddech z normalnego stał się rzęzący i wysilony.

– Doszła już do siebie? – dopytywała Julie przez pierwsze tygodnie semestru.

– Zdaje się, że tak – mruknąłem i dodałem coś o dziecięcej odporności, wciąż nie mogłem wyjść ze zdumienia, że przed kilkoma tygodniami Iris leżała w szpitalu pod tlenem, karmiona i leczona za pośrednictwem rurek, a teraz wróciła do domu i jak gdyby nigdy nic próbuje stawać przy meblach, desperacko ucząc się chodzić.

Julie zdawała się zatroskana, kiedy kilka tygodni później wspomniałem, że Maggie niepokoi się o małą.

– Byliście z nią u lekarza? Czym Maggie się martwi?

– Właściwie niczym konkretnym, zwykłymi drobiazgami. Iris zdaje się trochę bardziej wycofana i straciła zainteresowanie otoczeniem. Ale podejrzewam, że to normalne.

Spojrzała na mnie, jakby nie było to normalne, a kiedy później opowiedziałem, że Maggie od początku słusznie się niepokoiła, że pojechaliśmy do lekarza, skierowano nas na badania, a te wykazały, że Iris straciła słuch w obojgu uszu – przejęła się tak, że było to aż wzruszające.

– Och, Ben, tak mi przykro. Musicie być zdruzgotani. Jak poważne są zmiany? Czy jeszcze za wcześnie, by to stwierdzić?

– Nie, zrobili badania – wyjaśniłem z gniewem i jak zwykle moje jąkanie wróciło.

– Straciła słuch w obojgu uszu. Nie słyszy d-d-dosłownie nic.

Teraz to wiemy. Nie wiemy natomiast, czy aparaty słuchowe coś zmienią, czy będzie mogła dostać implanty ślimakowe, czy też po prostu musimy pogodzić się

z faktem, że nie będzie słyszeć, i zacząć się pilnie uczyć języka migowego, oboje.

– I fakt, jesteście zdruzgotani – mówię Julie.

Nie wszyscy tak reagują. Ludzie nie wiedzą, co powiedzieć, kiedy im przekazujesz taką nowinę. Jestem pewien, że większość uważa to za straszne, ale górę bierze polityczna poprawność. Nauczamy i sami byliśmy uczeni celebrowania odmienności. Całe hordy dzieciaków przypominają mi, że już samo jej zauważanie jest niepoprawne politycznie. Parę dni temu jakiś uczeń nazwał mnie rasistą, bo wspomniałem o Gipsy Kings.

– Proszę pana, to rasizm.

– Wcale nie, Hal. Tak się nazywa zespół.

Nie zamierzał tego przyjąć do wiadomości.

– Nie wolno nazywać ludzi „gypsies”, Cyganami – upierał się. – Trzeba mówić „nomadowie”.

– Chyba że nazwa zespołu, w którym przypadkiem grają, brzmi Gipsy Kings.

Pozostał nieprzekonany. Zastanawiam się, jak by zareagował, gdybym mu oświadczył, że moja córeczka jest głucha, a ja mam z tym problem. Czy nazwałby mnie „niepełnosprawnistą”?

Może nim jestem. Ale nie zgodzę się, że odmiennosc Iris to powód do radości. Jestem przeszczęśliwy, kiedy ktoś przychodzi do kina z psem przewodnikiem albo przyjeżdża do pracy na wózku inwalidzkim. Tylko po prostu bym wolał, żeby moja córka nie była głucha.

Pamiętam, że gdy sam się jąkałem w latach szkolnych, marzyłem jedynie o tym, by być taki jak inni – móc płynnie wypowiedzieć własne imię. I tylko tego chcę dla Iris. Żeby była dziewczynką, która słuchając nauczycieli, może się kręcić na krześle i nie musi się koncentrować, by pojąć ich słowa. Żeby była dziewczynką, która może się komunikować z przyjaciółmi werbalnie, a nie machając rękami w powietrzu i rysując kształty palcami. Żeby mogła nosić włosy zaplecione w mysie ogonki odsłaniające uszy podobne do muszelek, wedle oklepanego frazesu. Nie chcę, by zza jej uszu wystawały aparaty słuchowe.

– Naturalnie w dzisiejszych czasach nauka wiele może zdziałać – oznajmił Daniel Holland, dyrektor szkoły, kiedy mu powiedziałem.

Zareagował jak większość ludzi – starał się patrzeć optymistycznie. „Spójrz na Emmę Nicholson”, mówią, jakby to miało pomóc. Nie pomaga. Ciągłe ktoś o niej wspomina, i o Marlee Matlin, jedynej głuchej aktorce w historii, która dostała Oscara za rolę w *Dzieciach gorszego boga*. Spójrz na te kobiety, mówią, jakby powołanie się na wzięty z sufitu wzorzec osobowy miało ukoić nasz ból z powodu tego, co straciliśmy: piękną słyszącą córeczkę. Nadal jest piękna, ale ogłuchła, i bez względu na to, co mówią inni, nie widzę powodu, by tę odmiennosc celebrować.

Chcę, by ludzie okazywali mi współczucie. Straciłem słyszącą córkę. Jestem zdruzgotany, tak. Czy oni nie byliby na moim miejscu?

Dzięki Bogu za Antona.

– Kiedy się dowiedzieliśmy, że Conrad jest autystyczny, to było jak wyrok dożywocia – oznajmił, gdy zajęliśmy miejsca w pubie niedaleko stacji kolejowej East Croydon. Bliskość dworca była jedyną zaletą tego przybytku. – W każdym razie ja tak to

odebrałem, Yasmin chyba nie. I chyba nadal tak nie myśli.

– A ty wciąż tak? – Przyglądam się, jak opróżnia swój kufel z szybkością sugerującą, że tego mu było trzeba.

– Owszem, w dużym stopniu. – Zniża głos i rozgląda się nieznacznie. – To straszne mówić tak o własnym dziecku, ale naprawdę wolałbym, żeby taki nie był. Bóg mi świadkiem, wolałbym, żeby był normalny.

Kończy swoją pintę.

– Przepraszam. – Zerka na mnie. – Nie chciałem sugerować, że życie z głuchym dzieckiem będzie pasmem udręki.

– W porządku. Z tego, co widziałem, z Conradem trudno wytrzymać.

– Chodziło mi tylko...

– To ulga słyszeć, że ktoś reaguje na swoje dziecko w negatywny sposób – ciągnę. – Mówi rzeczy, których nie powinno się mówić. Ludzie ciągle powtarzają mało pomocne banały w rodzaju: „Jeśli się straci jeden zmysł, inne się wyostają... może zostanie znakomitą malarką”, a ja mam ochotę odpowiedzieć: „Nie chcę, żeby była znakomitą malarką, chcę tylko, żeby słyszała, jak do niej mówię albo jak Maggie gra”.

– To samo mówili o Conradzie. – Anton dopił piwo i spojrzał w stronę baru. – I nadal mówią, chyba że go dobrze znają i wiedzą, jakie to niedorzeczne wygadywać podobne bzdury. Kiedy się dowiedzieliśmy, że jest autystyczny, wszyscy uznali najwyraźniej, że zostanie sawantem lub matematycznym geniuszem. Tymczasem jest tylko egotyczny i stuknięty.

– Rozumiem, że próbują myśleć pozytywnie... – zaczynam.

– Za szybko – Anton wpada mi w słowo. – To przychodzi później: podnosisz się z ziemi, otrzepujesz i ruszasz naprzód.

– To znaczy?

– Gdy pierwszy raz słyszysz diagnozę, musisz przejść etap żałoby. Straciłeś dziecko, jakie sądziłeś, że masz. Nie możesz tak po prostu o nim zapomnieć, z dnia na dzień adoptować inne i zachowywać się jak gdyby nigdy nic.

– Jeszcze raz to samo? – pytam z wdzięcznością, że mam przed sobą kogoś, kto najwyraźniej rzeczywiście rozumie, co czuję.

– Najgorsze w całej sytuacji – podejmuję, gdy wracam z piwem – jest to, że wcale nie musiało do tego dojść.

Anton kiwa głową, lecz milczy. Sądziłem, że już wie, ale może nie.

– Wkraczamy na drogę prawną. Pozywamy Isobel i Erica o odszkodowanie.

– Nie rozumiem.

– Gdyby zaszczepili Gabriellę, nie doszłoby do tragedii. Wiedzieli, że z dużym prawdopodobieństwem ma odrę, ale chociaż zdawali sobie sprawę, że intensywnie zaraza i że Iris jest za mała na szczepionkę, zostawili ją z moją córeczką.

Nic nie mówi. W roztargnieniu bawi się waflem od piwa.

– Jeśli Isobel wiedziała, że córka ma odrę, nie powinna jej zostawiać z Maggie i Iris. Masz rację – oświadcza w końcu. – Ale...

– Co?

– Wiem, że jesteś wściekły. Na twoim miejscu też bym był. Lecz możliwe, że na

miejscu Isobel postąpiłbym tak samo.

– Chcesz powiedzieć, że byś nie...

– Gdybym sądził, że istnieje najmniejsze ryzyko, iż skończę z dzieckiem takim jak Conrad, tobym się nie zdecydował. Wiem, to straszne, co mówię, ale tak właśnie uważam. Nie ma dnia, żebym nie pragnął, by był normalny. Nienawidzę siebie za to, ale taka jest prawda. Więc możliwe, że postąpiłbym jak Isobel. To wszystko. Ale oczywiście bardzo współczuję tobie i Maggie.

– Sądzisz, że Conrad dlatego... – Nie wiem, jak zakończyć.

– Nie. Kiedy poznaliśmy diagnozę, zdaliśmy sobie sprawę, że od samego początku coś było nie tak.

– Więc nigdy nie myślałeś, że to miało wpływ?

– Początkowo tak sądziliśmy. Chcieliśmy zrzucić winę na coś albo na kogoś. Nie chcesz, by twoje dziecko było inne, rozumiem, Ben. Rozumiem też, czemu obwiniasz Isobel. Mówię tylko, że w tamtym czasie na jej miejscu mógłbym postąpić tak samo.

– Yasmin też tak uważa? – pytam ze ściśniętym sercem.

Nie chcę, żeby Yasmin pomogła Isobel. Chcę, żeby stanęła po mojej stronie.

– Nie sądzę. Zawsze w większym stopniu akceptowała Conrada.

– Maggie ma to samo.

– Serio?

– Tak. Naturalnie też się zmartwiła, ale w większym stopniu akceptuje sytuację, dowiaduje się, co trzeba zrobić i jak postąpić. Może dlatego, że jest matką.

– Rozumiem, że trudniej się z czymś pogodzić, jeśli sądzisz, że można było tego uniknąć. Znamy innych rodziców autystycznych dzieci, święcie przekonanych, że to szczepionka MMR im zaszkodziła.

– Myślałem, że Isobel kontaktowała się z Yasmin.

– Nie – zaprzecza Anton. – Nie mieliśmy od nich wiadomości od przyjęcia, a wyszli dość szybko, kiedy Isobel się dowiedziała, że Iris straciła słuch. Yasmin wspomniała, że była roztrzęsiona.

– Dobrze – stwierdzam. – Mówiła coś jeszcze?

– Że czuła się okropnie, tego rodzaju rzeczy.

– I od tamtej pory nie dała znaku życia?

– Nie – powtórzył. – I szczerze mówiąc...

– Co?

– No cóż, tak między nami, Yasmin trochę pokłóciła się z Isobel – kończy i pociąga długi łyk piwa.

– Kiedy? – Ciekawy jestem, czy starły się z tego powodu. – W wakacje świetnie się dogadywały.

– Cóż, dlatego mówię „trochę” – wyjaśnia Anton. – W gruncie rzeczy Yasmin częściowo to sobie wyobraziła. Nie sądzę, by Isobel choćby mgliście zdawała sobie sprawę z tego, jak się czuje.

– A mianowicie?

– Zawiedziona, jak sądzę – mówi. – Nie znam Isobel aż tak dobrze, rzadko się widzimy nawet po naszej przeprowadzce na południe. Yasmin wspomniała, że dawniej

były blisko, teraz jednak ma wrażenie, jakby Isobel nie tyle jej unikała, ile trzymała się na dystans, i to ją rani.

– Ale dlaczego? To się stało niedawno? Istnieje jakiś powód? – dopytuję, wciąż myśląc... wciąż licząc, jeśli mam być szczery... że to z powodu sprawy z Iris i ze mną.

– Nie – zaprzecza Anton. – To się ciągnie od lat, odkąd Conrad był mały, i tak naprawdę to on jest powodem. Wiem, że cholernie trudno z nim wytrzymać, wiem, że inne dzieci go nie lubią, ale Yasmin oczekiwała jedynie, że Isobel się nie odsunie.

– Ale się odsunęła?

– Tak. Prawdziwych przyjaciół poznajesz tak naprawdę, Ben, kiedy masz niepełnosprawne dziecko.

Isobel, poniedziałek

Zadzwoiłam do Yasmin, ale była zajęta.

– Mam właśnie spotkanie z klientem – wyjaśniła, gdy mnie połączono. – Mogę oddzwonić za pół godziny?

Kiedy to robi, jest ostrożna.

– Owszem – odpowiada na moje pytanie. – Anton był na drinku z Benem, więc rzeczywiście wiem, że Ben zastanawia się nad pozwem.

– Przeszedł już do czynu – uściślam. – Dostaliśmy pismo od jego prawniczki. Dlatego dzwonię. Muszę znaleźć kogoś, by nas reprezentował, ale nie wiem, od czego zacząć.

– Nie macie prawnika? – pyta.

– Nie, po co?

– Testamenty, tytuły własności, tego rodzaju sprawy – wyjaśnia.

– Sporządziliśmy testament – odpowiadam. – Ale bardzo dawno temu i to coś zupełnie innego. Zastanawiałam się, czy ty byś mogła...

– Przykro mi – odpowiada, zanim dokończę. – To nie moja specjalność, a zresztą...

– Co?

– Sądzę, że to kiepski pomysł, bym się w to mieszała, skoro sprawa dotyczy ciebie i Bena.

– Myślałam tylko, czy mogłabyś mi udzielić paru rad jako przyjaciółka – mówię, czując się lekko załamana. – I może wskazać właściwy kierunek?

– Przykro mi, Isobel – powtarza. – Znajdź kancelarię z dobrą reputacją. Na pewno znasz kogoś, kto może ci taką polecić.

– Dziękuję. Przepraszam, że ci przeszkodziłam w pracy.

Kończę rozmowę i ogarniają mnie najgorsze przeczucia.

Lista dobrych przyjaciół, na których liczyłam, raptownie się kurczy.

Pytam więc na placu zabaw, kiedy przychodzę po Vincenta. Ojciec jednego z jego kolegów jest radcą prawnym. Nie mam pojęcia, w czym się specjalizuje, ale zauważam matkę, Rachel, i pytam ją ogólnikowo, czy zna jakichś dobrych prawników.

– A w jakiego rodzaju sprawie? – pyta.

– Nie wiem dokładnie. – Brzmi idiotycznie, fakt, ale nagle sobie uświadamiam, że nie jestem pewna, jakiego specjalisty potrzebujemy. – To dla znajomej, chodzi o jakiś pozew.

Nie chcę, by ktoś się dowiedział, co jest grane. Nie chcę stać się tematem plotek na placu zabaw w większym stopniu, niż już jestem albo byłam. Nigdy nie wiadomo, co ludzie gadają za naszymi plecami, ale wiem, że posiadają opinie i wygłaszają je między sobą, nawet jeśli nie prosto w oczy.

– Uf, co za ulga – odpowiada Rachel. – Bo kiedy ktoś mnie pyta o prawnika,

a zdarza się to bardzo często, zwykle chodzi o rozwód.

– Nie. – Próbuję się roześmiać, lecz nawet w moich uszach brzmi to fałszywie. – Nic podobnego.

– Cóż, kancelaria Marka specjalizuje się w rozwodach i przeniesieniach własności, ale może zdołaliby pomóc twojej znajomej. Chcesz jego numer? – pyta i macha do syna, który właśnie staje w drzwiach szkoły.

– Nie, nie trzeba. – Miałam nadzieję, że zaproponuje kogoś innego, nie tak bliskiego jak ojciec kolegi Vincenta. – Z pewnością do tej pory kogoś znaleźli. Pomyślałam po prostu, że spytam, kiedy na ciebie wpadłam.

– Mamo! – zjawienie się Vincenta przerywa naszą rozmowę. – Czemu pszczoły nie lubią pasty marmite?

– Nie mam pojęcia.

Wyciągam rękę, by zmierzić mu włosy – najbliższy pocałunku gest, na jaki ostatnio pozwala. Jego pytania zawsze mnie zaskakują, nie bardzo wiem, skąd się biorą ani dokąd zmierzają jego myśli – o ile dokądkolwiek.

– Może jednak lubią? – sugeruję.

– Max twierdzi, że nie. Mogę zanieść trochę do ogródka, kiedy wrócimy do domu, i sprawdzić? A przy okazji dostałem wiadomość.

– Jasne – odpowiadam, kiedy grzebie w kieszeni, a potem wyciąga papier złożony tyle razy, że jest rozmiarów bardzo grubej pięćdziesięciopensówki.

– Mamy w domu marmite?

– Chyba tak.

– To dobrze.

Rozkładałam notkę na tyle, by się zorientować, że dotyczy specjalnych punktów szczepienia otwartych w okolicach Brighton, i zawiera ponaglenie, by rodzice, których dzieci nie zostały zaszczepione, tam się zgłosili. Składam ją z powrotem i chowam do kieszeni.

Odwracam się, by się pożegnać z Rachel, i widzę, że przygląda się Vincentowi w nieco dziwny sposób, jak ludzie, którzy widzą w nim dziwolągą. Oczyma wyobraźni już widzę scenę po powrocie do domu, uśmiecham się, bo wyobrażam sobie zapał, z jakim Vince wyjmuje słoik z pastą marmite, rozsmarowuje na czymś i niesie do ogrodu, gdzie przeprowadza doświadczenie z taką energią, jakby od wyniku zależały losy świata. Postępuje tak w wypadku większości swoich, po części bezsensownych, przedsięwzięć.

Zazdroszczę mu tej determinacji.

Gdybym ją miała, zwojowałabym więcej w kwestii szukania prawnika, do czasu gdy Eric wraca do domu, wściekły i skory do awantury.

– Co robiłaś cały dzień? – pyta.

Wciąż nie potrafię mu wyjaśnić, że przepłynął mi między palcami – jak wszystkie od urodzenia dzieci. Zresztą sama nie pojmuję, jakim cudem on jeździ do Londynu i z powrotem, tam pracuje więcej niż pełnych osiem godzin, podczas gdy ja, jak się zdaje, osiągnęłam tak mało.

Kiedyś, zanim urodziły się dzieci, potrafiłam pomieścić w swoich dniach tak wiele – w każdym dniu roboczym.

– Rano pomagałam w klasie Vincenta. – O basenie nie wspominam. – I pytałam kilkoro rodziców, ale bez rezultatu.

– A facet, który sporządzał nasz testament?

– Zapomniałam o nim.

Teraz jednak sobie przypominam. Spisywanie testamentu wydawało się trochę makabryczne, jak przewidywanie własnej śmierci, ale po narodzinach Vinniego czuliśmy, że należy się zabezpieczyć na wypadek, gdyby coś nam się stało. W lokalnym radiu leciały wtedy reklamy z przestrożą: „Jeśli nie masz testamentu, nie ty zdecydujesz, kto zostanie prawnym opiekunem twoich pociech”.

Jako rodzice trójki dzieci uznaliśmy, że powinniśmy mieć konkretny plan.

Kiedy zaszłam w ciążę z Vincentem, wpadłam w popłoch – trochę jak z Gabby – zastanawiałam się, jak dam sobie radę, czy zapanuję nad trójką. Nie miałam naturalnego talentu do macierzyństwa – tyle wiedziałam – a perspektywa trojga dzieci przerażała mnie w równym stopniu jak jednego, szczególnie że musiałam nieustannie czuwać nad Harveyem z powodu alergii na orzechy.

Vincent jednak okazał się najmniej wymagającym, najbardziej zachwycającym i pogodnym niemowlakiem i wciąż jest najmniej wymagającym, najbardziej uroczym i zachwycającym dzieciakiem. Dwójkę pozostałych pokochałam z gwałtownością, która zaskoczyła mnie samą, ale w Vinniem zakochałam się w sposób, do którego nie przyznałabym się nikomu. Może dlatego, że był „tym” niemowlęciem. Może czułabym to samo wobec Harveya, gdybyśmy poprzestali na dwojgu i gdyby Harvey był w większym stopniu moim synem niż Erica.

Być może poczęcie Vincenta stanowiło pomyślnie zrzącenie losu – choć przez cały okres ciąży stanowiło źródło poważnych napięć między mną i Erikiem. Sama ciąża była nieplanowana, ale chociaż tego rodzaju rzeczy nigdy nie są całkowicie niezaplanowane, winiłam męża.

Otoczająca mnie mgła zaczynała z lekka rzednąć. Gabs poszła do szkoły, a Harveya kilka razy w tygodniu zostawiałam w przedszkolu i był zachwycony. Oboje zdawali się szczęśliwi i szybko przystosowali się do nowego środowiska. Miałam odrobinę czasu dla siebie. Nie wykorzystywałam go w żaden sensowny sposób, ale znowu mogłam myśleć, co wydawało się obiecującym początkiem.

Tamtego wieczoru Eric wrócił do domu wcześniej, z butelką wina i jedzeniem na wynos, w samą porę, żeby pomóc wykapać i położyć spać dzieci. Ponieważ nie musieliśmy przygotowywać kolacji, mieliśmy przed sobą cały wolny wieczór.

– Obejrzymy coś? – spytał, gdy mościliśmy się na sofie.

– Nie chce mi się.

To była moja najczęstsza odpowiedź. Nie oglądałam już telewizji aktywnie, siedziałam tylko przed ekranem, informacje puszczałam mimo uszu, odprężałam się przy programach o urządzaniu domu albo gotowaniu.

Eric często wykorzystywał moje „nie chce mi się” jako pretekst, by pochłonąć jakiś dokument o tajnej misji aliantów w Libii podczas drugiej wojny światowej. Zdumiewa

mnie, ile szczegółów na temat polityki światowej, historii i sportu potrafią zapamiętać faceci – i jak niewiele faktów dotyczących własnej rodziny. Nie jestem przekonana, czy Eric zna drugie imiona własnych dzieci. Ale potrafiłby wymienić drugie imię każdego dowódcy z kampanii arabskiej, które zaczerpnął z telewizyjnych dokumentów i utrwalił w pamięci, jakby od tego zależało jego życie.

Tamtego wieczoru jednak wyłączył telewizor.

– W takim razie popatrzę sobie na ciebie, Isobel – oświadczył, przysunął się i mnie pocałował.

Zaskoczył mnie, a jak wspomniałam, mgła zaczynała się rozwiewać. Czułam się mniej wyczerpana i mniej przerażona, byłam wdzięczna za jedzenie i wino, i za to że nadal uważa mnie za seksowną, nawet jeśli sama wcale się taka nie czułam przez większą część czasu.

Odprężyłam się więc, poddałam jego pocałunkom, choć nie na tyle, by nie mruknąć: „Nie tutaj”, gdy zaczął mnie rozbierać na sofie w salonie.

– Czemu nie? – spytał, nie przerywając rozpinania mi bluzki, i pocałował mnie znowu, tak że nie mogłam odpowiedzieć.

– Bo któreś dziecko może zejść na dół.

– Od kiedy to robią?

Uporał się z guzikami i manipulował przy zapięciu biustonosza.

– Wczoraj skończył mi się okres – poinformowałam.

– Wiem – przytaknął. – Wspominałaś dzisiaj rano.

Może to był powód jego wcześniejszego powrotu, jedzenia i wina. Miałam lekkie pretensje o to wyrachowanie, ale sama przez większą część czasu byłam tak zmęczona, że chyba musiał wziąć planowanie na siebie, a teraz, gdy na pół rozebrani staliśmy w salonie i przyciągał mnie do siebie, ogarnęło mnie pożądanie.

Było miło do chwili, kiedy doszedł, bo w tym momencie się wkurzyłam.

– Mówiłam ci, żebyś nie dochodził we mnie!

– Zdawało mi się, że powiedziałaś, że mogę.

– Nie, prosiłam, żebyś we mnie nie dochodził.

– Przepraszam, Bel. – Był skruszony, ale nieszczególnie skruszony. – Nie słuchałem uważnie. Sądziłem, że powiedziałaś, że mogę, ale to bez znaczenia. Okres dopiero ci się skończył.

– Mam nadzieję ze względu na ciebie – odparłam, bo nie umiałam się powstrzymać, by nie zepsuć nastroju, i czułam niepokój, choć Eric miał zapewne rację.

Tylko że nie miał.

Dwa tygodnie później zaczęłam się czuć w ciąży. Kilka tygodni później test to potwierdził. Miałam do Erica pretensje do samego porodu, winałam go za ciążę, zapominając, że dziecko zostało poczęte w chwili miłości i namiętności.

No i oczywiście to oznaczało, że nie wrócę do pracy, choć nie miałam konkretnego planu, ale przecież stanowiło to coś w rodzaju niepisanej zasady. Tak postępowały inne kobiety: dwójka dzieci, a potem powrót do życia zawodowego.

„Isobel po prostu zachodzi w ciążę za każdym razem, gdy pojawia się groźba powrotu do pracy”, zażartował kiedyś Eric. Rzucił to ze śmiechem, ale wyczułam nutkę

skrywanej urazy i poczułam wyrzuty sumienia. Chciałam być w domu z dziećmi i naprawdę doceniałam fakt, że nigdy mnie nie nakłaniał do tego powrotu. Z pewnością jednak zdawał sobie sprawę, że czuję się nie w porządku, iż to wyłącznie na nim spoczywa odpowiedzialność za utrzymanie rodziny.

W okresie, gdy został poczęty Vinnie, Eric był w miarę zadowolony ze swojego zajęcia. Pracował w redakcji informacyjnej „Guardiana”. Nie zarabiał kokosów, ale lubił gazetę oraz jej atmosferę i uważał, że ma widoki na awans. Gdy jednak dawny kolega wspomniał mu o posadzie adiustatora w „Daily News”, nalegałam, by wysłał CV. Pensja była niemal dwa razy wyższa. „Może to nie jest praca marzeń, ale nie mamy wyjścia”, przekonywałam. Więc się zgłosił, otrzymał propozycję i ją przyjął.

A teraz nienawidzi swojego zajęcia i pewnie ma żal do mnie, że go do tego zmusiłam.

Ben, poniedziałek wieczorem

W naszym domu panuje niezwykła cisza. Niepostrzeżenie wkradła się w nasze życie, chociaż żadne z nas nie podjęło świadomie takiej decyzji. Wcześniej było inaczej. Grało radio oraz jeden z iPodów podłączony w kuchni, Maggie ćwiczyła albo słuchała muzyki, ja się wymądrzałem, oboje rozmawialiśmy z Iris albo o niej.

Czemu rano już nie włączamy radia? Dawniej tak robiliśmy, zawsze: najpierw budzik przy wspólnym łóżku, potem jedno z nas schodziło na dół nastawić kawę i włączało w kuchni obciążony skórą odbiornik marki Roberts – oryginał, nie zaś jedną z wszechobecnych dziś podróbek, spadek po mamie Maggie, która choć żyje, najwyraźniej postanowiła się pozbyć swoich ziemskich dóbr.

Ruth zwraca uwagę na ciszę, kiedy Maggie kąpie na górze Iris. Przyjechała na kilka dni zając się małą, bo Maggie idzie na spotkanie z dyrektorem orkiestry. Wkrótce, tuż przed świętami, planują krótką trasę po Europie. Chcą, by Maggie pojechała, ale ona nie jest gotowa i nie ćwiczyła od tygodni. Idzie jednak porozmawiać, wyjaśnić, jak wygląda sytuacja. A następnego dnia mamy wizytę na oddziale audiologii. Wolimy nie zabierać Iris. Dlatego obecność Ruth stanowi wielką pomoc, choć zarazem babka przywiozła ze sobą własne obawy.

– Wróciła do gry? – pyta, kiedy Maggie zabiera Iris na piętro. – Wspominałeś, że po diagnozie przestała.

– Chyba nie wróciła. Nie przy mnie – odpowiadam. – Myślę, że to jej odebrało przyjemność.

– Iris będzie wyczuwać muzykę – przekonuje Ruth. – Może nie usłyszy tego, co wy, ale coś będzie czuła.

Wiem, co zaraz powie, i biorę głęboki oddech. To kolejna rzecz, którą ludzie powtarzali nam do znudzenia, kierowani najlepszymi chęciami, ale to nie pomaga, a ja nie chcę w kółko tego słuchać.

– Oglądałeś film o głuchej kobiecie? Nie pamiętam tytułu.

– *Dzieci gorszego boga* – podpowiadam. – Z aktorką, która dostała Oscara.

– Skoro tak twierdzisz. – Ruth zdaje się speszona moim opryskliwym tonem. – Chodzi mi o to, że nie słyszała muzyki, ale potrafiła ją wyczuć. Może z Iris będzie tak samo. Nie sądzisz, że zdołałbyś przekonać Maggie, by czasem pograła?

– Nie zmuszę jej do robienia czegoś, na co nie ma ochoty – odpowiadam lakonicznie.

– Cóż, może ma.

Podnosi głos, nie tylko dlatego, że – jak to bywa – z wiekiem słuch zaczyna ją zawodzić, ale ponieważ ogarnia ją irytacja.

– Nie ma, Ruth. Ja jej nie zabraniam. Po prostu nie chce grać. Dlaczego grała? By inni mogli czerpać przyjemność z muzyki, którą wykonuje. Kto jej zdaniem byłby wymarzoną słuchaczem tej muzyki? Nasza córka, która ogłuchła. Dlatego nie chce grać.

– A może chodzi o ciebie, a nie o Iris. – Ruth prawie krzyczy.

– Nie rozumiem?

– Rzecz nie tylko w tym, że Maggie przestała grać, prawda? Chodzi o ciebie. Jest zbyt cicho. Jak gdybyście zdecydowali, że skoro Iris nie słyszy, to nikt nie będzie niczego słuchał. Ale to nie pomoże, Ben. Nikomu.

Nigdy dotąd nie zwracała się do mnie w taki sposób.

Milkniemy oboje.

– Przepraszam – mówi. – Nie miałam zamiaru się wymądrzać. Lecz musicie przestać traktować głuchotę Iris jak stratę. Jej pozycja w świecie i sposób, w jaki go odbiera, uległy zmianie, to prawda, ale nadal ma tu swoje miejsce i wciąż będzie postrzegać świat jako coś zachwycającego, podobnie jak inni ludzie. Musicie to przyjąć do wiadomości.

– Nie potrafię, Ruth – odpowiadam i widzę na twarzy rozczarowanie, widocznie miała o mnie lepszą opinię. – Nie od ciebie pierwszej to słyszę. Idea, że świat Iris jest inny, ale niekoniecznie gorszy, jest mi znana. Staralem się zmusić, by w to uwierzyć, ale nie potrafię. To nie w porządku. Nie tego dla niej pragnąłem.

Nie mówię „to niesprawiedliwe”, ale tak myślę.

– Nie zawsze dostajemy to, czego chcemy, Ben – stwierdza łagodniej. – Zwłaszcza gdy chodzi o dzieci. Dostajemy to, co dostajemy. Macie piękną, zdrową... tak, zdrową... córeczkę. No więc nie słyszy, inaczej niż my wszyscy. Wiem, że chcecie iść z tym do sądu, i nie mogę powiedzieć, że to pochwalam, ale to nie moja sprawa, skoro taka jest wasza wola. Lecz Maggie jest moją córką, a ona czuje się nieszczęśliwa, gdy nie gra. Nie narzucaj jej swojej perspektywy.

– Robię to dla Maggie i dla Iris – odpowiadam.

– Doprawdy? – Patrzy na mnie przenikliwie. – Gdybyś mnie spytał, powiedziałabym, że robisz to dla siebie, Ben. Nie zamierzam cię krytykować. Jeśli to pomoże ci się pogodzić z tym, co się stało, proszę bardzo, pozwij swoich przyjaciół. Tylko w całym tym zamieszaniu nie trać z oczu Maggie.

W tym momencie Maggie przerywa naszą pogawędkę, schodzi z góry z opatuloną w ręcznik Iris, której senna buzia wygląda spomiędzy fałd materiału.

– Wszystko w porządku?

– Tak – odpowiada Ruth. – Pozwolisz, że włączę radio? Chciałam posłuchać wiadomości.

Isobel, poniedziałek wieczorem

– Jezu, czemu tu jest taki bajzel? – pyta Eric.

Przetrząsa kuchenną szufladę, gdzie trzymamy wszystko, co nie ma swojego miejsca: taśmę klejącą, baterie, sznurek, zapasowe klucze, klej, stare filmy fotograficzne oraz instrukcje obsługi rozmaitych urządzeń domowych.

– Czego szukasz? – pytam, lecz jego nadal absorbuje nieporządek.

– Cholerne pinezki są wszędzie. – Odwraca się, by mi zademonstrować najeżoną nimi kulkę niebieskiej masy klejącej. – Czemu nie leżą w pudełku?

– Widocznie spadła pokrywka – odpowiadam najspokojniej, jak potrafię.

Tak naprawdę porządek w szufladzie nie ma tu nic do rzeczy. Wiem o tym. Eric też, ale postanawia urządzić kłótnię właśnie z tego powodu.

– Skoro siedzisz w domu całymi dniami, to może byś tu posprzątała, żebyśmy mogli znaleźć to, czego szukam – warczy.

– A czego szukasz? – Nie daję się sprowokować.

– Testamentu – odpowiada. – Gdzie go trzymamy?

– W biurku na piętrze – wyjaśniam, a on zatrząskuje oburzającą szufladę i idzie na górę.

W naszej sypialni stoi biurko, przy którym Eric czasami pracuje w weekendy. Kiedyś miałam niejasną wizję, że będzie to moje miejsce do pracy. Teraz to jedynie masywne, dębowe przypomnienie, że nic nie robię.

– Idę poszukać.

Rusza na piętro.

Proces spisywania testamentu – kiedy zasiedliśmy, by to zrobić – sprawił mi przyjemność. Byliśmy wtedy szczęśliwi. Po urodzeniu Vincenta uspokoiłam się, zafascynowana beztroską naturą małego, dzięki której wszystko zdawało się lepsze i łatwiejsze. Sporządzanie testamentu przypominało odnowienie przysięgi małżeńskiej, tylko bez cikliwych konotacji. Była to okazja do sporządzenia inwentarza, uświadomienia sobie, co posiadamy wspólnie – nie tylko jeśli chodzi o fizyczny majątek jak dom (w rzeczywistości należący po większej części do firmy deweloperskiej), ale również o trójkę dzieci.

Gdy przyszliśmy złożyć podpisy, radca prawny Roberto – teraz przypominałam sobie jego nazwisko, choć Eric wciąż go szuka – zapytał, czy mamy ochotę na szampana. Sugestia wydawała się dziwna, lecz się zgodziliśmy i uczciliśmy ten fakt: nie tyle przewidywaną śmierć nas obojga, ile uświadomienie sobie, jak wiele mamy.

– Do cholery, Isobel! – Eric schodzi z piętra z twarzą pociemniałą z gniewu.

Rozglądam się, chociaż jestem w kuchni sama. To odruchowa reakcja, gdy ktoś zaklnie. Patrzą za dziećmi, by kazać im zakryć uszy. Wszystkie są jednak na górze. Gabs w swoim pokoju, chłopcy w sypialni Harveya, gdzie grają w rzutki. Słyszę głuche stuknięcia, kiedy strzałki uderzają w tarczę albo w ścianę, a potem o podłogę, jeśli nie utkwily w celu. Nasłuchuję krzyków, gdyby coś się stało. Nie chciałam, by Harvey miał

rzutki, wystarczająco trudno go utrzymać z dala od orzechów, by martwić się jeszcze o strzałki, ale przeważyła opinia Erica: „Nie możesz go zapakować w folię bąbelkową na resztę życia”.

– Co? – Podnoszę wzrok, gdy wchodzi do pomieszczenia, machając kilkoma kartkami papieru. – Znalazłeś?

– Owszem, znalazłem. – Wypluwa słowa. – I znalazłem to.

Wciska mi do ręki oburzające dokumenty. Trwa chwilę, zanim skojarzę, co to takiego. Niebieskie kopie, oryginały z wierzchu zatrzymał ktoś inny. W nagłówku wydrukowano nazwę gabinetu weterynaryjnego.

Mieliśmy zwierzęta tylko przez krótkich parę lat – dwa króliki, które Gabriella wyblagała i którymi szybko się znudziła. Zostały pożarte przez lisy pewnego popołudnia, kiedy wypuściła je do ogrodu, by się pobawiły, a potem zapomniała je zamknąć. Wpadła w rozpacz, ale nie kupiliśmy następnych. Ani Eric, ani ja nie przepadamy za zwierzętami. Spróbowaliśmy hodowli ze względu na dzieci i uznaliśmy, że projekt nie wypalił.

Uważnie oglądam dokumenty, staram się rozszyfrować odręczną bazgraninę poniżej adresu. Jasne jest tylko to, że to kopia jakiegoś rachunku. Zastanawiam się, czy to suma tak rozwścieczyła Erica, ale na kartce widnieje data sprzed dziesięciu lat – zbyt dawno, by się irytować, nieważne jak dużo kosztowały mnie króliki.

– Nie mogę się doczytać, o co tu chodzi? – Spoglądam pytająco.

– Nie możesz? Nie pamiętasz, czemu się umówiłaś na wizytę i zabrałaś króliki do weterynarza?

Spoglądam znowu.

Rachunek dotyczy szczepienia przeciw jakiemuś wirusowi, który mógł je zabić. Pamiętam, że gdy weterynarz zasugerował zastrzyk, pomyślałam, iż cena jest zbyt wysoka, ale usłyszałam tylko: „Wirus jest przenoszony przez ptaki, a jeśli króliki się zarażą, czeka je długa i powolna śmierć. To mało przyjemne”, i widząc, jak buzia Gabrielli wykrzywia się na myśl o śmierci ulubieńców, wypisałam czek.

Kiwam wolno głową.

– Kazałaś zaszczepić pieprzone króliki, Isobel.

Wiem, że Eric nie żartuje – inaczej niż w przeszłości, za życia „pieprzonych królików”. Zdaje mi się, że po to właśnie zabrałam je do weterynarza: by je wykastrować i zyskać pewność, że nie zmienią się w pieprzące się króliki i nie obdarzą nas czeredą potomstwa, z którym nie będziemy wiedzieli, co począć.

– Zaszczepiłaś pieprzone króliki, ale nie własne dzieci.

Ben, poniedziałek wieczorem

Maggie śpi, a ja leżę w łóżku, chociaż nie jestem zmęczony, ponieważ w salonie na rozkładanej sofie śpi Ruth.

Niełatwo przyjąć krytykę od teściowej, choć w jej słowach tkwi ziarno prawdy.

Musiałem co nieco przemeblować sobie w głowie, by zaakceptować fakt, że będę miał dziecko. Więcej: że będę miał dziecko z kobietą, którą znam dość słabo i z którą nawet nie mieszkałem.

Czułem się jednak dziwnie i szczerze podekscytowany nieoczekiwanym zwrotem, jaki nastąpił w moim życiu. Miałem zostać ojcem. Maggie planowała się do mnie wprowadzić. Do mnie – faceta, który ostatnich dwadzieścia kilka lat nie potrafił się zaangażować w dłuższy związek, ponieważ sądził, że nie chce mieć dzieci. Zaangażowałem się jednak w tę relację i oczekiwałem narodzin dziecka.

Igrałem z losem. Nie wiedziałem, czy oboje z Maggie nie zaczniemy sobie działać na nerwy, gdy zamieszkamy razem. Czy nie spowszednieje mi fakt oczekiwania na dziecko. Nie wiedziałem, jakie się okaże. A mimo to chciałem zaryzykować. Zaskoczyłem sam siebie – i nie przestawałem zaskakiwać.

– Sprawdzimy płęć? – spytała Maggie na samym początku.

– Nie – odparłem bez wahania. – Chyba że ty chcesz?

– Nie zależy mi. – Uśmiechnęła się, niemal roześmiała. – Ale ty wydajesz się bardzo przekonany. Pewnie już się nad tym zastanawiałeś.

– Szczerze mówiąc, nawet nie przyszło mi to do głowy – przyznałem. – Póki o tym nie wspomniałaś, nie pamiętałem nawet, że to możliwe. Ale nie musiałem się nad niczym zastanawiać. Nie chcę wiedzieć. Nie dbam o to. Nie dbam, jakiej płci będzie dziecko ani jakie się okaże. Obchodzi mnie tylko to, że będzie nasze.

– Och, Ben. – Nachyliła się i mnie pocałowała. – Dziękuję.

– Za co? – spytałem.

– Za to, że tak cię to cieszy. Okropnie się bałam, że cię stracę. Bałam się tego od początku, odkąd cię poznałam, bo chciałam z tobą być. Ale po zajściu w ciążę sądziłam, że będę musiała zrezygnować z któregoś z was, z ciebie albo z dziecka. Nigdy nie liczyłam, że zatrzymam oboje.

– Gdybyś mi przedstawiła ciążę jako hipotetyczną możliwość, oświadczyłbym, że nie chcę dzieci – odpowiedziałem. – Ale teraz, kiedy się to stało, czuję się niedorzecznie szczęśliwy... nie tylko ze względu na ciebie, na siebie też. Czuję, jakbym od zawsze pragnął mieć dziecko, chociaż sądziłem, że jest inaczej.

Roześmiała się.

– A badania? – zapytała, poważniejąc znowu. – Wkrótce musimy zdecydować, czy je zrobić, i jak postąpić, gdyby wyniki okazały się niepomyślne.

– Ich też nie chcę – zdecydowałem, nagle przekonany również o tym.

– Ale jestem dość starą matką – zauważyła. – „Geriatryczną pierworódką”, jak piszą w formularzach, co brzmi ciut lepiej niż „w podeszłym wieku”, ale wiadomo,

w czym rzecz. Z tego powodu istnieje poważne ryzyko nieprawidłowości chromosomalnych. Grozi mi urodzenie dziecka z zespołem Downa i innymi wadami.

– Nie szkodzi. – Pozostałem nieugięty. – Jestem gotów je przyjąć. Sądziłem, że nie chcę dziecka, ale to nieprawda. Więc gdyby badania wykazały, że nie będzie idealne, też mogę myśleć, że go nie chcę, lecz kiedy się zjawi, z pewnością uznam je za doskonałe.

– Nie wiadomo, jak zareagujemy – upierała się Maggie. – Może lepiej wiedzieć, gdyby coś miało pójść źle?

– Owszem, hipotetycznie nie chcę dziecka z zespołem Downa. Ale przed kilkoma miesiącami nie chciałem w ogóle. Wszystko się zmienia. Ludzie się przystosowują. My też się przystosujemy.

Naprawdę w to wierzyłem. Byłem święcie przekonany, że nie przeszkadzałoby mi, gdyby nasze dziecko nie było doskonałe.

Tak samo myślałem, gdy Iris leżała w szpitalu z rurkami dostarczającymi płyny i paracetamol do żył, z pomagającą oddychać maską tlenową na buzi. Myślałem sobie: nieważne, co się wydarzy, byle tylko przeżyła.

Zachorowała po naszym powrocie z Francji. Tamtejszy lekarz kazał nam zwracać uwagę na objawy. „Zwykle rozwijają się około dziewięciu dni od kontaktu z zarażoną osobą”.

Miał rację. Dokładnie po dziewięciu dniach Iris dostała gorączki i zaczęła kaszleć.

– Może to jedynie letnie przeziębienie – mówiliśmy do siebie z nadzieją. We Francji otrzymała szczepionkę Di-Per-Te, ale doktor ostrzegał, że może być za późno.

– Miała już kontakt z wirusem. Istnieje szansa, że się nie zaraziła, choć to mało prawdopodobne – powiedział.

Dalej też poszło szybko: od pierwszego zaczerwienienia wywołanego przez podwyższoną temperaturę do chwili, gdy jej drobne ciało pokryła silna, nierówna wysypka, a oddech stał się tak wysiłony, że nie mogliśmy go słuchać. Wydawało się, jakby wszystko rozegrało się w ciągu dwudziestu czterech godzin.

– Musimy ją zabrać do lekarza – stwierdziłem.

Maggie starała się jej zbić temperaturę ciepłym, ale bez skutku. Termometr wskazywał trzydzieści dziewięć stopni i cztery kreski – za dużo, a oddychanie sprawiało małej zbyt wielką trudność, by je uznać za normalne.

W gabinecie oddalonym o kilka przecznic przyjęto nas natychmiast. Pod tym względem jest naprawdę niezłe, uświadomiłem sobie, odkąd mam dziecko. Kiedy dawniej próbowałem się dostać do lekarza, na wizytę często czekałem tygodniami. Ale jeśli niepokoił się o małą, recepcjonistka oświadczała zwykle: „Proszę przyjechać jak najszybciej”.

– Trzeba ją natychmiast hospitalizować – oznajmił lekarz. – Zadzwoń, żeby was przyjęli od razu. Macie samochód?

– Tak. Stoi przed domem.

Skinałem głową skupiony raczej na czekającej nas jeździe niż na sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy. Z jakiegoś powodu łatwiej było mi się skoncentrować na dostarczeniu Iris do szpitala niż na fakcie, że trzeba ją będzie tam zostawić.

– To daleko? – spytał lekarz. – Jeśli tak, mogę wezwać karetkę.

– Nie, kawałek ulicą – zapewniła Maggie i spojrzeliśmy na siebie z niepokojem.

– Małej nie zagraża bezpośrednio niebezpieczeństwo – próbował nas uspokoić. – Ale chciałbym, by trafiła do szpitala niezwłocznie. Ma zbyt wysoką temperaturę i potrzebuje dożylnych środków przeciwbólowych oraz być może tlenu.

Znowu popatrzyliśmy na siebie z Maggie.

– Nie ma powodów do paniki – powtórzył doktor. – Ale trzeba ją zawieźć natychmiast.

Skinąłem głową, pchnąłem wózek pod górkę i pospiesznie ruszyliśmy do samochodu.

– Mam skoczyć do domu po jakieś rzeczy? – spytała Maggie, kiedy wyjęliśmy Iris ze spacerówki i zapinaliśmy ją w foteliku, starając się jej nie urazić, bo płakała z bólu.

– Nie – odparłem. – Najpierw ją zawieźmy. Mogę wrócić później i zabrać co potrzeba.

Skinęła głową. Chyba myślała tak samo. Potrzebowała tylko mojego potwierdzenia.

Mieszkamy w strefie ograniczonej prędkości, ale gdzie to tylko możliwe – tam gdzie ruch był niewielki – wciskałem gaz do dechy. Przy promenadzie z szeregiem sklepów błysnął na nas fotoradar, ale zignorowałem go i Maggie tak samo. Nie powiedziała: „Ben, zwolnij”, jak to miała w zwyczaju.

Dochodziło południe i ulice były względnie puste, poranne korki się skończyły. Gdy jednak zbliżyliśmy się do lokalnej podstawówki, samochodów znowu przybyło i poruszały się wolniej: rodzice szukali miejsc parkingowych, by odebrać dzieci zostające tylko na kilka lekcji.

– Ruchy, ruchy! – kląłem młodą matkę, która machnęła przyjaźnie, przepraszając, gdy po nieudanej próbie zajęcia miejsca parkingowego musiała wycofać i powtórzyć manewr, podczas kiedy ja czekałem niecierpliwie, rozpaczliwie pragnąc jechać dalej.

I znowu Maggie nie skomentowała. Żadnego: „Spokojnie, kochanie. Cierpliwości”. Nie spojrzała nawet na kobietę, nie odpowiedziała na drugi uśmiech i skinienie, kiedy ją wymijaliśmy, tkwiącą do połowy na miejscu postojowym.

Iris na tylnym siedzeniu płakała teraz i kaszłała, co sprawiało, że prawie nie mogła oddychać. Siedząca obok Maggie próbowała ją uspokoić. „Wszystko dobrze, skarbie. W porządku, kochanie. Zaraz będziemy w szpitalu”.

Teraz, z dala od szkoły, na ulicach zrobiło się luźniej, więc znowu docisnąłem gaz. Jechałem zbyt szybko, by spostrzec kobietę czekającą na pasach z maluchem w wózku i drugim trzymającym się go szkrabem. Nie zauważyłem, że szkrab puścił spacerówkę i ruszył przez skrzyżowanie, zanim matka dała mu sygnał.

Było za późno i mogłem jedynie dać po hamulcach (Maggie i Iris szarpnęło w przód na tylnym siedzeniu), ominąłem malucha o cal czy też o ułamek sekundy – zależy, czy mierzyć przestrzeń czy czas dzielące nas od zderzenia czołowego. Widziałem prerażenie na twarzy matki, gdy zostawiwszy spacerówkę na chodniku, rzuciła się na ulicę, by zgarnąć drugie dziecko. Poczulem strumyczek potu spływającego po karku, kiedy pozwoliłem sobie przez mgnienie pomyśleć, czym mogło się to skończyć. We wstecznym lusterku widziałem kobietę wykrzykującą bezgłośnie jakieś słowa,

zapewne wyzwiska.

Lecz nie pozwoliłem sobie na rozmyślenia o tym, co się mogło stać. Nie wtedy. Musiałem dowieźć Iris do szpitala. Najważniejsza była ona, nie dzieciak na pasach. Gdyby tamta matka wiedziała, jak chora jest Iris, z pewnością by zrozumiała. Wiedziałyby, że nie mogłem się zatrzymać.

Nie dałem sobie czasu na rozmyślenia ani wtedy, ani później, kiedy Iris została przyjęta i „ustabilizowana”, ale wciąż była rozpaczliwie chora. Miejsce myśli o dostarczeniu jej do szpitala zajęło pragnienie, by zabrać ją z powrotem do domu.

„Nie pozwól jej umrzeć. Proszę, nie pozwól jej umrzeć”, powtarzałem raz po raz, gdy siedzieliśmy z Maggie przy jej łóżku, obserwując rurki, przez które ją karmiono i podawano jej leki, oraz urządzenia monitorujące jej stan. Nie byłem pewien, do kogo się zwracałem. Nie wierzę w Boga i nie przyzywałem Go w naszej godzinie próby, jak niektórzy. Jeśli już, mówiłem do samego siebie. „Proszę, nie pozwól jej umrzeć”, powtarzałem sobie, pamiętam. „Nieważne, co będzie, jeśli tylko przeżyje”.

Zawarłem układ z samym sobą i liczyłem, że jeśli go dotrzymam, Iris nie umrze.

Kiedy twoje dziecko leży na szpitalnym łóżku rozpalone jak piec, nie może samodzielnie oddychać, a lekarze wyglądają na zaniepokojonych, musisz w coś wierzyć. Więc zawierzyłem samemu sobie, swojej umiejętności nieprzejmowania się tym, co spotka małą, jeśli tylko będzie żyć.

Lecz nie potrafiłem dotrzymać tamtej obietnicy: nie, kiedy lekarze oświadczyli, że Iris ogłuchła. Przejąłem się tym. Potwornie się przejąłem. Nie chciałem głuchego dziecka. Chciałem dziecka, jakie mieliśmy przedtem.

Wiem, że przejmując się tym, zawiodłem Iris i Maggie, i Ruth, i wszystkich ludzi pewnych, że jestem ponad to. Ale się przejmuję. Naprawdę. Nie tak to miało wyglądać.

Isobel, środa rano

Umówiłam się na spotkanie z „naszym prawnikiem”. Kiedy myślę o nim w cudzysłowie, łatwiej mi się zdystansować od koszmarnej sytuacji, w jakiej się znajdujemy. Zadzwoiłam do niego wczoraj, ale to Eric wieczorem znalazł jego wizytówkę. Spotkanie jest o dziesiątej, w mieście, podrzucę Vincenta do szkoły i pojedę.

Mają dzisiaj wycieczkę, Vince jest do przesady nakręcony i wyekwipowany. Wybierają się do oddalonego o czterdzieści pięć kilometrów skansenu – kolekcji budynków z różnych okresów i miejsc, które rozmontowano cegła po cegle, a następnie złożono ponownie na terenie muzeum. To w ramach zajęć z historii.

– Mają tam łóżka, na których można się położyć i złapać pluskwy – oświadczył Harvey przy śniadaniu.

Był na tej wycieczce w szóstej klasie. Łóżka stoją w domu z epoki Tudorów. Pościel nie może być autentyczna, ale Harvey stwierdził podekscytowany: „Była obrzydliwie brudna”.

Vincent spakował olbrzymi plecak. Zabiera nie tylko ubranie na zmianę („Może padać!”), lecz również latarkę, kompas, scyzoryk („Do szkoły nie wolno przynosić noży, Vincencie!”), tekturową podkładkę, długopisy, papier i drugie śniadanie.

Wychowawca wytrzeszcza oczy na widok bagażu mojego syna, kiedy stoimy na chodniku przed szkołą i czekamy na autokar.

– Planujesz wspinaczkę na Everest, Vince? – pyta.

– Tak. – Czasami zmyślenia dziwnie mieszają mu się z rzeczywistością. – Ale dopiero po szkole.

– Dzisiaj? – pyta nauczyciel.

– Nie, gdy skończę osiemnaście lat.

Nauczyciel wzrusza ramionami i przelicza uczniów.

Zauważam nieznaną blondyneczkę.

– To nowa koleżanka – wyjaśnia Vincent.

Wspominał o niej wcześniej. Pochodzi z Niemiec. Jej ojciec niedawno dostał pracę w Brighton. Dołączyła do klasy dwa tygodnie po rozpoczęciu roku szkolnego. Ma na imię Michaela. Jako niemowlę wystąpiła w niemieckiej telenoweli. Jej matka przyrządza domowe lody. Tyle wiem o Michaeli, a zaraz odkryję kolejny, interesujący dla mnie fakt.

– Słuchajcie wszyscy! – krzyczy nauczyciel, klaszcząc w dłonie, by uciszyć zarówno dzieci, jak rodziców. – Zamierzaliśmy wysłać listy z przypomnieniem, ale niestety, z powodu mojego niedopatrzenia tego nie zrobiliśmy. Mamy w klasie dziecko z silną alergią na orzechy. Dlatego jeśli czyjeś drugie śniadanie zawiera orzechy, proszę oddać je rodzicom. Albo mnie.

– Michaela jest uczulona na orzechy? – pytam Vincenta.

W szkole obowiązuje zasada „zero orzechów”, ale na wycieczkach trzeba o tym przypominać.

– Mhm. Jest wiewiórką – przytakuje. – Tak samo jak Harvey.

Wobec brata używa tego określenia z czułością. Harveyowi to odpowiada, woli być przezywany „wiewiórem” niż traktowany jak chory, bo wtedy się peszy i czuje naznaczony.

Za pierwszym razem nawet się nie zorientowałam. Dopiero z perspektywy czasu skojarzyłam fakty. Kiedy był malutki, używałam nosidełka. Miało, jak by powiedział Eric, „dziwaczną hipsterską nazwę” typu „huggababy” czy coś w tym stylu. Na opakowaniu zapewniali, że dziecko będzie w nim spało godzinami. Sprawdzało się nieźle i było wygodne w noszeniu – mogłam z nim usiąść, by pooglądać telewizję albo nawet zjeść, nie budząc Harveya.

Pewnego wieczoru spojrzałam na niego i wybuchnęłam śmiechem. Trzymałam go w nosidełku, a Eric przyniósł jedzenie na wynos z Wegamamy. Pałaszowałam jakieś danie z makaronem nad małym, nieświadoma, że kilka nitek spadło mu na głowę. Kiedy przerwałam, by na niego zerknąć, stwierdziłam, że mojemu łysemu synkowi wyrosła czupryna z kręconych makaronowych włosów. Wyglądała przeuroczo. Gestem pokazałam ją Ericowi, po czym zdjęłam makaron i wytarłam małego serwetką.

Kilka godzin później okazało się, że Harvey ma spuchniętą, obrzmiałą głowę oraz czerwoną, pokrytą plamami buzię. Nie skojarzyłam wtedy faktów. Sądziłam, że może się przeziębził albo za długo płakał, bo wcześniej był bardzo niespokojny i krzyczał niemal półtorej godziny, odmawiając jedzenia, aż w końcu zmęczył się i uspokoił w nosidełku.

Dodałam dwa do dwóch dopiero za drugim razem, kiedy musieliśmy wezwać karetkę.

Zaczął niedawno raczkować i kręcił się po kuchni pod opieką Gabby, która zajadała kanapkę z masłem orzechowym. Pogodna domowa scena raptem zmieniła się w horror. W jednej chwili Gabs jadła, a mały pełzał po podłodze, w następnej usłyszałam przerażający, chrapliwy odgłos, a kiedy się obejrzałam, zobaczyłam Harveya rżęącego i próbującego złapać oddech. Sądziłam, że się zadławił.

Chwyciłam go i przekręciłam głowę w dół.

– Co się stało? – zapytałam Gabby. – Włożył coś do buzi?

Wyobraziłam sobie, że połknął jedną z kolorowych magnetycznych literek, wciąż spadających z lodówki na ziemię, albo upuszczoną monetę.

– Dałam mu kawałek swojej kanapki – wyjaśniła Gabriella we łzach, jakby to była jej wina.

Potrząsnęłam Harveyem, klepnęłam go w plecy, spróbowałam wykonać minimanewr Heimlicha, ale wyglądało na to, że nic nie pomaga.

Kiedy zadzwoniłam na pogotowie, dyspozytorka poinformowała o wysłaniu karetki, a potem dalej ze mną rozmawiała, wypytując, co dokładnie się wydarzyło.

– Wykazywał wcześniej reakcję na orzechy?

To wtedy połączyłam fakty. Od tamtej chwili w moim życiu pojawił się nowy lęk. Zachowywałam nieustanną czujność, czytałam informacje na każdym opakowaniu, informowałam każdego, kto miał kontakt z Harveyem, że chłopiec musi unikać orzechów, posyłałam go do przedszkola z wizytówką opatrzoną notką: ALERGIA NA ORZECHY

– tak dużą i widoczną, że niektóre starsze dzieci sądziły, iż to jego imię.

Gdy autokar szykuje się do odjazdu, uśmiecham się do blondynki będącej, jak zakładam, matką Michaeli, ale się nie przedstawiam. Nie mam czasu, by przystanąć i porozmawiać, muszę zdążyć do prawnika, lecz chcę jej okazać solidarność. „Wiem, jak to jest – wciąż sprawdzać, czy coś nie zawiera orzechów” – coś w tym rodzaju.

– Pa, pa, mamó, mamó, to cześć – nuci Vincent na melodię kawałka Bay City Rollers, kiedy w kolejce innych uczniów wsiada do autobusu.

Szczęściarz, myślę sobie, beztroski jak ptak.

Ben, środa rano

– Hej, Iris!

Ruth siedzi na rozkładanej sofie w salonie, kiedy jej przynoszę filiżankę herbaty. Mała przypelzła za mną, ale nie reaguje na babkę. Pewnie jej jeszcze nie zauważyła i z pewnością nie usłyszała własnego imienia.

Reakcja na własne imię to naturalny odruch, wszyscy tak robimy od małego, więc fakt, iż moja córeczka tego nie potrafi, wydaje mi się totalnie dziwaczny.

– Cześć, Iris.

Ruth wyciąga rękę, by znalazła się w polu widzenia małej, i macha – kolejny znany wszystkim gest.

Iris rozpromienia się na widok babki i wydaje upiorny pisk.

– Hej, piękna.

Babcia otwiera dłoń i porusza nią wokół swojej twarzy w geście, którego nie znam. Może oznacza „piękny”.

Myślę, że imię „Iris” jest piękne.

To Maggie je wybrała. Szukała takiego, które będzie „normalne”, ale oryginalne.

– Wydaje się, że „Iris” nie jest obecnie zbyt popularna – stwierdziła.

– Podobnie jak Maggie! – Stary żart.

– Miałam cioteczna babkę Iris. Uważam, że jest proste i urocze. Ludzie nie będą mogli go przekręcać i nazywać jej inaczej.

W pełni się z nią zgadzałem. Imię wydawało się najbardziej stosowne dla naszej pięknej córeczki. Lubilem je powtarzać, kiedy się urodziła. Lubilem jego kształt na języku. Mogłem się jedynie obawiać, że być może przekazałem jej gen wady wymowy, że będzie seplenić i wypowiedzenie „r” przysporzy jej trudności. Nigdy, ani przez moment, nie wyobrażałem sobie, że mogłaby go nie słyszeć w ogóle.

Wciąż o tym myślę. To powszechna umiejętność słyszeć, jak ktoś mówi twoje imię, i na niego patrzeć. Świadomość, że dla Iris to nieosiągalne, sprawia, że zastanawiam się tym intensywniej.

Kiedy słyszysz, jak ktoś cię woła po imieniu, masz wrażenie przynależności, tego, że świat cię zna, że cię szanuje, że jesteś tutaj mile widziany. Wypowiedzenie imienia to znacznie więcej niż tylko próba zwrócenia czyjejś uwagi. To apel do kogoś konkretnego. Złapałem się na tym, że sam inaczej reaguję w pokoju nauczycielskim na „cześć, Ben” niż na zwykłe „cześć”.

Niedawno byłem w supermarkecie, wozilem Iris w spacerówce, ładując do kosza pod wózkiem pudełka makaronu, a tymczasem mała ściągała z półek na swoim poziomie produkty, których nie potrzebowaliśmy, i tuliła do piersi. Miałem nadzieję, że nie zamkną nas obojga za kradzież, kiedy usłyszałem, jak jakaś kobieta woła: „Ben!”, i odwróciłem się odruchowo. Wymieniliśmy spojrzenia i wzruszyliśmy ramionami, gdy wskazała opartego o jedną z zamrażarek chłopca, trochę za niskiego, by dosięgnąć czegoś, co próbował wyjąć. Wyraźnie to on był Benem, o którego jej chodziło, ale wszystko razem

– to, że usłyszałem własne imię, podniosłem wzrok, zorientowałem się w pomyłce i wzruszyłem ramionami – doprowadziło do interakcji między mną i matką drugiego Bena, drobnej, nieznaczącej interakcji, lecz niewątpliwie zapoczątkowanej usłyszeniem przeze mnie własnego imienia.

W gruncie rzeczy to głupota nadawać różnym drobiazgom nadmierne znaczenie. Ale tak właśnie czuję. Fakt, że nagle słyszę, jak ktoś wypowiada moje imię, wydaje się ogromnym, doniosłym wydarzeniem, więc szlag mnie trafia za każdym razem, gdy ktoś taki jak Ruth zjawia się cały w skowronkach i woła: „Halo, Iris!”, a mała nie reaguje.

Julie Effingham mówi, że kiedy udaje się w jakieś zatłoczone miejsce razem z córką (owszem, zadałem sobie trud, ustaliłem szczegóły i wiem, że córka ma na imię Ruby), Ruby woła ją: „Julie Effingham!”. Podobno bardzo wcześnie się zorientowała, że jeśli zawołać w tłumie „mamo!”, zareaguje połowa kobiet.

Gdy mi o tym powiedziała, musiałem pohamować emocje.

– Wszystko w porządku? – spytała.

– Tak, to zabawne – odparłem, ale tak naprawdę historyjka mnie nie rozśmieszyła. Sprawiała, że coś ścisnęło mnie w gardle.

A dzisiaj rano idziemy się dowiedzieć, co zrobić, by Iris być może pewnego dnia mogła usłyszeć własne imię.

Dlatego Ruth ciągle jest u nas. Dlatego wziąłem w szkole wolne przedpołudnie i załatwiłem zastępstwo na lekcję o Szekspirze. Idziemy na oddział audiologii, by poznać opcje dostępne dla Iris.

Oddział znajduje się na najwyższym piętrze wysokiego wieżowca z widokiem na Londyn. Przez okna poczekalni widać biurowce Shard i Korniszon oraz London Eye.

– Wspaniałe widoki dla niedosłyszących! – żartuję i Maggie chichocze uprzejmie, ale nie wydaje się rozbawiona. Jest niespokojna.

– Państwo Deakin?

Kobieta wyglądająca na zbyt młodą, aby być specjalistką w jakiegokolwiek dziedzinie, przedstawia się, uwalniając Maggie od groźby moich dalszych dowcipów.

– Jestem Claire Joiner. – Uśmiecha się i wita z nami. – Proszę za mną.

Prowadzi nas długim korytarzem do gabinetu ze ścianą komputerów po jednej stronie.

Wiemy obecnie, że utrata słuchu Iris jest raczej zbyt poważna, by mogła korzystać z aparatów słuchowych. Claire Joiner będzie z nami rozmawiać o implantach ślimakowych.

Oczywiście przeprowadziliśmy własne rozpoznanie – obejrzeliliśmy je w internecie – ale Claire ma nam pokazać coś lepszego.

– Dam państwu słuchawki – wyjaśnia. Stuka w klawiaturę i otwiera różne pliki zawierające zapisy dźwięku. – A potem odtworzę fragmenty mowy i muzyki, a państwo będą się mogli zorientować, co słyszy ktoś wyposażony w implanty ślimakowe.

Oboje, Maggie i ja, chcemy koniecznie, żeby Iris znowu „słyszała”. Owszem, może się nauczyć języka migowego, i Maggie już zaczęła do niej migać, ale nigdy nie zdołamy

się wyszkolić na tyle, by komunikować się z nią płynnie, a ja... no cóż, oboje chcemy, by słyszała: cokolwiek, jakkolwiek.

– Z początku zabrzmiało to dla państwa bardzo dziwnie – ostrzega audiolog. – Ale muszą państwo zrozumieć, że mózg ma wielkie zdolności adaptacyjne.

– W jakim sensie? – pytam.

– Cóż, słuchawki dają realistyczne wrażenie tego, jak państwa córka mogłaby słyszeć, gdyby w którymś momencie zdecydowali się państwo na implanty. Jednak początkowo brzmi to nienaturalnie. Może lepiej, jeśli najpierw państwo posłuchają, a potem wyjaśnię dokładniej.

– W porządku.

Nakładamy słuchawki.

– Na początek przykład mowy. – Słowa Claire są lekko stłumione, lecz wciąż słyszalne.

Głos, który puszcza, brzmi zgrzytliwie i urywanie, jak stare nagranie odtworzone z porysowanej płyty winylowej i nadane na falach średnich. Mogę wyłowić słowa, ale zdłużym trudem. Wymaga to wielkiego wysiłku woli i koncentracji. Nie potrafię długo wytrzymać i zdejmuję słuchawki.

– Wystarczy? – pyta Claire i przenosi wzrok ze mnie na Maggie, która idzie za moim przykładem.

Audiolog klika klawisz „zatrzymaj” na ekranie przed sobą.

– Myślałem, że głowa mi pęknie – marudzę.

– Trudno tego słuchać – przytakuje Maggie, ale jak zawsze jest nastawiona pozytywnie. – Lecz to niezwykle, jeśli ktoś taki jak Iris, kto obecnie nie słyszy naprawdę nic, mógłby odbierać mowę w taki sposób. Nie sądzisz?

Zwraca się do mnie, ale ja czuję się rozczarowany. Nie bardzo wiem, czego się spodziewałem, ale na pewno czegoś lepszego niż to, co usłyszałem przed momentem.

Myślę o Iris i pierwszy raz przychodzi mi do głowy, że może lepiej dla niej, by nic nie słyszała, żeby żyła we własnym, cichym świecie, zamiast odbierać wszystko tak groteskowo zniekształcone.

– Chcą państwo posłuchać teraz muzyki? – pyta Claire Joiner.

– A brzmi chociaż trochę lepiej? – słyszę samego siebie, chociaż ledwie przed sekundą napominałem się w duchu, by ze względu na Maggie wykazać większy optymizm.

Maggie zwraca się do Claire.

– Jestem muzykiem – wyjaśnia. – A raczej byłam. Od urodzenia Iris właściwie nie pracuję. Zdecydowałam się na powrót do pracy, ale wtedy dowiedzieliśmy się, że straciła słuch.

– Ludzie głusi mogą się rozkoszować muzyką. Lecz z pewnością już pani o tym słyszała.

– Owszem. – Maggie kiwa głową. – To między innymi skłoniło mnie... nas... by poważnie rozważyć wszczęcie implantów. Wiem, że w społeczności głuchych istnieją ludzie uważający to za próbę przerobienia głuchego dziecka w słyszące.

– Niezupełnie tak bym to ujęła – komentuje Claire.

Ale Maggie znalazła tę frazę na forum społeczności głuchych. Jedna z wypowiadających się tam osób oświadczyła wprost, że uważa za barbarzyństwo wysyłanie naszego dziecka na operację, która w jej opinii jest niepotrzebna i potencjalnie szkodliwa. Wtedy nie miałem dla niej zrozumienia, ale teraz trochę zmieniłem zdanie.

– Muzyka jest dla mnie bardzo ważna – ciągnie Maggie. – Nie umiem sobie wyobrazić świata bez niej. Nie potrafię sobie wyobrazić, że moja własna córka nigdy nie usłyszy, jak gram, nigdy nie będzie mogła zachwycić się melodią czy kadencją. Wiem, że może zdoła wychwycić puls albo rytm, lecz dla mnie to za mało. Nie chcę, by nie mogła doświadczyć czegoś, co dostarcza mi tak wielkiej przyjemności.

– Może pani znowu nałożyć słuchawki?

Maggie przytakuje gestem i tak robi.

Ja zwlekam, przyglądając się, jak audiolog otwiera na wyświetlaczu kolejny plik i klika „odtwórz”, dźwięki zaczynają się sączyć ze słuchawek leżących na moich kolanach.

Dopiero wtedy je podnoszę i zakładam.

To, co słyszę, jest okropne. Powiedzieć, że brzmi jak szkolna orkiestra strojąca instrumenty, byłoby niesprawiedliwością wobec szkolnych orkiestr – chociaż są tragiczne. W ten sposób jednak najlepiej mogę opisać te doznania. Kakofonię pisków. Czuję się, jakbym słuchał muzyki pod wodą z podkreśloną głośnością.

Nagle przypomina mi się moja matka zaglądająca do mojego pokoju w czasach, gdy jako nastolatek słuchałem muzyki na odtwarzaczu stereo kupionym za samodzielnie zarobione pieniądze. Fala jej dezaprobaty dosięgała mnie, zanim jeszcze zdałem sobie sprawę z obecności rodzicielki. Nie znosiła popu, nawet współczesna muzyka poważna była dla niej nie do przyjęcia.

Ściszałem odtwarzacz, by się dowiedzieć, czemu się do mnie fatygowała, lecz zawsze było to poprzedzone uwagą: „Na Boga, cóż to za upiorny jazgot?”.

Wtedy mnie to zadziwiło – jak może słyszeć coś tak kompletnie innego niż ja. Wiem, że ludzie mają różne gusty muzyczne, ale ona dosłownie się wzdragała, jakby słuchanie sprawiało jej ból.

Przypominają mi się jej utyskiwania: „Na Boga, cóż to za upiorny jazgot?”, i wybucham głośnym śmiechem – niewykluczone, że przesadnie głośnym, ponieważ siebie nie słyszę – a przy tym z lekka histerycznym.

Pani audiolog wygląda na zaniepokojoną. Maggie zdejmuje słuchawki.

– Wszystko w porządku, Ben?

Rechoczę nadal, świadomy, że muszę sprawiać niedorzeczne, z lekka maniackalne wrażenie.

– To nie do zniesienia – stwierdzam, kiedy udaje mi się opanować. – To nie muzyka. Tylko jazgot. Poważnie tak wygląda alternatywa dla kompletnej głuchoty?

– Nie jest taka zła, jak się wydaje na początku – zauważa cicho Claire Joiner.

– Jest koszmarna.

Ogarnia mnie wściekłość na wszystkich za to, że dali nam nadzieję – a szczególnie na Claire, ponieważ siedzi tu przed nami, starając się zachować spokój, próbując przekonywać, że zademonstrowała nam rozwiązanie.

– Dźwięki wydają się państwu zniekształcone – ciągnie, nie zważając na mój wybuch, podczas gdy Maggie sięga przez dzielącą nas przestrzeń i kładzie mi dłoń na udzie. – Lecz jak wspominałam wcześniej, mózg ma wielkie zdolności adaptacyjne. Owszem, zaraz po wszczepieniu implantów tak właśnie to brzmi. Ale stopniowo mózg przystosowuje się do tego, w jaki sposób dźwięk jest transmitowany, i zaczyna przetwarzać otrzymywane informacje w inny sposób. Więc kiedy pacjent się przyzwyczaja, zaczyna słyszeć wyraźniej.

Maggie patrzy na mnie z troską, wyraźnie zaniepokojona obłąkańczym rechotem.

I wtedy wybucham płaczem pierwszy raz od usłyszenia diagnozy, na którą Maggie zareagowała szlochem i często płakała od tamtej pory – stłumione napady rozpacz po zdolnościach Iris, które utraciliśmy – ale ja byłem jedynie wściekły.

Wydaje mi się, że powinienem czuć skrępowanie, siedząc przed młodą panią audiolog, która wygląda, jakby nie wiedziała, co zrobić.

– Da nam pani chwilę? – słyszę głos Maggie, na co Claire kiwa głową, podnosi się z miejsca i delikatnie zamyka za sobą drzwi.

Nie wiem, jak długo tak siedzimy: ja szlochający jak dziecko, Maggie tuląca mnie mocno do piersi, gładząca mnie po włosach, całująca w czubek głowy – zanim się uspokajam i uświadamiam sobie, że Claire Joiner znowu jest w gabinecie razem z nami.

– Przepraszam – mówi cicho. – Ale spóźnię się na następną wizytę.

Isobel, środa, później

Prawnik okazuje się energiczny i sprawny, wręcz uczynny – z prawniczego punktu widzenia.

– Tak, no cóż, nie sędzę, żeby pozew miał szanse powodzenia – oznajmia Roberto, patrząc na list, po wysłuchaniu mojej relacji z wydarzeń, które rozegrały się latem. – Na pani korzyść przemawia kilka czynników. Ostatniego lata pojawiły się liczne ogniska odry, w tym jedno w tej części Francji, gdzie państwo wypoczywali. Całkiem możliwe, że Iris Deakin zaraziła się wirusem z innego źródła. Żeby wygrali sprawę, musiałyby pani wiedzieć z całą pewnością, iż Gabriella miała odrę, i zostawić ją w towarzystwie Iris z celowym zamiarem zarażenia dziewczynki wirusem, czego oczywiście pani nie zrobiła.

– Nie – odparłam. – Naturalnie, że nie. Moja wina w najgorszym razie polegała na bezmyślności. Wiedziałam, że Gabs jest chora, ale nie wiedziałam, że ma odrę. Uznałam to za zwykłe przeziębienie. Pomyślałam nawet, że Maggie skorzysta z jej pomocy, skoro wyjeżdżamy na cały dzień. Nie chciałam, aby to wszystko się wydarzyło.

Już sam fakt, że pytanie pada z ust Roberta, wyprowadza mnie z równowagi. Sprawia, że wszystko wydaje się nazbyt rzeczywiste. O to właśnie mnie oskarżają: o celowe wyrządzenie krzywdy ich dziecku! Nie mieści mi się w głowie, że mogą tak myśleć, ale tak napisali.

– Więc co będzie dalej? – pytam, siłąc się na spokój.

– Cóż, wyślę pismo, że choć współczują im państwo z powodu ich trudnej sytuacji, nie ponoszą prawnej odpowiedzialności. Oni zapewne to zakwestionują. Ale moim zdaniem nie mają podstaw do wszczęcia sprawy, a ciągnięcie tego będzie marnowaniem czasu nas wszystkich.

– Zatem uważa pan, że uda się ich nakłonić, by odstąpili od sprawy, zanim trafi do sądu?

– Zdecydowanie – odpowiada. – Na razie nie podali konkretnej sumy, więc niewykluczone, że sami dążą do ugody pozasądowej.

– Ile mogą sobie zażyczyć?

– Nie potrafię określić na tym etapie. Lecz przy odrobinie szczęścia do tego nie dojdzie. Zresztą jestem pewien, że coś wykombinujemy, zanim sprawa trafi na wokandę.

– Świetnie. – Czuję lekką ulgę, chociaż nawet perspektywa ugody pozasądowej brzmi zniechęcająco. Nie mamy żadnych wolnych środków. Ben wie o tym doskonale.

– Istotnie. Zatem wyślę im pismo i przekonamy się, co dalej.

– A ile to będzie kosztowało? – pytam nerwowo.

– Pięćset funtów za dzisiejsze spotkanie oraz wysłanie pisma.

Przełykam ślinę i zastanawiam się, skąd wytrzaśniemy pieniądze na zapłacenie za poradę i sporządzenie listu, nie mówiąc o ugodzie. Eric zarabia wystarczająco, aby pokryć rachunki i spłatę kredytu hipotecznego, ale próby sfinansowania dodatkowych wydatków to zawsze balansowanie nad przepaścią.

Jakby na potwierdzenie Harvey przynosi ze szkoły informacje o wycieczce, na którą chce jechać. Otrzymał tę propozycję jako wyróżnienie.

– To wycieczka dla „Z i U” – wyjaśnia.

W ten sposób w wielkiej rejonowej szkole średniej, do której chodzą oboje z Gabriellą, określa się uczniów obdarzanych szczególną uwagą. Uczęszcza tam blisko tysiąc sześciuset uczniów – ponad trzystu z każdego rocznika. W tym tłumie łatwo przeoczyć konkretne dziecko. Dlatego skoncentrowano się na obu końcach łańcucha – z jednej strony na uczniach ze szczególnymi potrzebami, z drugiej zaś na „Z i U”. Harvey znajduje się na liście Zdolnych i Utalentowanych z angielskiego, sztuki, projektowania i technologii oraz matematyki.

Kiedy pierwszy raz usłyszałam to określenie, wyobraziłam sobie, że będą zapraszani na przyjęcia koktajlowe. Gabriella też jest „Z i U” z paru przedmiotów, natomiast co do Vinniego, to zastanawiam się, czy po przejściu do szkoły średniej dołączy do rodzeństwa, czy też pozostanie nieśpiesznym czytelnikiem i otrzyma dodatkową porcję uwagi raczej ze względu na swoje szczególne potrzeby niż talenty.

Wycieczka ma charakter stacjonarny – to coś w rodzaju tygodnia swobodnej ekspresji, w którym weźmie udział zaledwie dwudziestu uczniów. Specyficzna kombinacja sztuki i poluznienia rygorów ma wyzwolić ich wewnętrzną kreatywność poprzez zajęcia oraz warsztaty na otwartym powietrzu. W gruncie rzeczy to tygodniowe wakacje w Walii i z wyrazu twarzy Harveya widzę, jak bardzo chce jechać.

– Wiem, że to mnóstwo pieniędzy – stwierdza, boleśnie świadomy (wolałabym, by tak nie było), iż nasze możliwości finansowe są ograniczone. – Ale dołożę z własnych oszczędności i spróbuję coś zarobić. Mógłbym sprzedać trochę swoich rzeczy na eBayu.

– Co na przykład? – pytam, bardziej grając na zwłokę niż z ciekawości.

– Klocki Lego. – Najwyraźniej przemyślał sprawę. – Właściwie już się nimi nie bawię.

To prawda, ale szereg budowli oraz konstrukcji z wielobarwnych cegiełek zbierających kurz na jego regale stanowi dowód jego twórczego talentu. Szkoda się ich pozbywać.

– I gry na Nintendo DS – ciągnie. – Mógłbym sprzedać też konsolę oraz zestaw „Zrób sobie misia”.

Przy ostatnim wyznaniu wzrusza ramionami. Co jakiś czas, próbując nakłonić całą trójkę do częściowego odgruzowania pokojów, pytam Harveya, czy nadal chce zachować cały zestaw, zawsze dotąd odpowiedzią było lekko zawstydzone: „Tak”. Miś wciąż siedzi w nogach jego łóżka. Jak sobie wyobrażam, Harvey prezentuje go kumplom jako „ironiczny” akcent – podobnie jak wszystko, co uważa za zbyt dziecinne lub obciachowe – lecz worki ubrań i akcesoriów dla zabawki leżą upchnięte na dnie szafy. Szczerze mówiąc, od lat nie oglądały światła dziennego, lecz do tej pory nie był gotowy na rozstanie z nimi.

– Jesteś pewien? – pytam.

Niewykluczone, że pragnie się rozstać z niektórymi pamiątkami z dzieciństwa – lecz nie mam pewności, czy ja tego chcę. Modele z klocków Lego, które budował

pracowicie przez wiele godzin, a potem rozbierał, by móc się cieszyć ich ponownym składaniem, przebrania dla misia i towarzyszące im śmieszne zabawy... Jestem bardziej przywiązana do tych pamiątek dzieciństwa niż oni.

– Pomówię z tatą, kiedy wróci – obiecuję.

Wiem jednak, że zgromadzenie tych pieniędzy nie będzie łatwe, a na dodatek musimy zapłacić prawnikowi pięćset funtów jako wstępne honorarium, a to zapewne nie wszystko.

– O czym? – Gabriella staje w drzwiach i wychwytuje ostatnie zdanie.

– O szkolnej wycieczce – oświadcza Harvey szczęśliwy, że może porzucić temat, skoro mnie zapytał. – Idę pooglądać telewizję.

– Co to za wycieczka? – drażni Gabriella, a ja zauważam, że nie ma uniformu.

– Wyjazd do Walii dla „Z i U” – mówię. – Czemu jesteś w domowych ciuchach?

– Dzisiaj był dzień bez mundurka – odpowiada, ale mało przekonująco.

– Harvey włożył.

– Tylko dla jedenastej klasy – wyjaśnia chłodniej. – Puściecie go? Na tę wycieczkę?

– Przemyślimy sprawę – mówię. – To cały tydzień. Trzeba rozważyć wiele aspektów.

– Na przykład? – Gabriella najwyraźniej szykuje się do starcia.

– Cóż, ile dni w szkole straci i czy przez ten okres zwrócą uwagę na jego alergię na orzechy – tłumaczę mętnie.

– I koszty. – Przechodzi do sedna. – Teraz, gdy Ben i Maggie was pozywają, nie będziemy mieli pieniędzy na nic, tak?

– Niezupełnie tak – odpowiadam.

– Więc jak wygląda prawda?

– To skomplikowane.

– Jezu Chryste, mamó – mruczy Gabs i odwraca się do wyjścia, ale przystaje. – À propos, dzwonił tata. Upowiedział, że musi zostać dłużej w pracy. Wróci dopiero po dziewiętej.

Oświadcza to z triumfem, jakby fakt, że Eric zjawi się w domu później niż zwykle, stanowił pomniejsze zwycięstwo – i podejrzewam, że tak jest. W ciągu paru tygodni zmieniliśmy się z rodziny w miarę szczęśliwej w taką, w której normą są ciche dni i utarczki o każdy drobiazg. Do czego Eric miałby się śpieszyć?

Ben, czwartek po południu

– W porządku, proszę pana?

– Dzień dobry, proszę pana.

– Coś nas ominęło, proszę pana?

Zbieram się do domu, kiedy na parkingu wita mnie gromada dziewiętoklasistów prosto z jakiejś wyprawy w minibusie.

Mam wrażenie, jakby czwartkowe popołudnie nadeszło w tym tygodniu szybciej, pewnie dlatego, że wczoraj wziąłem sobie wolne. Mimo to nie mogę się doczekać, by już się znaleźć w domu. Uczniowie dopiekli mi dzisiaj swoją normalnością. To nie ich wina. Po prostu takie mam odczucia po wczorajszej wyprawie do audiologa. Nie znoszę ich za to, że są zwykłymi, normalnymi dzieciakami jeżdżącymi na zwykłe, normalne wycieczki szkolne.

– Fajnie było? – pytam, starając się szybko przemknąć do samochodu.

Wydają się w doskonałych humorach i w nastroju, by spędzić tę część dnia z nauczycielem. Ja nie.

– Byliśmy na wycieczce pod namiotami z programu Nagroda Księcia Edynburga – wyjaśnia ktoś, wskazując plecaki na dachu minibusa, które odpinają jeden z wuefistów.

Milczę.

– Mało nie zamarziliśmy, proszę pana – rzuca inny.

– Tak zmarzłem, że prawie miałem ochotę wleźć do śpiwora z Rileyem – żartuje następny.

– Było tak zimno, że zamarzła mi bułka z czekoladą – dodaje jedna z dziewczyn.

– Mówiliście, że chodziło o NKE?

– Właśnie, proszę pana – przytakuje inna.

– I wzięłyście bułki z czekoladą? – Mam ochotę dodać: Posłuchaj tylko, co ty bredzisz.

Patrzy zbита z tropu, wyjmując komórkę i zaczyna pisać esemesa – typowa reakcja, gdy próbujesz wciągnąć w rozmowę uczniów, szczególnie dziewczyny. Szybko tracą zainteresowanie i zajmują się telefonami – a może uważają mnie za tak fascynującego i zabawnego, że wrzucają moje słowa na Twittera. W to jednak wątpię.

– No.

Docieram do samochodu, otwieram drzwi i gdy tylko siadam w fotelu kierowcy, dzwoni moja komórka. Numer jest zastrzeżony, ale odbieram na wypadek, gdyby chodziło o coś ważnego.

– Halo.

– Ben. Tu Paddy – poznaję go po głosie.

– Paddy! Nie wyświetlił mi się twój numer.

– Dzwonię z pracy – wyjaśnia. – Co u ciebie? Jak leci?

– W porządku. – Rozmawiamy raczej często. – A u ciebie? I u Sally?

– Mhm. Wszyscy mamy się dobrze. Tak sobie pomyślałem, możesz gadać?

– Siedzę w samochodzie na parkingu i zaraz wracam do domu, ale mam kilka minut. Co się stało?

Potrafię się domyślić, czemu dzwoni.

– Cóż, właśnie zastanawialiśmy się z Sally, jak się trzymacie, z małą, i tak dalej... czy dowiedzieliście się czegoś nowego. W zeszłym tygodniu Sally zadzwoniła do Maggie. Liczyła, że złapie ciebie. Ale pewnie byłeś zajęty.

– Cóż... – odpowiadam z takim samym wahaniem. – Jakoś żyjemy. Ale było tak sobie. Iris jest marudna i drażliwa, wyraźnie ją denerwuje, że nic nie słyszy, i w zasadzie nie zwojowaliśmy za wiele, jeśli chodzi o ustalenie, co nas czeka w przyszłości.

– Rozumiem. Myślisz, że da się coś zrobić?

– Cóż, istnieją pewne możliwości, ale szczerze mówiąc, Paddy, to wszystko jest cholernie dołujące. Wolałbym o tym nie rozmawiać, przynajmniej dopóki nie dowiemy się więcej.

– Jasne. – Waha się. – Widzisz, dowiedziałem się, że wynajęliście prawnika. Sally rozmawiała z Isobel parę razy.

Milczę.

– Wspomniała, że Bel jest roztrzęsiona i naturalnie zdruzgotana tym, co się wydarzyło.

– Nie tak zdruzgotana, jak my.

– Nie, ale naprawdę bardzo to przeżywa, Ben. Czuje się winna i żałuje. Ale co może teraz zrobić?

– Teraz nic – odpowiadam. – W tym rzecz. Mogła coś zrobić wcześniej, ale nie kiwnęła palcem. Więc będzie musiała dalej żyć, „rzeczywiście bardzo to przeżywając”.

– Wiem. Tylko... Pomyślałem sobie, że gdybyście potrzebowali pomocy finansowej, to ja... my... chętnie wam pomożemy.

Wiem, że jego gest jest podyktowany dobrymi intencjami, ale tak tego nie odbieram.

– Nie chcę waszych pieniędzy, Paddy. Nie jesteśmy pieprzoną fundacją charytatywną.

– Ależ... – Paddy płacze się na drugim końcu linii. – Chodzi o to, że jeśli... Zdaję sobie sprawę, że to będzie dla was trudne finansowo i...

– Chcesz oszczędzić kłopotów Isobel? – pytam. – To ona ci kazała zadzwonić?

– Oczywiście, że nie. Po prostu staram się pomóc, Ben – odpowiada.

– Cóż, nie ma niczego, co ty lub Sally moglibyście zrobić – ucinam z niewspółmierną do sytuacji złością. – Iris jest głucha. Z winy Isobel, więc jeśli ktoś powinien ponieść konsekwencje, to ona.

– Oni nie mają pieniędzy... – zaczyna Paddy, ale nie zamierzam słuchać, jak ją usprawiedliwia.

– Powtarzam: nie potrzebuję waszych pieniędzy. Dzięki za propozycję, ale to sprawa między mną a Isobel.

– Jasne. – Paddy gra na zwłokę. – Cóż, oferta jest aktualna bezterminowo.

Jestem wściekły i gotowy się rozłączyć.

– Jeśli to wszystko...

- W porządku, prawdę mówiąc, chciałem powiedzieć ci coś jeszcze...
- Mianowicie?
- Widzisz, Ben, ja... cóż, my... martwimy się o ciebie. Wydaje się...
- Co?
- Posłuchaj, wiem, że to musi być trudne, naprawdę trudne, pogodzić się z faktem, że Iris jest... no cóż, jest...
- Głucha.
- Tak, że jest głucha. Wiem, to co się stało, jest straszne, ale najgorsze, że nie da się tego odwrócić.
- Myślisz, że nie wiem?
- Wiem, tylko... no, cóż... Po prostu martwimy się o ciebie, chłopie. Gdybyś potrzebował pogadać, wal śmiało. Wpadnę do Croydon któregoś dnia po robocie, jeśli chcesz.
- Nie potrzebuję się wygadać, Paddy. Przez ostatnich kilka tygodni nie mówiłem i nie myślałem o niczym innym. Skończyłem z gadaniem. Przeszedłem do czynów.
- Przepraszam – mówi.
- Muszę kończyć – odpowiadam i przerywam połączenie.
- Wkładam kluczyk do stacyjki, przekręcam i przejeżdżam przez parking szybciej, niż to konieczne i dozwolone, i muszę wcisnąć hamulce, kiedy – okrążywszy szereg samochodów – zauważam małą od *pain au chocolat* klęczącą na samym środku i wyciągającą wszystko z plecaka.
- Spieprzaj! – warczę, opuszczając szybę.
- Proszę pana? – Podnosi wzrok zbity z tropu.
- Sterczysz na środku cholernej drogi! – wrzeszczę, choć wiem, że się poskarży, że może się poskarżyć, ale mam to w dupie.

Isobel, czwartek po południu

– Muszę kończyć – oświadczam Sally, słysząc szcęk klucza w zamku i widząc przez szybę sylwetkę Gabrielli. – Gabs wróciła ze szkoły.

– Okej. Cóż, zastanów się nad tym – odpowiada.

– Dzięki, Sal – kończę, po czym się rozłączam.

Zaproponowała, że pożyczmy nam pieniądze, gdybyśmy potrzebowali, w zależności od tego, jak rozwinie się sytuacja teraz, kiedy my także wynajęliśmy prawnika.

Uważam, że nie powinniśmy ich przyjmować – chociaż możemy być zmuszeni, jeśli nie znajdę pracy – ale jestem wdzięczna za propozycję, również dlatego że dzięki niej czuję wsparcie Paddy’ego i Sally. Jak się zdaje, trzymają naszą stronę.

– Wszystko w porządku? – pytam Gabs, kiedy wchodzi do środka.

Wygląda na nieszczęśliwą, chyba nawet płakała. To do niej niepodobne. Zwykle panuje nad emocjami. Nie przypomina mnie, bo po mnie wszystko widać. Ona jednak, nawet kiedy się czymś zamartwia, zwykle tego nie okazuje.

– Tak – odpowiada, ale jej głos drży nieznacznie.

– Na pewno? – dopytuję.

Wiem, można mi zarzucić, że za bardzo naciskam, jeśli coś podejrzewam, ale jeśli odpuszczę, córka nic mi nie powie.

– A w ogóle co cię to obchodzi? – burczy Gabs.

Teraz już wiem, że coś się stało. I znowu nie ma na sobie mundurka, co jest niepokojące.

– Wyglądasz na przybitą – wyjaśniam łagodnie. – Martwię się o ciebie. Coś się wydarzyło? Coś poszło nie tak?

– Mnóstwo. Dam sobie radę – odpowiada.

Vincent siedzi w swoim pokoju, a Harvey ma trening piłkarski. Jesteśmy w kuchni same.

– Chcesz filiżankę herbaty i coś do zjedzenia? – pytam.

– Wezmę sobie – burczy i idzie nastawić czajnik.

Łatwiej jej się zwierzać w taki sposób, zgaduję. Nie usiądzie i nie porozmawia ze mną, ale być może coś zdradzi, krzątając się przy innych sprawach.

– Jak było w szkole? – zaczynam od zwykłych pytań.

– Normalnie.

Otrzymuję lakoniczne odpowiedzi, póki nie trafiam w czuły punkt.

– Co u Sama? Od jakiegoś czasu nie zagląda do nas.

Odkąd ze sobą chodzą, zwykle co kilka dni odprowadzał ją po szkole, a potem Gabs pytała, czy może u nas zostać na kolację.

– Skoro musisz wiedzieć, to zerwaliśmy – oświadcza Gabby, stawiając czajnik na podstawce tak energicznie, że pokrywka odskakuje i woda ochlapuje blat. – Kurde!

– Ale kiedy? Dlaczego? Sądziłam, że naprawdę świetnie się dogadujecie. – Chciałabym wstać i podejść do niej, ale mowa jej ciała zdradza, że córka nie ma ochoty

na przytulanie.

– Bo tak było – odpowiada.

– Więc czemu? Pokłóciliście się?

– Coś w tym rodzaju.

– O co wam poszło?

– O Iris – wyjaśnia, odwraca się od czajnika i piorunuje mnie wzrokiem. – Opowiedziałam mu, co się stało. O tym, że nas pozwali. Powiedziałam, że nie doszłoby do tego wszystkiego, gdyby nie jego choroba.

– To nie wina Sama, skarbie – zapewniam łagodnie. – I nie twoja.

– Wiedziałaś, że to powiesz! – Gabs podnosi głos. – On też mówił mniej więcej to samo. Chyba wszyscy tak myślą. To nie twoja wina. To nie moja wina. To nie ich wina. Cóż, Ben uważa inaczej, tak?

– Ben jest wściekły – wyjaśniam.

– Oczywiście, że jest wściekły! – wrzeszczy na mnie Gabs. – Ja też jestem. Ty byś nie była?

Przechodzi obok i potrąca mnie mocno, po czym z głośnym tupaniem wychodzi z kuchni i rusza na piętro. Słyszę jej szloch, odczekuję chwilę i postanawiam zaparzyć herbatę, którą zaczęła robić, i zanieść jej na górę.

Kiedy wchodzę, Gabs leży na łóżku i cicho płacze. Martwię się, że jest nieszczęśliwa, i może mimo wszystko przypomina bardziej mnie niż Erica, więc w efekcie wszystko będzie intensywnie przeżywać.

Eric ma większą umiejętność bycia szczęśliwym niż ja. To jedna z rzeczy, za które go kocham. Akceptuje wszystko, co przynosi mu życie, i stara się to wykorzystać jak najlepiej.

Wiem, że nie lubi swojej pracy. Inaczej chciał pokierować własną karierą, chociaż twierdzi, że jest zadowolony. „Wydaje się w miarę interesująca. Codziennie mam do czynienia z czymś nowym, a ludzie, z którymi pracuję, są sympatyczni. I zarabiam całkiem nieźle”.

Dostrzega zalety i zapomina o wadach – o przesiadywaniu do późna, o nieelastycznym kierownictwie, o fakcie, że nienawidzi ich linii politycznej. Przynajmniej tak się sprawy mają, kiedy wszystko między nami układa się dobrze. Gdy jednak pojawiają się napięcia, również zdolność odczuwania szczęścia u Erica maleje i dochodzą do głosu zastrzeżenia.

Dzieje się tak nie pierwszy raz.

Po studiach dopisało mi szczęście. Jeszcze zanim na dobre opuściłam uniwersytet, znalazłam wymarzone zajęcie – zostałam asystentką Dinah Cohen. Jej okręg wyborczy obejmował północny Londyn – była bardzo znana. Praca była głównie biurowa – odpisywanie na listy, wykonywanie telefonów, tego rodzaju rzeczy. Z rozmowy wstępnej dowiedziałam się jednak, że Dinah szuka kogoś, kto potrafiłby więcej: pomagać w zbieraniu informacji, pisaniu przemówień, planowaniu imprez – i już po kilku tygodniach zajęcie okazało się znacznie ciekawsze, niż sugerowałaby nazwa stanowiska.

Byłam zachwycona. A Dinah, jak się zdawało, była zachwycona mną. Odkąd otrzymała stanowisko w gabinecie cieni, spędzałam więcej czasu w Westminsterze niż w okręgu wyborczym. Czułam się szczęśliwa. Kochałam to, co robiłam, i wiedziałam, że jeśli nie przestanę się starać, osiągnę pozycję, na jakiej mi zależało.

Eric natomiast marzył o karierze w dziennikarstwie śledczym i musiał od czegoś zacząć. Przez jakiś czas był bardzo zadowolony z pracy dla „Hampstead and Highgate Reporter”. Od czasu do czasu podrzucałam mu temat z gabinetu Dinah. Zajmował się nimi bardzo chętnie, mniej jednak cieszyła go codzienna porcja tekstów o planowanych budowach i ograniczeniach parkowania. Czuł się wiecznie rozczarowany, nie tylko robotą, lecz również ludźmi, z którymi miał do czynienia.

Pewnego dnia wrócił do domu w szczególnie podłym nastroju.

– Co się stało? – spytałam, kiedy wyjął z lodówki piwo i rozwalił się przed telewizorem.

– Przeprowadziłem dzisiaj wywiad z Frankiem Careym – wyjaśnił.

– Z Careym? Przecież go uwielbiasz. To wspaniale, że mogłeś go poznać.

Frank Carey był – i jest nadal – artystą mającym wśród studentów grono fanów. Za czasów naszych studiów przebywał w RPA, żył wśród członków Afrykańskiego Kongresu Narodowego i malował uroczne, impresjonistyczne w stylu obrazy przedstawiające posiedzenia oraz osiedla Czarnych, którymi ozdabiano kubki oraz T-shirty popularne w akademikach całego kraju. Miałam jeden i drugi. Każdy z naszych znajomych byłby zachwycony, gdyby mógł go poznać.

– Jaki jest?

– Sympatyczny, uprzejmy – odparł Eric. – Ale rozczarowująco wkurzony z powodu wprowadzenia opłat za parkowanie na uroczej, zadrzewionej uliczce, przy której mieszka.

Roześmiałam się, lecz on był szczerze zawiedziony.

– Chodzi o Franka Careya, Isobel. Bardzo się cieszyłem na to spotkanie, a gadaliśmy wyłącznie o trudnościach z parkowaniem w Highgate. To dołujące.

Ja przeciwnie, byłam podekscytowana swoją pracą. Miałam to, czego chciałam: ciekawe zajęcie, miłe mieszkanko, świetnego faceta, który pewnego dnia się ze mną ożeni, a jeśli nie, to zostanie moim partnerem życiowym.

Eric natomiast miał dwie z tych rzeczy, lecz to mu nie wystarczało – nie wtedy.

Sądziłam, że wcześniej czy później poszuka zajęcia w którejś z krajowych gazet albo pójdzie na staż do BBC. Sądziłam, że rozejrzy się za lepszą posadą w Londynie. Nie zdawałam sobie sprawy, że rozważy przeprowadzkę w inne miejsce, póki jakiś miesiąc później nie oświadczył, że wybiera się na rozmowę kwalifikacyjną i nie wróci na noc, bo rekrutacja trwa dwa dni.

– Nie możesz przyjść do domu na wieczór? – zdziwiłam się.

– Niewykonalne.

Jedliśmy kolację w naszym mieszkaniu, mówiąc to, poszedł przynieść chleb, jak gdyby nie całkiem chciał mi patrzeć w oczy – zupełnie jak dzisiaj Gabriella.

– To w Glasgow.

– W Glasgow?

– Owszem. W siedzibie szkockiego oddziału BBC, który mieści się w Glasgow. Aż tam. Na drugim końcu świata.

– Więc chcesz mnie zostawić?

– Nie chcę cię zostawić, Isobel. Jedynie staram się o pracę, dobrą pracę, taką, którą bardzo bym chciał dostać, w Glasgow.

– A jeśli ją dostaniesz?

– Wtedy wyjadę i przez jakiś czas będę mieszkał w Glasgow.

– Więc byś mnie zostawił?

– Możliwe, że jej nie dostanę – odparł. – Może mnie nie zechcą. Ale powinienem przynajmniej pojechać na rozmowę kwalifikacyjną.

– A jeśli dostaniesz?

– Wtedy się zastanowimy.

Nienawidziłam siebie za to, że nie okazuję mu wsparcia, że wzbudzam u niego wyrzuty sumienia, gdy chce podążać za swoimi marzeniami, ale nie umiałam się powstrzymać.

Praktycznie nie odzywaliśmy się do siebie, kiedy pojechał na tę rozmowę, poprzedniego dnia strasznie się pokłóciliśmy, a pod jego nieobecność zaszło coś, co sprawiło, że przystopowałam, uspokoiliłam się trochę, zastanowiłam, przeanalizowałam swoje zachowanie i postanowiłam się poprawić.

– Jak poszło? – spytałam go po powrocie.

– A wiesz, naprawdę nieźle. – Nastąpiła uprzejma i ostrożna wymiana zdań. – Dziękuję.

– Kiedy się odezwą?

– W ciągu najbliższych dwóch dni. Jest coś do jedzenia?

– Kupiłam parę steków. Zaraz usmażę.

Eric uwielbiał steki. Rzadko je przyrządzałam. Jadłam mięso od wielkiego dzwonu – bez konkretnego powodu, po prostu nie przepadałam za nim. Stek był moim prezentem na zgodę.

– Świetnie. – Wyglądało, że tak to odebrał. – Dzięki, Isobel.

– Więc jak ci się tam podobało?

Czułam się teraz spokojniejsza. Po jego wyjeździe musiałam przyjąć do wiadomości realną możliwość, iż Eric przyjmie pracę, jeśli mu ją zaproponują, to zaś, co się wydarzyło pod jego nieobecność, przygnębiło mnie i zawstydziło, obnażyło mój egoizm.

– Całkiem, całkiem. – Wyjął z torby butelkę wina. – Nalać ci? To naprawdę ekscytujące. Ośrodek jest wielki i mnóstwo się tam dzieje. Byłaby to dla mnie wspaniała szansa. Ale poczekamy, zobaczymy.

– Posłuchaj, Ericu – zaczęłam. – Wiem, że zachowywałam się samolubnie przez ostatnich kilka tygodni i bardzo cię przepraszam. Naprawdę o tym marzysz, więc musisz wykorzystać tę szansę. Będę za tobą tęskniła, oczywiście, ale nie darowałabym sobie, gdybym cię powstrzymała przed zrobieniem tego, na czym ci naprawdę zależy.

– Nie jestem pewien, czy mi zależy – oznajmił wtedy, po czym nalał nam obojgu po kieliszku i pociągnął ze swojego długi łyk wina.

– W jakim sensie?

– Zadałem sobie pytanie: co by oznaczało, gdybym ją przyjął. W kółko się nad tym zastanawiałem. Nie mogłem podjąć decyzji, Bel, nawet co do tego, czy iść na rozmowę, ale uznałem, że jeśli pójdę, sytuacja się wyklaruje.

– I wyklarowała się?

– W pewnym sensie. Gdybym dostał tę posadę, miałbym świetne zajęcie, ale daleko od ciebie, od przyjaciół, od rodziny. Już po jednej nocy spędzonej samotnie w hotelu w Glasgow mam wątpliwości, czy świetne zajęcie wystarczy. Za bardzo bym tęsknił za wszystkim innym.

Odwróciłam się, bo nie potrafiłam na niego spojrzeć i poczułam się jeszcze gorzej z powodu tego, co zrobiłam. Niemal chciałam teraz, żeby przyjął pracę – choćby po to, by mnie ukarać.

– Nie wiem, co powiedzieć – wyznałam. – Mam wrażenie, że zepsułam ci całą radość. Jeśli dostaniesz swoją wymarzoną pracę, powinieneś ją przyjąć.

– Nie sądzę, Isobel – zaprzeczył, potem podszedł, odstawił kieliszek z winem i mnie pocałował. – Bardziej chcę być z tobą, niż mieć tę pracę. Zrozumiałem to jeszcze przed wyjazdem.

– Chociaż przez ostatnich kilka tygodni byłam samolubną jędzą?

– Chociaż byłaś samolubną jędzą – potwierdził, po czym objął mnie i znowu pocałował. – Nie płacz. Wszystko w porządku. Nigdzie nie pojedę.

Ale ja nie dlatego płakałam. Płakałam z powodu tego, jak się zachowałam pod jego nieobecność.

Eric otrzymał propozycję, ale ją odrzucił. Kilka miesięcy później dostał posadę stażysty w redakcji informacyjnej „Guardiana”. Wyglądało to lepiej na papierze niż w rzeczywistości, lecz dzięki tej swojej specyficznej zdolności czuł się szczęśliwy.

A teraz moja córka zrezygnowała z chłopca, który, jak się zdaje, czynił ją szczęśliwą, a ja nie bardzo rozumiem, dlaczego ani czemu to ma służyć. Mam tylko przerażające przeczucie, że na tym się nie skończy. Wiadomość o głuchocie Iris to był tylko pierwszy akord. Kto wie, jakie będą dalsze konsekwencje?

Ben, piątek rano

Po lekcji z ósmą klasą widzę w telefonie nieodebrane połączenie, odsłuchuję pocztę, kiedy do środka wkraczają jedenastoklasiści. Im dłużej dzieciaki chodzą do szkoły, tym więcej czasu zabiera im przygotowanie do lekcji. Pewnie też taki byłem, ale teraz działa mi to na nerwy. Ci chłopcy i dziewczyny latem przyszłego roku przystąpią do egzaminów kończących szkołę średnią. Większość potrzebuje wszelkiej dostępnej pomocy. Liczy się każda sekunda.

Dlatego ledwie podnoszę wzrok na powitanie. Do gry w nonszalancję trzeba dwojga. Jestem w niewątpliwie podłym nastroju. Bez szczególnego powodu. Iris obudziła się nad ranem i trochę płakała, ale poszła do niej Maggie, a ja zasnąłem z powrotem. To po prostu jeden z tych dni.

– Halo, pan Deakin? – Nagrany głos zdradza ślad akcentu. Hedda. – Dzwonię tylko, by powiedzieć, że dostaliśmy odpowiedź od prawnika państwa Jordanów, i muszę z panem porozmawiać, zanim zrobimy następny krok. Mógłby pan oddzwonić dzisiaj przed południem?

– Proszę pana, ile trwa pauza Pintera?

Josh Foley siedzi w pierwszej ławce i przygląda mi się, czekając, aż skończę odsłuchiwać wiadomość.

– To znaczy?

– No bo pan Poole mówi, że kiedy Pinter zaznacza w scenariuszu pauzę, to trzeba odliczyć pięć sekund, a dziesięć, gdy pisze „cisza”. Ale mnie się wydaje, że to trochę za długo. Ma rację?

Gdybyśmy przerabiali *Kto się boi Virginii Woolf?*, czego nie robimy, powiedziałbym, że gramy w „Dopaść belfra”. To ulubiona rozrywka uczniów starszych klas: przeciwstawić opinię jakiegoś nauczyciela zdaniu kolegów. „Proszę pana, taki a taki powiedział to. Co pan o tym sądzi?”. Podejrzewam, że w większości zmyślają opinie innych nauczycieli. Zdają sobie sprawę, że podważanie zdania kolegi narusza jakiś wewnętrzny kodeks nauczycielski, ale są też świadomi, iż każdy z nas posiada własną opinię i wystarczy mała zachęta, a dajemy się podpuścić.

Nie odpowiadam Joshowi od razu. Dalej gapię się na komórkę.

– Proszę pana? – pyta ponownie chłopak.

– O co chodzi?

– Pytałem, jak długa powinna być pauza Pintera. I cisza.

– Słyszałem. – Do gierek jedenastoklasistów też potrzeba dwojga. – Dlatego zanim odpowiedziałem, zrobiłem pauzę. Albo może to była cisza. Jak sądzisz, która?

Reszta klasy zajmuje właśnie miejsca i słyszała naszą wymianę zdań, niektórzy się śmieją. „Dorwać belfra” runda pierwsza: jeden zero dla pana Deakina – myślę, a potem zacynam się zastanawiać, kto wygra pierwszą rundę gry w „Pozwij kumpli”.

Na przerwie oddzwoniam do Heddy.

– Mamy odzew od prawnika państwa Jordanów – powtarza.

– I?

– Tak jak zakładaliśmy, na tym etapie wypierają się odpowiedzialności.

– Więc co teraz?

– Napiszę, że uważamy ich za winnych kosztów trwającego leczenia, specjalistycznego wyposażenia, wykształcenia i tak dalej, a potem zaprosimy ich na spotkanie przed podjęciem kroków prawnych.

– Dobrze.

– Dzwonię tylko, by się upewnić, czy pan to akceptuje i mam dalej działać.

– Tak – potwierdzam.

– Więc opracuję też szczegóły odszkodowania, o które się ubiegamy. Muszę się skonsultować, ale realistycznie rzecz biorąc, mówimy o sumie sześciocyfrowej.

– Tak – powtarzam i robi mi się trochę niedobrze, ale wiem, że Hedda wzięła naszą sprawę, że nasza sprawa jest dla niej godna uwagi, ponieważ liczy na uzyskanie pokaźnego odszkodowania.

Wiem też, że Isobel i Eric nie mają szans na zdobycie takich pieniędzy, chyba że sprzedadzą dom. Ale to nie moja sprawa.

Nie wiem, ile zarabia Eric. Wspomniał, że jego praca jest „dobrze płatna”. Twierdził, że dlatego ją przyjął – zajęcie tak rażąco niedopasowane do jego talentów czy ambicji. „Mam teraz na utrzymaniu trójkę dzieciaków”, odparł, kiedy mnie o tym informował.

– Serio będziesz pracował dla „Daily News”? – spytałem z niedowierzaniem.

Nie pierwszy raz czułem się lekko zirytowany w jego imieniu. Gdy Eric brał tę robotę, Vincent właśnie szedł do szkoły. Isobel, gdyby zechciała, mogła pomyśleć o powrocie do pracy na część etatu, ale najwyraźniej nie zechciała. Więc Eric, zamiast zostać w „Guardianie” jeszcze trochę i poczekać na spodziewany awans, zrobił skok w bok: z pisania w redagowanie, i to dla gazety uosabiającej wszystko, czego nienawidził w tabloidach.

Byłem oburzony w jego imieniu, że musiał przyjąć posadę zamykającą więcej drzwi, niż ich otwierała. Ale nie pierwszy raz poświęcił własne ambicje dla Isobel.

Kiedy starał się o pracę w oddziale BBC w Glasgow, przeżywałem konflikt lojalności. Dla niego byłaby to świetna okazja i zajęcie, które by pokochał. Mógł naprawdę wysoko zajść. Gdyby przyjął ofertę, pewnie co wieczór nawiedzałyby ekrany telewizorów, relacjonując wydarzenia z egzotycznych miejsc, zamiast ugrzęznąć tutaj, a potem wziąć robotę w „Guardianie”. Ale na wieść, że miałyby wyjechać, Isobel wpadła w histerię, więc odrzucił propozycję, został w Londynie i się z nią ożenił, zamiast podążać za marzeniami.

W tamtym okresie nienawidziłem jej za to i nienawidziłem siebie, bo nie umiałem się zachować, kiedy oboje zwrócili się do mnie o radę.

W efekcie popełniłem błąd.

Eric zadzwonił w tygodniu poprzedzającym rozmowę kwalifikacyjną, opowiedział o swoim dylemacie i spytał, czy wybrałbym się z nim na drinka. W zasadzie nie rozumiałem, w czym problem. W tamtych czasach ludzie podtrzymywali związki na odległość. Skoro naprawdę myśli poważnie o Isobel, z pewnością przetrwają tych parę lat

jego pracy w Glasgow?

Tak mu powiedziałem.

Potem zadzwoniła Bel z pytaniem, czy mógłbym wpaść, tamtego wieczoru, kiedy Eric był na rozmowie.

Gdy dotarłem na miejsce, była w rozsypce – rozszlochana i zła, obwiniała samą siebie za łzy i złość. Nie wiedziałem, co robić, więc zaproponowałem, żebyśmy się przeszli.

Pojechaliśmy na Hampstead Heath, spacerowaliśmy i rozmawialiśmy. Powiedziałem jej to samo, co Ericowi – że dadzą radę znieść chwilowe rozstanie – i wyglądało na to, że się uspokoiła.

Potem wróciliśmy do ich mieszkania na kolację. Bel gotowała i wydawała się szczęśliwsza, ale później, właśnie kiedy wychodziłem na metro, rozplakała się znowu.

– Musisz się uspokoić, Bel – oświadczyłem, obejmując ją na pożegnanie. – Dacie sobie z Erikiem radę.

– Może – odpowiedziała, ściskając mnie tak, że trudno mi się było wyswobodzić.

– Ale będę za nim tęsknić. Za tobą też tęsknię.

– W jakim sensie? – spytałem, próbując się uwolnić.

Ona jednak nie puszczała.

– Wiesz, w jakim – odparła. – Trudno zapomnieć o kimś, z kim się było blisko, nawet jeśli tak by należało zrobić ze względu na tę osobę.

– Wciąż jesteśmy blisko – zauważyłem. Stałem kilkanaście centymetrów od niej. – Naprawdę muszę już iść, Bel, żeby zdążyć na ostatnie metro. Wszystko będzie dobrze. Zadzwonić do ciebie, gdy dotrę do domu?

– Mógłbyś zostać – rzuciła i w tej samej chwili odwróciła wzrok, jakby skrępowana własną sugestią.

– Chyba nie powinienem – powiedziałem.

Ale zrobiłem krok w jej stronę. Nawet wtedy, mimo że była z moim najlepszym kumplem, nie potrafiłem o niej zapomnieć, nie potrafiłem zrezygnować okazji, aby być blisko niej – jeśli to właśnie sugerowała, bo pewności nie miałem.

– Nikt się nie dowie – zapewniła, przysuwając się również i patrząc teraz prosto na mnie, nasze twarze znajdowały się w odległości zaledwie kilku centymetrów, więc nie miałem już wątpliwości, co proponuje.

Ująłem jej twarz w dłonie i pocałowałem. I nie pomyślałem o Ericu ani razu, nawet wtedy kiedy leżałem po jego stronie łóżka opleciony wokół jego dziewczyny, zasypiając po tym, jak uprawiałem z nią seks.

Dopiero kiedy zbudziłem się rano, w zimnym świetle dnia dotarło do mnie, co zrobiłem.

Pozbierałem się niezgrabnie i zwałem, rzuciwszy kilka słów na pożegnanie. Chyba próbowałem ją uspokoić, że w sprawie pracy Erica wszystko się ułoży. Chociaż biorąc pod uwagę, jak spędziliśmy noc, wydawało się to mało prawdopodobne – gdyby otrzymał propozycję i ją przyjął.

Tylko że jej nie przyjął. Zrezygnował, żeby być z Bel, i postanowili wziąć ślub.

Do cholery, byłem ich drużbą. Tłumaczyłem Bel, by przekonała Erica, żeby mnie

nie zapraszał. Może niech weźmie swojego brata albo kogokolwiek innego, byle nie mnie. Jak mogłem zostać jego drużbą?

Gdy jednak przyszło co do czego, poszło łatwiej, niż sądziłem.

Może tamta noc pomogła im w jakiś sposób zdecydować o wspólnej przyszłości. Zresztą skoro wzięli ślub, miała się nie powtórzyć nigdy więcej. Ale może tamten „jeden, ostatni raz” pomógł Bel podjąć decyzję. Albo może wmawiałem to sobie, żeby poczuć się trochę lepiej.

TRZECI TYDZIEŃ

Isobel, wtorek rano

Drugi list musiał przyjść właśnie dzisiaj.

Dziś są urodziny Vincenta, jest podekscytowany od wielu dni – podczas gdy ja dygotałam w duchu, co się wydarzy nazajutrz, spodziewając się zarazem, że coś musi się stać. Wiedziałam, że nasz prawnik wysłał odpowiedź prawnicze Bena. Nie miałam pojęcia, jaką reakcję wywoła, ale czegoś oczekiwałam.

– Dostanę na śniadanie gofry z nutellą, coca-colę i jogurt w tubce? – pyta Vincent.

– Colę nie. – Dogadzam mu trochę, ale gdzieś trzeba postawić granicę. – Za bardzo cię nakręci.

– Ale w szkole nikomu to nie będzie przeszkadzać. Po prostu przyłączę się dzisiaj do grupy z ADHD.

– Nie, Vinnie.

Prawie mam ochotę się zgodzić na colę, choćby dla ożywienia atmosfery. Niewiele dotychczas skorzystał na urodzinach. Eric wyszedł do pracy, zanim Vincent się obudził, Harvey zasnął i trzeba mu było przypomnieć, a Gabs przed momentem zeszła na śniadanie i oświadczyła, że prezent, który zamówiła dla Vinniego na Amazonie, jeszcze nie dotarł.

– A tak w ogóle to muszę dzisiaj iść do szkoły? – Vincent próbuje innej taktyki. – Może bym nie poszedł, skoro są moje urodziny.

– Nie, Vincencie. Musisz.

– Jesteś takim nadambitnym rodzicem!

– To ode mnie. – Harvey wciąż wydaje się nadąsany z niewyspania, ale wręcza bratu jakąś paczuszkę. – Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

– Co to? – Vince obmacuje pakunek, długi na jakieś trzydzieści centymetrów i bezkształtny.

– Otwórz – ponaglamy unisono z Harveyem.

Jestem równie ciekawa, jak solenizant, co się znajduje w środku. Harvey wspominał mi jedynie, że coś przygotowuje.

– Och! – Vince rozpakowuje coś wyglądającego jak patyk. Jest lekko skonsternowany, ale dobre wychowanie nie pozwala mu tego przyznać. – Co to?

– Pistolet na gumki.

Harvey bierze przedmiot, który przy bliższym obejrzeniu okazuje się istotnie patykiem sklejonym z drugim w kształt pistoletu, z przymocowanym na górze spinaczem do bielizny oraz wyciętym na końcu rowkiem.

– Zaczepiasz tutaj gumkę i naciągasz. Potem naciskasz spinacz jak spust, a on ją wystrzeliwuje. – Demonstruje.

Gumka znika w przeciwnym kącie kuchni. Prawdę mówiąc, wygląda, że wyparowała na dobre. Vincent jest rozczarowany, bo też chciał spróbować.

– Może są jakieś w szufladzie.

Ruchem głowy wskazuję tę samą szufladę, która w zeszłym tygodniu tak bardzo

oburzyła Erica, i mały zaczyna w niej grzebać.

– Genialne, Harvey – chwałę. – Dobra robota.

Wzrusza ramionami.

– Koniecznie pokaż później tacie.

– Nie mogę znaleźć! – woła Vincent, ale rozprasza go brzęk klapki od szpary na listy, gdy listonosz coś przez nią wciska.

Podrywa się i pędzi na korytarz, a po chwili wraca z niewielką paczuszką, szerokim uśmiechem i garścią kopert.

– Do ciebie i taty – mówi, podając mi szary prostokąt, a we mnie zamiera serce.

Wszystko wskazuje na to, że koperta jest od prawnika, i nie jestem pewna, czy zbiorę się na odwagę, by ją otworzyć. Nie dzisiaj. Dziś chcę nacieszyć się urodzinami Vincenta. Chcę iść do miasta po pizzę oraz upiec ciasto i nie zamartwiać się jej treścią. Chcę się zastanowić, co mam do zrobienia przed przyjęciem małego zaplanowanym dopiero na weekend. Planujemy turniej kopijników na piłkach do skakania. Vinnie wpadł na ten pomysł, a ja muszę pożyczyć od znajomych więcej piłek i szczotek na kijach, które posłużą jako kopie.

– Możesz je owinąć ręcznikami albo coś, żeby nikt sobie nie zrobił krzywdy – podsunął Vincent.

– Bawiliście się w to wcześniej?

– Nie, to mój pomysł – odparł. – Ale widziałem w telewizji słonie grające w polo. I tak jakby trochę spapugowałem.

Odkładałam list na kredens i obserwuję, jak Vincent przegląda pozostałe, składając kolorowe koperty ze swoim imieniem na stoliku obok paczuszki.

– Ta jest od dziadka – oświadcza, rozdzierając niebieską kopertę, z której wyfruwa banknot pięćdziesięciofuntowy. – Niesamowite. A ta chyba od Sally i Paddy’ego.

Znam pismo Sally, ale zaskakuje mnie, że on też, więc mówię mu o tym.

– Pewnie dlatego, bo oni zawsze pamiętają – odpowiada. – I chyba wiem, co jest w paczce – dodaje. Sięga po nią i zaczyna ją obmacywać z przejęciem. – Mogę ją teraz otworzyć?

– Oczywiście.

Podaję, że prezent przysłał brat Erica, ale cokolwiek to jest, zostało wybrane przez bratową, Natashę.

– Och.

Vincent wytrząsa z opakowania błękitny T-shirt. Na przodzie widać toczącego się po puszках z fasolką węża, zwiniętego w napis: „Full of Beans”, czyli „Pełen energii”. Vincent uwielbia niebieski. „Dlaczego ludzie mówią, że czują się niebiesko, kiedy im przykro? Ja lubię się czuć niebiesko, to łaskocze”. Uwielbia też fasolkę w sosie pomidorowym. To dla niego idealny podarunek. Ale mały wydaje się rozczarowany.

– Nie podoba ci się? – pytam.

– Podoba – zapewnia trochę przygaszony.

– Możesz ją włożyć po szkole.

– Dobrze – zgadza się i wiesz ją na oparciu swojego krzesła. – Mamo?

– Tak?

– Myślisz, że Ben przyśle mi prezent przed przyjęciem?
– Och... – Nie bardzo wiem, co odpowiedzieć. – Ben nie zawsze pamięta o twoich urodzinach, prawda?
– W tym roku nic od niego nie dostaniesz – wtrąca się Gabriella.
– Gabs – rzucam ostrzegawczo.
– No co? Nie dostanie, prawda?
– Czemu? – Vincent wydaje się zaniepokojony, jakby zrobił coś złego. – Obiecał, że spróbuje dla mnie zdobyć kaftan bezpieczeństwa.
– Nie dostaniesz od niego kaftana bezpieczeństwa, Vincencie – powtarza Gabriella, ale patrzy na mnie, rzucając mi wyzwanie, bym zaprzeczyła.
– Myślisz, że go nie zdobył? – Vince przenosi wzrok ze starszej siostry na mnie.
– Nie wiem, czy mu się udało, czy nie, Vinnie – mówię. – Poczekajmy i przekonajmy się, dobrze?
– Nie przyśle ci prezentu w tym roku, bo nas nienawidzi – wyjaśnia mu Gabriella.
– Ale dlaczego? – Mały wygląda na zmieszanego i nieszczęśliwego.
– Ale ciebie lubi, Vincencie – zapewniam pośpiesznie.
– No cóż, nienawidzi mamy i mnie – tłumaczy Gabs. – Więc pewnie niezbyt też lubi pozostałych członków naszej rodziny.
– Zrobiłem coś złego? – Vincentowi zaczyna drżeć warga.
– Gabriello, wystarczy – rzucam ostro, a ona zabiera się do przyrządzania tosta, skarcona, ale nie udobruchana.
– Posłuchaj, Vincencie – próbuję tłumaczyć – Ben cię lubi. Uważa, że jesteś fantastyczny, bo to prawda, ale widzisz, rzecz w tym, że Iris zachorowała, a Ben i Maggie byli bardzo zajęci z tego powodu i pewnie nie mieli za dużo czasu, by się zastanawiać, co ci kupić na urodziny.
– To czemu Gabriella powiedziała, że Ben nas nienawidzi?
– Gabriella mówi różne rzeczy, które nie zawsze są prawdą. To najlepsze, na co mnie stać.
– Jak ty, kiedy mi powiedziałaś, że „dźemli” to najgorsze przekleństwo na świecie?
– zapytał.
– Tak, podobnie.
Słowo „dźemli” wymyśliłam, chcąc go powstrzymać od używania wulgaryzmów, które zaczął przynosić od kolegów.
– Vincencie, nie mów „dupa” – skarciłam go kiedyś po szkole, gdy coś upuścił.
– Wszyscy tak mówią – odpowiedział.
– To nie znaczy, że ty też powinienes.
– Connor mówi też to drugie słowo na K.
– Cóż, mam nadzieję, że ty nie?
Milczał, co sugerowało, że wręcz przeciwnie. Była to jedna z tych rodzicielskich batalii, które – jak się wydaje – można jedynie przegrać. Uczysz dzieci, by nie używały pewnych wyrazów, ale ponieważ ich rówieśnicy tak robią, wiesz, że twoje pewnie też zaczną.

Dlatego podsunęłam mu inną możliwość.

– Dobrze... jeśli tylko nigdy nie powiesz... – Rozejrzałam się po kuchni w poszukiwaniu natchnienia i zobaczyłam słoik z dżemem – ...dżemli!

Wierzył, że to najgorsze z przekleństw, póki Harvey nie oświecił go przed kilkoma miesiącami.

– Więc Ben nas nie nienawidzi? I tylko zapomniał o moich urodzinach, bo Iris trochę chorowała?

– Właśnie – przytaknęłam. – Może sobie przypomni przed weekendem.

– A ty pamiętasz, że Jack przychodzi do mnie dzisiaj po szkole?

– Oczywiście – zapewniam. – I pamiętam, że na podwieczorek zjecie ciasto, frytki oraz popcorn, a na kolację pizzę, biszkopty czekoladowe oraz lody.

– Mhm...

– Jack nadal jest wegetarianinem? – pytam.

– Nie, już je mięso – aktualizuje moją wiedzę Vincent. – Ale tylko orgazmiczne.

– Organiczne – poprawia go Harvey i uśmiecha się złośliwie.

– Tak powiedziałem. – Vincent wygląda na zirytowanego, wyraźnie wie, że coś pokręcił, ale nie do końca się orientuje co. – Mówi, że takie mięso jest lepsze, bo zwierzęta miały szczęśliwe życie, więc można je zjadać.

– Myślę, że to gorzej – kontruje Harvey. – Gdybym ja miał szczęśliwe orgazmiczne życie...

– Chciałbyś – rzuca Gabriella.

– Gdybym ja miał szczęśliwe życie – podejmuje – wolałbym żyć dalej, a nie zostać zabity i zjedzony. Ale gdybym miał nędzne życie, to pewnie chciałbym je przerwać i skończyć w burgerze.

Mógłby zostać prawnikiem, jeśli plan ze wzornictwem przemysłowym nie wypali. Może powinnam mu opowiedzieć o tarapatach, w jakie wpadliśmy. Może umiałby wymyślić lepszą linię obrony niż prawnik, któremu zapłaciłam pięćset kawałków za wysłanie listu do Bena.

Zastanawiam się, czy Harvey zdaje sobie sprawę z sytuacji. Gabs wie. Vincent nie ma pojęcia, ale być może Harvey na swój milczący sposób wchłonął nieco panującego w naszym domu napięcia i czuje się równie dezorientowany jak Gabriella, tylko o nic nie pyta.

Patrzę na list w szarej kopercie leżący na kredensie. Jestem niemal pewna, że to odpowiedź od prawniczki Bena. Mówię sobie, że otworzę go wieczorem, gdy Eric będzie w domu, kiedy położę dzieci spać. Nie chcę psuć Vincentowi urodzin. List może poczekać.

Ben, wtorek rano

– O której musisz wyjść? – pyta Maggie, kiedy przynoszę jej herbatę do łóżka.

Jest siódma trzydzieści, Iris wciąż śpi. Maggie mogłaby jeszcze chwilę pospać, ale zbudził ją mój budzik. Zabieram dzisiaj dziewiątą klasę na wycieczkę do teatru Globe i fakt, że muszę być w szkole na ósmą, zniweczył jej szansę na poleżenie dłużej. Mogę jej to wynagrodzić, częściowo, przynosząc herbatę. Będzie mogła posiedzieć i zastanowić się spokojnie, dopóki mała się nie obudzi.

– Za moment – odpowiadam, stawiam kubek na szafce nocnej i przysiadam na brzegu łóżka. – I wrócę trochę później niż zwykle.

Uwielbiam Globe, ale już doszedłem do wniosku, że wycieczka nie sprawi mi przyjemności. Nigdy nie jest łatwo, jeśli ma się pod opieką ponad pięćdziesiątkę szalejących dzieciaków. Wiem, że z dużym prawdopodobieństwem kilkoro gdzieś się zgubi, więc nie zaznam spokoju, póki nie znajdziemy się z powrotem w szkole.

A potem, zaraz po powrocie do domu, znowu musimy wyjść.

– Nie zapomnij, że wychodzimy dzisiaj wieczorem – przypomina mi właśnie Maggie.

– Nie zapomniałem – odpowiadam najspokojniej, jak potrafię.

Zorganizowała nam spotkanie z parą głuchych młodych dorosłych, którzy nie używają aparatów słuchowych ani implantów ślimakowych i komunikują się wyłącznie za pomocą języka migowego. To najnowszy etap jej misji, by dowiedzieć się jak najwięcej o tym, co kryje przyszłość Iris. Dla mnie wszystko toczy się zbyt szybko. Wciąż jeszcze z trudem oswajam się z faktem, że Iris nie słyszy. Nie jestem gotowy na skok w przyszłość i rozważania, kim może się stać jako dwudziestoparoletnia głucha kobieta.

Maggie jednak ma swoje metody, a ja swoje.

– Będzie dobrze – zapewnia.

– Nie w tym rzecz – odpowiadam. – Niezbyt mi się chce jechać na wycieczkę.

W ostatnim czasie relacje łączące mnie z teatrem są dziwne. Im jestem starszy i bardziej znudzony uczeniem, tym bardziej irytują mnie młodzi aktorzy odgrywający na scenie Romeów i Hamletów, podczas gdy ja nigdy nie dostałem takiej szansy.

Można by sądzić, że do tej pory powinienem się pogodzić z faktem, iż nie zrobiłem kariery, i czasami mam wrażenie, że się pogodziłem. Ale w innych chwilach, szczególnie kiedy życie wydaje się pod każdym względem do niczego, tak jak obecnie, nadal żałuję, że się nie przebiłem, że moje życie nie wygląda inaczej.

– Będzie dobrze – powtarza Maggie życzliwie.

Iris zaczyna hałasować.

– Mam ją przynieść? – pytam.

– Niech poleży jeszcze chwilę – odpowiada. – Na razie nie jest zdenerwowana. Po prostu rozmawia ze sobą.

– Rozmawia?

Nie potrafię się powstrzymać. Wiem, że to nie pomaga Maggie, wiem, że stara się

pogodzić z tym, jaka jest obecnie Iris, a podkreślanie przeze mnie tego, jaka nie jest, utrudnia sytuację, ale mimo to nie umiem się pohamować.

– Ben, proszę – rzuca Maggie.

– Przepraszam. – Całuję ją i zbieram się do wyjścia. – Może przyniosę ją teraz? Inaczej nie zobaczę jej przed wyjściem.

– Dobrze. – Uśmiecha się.

Fakt, że chcę zobaczyć córeczkę, to rodzaj wyznania, że ją kocham, chociaż nie pogodziłem się jeszcze z tym, jaka się stała, ani z tym, jaka będzie.

– Hej! – Wsuwam głowę do pokoju małej, która podnosi wzrok, gdy wyczuwa poruszenie.

– Ork. – Wydaje dziwny dźwięk, przypominający bardziej delfina niż istotę ludzką.

– Cześć, butelkonosie – mówię i podchodzę do jej łóżeczka.

Wiem, że to okrutne, i żałuję swoich słów, chociaż nie mogła mnie usłyszeć.

– Ork, ork – powtarza Iris, kiedy ją niosę korytarzem do matki.

– Nie martw się, skarbie – mówię, całując ją w czubek główki. – Mamy nasz własny sposób, żeby to załatwić.

Myślę o liście, który Hedda miała wysłać do Isobel i Erica, i zastanawiam się, czy go dostali.

– Tu masz mamę – dodaję, kładąc ją na łóżku obok Maggie.

– Cześć, ślicznotko.

Maggie uśmiecha się, grucha i nie przestaje do niej zagadywać, tak samo jak zawsze. Żadne z nas nie przywykło do faktu, że Iris jest głucha, więc nadal do niej mówimy, jak gdyby mogła nas słyszeć.

Pamiętam, że tak samo rozmawiałem z moim dziadkiem, zanim umarł. Przyjeżdżał do nas na kilka dni i spędzał większość czasu w fotelu, czytając albo gapiąc się w przestrzeń. „Może pójdziesz porozmawiać z dziadkiem?”, pytała moja mama. Więc szedłem. Siadałem obok niego i gadałem jak nakręcony, opowiadałem mu o swoim dniu. Co dziwne, należał do nielicznych ludzi, z którymi mogłem rozmawiać płynnie. Jak gdybym miał w mózgu automatyczny pstryczek wyłączający jękanie, gdy osoba, do której się zwracałem, nie mogła mnie słyszeć. Dziadek zdawał sobie sprawę z mojej obecności, z tego, że mówię, i od czasu do czasu uśmiechał się dobrotliwie. Ale nie sądzę, by słyszał choć słowo, nie na tym etapie życia, tak samo jak Iris nie słyszy nic z tego, co teraz mówi do niej matka.

– À propos, Ben – rzuca Maggie, kiedy zbieram się do wyjścia. – Wiesz, że dzisiaj są urodziny Vincenta?

Naturalnie, że nie wiem. Ledwie pamiętam o urodzinach Maggie (prawdę mówiąc, zapisałem je sobie w telefonie, żeby nie zapomnieć, i ustawiłem przypomnienia na miesiąc, dwa tygodnie oraz na tydzień przed terminem). Zdaję sobie sprawę, że urodziny są ważne dla ludzi, a zapomnienie o nich to straszna gafa, szczególnie gdy chodzi o własnych rodziców. Ale zanim Maggie wkroczyła na scenę, nigdy nie pamiętałem o urodzinach Vincenta, chociaż powinienem, bo jest moim chrześniakiem.

– Faceci zwykle nie obchodzą urodzin – oznajmiłem kiedyś, gdy spytała, czy pamiętam o urodzinach Erica. – Urodziny mają homoseksualny podtekst!

Erica w ogóle by nie obeszło, gdybym zapomniał, i doceniłby żart, ale o urodzinach Vincenta powinienem pamiętać.

Zanim wreszcie dostąpiłem tego zaszczytu, wkurzało mnie, że Eric i Isobel nie poprosili, bym został chrzestnym któregoś z ich dzieci. Sądziłem, że to oczywisty wybór, gdy postanowili urządzić skromną imprezkę dla „uczczenia narodzin Gabrielli”. Ben wyjaśnił, że nie planują chrztu, ale chcą mieć rodziców chrzestnych i zaproszą ich na przyjęcie wraz z grupką bliskich przyjaciół.

– Przyjdiesz? – spytała Bel.

– Z chęcią – zapewniłem, ale wciąż czułem się lekko wkurzony. Kogo, do cholery, wybrali na ojca chrzestnego?

Okazało się, że brata Erica, co było w porządku, chociaż trochę bez sensu, jeśli mnie pytacie. Brat Erica był już stryjkiem małej, więc traciła jeden prezent na święta.

Dla Harveya wybrali Paddy’ego, co też mnie trochę wkurzyło. To znaczy, chyba ja byłem ich bliższym przyjacielem? Czemu mnie tego nie zaproponowali? Dlatego, że już dostałem rolę drużby? A może uznali, że się nie nadaję?

Jeśli tak, mieli rację.

Pomijając pierwsze, raczej oficjalne spotkanie towarzyskie, kiedy podarowałem Vincentowi srebrny widelczyk do frytek (moim zdaniem idealny prezent, skoro mieszkali w Brighton), udało mi się zapomnieć o każdym kolejnych urodzinach, a na Boże Narodzenie całymi latami wysyłałem mu banalne banknoty o różnych nominałach, wsunięte do kartek z życzeniami. Dopiero kiedy pojawiła się Maggie, prezenty stały się nieco bardziej pomysłowe i ja/my/ona staraliśmy się podarować małemu coś, co mu się naprawdę spodoba.

W tym roku Vince udzielił mi kilku wskazówek.

– Co chcesz dostać na urodziny, Vincencie? – przyszło mi do głowy, by zapytać podczas pobytu we Francji. Chłodziliśmy się w basenie pewnego popołudnia. – Masz jakiś pomysł?

– Kaftan bezpieczeństwa – oznajmił, chlapiąc się z płytszego końca.

Sądziłem, że się przesłyszałem.

– Kamizelkę ratunkową?

– Nie, kaftan bezpieczeństwa. Żebym mógł nauczyć się z niego wyzwalać. Naprawdę o nim marzę.

– W porządku.

Później przepytalem w tej kwestii Erica.

– To prawda. Aktualnie pasjonuje się wszelkimi rodzajami magii – wyjaśnił. – Byłby wniebowzięty, gdybyś o tym pamiętał.

Irzeczywiście pamiętałem, a po powrocie do domu poszukałem kaftanów bezpieczeństwa online. Ale oferowały je wyłącznie internetowe sex-shopy, a wiedziałem, że Bel nie byłaby zachwycona, gdybym podarował małemu strój z czarnego lateksu.

Zarzucałem więc pomysł i zapomniałem o Vincencie oraz jego urodzinach aż do teraz, kiedy wspomniała o nich Maggie.

– Co zamierzasz zrobić? – pyta.

– Nie wiem.

- Nie powinniśmy go w to wciągać – zauważa.
- Muszę się zastanowić – odpowiadam w drodze do drzwi.

Może poszukam inspiracji w sklepie z prezentami przy Globe. Z pewnością mają tam coś, co mu przypadnie do gustu. Mógłbym kupić prezent, nawet jeśli mu go nie dam.

- Wychodzimy o wpół do szóstej. – Maggie znowu przypomina o drinku. – Miłego dnia.

Isobel, wtorek wieczorem

Vincent jest szczęśliwy. Eric wrócił wcześniej i też sprawia wrażenie zadowolonego. Właściwie wszyscy z radością świętują urodziny i w naszym domu zapanowała atmosfera normalna w porównaniu do dobrej.

Wiem, że nie na długo. Czego jeszcze nie wiem, to jak bardzo napięta stanie się sytuacja, ani że kiedy to nastąpi, również będzie się wydawać niemal normalne.

Jack poszedł już do siebie, a Vincent przeżywa wydarzenia całego dnia.

– Mieliśmy muzykę i panna Rusbatch zagrała dla mnie *Happy Birthday* na pianinie – opowiada Ericowi.

– Więc cieszysz się, że poszedłeś?

– Mhm, ale i tak jesteś nadambitnym rodzicem, że mi kazałaś! – To uwaga do mnie. – I Max dał mi paczkę maltesersów. Mogę sobie nimi posypać lody?

– Jadłeś już lody, Vincencie, kiedy był Jack.

– Ale są moje urodziny!

– Dobrze, niech ci będzie – ustępuję. – Spytaj Harveya, czy też chce.

– Harvey, chcesz lody z maltesersami? – krzyczy Vince w kierunku salonu, gdzie jego brat ogląda *Jak zostać milionerem*.

Postanowił wziąć udział w teleturnieju. Chce zaprezentować pełną kolekcję swoich wynalazków: krzesło z wózka, miski z płyt winylowych, etui z kartonów po soku, pistolet na gumki i resztę. Uważa, że jeśli nie spali występu i prezentacji, potrafiłby ich przekonać do zainwestowania w siebie.

– Okej – brzmi jego odpowiedź na ofertę, jakby robił Vincentowi łaskę.

– Ja się tym zajmę – proponuje Vincent i wysuwa dolną szufladę zamrażarki, po czym wyjmując pojemnik lodów waniliowych na blat i nakłada je łyżką.

– Maltesersy są w salonie – wyjaśnia, zabierając miseczki z kuchni.

Zastanawiam się, czy go nie zemdli dzisiaj wieczorem, tymczasem po zjedzeniu drugiego deseru mały idzie do ogrodu pograć w piłkę z Erikiem, a potem nagle pada jak ścięty: siedzi na sofie, wyglądając, jakby miał zasnąć.

– Może poszedłbyś wziąć prysznic, Vinnie? Wydajesz się padnięty.

Każdego innego dnia zapewniałby, że nie jest zmęczony, ale dzisiaj ustępuje bez słowa.

– Odprowadzisz mnie? – pyta, co znaczy, że chce, bym mu towarzyszyła do szczytu schodów i rozstała się z nim, gdy tylko dotrze do łazienki.

– Oczywiście, jubilate.

Mierzwię mu włosy, kiedy powoli wdrapuje się po schodach, a potem rozkładam na podłodze łazienki dywanik, podczas gdy czeka, bo wstydzi się przy mnie rozebrać.

– Zawołam cię, jak skończę – mówi, kiedy wychodzę.

Kilka minut później woła, że jest gotowy. Oboje z Erikiem idziemy go utulić do snu.

– To był naprawdę świetny dzień, dzięki – oświadcza, a w chwili, gdy jego głowa

dotyka poduszki, wydaje się nagle znacznie młodszy, jak gdyby stan nieświadomości częściowo stał wiedzę z jego buzi. Eric też wygląda bardziej chłopięco, kiedy śpi, ale teraz, całując Vincenta, wydaje się zmęczony, więc nie wiem, czy mu wspominać o wciąż nieotwartym liście.

– Dobra robota, Bel – mówi do mnie ciepło, kiedy wracamy do kuchni posprzątać po kolacji. Gabs siedzi przy stole, przeglądając kartki urodzinowe brata.

– Za co? – pytam Erica.

– Za to, że wychowałaś takiego świetnego dzieciaka i ofiarowałaś mu taki wspinały dzień.

Często mówi coś podobnego w ich urodziny: przyznaje, że wychowując ich, wykonałam dobrą robotę.

– Dziękuję – odpowiadam i dotykam jego ręki.

Nie cofa się, jak kiedy ostatnio próbowałam nawiązać fizyczny kontakt. To niewiele, ale na początek wystarczy, więc nie chcę zrobić niczego, co mogłoby zburzyć nastrój.

Wyręcza mnie Gabriella.

– A co z tym drugim listem, który przyszedł rano? – pyta, odkładając kartki Vincenta i patrząc na mnie.

– Co takiego? – pyta Eric, to raczej odruch niż pytanie.

– Dzisiaj rano przyszło kolejne pismo – wyjaśniam, kiedy wspólnie ładujemy zmywarę. – Zdaje mi się, że od tamtej prawniczki.

– Nie otworzyłaś?

– Jeszcze nie. Miałam mnóstwo roboty i pomyślałam, że zaczekam, aż wrócisz.

– Napiję się kawy – oświadcza Eric, idąc nastawić czajnik. – Też chcesz?

Kiwam głową. Pokrzepimy się, gdy będziemy odkrywać, jak się przedstawia sytuacja. Boję się, że możemy potrzebować czegoś mocniejszego.

– Odrobiłaś lekcje? – pytam Gabriellę.

Chcę, żeby wyszła, ale nie chcę jej tego mówić.

– Równie dobrze może zostać – stwierdza Eric. – Wie, o co chodzi.

– Byłoby lepiej... – zaczynam, ale Gabs mi przerywa.

– Mam prawo wiedzieć, co się dzieje.

Biorę list z kredensu, gdzie go położyłam wcześniej, Eric tymczasem wsypuje kawę do zaparacza i nalewa wrzątek, a potem przynosi ją do stołu.

– No to otwieraj – rzuca, stając za mną, by mógł mi czytać przez ramię.

Zaczyna się od prawniczego żargonu: kilka akapitów, zanim prawniczka Bena przechodzi do sedna. Podważa opinię, że nie jesteśmy odpowiedzialni za głuchotę Iris. Oświadcza, iż posiadają dowody naszej winy, i zaprasza na spotkanie, by przedyskutować kwestię odszkodowania, jakiego zamierzają dochodzić sądownie, jeśli nie zdołamy się porozumieć.

Wymienia sumę, cieszę się, że siedzę. To liczba sześciocyfrowa, znacznie przekraczająca wszystko, co zdołalibyśmy zebrać. Ben wie, że nie mamy takich pieniędzy i nie mamy szans ich zdobyć.

– Jezu Chryste. – Eric też siada.

Spoglądamy na siebie, nie bardzo wiemy, co powiedzieć.

– Co piszą? – pyta Gabriella.

– Żądają mnóstwa pieniędzy – wyjaśnia Eric.

– Ile?

– Znacznie więcej, niż możemy zapłacić – odpowiada i zaczyna składać pismo.

Jestem wdzięczna, że nie pokazał go Gabs. Eric może uważać, że córka ma prawo orientować się w sytuacji, ale ja nie zamierzam jej martwić bardziej niż to konieczne.

– Czemu mi nie powiecie? – naciska Gabriella.

– Prawdę mówiąc, Gabs, będzie lepiej, jeśli najpierw przedyskutujemy to we dwoje z mamą – oświadcza Eric. – Przykro mi, skarbie. Możesz nas zostawić na chwilę?

Dziewczyna wygląda na urażoną, lecz wychodzi.

– Co zrobimy? – pytam. Eric przez chwilę nie odpowiada.

– To wszystko jest bez sensu – stwierdza na koniec. – Ben wie, że nie mamy takich pieniędzy, chyba że sprzedamy dom.

– Ale do tego nie dojdzie, prawda?

– Nie wiem. Nie sędzę, by mogli nas zmusić. Musimy zapytać naszego prawnika. Jezu Chryste – powtarza. – Co za cholerny kanał.

– Dlaczego nam to robią?

– Może to nic osobistego – zauważa, wieczny optymista.

– Jakim cudem? Jesteśmy ich przyjaciółmi. W każdym razie przyjaciółmi Bena. To niedorzeczne.

Na pewno stoi za tym Maggie, i właśnie zamierzam podzielić się tym odkryciem, kiedy coś nam przerywa.

– Mamo! – krzyczy Gabs z salonu.

W jej głosie słyszę ponaglenie, którego nie mogę zignorować, więc wstaję i idę do niej.

Harvey siedzi bezwładnie na sofie. Twarz ma czerwoną i nie może złapać tchu.

– Myślę, że w tych czekoladkach były orzechy – rzezi.

– Gdzie masz pena? – pytam. – W szkolnym plecaku?

– Chyba tak.

– Gabriello, biegnij na górę i przynieś epipena z szafki w łazience – mówię do niej. Mamy ich kilka na podobne sytuacje.

– Niedobrze mi – mówi Harvey, kiedy przetrząsam jego szkolną torbę.

Nie mogę znaleźć wstrzykiwacza.

– Gabriella! – krzyczę.

Nie wiem, czy słyszy mnie na górze, ale wraca z penem w ręce i wyciąga go do mnie.

– Proszę.

Wiem, co robić, pokazywano mi, oglądałam to na wideo tysiące razy – ale i tak się waham. Wbicie igły w nogę własnego dziecka to coś, przed czym człowiek wzdraga się instynktownie, nawet jeśli wie, że w ten sposób ratuje mu życie.

– Po prostu to zrób, Bel – ponagla Eric. – Albo daj mnie.

Mobilizuję się. Zdejmuję zabezpieczającą nakładkę i przyciskam do spodni

Harveya, tak że igła odblokowuje się, przesywa materiał i wbija się w zewnętrzną stronę uda.

Czekam chwilę, wyciągam ją i sprawdzam w okienku, czy lek został wstrzyknięty, po czym zgodnie z instrukcją zaczynam rozmasowywać miejsce ukłucia.

Lekarstwo działa szybko. Po kilku minutach oddech Harveya się wyrównuje, a czerwona opuchlizna wokół ust ustępuje.

– Niedobrze mi – powtarza, a Eric podsuwa mu pod brodę miedniczkę do mycia naczyń i w tej samej chwili Harvey wymiotuje.

– Co jadłeś? – pytam, oglądając zawartość miski w poszukiwaniu jakiejś wskazówki.

– To musiały być te draże od Vincenta, którymi posypaliśmy lody – tłumaczy zawstydzony.

– Myślałam, że to maltesersy. Przecież one ci nie szkodzą – protestuję.

– Nie, były tylko podobne – zauważa Gabriella, podnosząc opakowanie.

Jest czerwone, ale to jakaś tania, supermarketowa marka własna pod nazwą „Chrapiące kulki w czekoladzie”. Żaden z chłopaków jej nie przeczytał, nie wspominając o informacjach dla alergików.

Mrużę oczy, żeby odcyfrować je teraz, i proszę bardzo: „Może zawierać orzechy”.

– Och, Jezu, Harvey – rzucam zirytowana teraz, ale moja złość bierze się z ulgi. – Czemu nie sprawdziłeś, co zawierają?

– Nie przyszło mi to do głowy – odpowiada. – Po prostu myślałem, że to maltesersy. Przepraszam, mamó.

– Daj mu spokój, Bel – wtrąca Eric.

– Ale mógł przecież...

Nie kończę. Wszyscy wiemy, co się mogło stać.

Ben, wtorek wieczorem

Po wycieczce do teatru byłem wykończony. W drodze powrotnej marzyłem jedynie, żeby się walnąć przed telewizorem, ale Maggie była konsekwentna.

– Masz czas na wypicie herbaty, ale nie możemy się spóźnić. Byłoby głupio, gdyby musieli na nas czekać.

– Z pewnością chwilę wytrzymają – burknąłem.

Szczerze mówiąc, uważałem, że spotkanie z dorosłymi, którzy nie słyszą i nie mówią, zdołuje mnie jeszcze bardziej.

„Potrafią mówić”, powtarzała Maggie uparcie. „Po prostu robią to w inny sposób”.

– Naprawdę jestem ci tam potrzebny? – marudziłem. – Może pogadasz z nimi sama, a ja dołączę później?

– Nie. – Maggie traci cierpliwość. – Ci ludzie mają własne sprawy i zgodzili się z nami spotkać z życzliwością, by pokazać, jak może wyglądać przyszłość Iris, jeśli nie będzie miała implantów ślimakowych... a wiem, że ten pomysł przestał ci się podobać.

Milczałem, więc mówiła dalej.

– Może się do tego nie palisz, ale ja też nie byłam zachwycona, kiedy wciągnąłeś w nasze sprawy prawników. Dałam ci się przekonać, bo tobie na tym zależało. Więc zrób to dla mnie. Proszę.

Nie mogłem się spierać, a teraz, kiedy jestem na miejscu i siedzę w pubie z dwójgim młodych ludzi rozmawiających w języku migowym, uświadamiam sobie, że nie słucham tłumaczki. Zamiast tego pozwoliłem się lekko zahipnotyzować ich ruchom i gestom, dałem się wciągnąć w świat, któremu się dotąd opierałem.

Maggie ucieszyłaby się, gdyby mogła odczytać przelatujące mi przez głowę myśli. Brzmiałyby mniej więcej tak: „Prawdę mówiąc, to niesamowite. Prawie jak aktorstwo. Potrafią wyrazić wszystko, machając rękami w powietrzu. Są genialni. Mógłbym się w to wkręcić”.

Ale nie potrafi czytać w moich myślach i błędnie interpretuje wyraz mojej twarzy: sądzi, że odpłynąłem myślami, podczas gdy jestem zafascynowany.

– Ben! – rzuca z lekką natarczywością, aż się krzywię.

– Tak? – podnoszę wzrok i niemal się spodziewam, że zaczniesz wykonywać jakieś gesty. Ale kiedy odpowiada, jej dłonie leżą splecione na kolanach.

– Rachel pytała, czy znasz choć odrobinę język migowy.

Kręcę głową, spoglądając na Rachel, dwudziestoparoletnią całkowicie głuchą kobietę siedzącą po drugiej stronie stołu. Jest bardzo piękna: długie, ciemne, falujące włosy, blada skóra i wielkie błękitne oczy. Mogłaby być Irlandką, ale oczywiście język migowy nie zdradza akcentu, więc trudno stwierdzić.

– Mało – odpowiadam i patrząc na nią, unoszę kciuki oraz palce wskazujące ułożone w kształt liter L, tworząc znak oznaczający „mało”.

Znam go jedynie dlatego, że Maggie każdego wieczoru przed snem miga do Iris „Twinkle, twinkle, little star”. Śpiewa i wykonuje gesty, poruszając palcami w powietrzu,

by zademonstrować mruganie, kiedy Iris leży w łóżeczku, ukołyszana do snu ruchami dłoni zamiast dźwięków.

Rachel robi gest przypominający posyłanie całusa.

– Dobrze! – przekłada na mój użytek tłumaczka, a ja się śmieję.

Spotkanie zasugerowano nam w Krajowym Towarzystwie Dzieci Głuchych. Miejsce wymyśliła Rachel, genialny pomysł, biorąc pod uwagę, że z piwem w zasięgu ręki każde z nas czuje się odrobinę mniej spięte.

Zastanawiam się, czy Rachel i Darren, siedzący przy niej młody mężczyzna, czuli się równie skrepowani tą perspektywą, jak ja. Wydawało się to wymuszone i nienaturalne. „Spotkajmy się z dwojgiem ludzi, których nie znamy i z którymi nie łączy nas nic prócz faktu, że są głusi podobnie jak nasza córeczka, dobra?”. Nie jest to komfortowa propozycja dla żadnej ze stron, ale jak sądzę, widocznie byli chętni, inaczej by się nie zgodzili.

Może często to robią. Może są na liście osób głuchych gotowych rozmawiać z rodzicami dzieci, u których niedawno zdiagnozowano głuchotę, i opowiadać im, jakie to wspaniałe.

Znowu staję się cyniczny, ale też chcę wiedzieć.

– Możesz zapytać Rachel, jak często to robi? – zwracam się do Sylvie.

Kiedy przybyliśmy do pubu, wyciągnęła do nas rękę na powitanie i przedstawiła się jako „wasza tłumaczka na dzisiaj”.

Łatwo ich było zauważyć po wejściu do środka. Troje ludzi zgromadzonych wokół stołu i migających do siebie nawzajem. To musieli być oni. I my pewnie też musieliśmy wyglądać na nas: para trochę za stara na dziecko z rzezonym dzieckiem śpiącym w spacerówce – Iris pozostała w tym stanie przez całą rozmowę. Jakby postanowiła, że pozostawi nam wszelkie decyzje na temat swojej przyszłości.

– Ale co robi? – pyta Sylvie, zanim przetłumaczy moją wypowiedź.

– Spotyka się z zatroskanymi rodzicami – wyjaśniam, uśmiechając się do Rachel.

Odpowiada uśmiechem, jeszcze nieświadoma, jak brzmi pytanie.

Sylvie miga i Rachel odpowiada w ten sam sposób.

– Cieszymy się, gdy możemy się spotkać z ludźmi i porozmawiać, jeśli ich zdaniem to może pomóc – tłumaczy Sylvie.

Rachel i Darren wyglądają na parę, ściśnięci na ławce obok siebie, przyjmujący identyczne pozycje i dotykający się nawzajem. Ale potem sobie uświadamiam, że jeśli twoim językiem jest język ciała, to naśladujesz pozy drugiej osoby. A jeśli żadne z was nie słyszy, dotyk jest niezłym sposobem na przyciągnięcie uwagi.

– Jak się poznaliście?

Sylvie przekazuje moje pytanie, Darren i Rachel zaczynają migać równocześnie, wykonując identyczne gesty. Potem wzruszają ramionami, również unisono. Rachel wykonuje powszechnie znany znak, który jak wiem, znaczy „ty powiedz”, i siedzi bez ruchu, podczas gdy Darren wyjaśnia po swojemu, kończąc spleceniem dłoni.

– Poznali się w szkole dla głuchych – mówi mi Sylvie, a ja czuję, jak lekko ściska mi się serce.

Z tego, co zobaczyłem, podobają mi się ci młodzi ludzie, naprawdę. Wydają się

otwarci i przyjacielscy, i przyszedli tutaj, ponieważ uznali, że mogą nam pomóc, ale część mnie myśląca „nie tego chciałem” wrywa się w przyszłość i przywołuje negatywne myśli.

Zastanawiam się, czy są parą. Nie wyglądają jak para, bo ona jest bardziej atrakcyjna od niego. Znacznie bardziej. W sumie nic niezwykłego – często się widuje takie pary, wiem – ale nie potrafię oprzeć się myśli, że jeśli miejscem, gdzie masz największe szanse poznać chłopaka, jest szkoła dla głuchych, to wybór jest ograniczony. Nie chcę, by moja córka skończyła z jakimś typem, w miarę sympatycznym, ale tylko trochę przystojniejszym od diabła, tylko dlatego że mówią tym samym językiem. Nie chcę tego dla niej.

– Zastanawiamy się też nad implantami ślimakowymi. Prawda, Ben? – Maggie zwraca się do Sylvie. – Chcielibyśmy, żeby mogła słyszeć choć trochę, jeśli to możliwe.

Kiwam głową, ale Maggie wie, że od wyprawy na oddział audiologii implanty ślimakowe nie wydają mi się już takim cudem jak wcześniej.

Gesty wymieniane teraz przez Rachel, Darrena i Sylvie są pełne ekspresji, co sugeruje „dyskusję”.

Patrzę na Sylvie, oczekując wyjaśnień, kiedy gorączkowe wymachiwanie rękami ustaje.

– Rachel uważa, że to nie w porządku, by rodzice próbowali zmusić dziecko do słyszenia – mówi. – Uważa, że głuchota nie jest niepełnosprawnością. To odmienność.

– Wiem... – zaczyna Maggie, ale zdaje się wyraźnie wzburzona.

– Maggie jest muzykiem – próbuję ją tłumaczyć. – Słyszenie stanowi integralny element jej świata. To oczywiste, że chcemy, by nasza córka w tym uczestniczyła, jeśli tylko może.

Sylvie miga i Rachel, wyraźnie wyczuwając, że Maggie poczuła się nieco dotknięta jej wybuchem, kolistym ruchem zwiniętej dłoni pociera pierś – kolejny znak, który jak sobie uświadamiam, nie jest mi obcy. Widocznie przyswoiłem je pośrednio, bo Maggie zadaje sobie tak wiele wysiłku, nawet jeśli ja zrobiłem bardzo niewiele.

To znaczy „przepraszam”.

Teraz mówi Darren. Jego gesty są wolniejsze i bardziej ekspresyjne niż obu kobiet. Może to zdradza coś na jego temat. Może się pomyliłem, zakładając, że Rachel jest dla niego zbyt dobra. Może to on jest tym myślącym i bardzo inteligentnym, a Rachel przyciągnęły te właśnie cechy.

Nie mam pojęcia, co mówi, ale znowu czuję się zahipnotyzowany w stopniu, jakiego się nie spodziewałem.

Może powinienem się był spodziewać.

Pamiętam, jak poszedłem kiedyś na występ komika Eddiego Izzarda, na tamtym konkretnym przedstawieniu obecny był tłumacz migowy, który przez cały czas stał z boku sceny. Chociaż występ Izzarda zawierał wiele elementów pantomimy i teatru, i był z tego powodu fascynujący, przyłapałem się, że wciąż kieruję wzrok na migającego faceta. To niesamowite, w jaki sposób przekładał słowa komika na ruchy, przemawiające, jak się zdawało, głośniejsze od słów. Pamiętam, że byłem pod ogromnym wrażeniem.

Po prostu o tym zapomniałem.

– Darren mówi, że Rachel urodziła się głucha, więc nie zna innego życia, ale on stracił słuch w dzieciństwie wskutek zapalenia opon mózgowych – tłumaczy Sylvie gesty Darrena. – Pyta, czy wasza córeczka nie słyszy od początku.

– Nie. – Kręcę głową. – Zachorowała na odrę i przez to ogłuchła.

– To smutne – mówi Sylvie, kiedy Darren wykonuje gest wyglądający jak przesłanie pocałunku, tylko zamiast go zdmuchnąć z dłoni, tak jakby go rozpląsza na wyimaginowanej powierzchni.

– Zaraziła się od córki znajomych, która nie została zaszczepiona – dodaję, pragnąc, by zyskali pełny obraz.

Liczę, że być może dzięki temu Rachel poczuje większą sympatię dla Maggie i jej pragnienia, by Iris słyszała choć odrobinę. Liczę, że jeśli zrozumie, jak przypadkowa jest głuchota Iris, pojmie nas lepiej.

Rachel kładzie obie dłonie płasko w powietrzu, a potem zgina palce, zmieniając je w szpony, i przyciąga ku sobie.

– To egoistyczne – tłumaczy Sylvie.

– Tak – potwierdzam i powtarzam za nią. – Ego-istyczne.

Mówiąc to, rozkładam płasko ręce, potem zginam palce i naśladuję gest. Uczucie jest dziwnie wyzwalające.

Isobel, piątek

– Policja?

Nie bardzo mogę uwierzyć w to, co słyszę, chociaż jakaś część mnie wcale się nie dziwi. Dziecko naszych przyjaciół ogłuchło, w sprawę zaangażowali się prawnicy – czemu w nasze życie nie miałyby się wmieszać również policja?

Gabriella nigdy wcześniej nie sprawiała kłopotów.

– Ale dlaczego nie poszła do szkoły?

Odbieram telefon w sklepie z gąbkami. To jedno z tych miejsc, gdzie jak się wydaje, nigdy nie ma klientów mogących mu zapewnić przetrwanie na rynku. We wszystkich innych przy uliczce panuje ruch, robią tam świetne interesy na ubraniach w stylu vintage, artykułach gospodarstwa domowego i na tym, co Eric nazywa „mydło i powidło” – to znaczy na drobiazgach, których nikt naprawdę nie potrzebuje. Na wszystko jest popyt. Ludzie zawsze mają pieniądze na rzeczy, których właściwie nie potrzebują. Wygląda na to, że nawet w szczytowym punkcie recesji niepotrzebne graty nadal świetnie się sprzedają – przynajmniej tutaj. Gąbka chyba stanowi wyjątek.

Tak czy inaczej istnieje sklepik, wciśnięty pomiędzy mydło i powidło a kawiarnię w stylu retro, zapchany kawałkami rozmaitych rozmiarów i grubości. Większość w brudnożółtym, gąbkowym kolorze, ale jest też kilka półek zielonej i szarej. Potrzebuję jej do oklejenia kijów od szczotek, by zabezpieczyć lance na kopijniczą imprezę Vinniego, mojego skoczka na piłce.

– Po co się męczyć? – spytała Gabriella, kiedy omawiałam tę kwestię z Vincentem.

Gorliwie wykorzystuje każdą okazję, by mi wytknąć, że narażam bezpieczeństwo cudzych dzieci.

Gdy wychodzę, dostrzegam swoje odbicie w przeszklonych drzwiach. Chociaż nie zabrałam ze sobą żadnego z dzieci, coś w moim wyglądzie sugeruje, że jestem matką. Kimś kupującym gąbkę na jakiś niedorzeczny projekt, na który ma czas, ponieważ nie pracuje.

Nie bardzo potrafię określić, co mnie zdradza. Jestem ubrana swobodnie, ale tak samo ubierają się dzisiaj wszyscy.

Pamiętam, jak Gabs, kiedy była mała, zobaczyła grupkę mężczyzn stojących przed bankiem.

– Czy to premierzy? – spytała.

– Nie, skarbie. Pracują w banku, jak sądzę.

– Wyglądają na premierów – stwierdziła. – Są ubrani jak premierzy.

Miała na myśli garnitury. W swoim trzyletnim życiu bardzo rzadko spotykała ludzi w garniturach, więc uznała, iż mężczyźni palący na chodniku przed swoim miejscem pracy z pewnością zrobili sobie przerwę od rządzenia krajem.

No więc nie wiem, co takiego sprawia, że zdecydowanie wyglądam na niepracującą matkę.

Wczoraj wieczorem po powrocie do domu Eric oświadczył, że widział moją dawną

koleżankę.

– Nigdy nie zgadniesz, na kogo dzisiaj wpadłem.

Nienawidzę zgadywać.

– Powiedz.

– Na Emmę Dunlop!

W pierwszej chwili nie skojarzyłam nazwiska. Potem sobie przypomniałam: dołączyła do zespołu na kilka miesięcy przed moim odejściem z pracy. O ile mi wiadomo, nigdy jej nie poznał.

– Ach, tak? Gdzie na nią wpadłeś?

– Przyszła do biura udzielić informacji komuś z redakcji politycznej. Jechaliśmy razem windą.

– I zaczęliście rozmawiać?

Jeśli dobrze pamiętam, Emma Dunlop jest bardzo atrakcyjna.

Zastanawiam się, jak Eric – w krótkim czasie potrzebnym, by wjechać windą na piąte piętro budynku, w którym pracuje – zdołał uzyskać dość informacji, by odkryć, kim jest Emma Dunlop, a przy tym ustalić jej powiązanie ze mną.

– Zapytała, czy w budynku jest kafejka – wyjaśnił. – Powiedziała, że ma spotkanie z Rogerem Palinem, ale przyszła o dwadzieścia minut za wcześnie i potrzebuje kawy. Więc ją zaprowadziłem, bo i tak się tam wybierałem. Niezupełnie pamiętam, jak się zgadało, że kiedyś pracowała w twoim dawnym biurze, ale pamiętała cię i prosiła, by cię pozdrowić.

– Więc co teraz robi? – spytałam, czując, jak ogarnia mnie ogromna, nieracjonalna niechęć wobec kobiety, którą ledwie znałam, lecz która niewątpliwie zajmowała się obecnie czymś imponującym, skoro przemierzała korytarze redakcji, gotowa pouczać naczelnego korespondenta politycznego „Daily News”.

– Jest szefem kampanii burmistrza.

Naturalnie.

– Po twoim odejściu kilka lat zajmowała twoje stanowisko, urodziła dwójkę dzieci i przez jakiś czas, gdy były małe, pracowała jako konsultantka, a teraz wróciła na pełny etat.

Rzucił to od niechcienia, ale jestem na tym punkcie przeczulona. Emma Dunlop osiągnęła tak wiele i zdołała jeszcze się uwinąć z dwójką dzieci. Cóż, brawo. Bez wątpienia kiedy ona widzi swoje odbicie w sklepowych witrynach, wygląda jak tryskająca energią profesjonalistka.

– Czym mogę służyć? – spytała kobieta w sklepie z gąbką, właśnie miałam wyjaśnić, czego potrzebuję, gdy usłyszałam, że w torebce dzwoni komórka.

Rozłączam się i ruszam prosto do szkoły. Biorę taksówkę z postoju przy Pawilonie Królewskim. Chcę dotrzeć na miejsce jak najszybciej, chociaż zapewniono mnie, że to zbyteczne.

– Chciałbym jedynie porozmawiać z panią i z Gabriellą po lekcjach – wyjaśnił przez telefon pan Collins, wychowawca klasy. – Gdyby mogła pani przyjechać na trzecią

trzydzieści, byłoby idealnie.

Ja jednak chcę być wcześniej. Muszę porozmawiać z córką i dowiedzieć się, o co chodzi. Na miłość boską, w sprawę zaangażowana jest policja. Z pewnością dlatego tak pilnie chcę porozmawiać z którymś z rodziców.

– Przyjadę natychmiast – oświadczyłam panu Collinsowi. – Mam iść prosto do recepcji i zapytać o pana?

– Owszem, skoro tak pani woli.

Wydawał się niemal znużony, zirytowany moim naleganiem, że przyjadę prosto do niego. Najwyraźniej uważa, że sprawa może poczekać do zakończenia zajęć. Ja nie.

Z taksówki dzwonię do Erica.

– Jestem na zebraniu. – Kiedy odbiera, brzmi szorstko i rzeczowo. To mój drugi telefon, za pierwszym razem zostałam przełączona na pocztę głosową.

– Coś się stało – mówię. – Możesz wyjść na moment?

– Jasne. – Jego głos łagodnieje, gdy Eric rejestruje niepokój w moim. – Oddzwonię za minutę. Jesteś w domu?

– Nie. W drodze do szkoły Gabs. Zadzwoń jak najszybciej.

Musiał się uwinąć błyskawicznie, bo wciąż jeszcze trzymam w ręce aparat, kiedy wibruje ponownie, a na wyświetlaczu pojawia się numer Erica.

– O co chodzi? – pyta, gdy wciskam przycisk „Odbierz”. – Dowiedziałaś się czegoś nowego od prawnika?

– Nie w tym rzecz.

Pomiędzy odebraniem telefonu ze szkoły a rozmową z Erikiem pierwszy raz od wieków kompletnie zapomniałam o prawnikach. Miałam zadzwonić do naszego, żeby powiedzieć mu o liście, który wczoraj otrzymaliśmy, i spytać, jakim cudem Ben i Maggie mogą oczekiwać, że zdobędziemy taką sumę.

Właściwie od tego miałam zacząć. Wyprawa do sklepu z gąbką była grą na zwłokę, a częściowo strategią adaptacyjną. Jeśli choć niektóre aspekty mojego życia pozostaną normalne, przynajmniej od czasu do czasu będę mogła udawać, że i samo życie jest normalne.

Ale sypie się coraz bardziej.

– Chodzi o Gabriellę – wyjaśniam Ericowi. – Dzwonili ze szkoły. Poinformowali, że została zatrzymana przez policję i mam po nią przyjechać.

– Policja? Gdzie? Czemu? To zupełnie niepodobne do Gabs. Co zrobiła?

– Nie wiem – odpowiadam. – Rozmawiałam z jej wychowawcą, panem Collinsem. Nie wydawał się bardzo zaniepokojony, poprosił tylko, bym przyjechała po lekcjach, żebyśmy mogli porozmawiać.

– I nie wyjaśnił dlaczego?

– Powiedział, że woli przedyskutować sprawę osobiście w obecności Gabrielli – tłumacząc. – Mówił, żebym się nie martwiła. Ale oczywiście się martwię.

Nie została mi żadna rezerwa pozwalająca na poradzenie sobie z tym nowym incydentem – nie po tym wszystkim.

– Spróbuję dziś wrócić trochę wcześniej – przyrzeka Eric, a ja czuję ogromną ulgę. – Mam parę spraw, które koniecznie muszę załatwić, ale chyba uda mi się wyrwać.

- Dziękuję – mówię. – Właśnie dojeżdżam do szkoły, Ericu. Będę kończyć.
- Okej – przytakuje. – I, Bel...
- Tak.
- Postaraj się nie martwić za bardzo, kochanie.

Ben, piątek po południu

– Nie mogą po prostu wyjaśnić ci przez telefon? – pyta Maggie.

– Hedda twierdzi, że musi ze mną... z nami – poprawiam się – coś przedyskutować. Osobiście.

– Widzisz, właśnie z tego powodu... – Maggie urywa, ale wiem, że jest zła.

Miała trudny dzień, o czym już mnie poinformowała – wyczerpująco – gdy tylko dotarłem ze szkoły. Iris była marudna i zdenerwowana. Przewróciła się, kiedy Maggie przed lunchem zabrała ją do parku, próbowała stanąć na czymś w rodzaju karuzeli i spadła – z małej wysokości, ale na tyle dużej, by nabić sobie siniaka na buzi i wycić całą drogę do domu.

Potem spała, lecz zbyt długo, więc Maggie nie mogła się odprężyć. Martwiła się, że mała nie tyle odsypia przygodę, ile dostała wstrząsu mózgu. A oczywiście bardziej niż kiedyś niepokoi się wpływem różnych rzeczy na Iris.

Teraz mała siedzi w wysokim krzeselku z talerzem kurczaka, ziemniaków i warzyw przed sobą. Nie tyle je, ile zrzuca jedzenie na podłogę. W dalszym ciągu wygląda na niezadowoloną i Maggie wyraźnie ma już dość.

– Co właśnie z tego powodu? – pytam.

– Od początku byłam przeciwna, żebyś się pakował w te cholerne prawnicze gierki – warczy, podnosząc kawałek kurczaka, po czym kładzie go z powrotem na talerzu małej.

Zgodnie z regułą dwóch sekund. To jedna z zasad, jakich się nauczyłem, gdy zostałem rodzicem. Jeśli coś spadnie na podłogę, na ziemię – w zasadzie na dowolną brudną powierzchnię – jeśli nie leżało dłużej niż dwie sekundy, można to podnieść i dać z powrotem dziecku do jedzenia.

Nie wyobrażam sobie, żeby Isobel kiedykolwiek stosowała tę zasadę wobec swoich bezcennych dzieci. Ale to ma sens, nawet jeśli nie wydaje się szczególnie logiczne. Czemu marnować dobre jedzenie tylko dlatego, że maluchy są wyjątkowo niekompetentne, jeśli chodzi o jego przetransportowanie tych parę centymetrów z talerza do buzi?

– Przecież o tym dyskutowaliśmy.

Nie mam ochoty wychodzić, ale Hedda powiedziała, że to pilne.

– To, co ty nazywasz „dyskusją”, było monologiem – burczy Maggie.

– Jesteś niesprawiedliwa. Wiem, że od początku nie byłaś zachwycona, ale się zgodziłaś.

Iris wygląda na coraz bardziej pobudzoną. Oczywiście nie słyszy, że mówimy podniesionymi głosami, ale uaktywnia się u niej jakiś inny zmysł i mała zaczyna się wiercić na krzeselku, przenosząc wzrok z matki na mnie.

– Naprawdę mi przykro, Maggie. Twierdziła, że to ważne.

– Ważne jest to, że Iris potrzebuje więcej uwagi niż normalne dziecko. Ważne jest to, że z tego powodu ja też czasem potrzebuję większej pomocy. Ważne jest to, że musimy usiąść i porozmawiać poważnie o implantach ślimakowych albo tym, jakie skutki będzie

miało dla jej przyszłości, jeśli ich nie dostanie.

– Wiem, że to też jest ważne, ale...

– Ale co?

– Ale jeśli wygramy sprawę...

– Jeśli! – wrzeszczy Maggie. – To wielkie „jeśli”, Ben, i doskonale o tym wiesz. Tymczasem spędzasz każdą wolną chwilę, gadając przez telefon z tą prawniczką, albo lecisz się z nią spotkać, a to niczego nie ułatwia.

– Rozmawiam z nią wyłącznie dlatego, że stara się nam pomóc!

– Czyżby? Stara się nam pomóc? A może stara się pchnąć naprzód własną karierę dzięki interesującej sprawie?

– Maggie...

Nie ma sensu powtarzać, że dyskutowaliśmy o tym i zgodziła się ze mną. Każde z nas trzyma się swojej opinii w tym konkretnym momencie i do niczego nie dojdziemy.

Wiem – a w każdym razie tak mi się zdaje – że Maggie mówi to wszystko, ponieważ miała zły dzień i nie chce, bym znowu wyszedł. Podczas gdy staram się wymyślić sensowną ripostę, Iris zrzuca talerz z jedzeniem na podłogę i zaczyna wrzeszczeć.

– Patrz, co narobiłaś. – Maggie podchodzi, by wyjąć małą z krzeselka. – Zostaw – rzuca do mnie, kiedy schylam się, by sprzątnąć podłogę. – Idź już wreszcie.

– Maggie.

– Idź już, Ben. Nie chcę teraz o tym rozmawiać. Im szybciej pójdziesz, tym szybciej będziesz z powrotem.

W kancelarii Heddy dostaję filiżankę herbaty, w limonkowym kubku, i talerzyk – szary – z biszkoptami. Nie umiem traktować poważnie tej kolorystycznej harmonizacji. Ale Hedda chyba wie, co robi.

– Więc – zaczynam. – Powiedziała pani, że sytuacja się zmieniła. Odezwał się prawnik Isobel?

– Niezupełnie – odpowiada.

Czekam na dalsze wyjaśnienia, myśląc sobie, że albo się odezwał, albo nie. Ale pewnie tak działają prawnicy – wymieniają się pytaniami, proszą o dalsze wyjaśnienia, krążą wokół sprawy, przeciągając swoje prawnicze gierki najdłużej, jak się da.

Słychać pukanie do drzwi i do środka wsuwa głowę mężczyzna mniej więcej w moim wieku.

– To pan Deakin? – pyta.

Hedda przytakuje ruchem głowy i do środka wchodzi bardzo charyzmatyczny mężczyzna z bardzo bujną czupryną bardzo czarnych włosów oraz bardzo ciemnymi oczami do kompletu.

– Angus McDonald – przedstawia się. Zakładam, że to jego nazwisko widnieje na szyldzie kancelarii, pewnie jest starszym współnikiem. Zastanawiam się, co tutaj robi.

– Miło mi pana poznać.

Przysuwa sobie krzesło i siada.

Hedda nagle wydaje się zdenerwowana. Bez widocznego powodu przekłada przedmioty na swoim biurku. Jej skandynawski spokój został zmałowany.

– Nie wiem, czy Hedda pana wprowadziła... – zaczyna Angus McDonald.

– Pan Deakin dopiero przyszedł – wchodzi mu w słowo prawniczka.

– Rozumiem. – Angus przenosi wzrok na nią, a ja wyczuwam jakiś problem.

– Ma pan ochotę na herbatę? – zwraca się do niego Hedda.

– Nie, dziękuję – odpowiada, patrząc na zegarek.

Jest piąta czterdzieści pięć. Dla Angusa McDonalda jest zapewne za późno na herbatę, to raczej pora na whisky. Nie byłbym zaskoczony, gdyby w swoim gabinecie trzymał w gotowości butelkę szkockiej dla wybranych klientów – tych, którzy zjawiają się po południu, albo bardziej zdesperowanych, albo bogatszych.

– Rzecz w tym – zwraca się do mnie – że do naszego wczorajszego zebrania nie miałem pojęcia, iż wzięliśmy tę sprawę.

– Jasne. – Nie wiem, czy to normalne, i dlatego nie wiem też, czy to problem. Wyczuwam, że tak.

– Pańska sytuacja jest nietypowa – ciągnie. – Nie mówiąc o tym, że jest bardzo trudna dla pana oraz pańskiej żony i dziecka. Ogromnie mi przykro z powodu tego, co spotkało pańską córeczkę.

– Nie ma sprawy.

Trudno powiedzieć, jak brzmi właściwa odpowiedź, kiedy ktoś nam mówi, że mu przykro. To nie jego wina. Jedyna osoba, która powinna była przeprosić, nie przeprosiła. I dlatego tu jesteśmy.

– Przejdę do rzeczy – podejmuje prawnik. – Sytuacja, w jakiej się państwo znaleźli, jest nietypowa, a zarazem interesująca z prawniczego punktu widzenia. W Wielkiej Brytanii nie było podobnych spraw, choć istnieją precedensy – mówię o ludziach, którzy z sukcesem wytoczyli proces o świadome zarażenie AIDS.

– Tak, Hedda o tym wspominała.

Patrzę na nią, ale jest zaskakująco cicha. Prawdę mówiąc, milczy.

– Jak już wspomniałem – powtarza się Angus – nie byłem świadomy, iż podjęliśmy się tej sprawy, ale teraz przedyskutowaliśmy ją szczegółowo i muszę panu wyznać, że w mojej opinii mamy nikłe szanse na jej wygranie.

– Przecież Hedda oceniała bardzo optymistycznie nasze szanse. – Spoglądam na nią, oczekując wyjaśnienia.

– Przykro mi, Ben – odpowiada i jej akcent staje się nagle silniejszy, jak gdyby uwydatnił się pod wpływem zdenerwowania albo niełaski. – Sądziłam, że to obiecująca sprawa.

– Ale...?

– Hedda jest kompetentnym radcą i mam absolutne zaufanie do jej znajomości prawa – podejmuje Angus McDonald. – Przy nieco mocniejszych dowodach mogłaby to być niezwykle znacząca, przełomowa sprawa. Rozumiem, dlaczego wydawała się atrakcyjna.

– W pańskich ustach brzmi to jak opis kandydatki na randkę! – Staram się zabrzmieć dziarsko, by zamaskować narastające obawy, ale nie jestem przekonany, czy

mi się udało.

– Staram się podkreślić, że przy nieco mocniejszych dowodach sprawa mogłaby się okazać bardzo głośna i być może precedensowa. I dlatego rozumiem powody, dla których Hedda zdecydowała się jej podjąć.

– Choć nie powinna? – Próbuję przejść do rzeczy w jego imieniu.

– Musimy podjąć decyzję, jak postępować dalej – ciągnie, unikając mojego bezpośredniego pytania. – Czy życzy pan sobie ją kontynuować?

– Po to tu przyszedłem – stwierdzam.

– Tak – potwierdza. – Lecz my również mamy prawo rozwiązać umowę o reprezentowaniu pana, jeśli uznamy, że szanse na wygraną są niewielkie.

– I tak uznaliście?

– Szczerze mówiąc, tak uznałem. Myślę, że ma pan ważne powody, by winą za kondycję pańskiej córki obarczać panią Blake. Ale sądzę, że jednoznaczne obciążenie jej odpowiedzialnością okaże się bardzo trudne.

– Twierdziła pani, że to możliwe. – Patrzę na Heddę.

– Przepraszam – odzywa się pierwszy raz. – Chyba byłam nadmierną optymistką.

Jestem na nią zirytowany, ale domyślam się, że dostała po łapach na osobności, zanim wezwano mnie na rozmowę. A kiedy zaczyna mi świtać, że mimo wszystko chcą wycofać się ze sprawy, wracam myślami do własnej awantury z Maggie przed wyjściem z domu.

Sytuacja się komplikuje. Gdyby sprawa była do wygrania, naturalnie bardzo by nam to pomogło, ale jeśli mamy zmarnować czas na prawniczą batalię, która skończy się niczym, moja obecność w domu – zamiast udziału w zmaganiach – przyda się bardziej.

– Są dwa niepokojące obszary – tłumaczy Angus McDonald. – Jeśli pani Blake nie przyzna wprost, że była stuprocentowo pewna, iż jej córka cierpi na odrę, kiedy zostawiła ją z pańskim dzieckiem, bardzo trudno będzie dowieść celowego zamiaru wyrządzenia szkody.

– Musiała wiedzieć – stwierdzam.

– Obawiam się, że „musiała wiedzieć” nie wystarczy sądowi.

– Ale wiedziała, że Gabriella jest chora. Wiedziała, że chłopak Gabs przechodził odrę i że przed wyjazdem na wakacje córka często się z nim widywała. I wiedziała, że Gabs nie została zaszczepiona.

– Obawiam się jednak, panie Deakin, że dopóki lekarz nie potwierdził, iż... – zagląda do notatek – ...Gabriella ma odrę, matka mogła w istocie nie wiedzieć.

– Wiedziała – powtórzyłem.

– Obawiam się, że sędzia może być odmiennego zdania.

– A jeśli zgodzą się na ugodę pozasądową? – Patrzę ponownie na Heddę. – Mówiła pani, że istnieje taka możliwość. Nie, powiedziała pani, że z dużym prawdopodobieństwem zrobią wszystko, by uniknąć dodatkowych kosztów, jakie pociągnęłoby za sobą rozstrzygnięcie sprawy w sądzie.

– To drugi obszar, który mnie niepokoi – inicjatywę znowu przejmuje Angus McDonald. – Z tego, co nam wyjaśnił prawnik państwa Jordanów, i z tego, co Hedda powiedziała mi o państwa rozmowie, Jordanowie w istocie nie mają szans zapłacić

odszkodowania. O ile wiem, mają troje dzieci, pani Blake nie pracuje, a zarobki pana Jordana nie pozwalają na zapłacenie odszkodowania w wysokości, o jaką byśmy się ubiegali.

– Moglibyśmy zażądać mniej? – Chwytam się pomysłu jak tonący brzytwy.

– Wówczas niekorzystne byłoby dla nas przyjęcie tej sprawy na zasadach, na jakie zgodziła się moja koleżanka – odpowiada. – Jeśli postanowi pan kontynuować, będzie pan musiał ponieść koszty, co stanowczo odradzam, ponieważ wątpię, by w przyszłości istniały realne szanse na odszkodowanie.

– Czyli uważa pan, że powinniśmy zrezygnować?

Oboje kiwają głowami.

– Bardzo mi przykro – powtarza Hedda.

– Co pani sobie wyobrażała? – z furią pytam prawniczkę. – Tutaj chodzi o moje, o nasze życie. Chodzi o to, że nasza córeczka jest głucha. Twierdziła pani, że może coś zrobić, by jej pomóc.

– Naprawdę szczerze sądziłam, że mamy szansę wygrać tę sprawę.

– Czyżby? – pytam. – A może sądziła pani, że ma szansę się wybić? Albo zyskać sławę naszym kosztem?

– Nie, byłam przekonana... – Hedda patrzy na Angusa McDonalda w poszukiwaniu wsparcia.

– Jestem przekonany, że gdy moja koleżanka podjęła się prowadzenia tej sprawy, uczyniła to z myślą o państwa najlepszym interesie...

– Ale kiedy uznaliście, że nie wyciągniecie z tego wystarczająco dużo forsy... – wpadam mu w słowo.

– Właśnie – przytakuje bez ogródek. – Do tego się to sprowadza. Do pieniędzy dla pana i dla nas. O to panu chodziło, prawda?

– Tak, ale... – zaczynam.

– Ale?

– Nieważne – ucinam.

Mógłbym wygłosić tyradę, że chodzi o zasady, o zmuszenie Isobel, by wzięła odpowiedzialność za działania, które doprowadziły do głuchoty Iris, o ostrzeżenie innych o konsekwencjach nieszczepienia dzieci. Ale szczerze mówiąc, bym skłamał.

Tak naprawdę nie chodzi tu o pieniądze ani o zasady. Chodzi o odegranie się na Isobel za obecną sytuację i za inne rzeczy: za to, że jakimś sposobem zawsze potrafiła sprawić, żebym czuł się zlekceważony i nieważny. Tak samo jak Hedda.

– Kiedy następnym razem zacznie pani kogoś przekonywać, że potrafi mu pomóc, niech pani pomyśli najpierw o tym człowieku i o konsekwencjach, jakie poniesie, gdy się okaże, że w rzeczywistości nic pani nie może – zwracam się do niej.

– Przepraszam – mówi raz jeszcze, ale nie wygląda na skruszoną.

Wygląda, jakby chciała się mnie pozbyć z kancelarii. Cała ta wcześniejsza gadanina i współczucie... Nie sądzę, że cokolwiek z tego było szczerze. Cóż, chrzanić ją. Chrzanić ich wszystkich.

– Więc co dalej? – Pytanie kieruję do Angusa. Nie zamierzam dać satysfakcji Heddzie i słuchać jej wywodów.

– Napiżemy do prawnika państwa Blake z wyjaśnieniem, że zdecydował pan odstąpić od sprawy.

– Czyli się poddałem. Wspaniale.

– Jeśli pan sobie życzy, mogę z panem omówić formę listu.

Wzruszam ramionami. Chcę stąd wyjść. Mam dosyć. Pewnie dałoby się sformułować pismo w taki sposób, bym zachował pozycję moralnej wyższości. Pewnie umieliby mnie wykreować na wielkodusznego, dzięki czemu Isobel poczułaby się podle, o co mi w gruncie rzeczy chodzi. Może rzeczywiście poczuje się znacznie gorzej, jeśli jej darujemy.

– Sporządę szkic w poniedziałek i prześlę panu do zaakceptowania.

– Dobrze – zgadzam się, kiwam obojgu głową i wychodzę z kancelarii.

Czuję się wypompowany i potężnie wkurzony, a teraz będę musiał wrócić do Maggie, by jej oświadczyć, że miała rację i powinienem od początku skupić się na Iris, zamiast marnować energię na szukanie wiatru w polu.

I bez względu na to, jak sformułują ten pieprzony list, jestem wściekły, ponieważ koniec końców Isobel wykręci się sianem. Chciałem, żeby poniosła konsekwencje. Należało ją do tego zmusić – w jakiś sposób.

Isobel, piątek wieczorem

Powinno być miło, ponieważ Eric wrócił do domu wcześniej. Powinno być uroczo, bo jesteśmy sami i siedzimy przy stole w kuchni nad butelką białego wina, wiedząc, że mamy przynajmniej pół godziny, zanim Harvey z Vincentem przyniosą kolację: rybę z frytkami kupioną w budce. I byłoby uroczo, gdyby to wszystko nie było efektem tego, co spotkało dzisiaj Gabby. Siedzi w swoim pokoju, stara się udawać niewidzialną i nie chce rozmawiać – przynajmniej ze mną.

Czy nie byłoby miło, rozmyślam, gdyby Eric wrócił do domu wcześniej, by mi pomóc w przygotowaniach do imprezy Vincenta, i gdyby dał Harveyowi pieniądze na rybę z frytkami, żebyśmy po prostu mieli parę chwil tylko dla siebie? Rzadko trafia się nam pół godziny, by tak po prostu posiedzieć nad drinkami i porozmawiać. Lecz ta scenografia nie służy rozrywce. Jest tłem dla wyjaśnień i, obawiam się, również dla wzajemnych oskarżeń. Od kilku tygodni stanowią one stały element mojego życia.

– Czyli wszystko z nią w porządku? – pyta Eric. – Bardzo się przejęła?

– Nie wiem. Odkąd ją przywiozłam, prawie się do mnie nie odezwała. Poszła prosto do swojego pokoju, a kiedy zrobiłam herbatę i zaniiosłam jej na górę, wzięła kubek i zamknęła drzwi.

– Może się wstydzi – zauważa Eric. – Nie ma powodów, ale wiesz, jak nie lubi się wychylać. Nigdy nie sprawiała kłopotów, prawda?

Kiwam głową na potwierdzenie.

Gabs zawsze niemal obsesyjnie przestrzega zasad. Odkąd nauczyła się czytać, wpadała w panikę, jeśli zaparkowała samochód pięć minut przed rozpoczęciem bezpłatnych godzin i nie zapłaciłam albo jeśli użyłam jakiegoś produktu po dacie przydatności do spożycia. Kiedy zaczęła gotować, wołała przypalić biszkopty, niż wyjąć je z pieca przed czasem podanym w przepisie, nawet jeżeli czuła swąd.

A gdy poszła do podstawówki, przez bitych siedem lat straciła nagrodę za posłuszeństwo tylko raz, i to ponieważ nie przerwała pracy, kiedy miała się zabrać do sprzątnięcia!

Również w szkole średniej aż do dziś nigdy nie złamała reguł – nie otrzymała uwagi za brak mundurka, nie została zatrzymana po lekcjach, nigdy się nie spóźniła z oddaniem pracy domowej. Miałam prawdziwy powód, żeby się na nią złościć, tylko raz – gdy wybrała się do Londynu z koleżanką i zataiła, że jadą same. I nawet wtedy celem ich wyprawy była wizyta w Akademii Królewskiej.

Dlatego wagary i powrót do szkoły na tylnym siedzeniu policyjnego wozu to imponujący debiut. Byłoby to zabawne, gdyby w grę wchodził jedynie nastoletni bunt, ale w wypadku Gabs nawet za urwaniem się z lekcji kryją się poważne motywy.

I oczywiście zamartwiam się, że również jej nadmierne posłuszeństwo to moja wina.

– Może się wykolei, kiedy pójdzie na studia – zażartował kiedyś Eric, ale myślę, że naprawdę marzy, by zobaczyć, jak Gabs robi coś nieprzewidywalnego.

No cóż, właśnie zrobiła.

– No to opowiedz, co się dokładnie stało – prosi teraz.

Głos ma spokojny, rzeczowy i pełen niepokoju o córkę. Po powrocie do domu krótko streściłam mu sytuację przez telefon, ale domaga się pełnej wersji.

– Cóż, w ogóle nie poszła dzisiaj do szkoły. Kiedy ją odebrałam, nawet nie miała na sobie mundurka, chociaż jestem pewna, że rano przed wyjściem go włożyła.

– Pewnie gdzieś się przebrała – zauważa.

Kiwam głową.

– Musiała wszystko zaplanować.

– Prócz tego, co będzie, jeśli policja ją zatrzyma i przepyta.

– Biedna Gabs – wzdycham.

Potrafię sobie wyobrazić, jaka musiała się czuć upokorzona, kiedy zapakowano ją do radiowozu i odwieziono do szkoły.

– To nie był pierwszy raz – dodaję po chwili. – Kilka razy przyłapałam ją bez mundurka, ale zupełnie to zlekceważyłam.

– Mów dalej.

– No cóż, pojechała do Hove. Pewnie uznała, że tam nie natknie się na żadnego znajomego. Grała przed ratuszem.

– I nikt w szkole nie zauważył jej nieobecności? – dziwi się Eric.

– Powiedziała, że jej wychowawca właściwie nie sprawdza obecności. Moim zdaniem liczyła, że nikt w szkole się nie zorientuje.

– I miała rację?

– Owszem. Chyba się nie zorientowali, póki nie przywiozła jej policja.

– Krzepiące – zauważa Eric.

– Wiem. Powinni nas zawiadamiać, jeśli dziecko nie zjawi się w szkole, na wypadek gdyby coś mu się stało!

Gabriella jest wprawdzie cała i zdrowa, ale moja wyobraźnia produkuje rozmaite scenariusze.

– Mógł ją potrącić samochód albo ktoś mógł ją porwać w drodze do szkoły, a my byśmy się dowiedzieli, kiedy byłoby już za późno.

– Ale nie potrącił ani nie porwał, Bel. Nic jej nie jest – stwierdza Eric i w jego głosie pojawia się ślad dawnej życzliwości. Mam ochotę się rozpłakać. – Wpadła jedynie w niewielkie tarapaty. Pora najwyższa.

– Wiedziałaś, że tak powiesz – odpowiadam i uśmiecham się mimo woli. – I wiem, że nic jej nie jest. Ale to takie do niej niepodobne, że naprawdę zaczynam się martwić, jak to wszystko na nią wpływa.

– Powiedziała tobie i nauczycielom, że potrzebuje pieniędzy – ciągnie. – Ma jakieś kłopoty?

– Nie, Ericu. My mamy – wyjaśniam.

Sądziłam, że do tej pory zdołał dodać dwa do dwóch. Ale ponieważ unikaliśmy tego tematu między sobą, pewnie nie zdaje sobie sprawy z uczuć córki tak dobrze, jak ja.

– To nie ona ma problemy. Tylko my. Postanowiła zebrać pieniądze dla Bena i Maggie. Wie, że zamierzają nas pozwać. Sądzi, że to jej wina, więc starała się coś zrobić.

– Myślała, że zgromadzi taką sumę, opuszczając lekcje i grając na ulicy? – zauważa Eric.

– Nie ma pojęcia, ile sobie zażyczyli. Ale nie w tym rzecz. Przez ostatnich parę weekendów, kiedy występowała z Lucy, sporo zebrały, zaczęła też odkładać kieszonkowe.

Gabs opowiedziała mi o tym wszystkim w drodze do domu.

– To nadal za mało.

– Mówi, że po prostu musiała coś zrobić. Zamierzała osobiście zanieść pieniądze Benowi i Maggie. Planowała jutro wsiąść w pociąg do Croydon i pojechać do nich.

– Przecież od wieków ich nie odwiedzaliśmy. Nie umiałyby trafić.

– To zaradna dziewczyna. Jakoś by sobie poradziła.

– I co chciała przez to osiągnąć?

– Nie wiem. Pewnie sądziła, że jeśli zacznie działać, może wycofają pozew. Gabs naprawdę polubiła Maggie, odkąd ją poznała trochę lepiej, i uwielbia Iris.

– Na serio sądziła, że jeśli stanie na ich progu z paroma garściami drobnych, to rozwiąże problem?

– Nie mam pojęcia, Ericu. Rzecz w tym, że podjęła działanie. To właśnie od niej usłyszałam. Oświadczyła, że ktoś musi coś zrobić. Że ty i ja... wiem, że tak naprawdę chodziło jej o mnie... poddajemy się biegowi zdarzeń. I ma rację. Wiem, że tak.

– Co jej powiedziałaś?

– Że zadzwonię do Bena. Obiecałam, że z nim pogadam. Obiecałam, że spróbuję znaleźć sposób, by to wyprostować, ze względu na nas wszystkich.

– I zadzwoniłaś? – pyta Eric.

– Zadzwonię po kolacji – odpowiadam, kiedy drzwi kuchni się otwierają i wkracza Harvey, niosąc wielką torbę ryby z frytkami, którą rzuca na stół.

– Co? – pyta, przenosi wzrok z Erica na mnie, świadomy, że przyłapał nas w środku ważnej rozmowy.

– Może wyjmiesz talerze? – proponuje Eric. – I przy okazji ocet.

Ben, piątek wieczorem

Kiedy wracam ze spotkania z Heddą i Angusem McDonaldem, Maggie kąpie Iris na piętrze. Siadam na krześle ustawionym po to, by to z nas, które akurat nie myje małej, mogło się przyglądać. Przed narodzinami Iris nie pojmowałem ludzi w typie Isobel, podziwiających swoje potomstwo z wielkim skupieniem, chociaż owo potomstwo nie robiło nic, co by ten zachwyty usprawiedliwiało. Obecnie rozumiem i nieustannie się zastanawiam, jak długo to jeszcze potrwa.

– Wydaje się trochę pogodniejsza – zauważam. Gdy siadam, ściska mi się serce, bo Iris, z buzią pokrytą pianą, podnosi wzrok i uśmiecha się do mnie. – Przepraszam, że musiałem znowu wyjść, Mags.

– Była całkiem spokojna. – Maggie nabiera do kubka wody i wylewa ją do wanienki. Mała wyciąga rączki, próbuje złapać strumień, chichocząc pod wpływem przyjemnych doznań.

– Jak twoje pilne spotkanie?

W słowie „pilne” kryje się szpila, ale ją ignoruję.

– Było... cóż, właściwie nie wiem. Lepiej opowiem ci wszystko przy kolacji.

– Owszem, nie powinniśmy denerwować Iris, skoro jest taka szczęśliwa.

– Mam pójść i zacząć przygotowania? Planowałaś coś konkretnego? – Staram się ją ułagodzić.

– Nawet o tym nie myślałam – odpowiada. – Więc czemu nie, idź i zobacz, co znajdziesz dla nas do jedzenia. Jestem głodna i ty z pewnością też.

– Jasne. – Podnoszę się.

Maggie koncentruje się na Iris. Wyjmuje gumową kaczuszkę z koszyka przymocowanego przyssawkami do kafelka.

– To jest kaczką – mówi, z uśmiechem popychając zabawkę po wodzie w kierunku dziewczynki. – Kwa, kwa. Kwa, kwa!

Oglądam się i w tej samej chwili Iris podnosi kaczuszkę i wydaje dziwny, rozdzierający serce dźwięk.

– Kła, kła – mówi.

Przynajmniej tak to brzmi, w każdym razie dla mnie. Słyszę dźwięki, jakby były doskonale wyraźnymi słowami. „Kła, kła”.

– Słyszałaś? – zwracam się do Maggie, czując dreszcz podniecenia.

– Co? – pyta, wciąż nadąsana.

– Powiedziała „kwa, kwa”! – tłumaczę podekscytowany. – Nie słyszałaś? Brzmiało to jak „kła, kła”, ale musiała powtórzyć to, co mówiłaś przed momentem. Nie słyszałaś jej, Maggie?

Pragnę, żeby ona też to usłyszała. By potwierdziła to, co ja chwilę temu. Żeby zaświadczyła, że właśnie zdarzył się cud i że Iris mimo wszystko nie jest głucha, że usłyszała swoją matkę mówiącą „kwa, kwa” i powtórzyła to jak normalne dziecko.

Ale Maggie nie słyszała. I nie zaświadczy.

– Nic nie powiedziała, Ben. – Zwraca się ku mnie z wyrazem twarzy, którego nie potrafię rozszyfrować. A gdy odzywa się znowu, jej głos brzmi trochę łagodniej. – Po prostu wydała jeden z tych swoich dźwięków. To wszystko.

– Tak, naturalnie.

Czuję się rozczarowany – bezbrzeżnie – i jest mi też trochę głupio, że ośmieliłem się mieć nadzieję, choć oboje wiemy doskonale, że mała nie słyszy.

– Pójdę zrobić kolację.

– Śpi? – pytam, kiedy Maggie wchodzi do kuchni. Smażę dwa filety wieprzowe, czekając, aż ryż zmięknie. – Zaraz będzie gotowe.

– Tak – potwierdza ze znużeniem, podchodzi do lodówki i wyjmuje butelkę białego wina, a potem nalewa sobie duży kieliszek. – Nareszcie.

Nie sprawdza ani nie pyta, czy mam drinka. Najwidoczniej wciąż jestem w niełasce.

– Pójdę ją pocałować – oświadczam i chcę się precyzyjnie obok niej.

– Nie. – Maggie cofa się od lodówki, zastępując mi drogę. – Możesz ją znowu zbudzić. Mam dość na jeden dzień. Nie dam rady, jeśli się znowu obudzi.

– Maggie, przepraszam. – Robię krok do niej.

– Przestań – odpowiada, odsuwając się, nie chce współczucia czy wsparcia, którego mógłbym jej udzielić. – Powiedz mi tylko, czemu twoja prawniczka musiała się tak pilnie z tobą spotkać.

– Nasza prawniczka – poprawiam.

Milkniemy, wyobrażam sobie, jak się przyznaję do porażki.

– To było spotkanie ze starszym wspólnikiem – wyjaśniam.

– Czemu? Zdarzyło się coś nowego?

Stoimy w przestrzeni między lodówką a stołem jadalnym. Podchodzę do kuchenki i krzątam się przy wieprzowinie oraz ryżu. Maggie siada przy stole, popija wino, czeka.

– Tak – potwierdzam. Nakładam ryż, wlewam trochę śmietanki do podsmażonej wieprzowiny, a potem zsuwam kotlet na talerz. Zanoszę dwie porcje do stołu i siadam po przekątnej do mojej partnerki.

– Wygląda na to, że dałem się zrobić w balona – oświadczam, patrząc na nią i zastanawiając się, czy się ucieszy w głębi ducha.

– To znaczy?

– Starszy wspólnik do dzisiaj nie był świadom, że Hedda podjęła się sprawy, a kiedy się zorientował, rozkazał jej się wycofać.

– Och, Ben. – Maggie przesuwając dłoń po stole i kładzie na mojej. – Przykro mi.

– Czemu miałoby ci być przykro? – Cofam rękę. – To koniec. Sprawa zamknięta. Oświadczył, że jego zdaniem nie mamy szans na wygranie sprawy. Więc jeśli nie możemy sami opłacić kosztów postępowania, a wie doskonale, że nie możemy, Hedda musi przestać nas reprezentować.

– Przykro mi, bo wiem, że sądziłeś, iż to może pomóc – mówi Maggie po prostu.

– Od początku byłaś przeciwna. Więc zgaduję, że cię to cieszy – odpowiadam.

– Byłam przeciwna, bo uważałam, że to odciągnie twoją uwagę ode mnie i od Iris, i miałam rację. Ale zgodziłam się, byś to ciągnął, ponieważ sądziłam, że ci to pomoże. Pomyślałam, że jeśli dzięki temu jakoś zaakceptujesz sytuację, będzie nam łatwiej. Tak czy inaczej.

– Przepraszam, Maggie. – Podziwiam jej przenikliwość. – Przepraszam, że tak fatalnie sobie radzę. Tylko byłem... nie, nadal jestem wściekły i sfrustrowany, ponieważ to wszystko jest takie niepotrzebne. Po prostu chciałem coś zrobić.

– Ben... – Znowu wyciąga rękę i przytrzymuje moją dłoń, a ja tym razem na to pozwalam. – Myślisz, że ja tego nie czuję? Po prostu radzę sobie w inny sposób. Musimy zaakceptować sytuację i jakoś się pozbierać.

– Wiem – przytakuję. – I akceptuję. Tylko...

– Nie – przerywa mi. – Nie wiesz. I nie zaakceptowałeś. Jeszcze nie. Cały czas na różne sposoby buntujesz się przeciw temu. Jak przed chwilą w łazience, kiedy wydało ci się, że słyszysz, jak Iris mówi. Wiesz, że nie umie mówić. Wiesz, że musimy się nauczyć do niej migać. Wiesz, ale wciąż to ignorujesz. Ciągłe masz nadzieję, że zdołasz jakimś sposobem uleczyć Iris. Ale nie możesz, Ben, żadne z nas nie może.

Wiem, że ma rację.

– Musimy trwać przy niej – ciągnie Maggie. – Nie możemy zniknąć i walczyć z innymi, skoro potrzebuje nas teraz bardziej niż kiedykolwiek.

Chcę zaprotestować: „Przecież...”, lecz słowa więzną mi w gardle. Wróciłem do punktu, w którym się znajdowałem trzydzieści lat temu, gdy chciałem mówić, ale nie byłem w stanie.

– Kłopot w tym – oświadczam zamiast tego, podczas gdy Maggie obserwuje moją twarz kurcząca się dziwnie jak dawniej, kiedy próbowałem się odezwać – że masz rację. Po urodzeniu tak bardzo ją kochałem. Nadal Kocham. Ale nie chcę, żeby była głucha. Chcę, żeby była normalna, jak inni. I nie mogę tego sprawić. Nie mogę zmienić tego, co się stało, ale nie potrafię tak po prostu się z tym pogodzić jak ty. Czy to sprawia, że jestem potworem?

– Nie, Ben – odpowiada łagodnie. – To nie sprawia, że jesteś potworem. Tylko tym, kim jesteś: mężczyzną, którego Kocham. Ale nie możemy z tym walczyć. Musimy się z tym pogodzić.

– Jesteś lepszym człowiekiem ode mnie.

– Wcale nie – protestuje, zabierając rękę. – Nie lepsza. Jestem po prostu inna. – Milknie, by ukroić kawałek mięsa. – Więc co będzie dalej?

– Z prawniczką?

– Mhm. – Wkłada kęs do ust. – Jakie pyszne. Dzięki.

Właśnie mam wyjaśnić, kiedy dzwoni telefon.

– Lepiej odbiorę – mówi Maggie. – Może to mama. Obiecała, że zadzwoni wieczorem.

Wstaje, zapewne zadowolona ze zmiany tematu, i sięga po słuchawkę wiszącą na ścianie przy wejściu.

– Halo – słyszę jej głos, odprężony i swobodny, jak zawsze, gdy rozmawia z Ruth. Lecz potem jej ton się zmienia. – Tak. Przy telefonie.

Pauza.

– No cóż, sama rozumiesz. W porządku, biorąc pod uwagę okoliczności.

Nastawiam uszu, kto się znajduje na drugim końcu linii.

– Tak, jest tu przy mnie. Zaraz go poproszę.

Maggie robi dwa kroki do miejsca, gdzie siedzę, z wyciągniętą ręką – pozornie po to, by mi przekazać słuchawkę, ale wygląda też, jakby ją chciała odsunąć od siebie jak najdalej.

– Kto to? – pytam bezgłośnie, lecz trzymam już w dłoni słuchawkę, więc muszę się dowiedzieć sam.

– Halo, tu Ben – rzucam.

– Ben. – Na linii słyhać znajomy głos. – Mówi Isobel.

Kiedy kończę rozmowę, po tym gdy umówiłem się z nią na przyszły poniedziałek w jej domu, czuję się dziwnie osamotniony. Nie wiem, co zyskam dzięki spotkaniu z Isobel, ale skoro Hedda mnie zawiodła, uważam, że nie mam innego wyjścia.

– Jeśli poczujesz się dzięki temu lepiej – brzmi komentarz Maggie, kiedy jej oświadczam, że pojedę.

– Masz coś przeciwko temu?

– Nie, nic. Chcę tylko, żeby to się skończyło. Chcę, byśmy zaczęli żyć dalej. Jeśli potrzebujesz wygarnąć Isobel, doskonale.

Ale nie wydaje się zadowolona, a kiedy później wieczorem kładę się do łóżka, leży odwrócona plecami do mnie.

– Mags?

– Co?

– Wszystko w porządku?

– Tak. Po prostu jestem zmęczona.

– Przepraszam.

Przysuwam się i kładę rękę na jej brzuchu. Wiem, że nie aprobowała mojego postępowania przez ostatnich kilka tygodni, ale zamierzam jej to wynagrodzić. Zaczynam wodzić dłonią po jej skórze, gładzić ją delikatnie.

– Chcę już spać, Ben – oświadcza, odpychając moją rękę.

CZWARTY TYDZIEŃ

Isobel, poniedziałek rano

– Jesteś chobołdem!

– A ty fagasem!

– Chobołd! – rzuca Vincent.

– Fagas! – powtarza Harvey.

Słucham jednym uchem, sprząając bałagan po śniadaniu i przecierając kuchenne blaty z gorliwością biorącą się z lęku. Wyciągam wtyczkę toster z gniazdka na ścianie i wytrząsam go do góry dnem nad zlewem, stukam przy tym wściekle w ceramiczną krawędź, aż drobiny spalonych grzanek sypią się jak deszcz do miski do zmywania. Z jakiegoś powodu wydaje mi się, że ogromny lęk przed spotkaniem z Benem dzisiejszego ranka nieco osłabnie, jeśli toster będzie wolny od okruchów, a kuchnia lśniaca.

Brak w tym logiki, ale psychologia nie jest tak logiczna, jak przekonuje nasz sąsiad psychoterapeuta. Zastanawiam się, czy kłótnia chłopców, rozbrzmiewająca crescendo po kuchni, przesącza się przez wspólną ścianę i przeszkadza mu w śniadaniu.

– Nosigrosz! – krzyczy Vincent.

– Bęcwał! – Wygląda na to, że Harvey znowu go przebił.

– Chłopcy, wystarczy!

Podnoszę głos i przekrzykuję obu, i równocześnie tak mocno uderzam tosterem o krawędź zlewu, że szok wywołany zdwojonym hałasem ucisza ich natychmiast.

Vincent zdaje się speszony, ale Harvey posyła mi tylko spojrzenie w stylu „Zachowujesz się kompletnie irracjonalnie”, doprowadzone do perfekcji przez lata moich irracjonalnych reakcji.

Biorę głęboki oddech.

– Nie kłóćmy się – wyjaśnia.

– Ćwiczymy. – Wyzywające zachowanie brata dodaje Vincentowi odwagi. – Jesteś strasznie korpulentna, mammo.

– Co to znaczy?

– Nie wiem – odpowiada Harvey. – To elżbietańskie przekleństwa. Przerabiamy je na angielskim, zanim zaczniemy Szekspira.

– Ach, rozumiem – rzucam, syn przytyka kciuk do nosa i zaczyna poruszać palcami. – Harvey, przestań dłużyć w nosie.

– Nie dłużyć! – Tym razem triumfuje nade mną. – Tylko gram ci na nosie. *Romeo i Julia!*

– Cóż, nieważne, co to jest – ucinam, wracając do toster, zirytowana już nie na nich, lecz na siebie, że tak się nakręciłam z powodu wizyty Bena. – Pora do szkoły.

– Strapiona – mruży półgłosem Harvey, sięgając po plecak.

– Rozbismurmaniona – wtóruje mu Vincent podobnym tonem.

Nie mam pojęcia, co to znaczy, ale bez wątpienia jest trafne.

Po ich wyjściu kontynuuję obłąkańcze porządki. W sypialni Vinniego wciąż

króluje hałda karimat, śpiworów i papierków po słodyczach. Po sobotnim przyjęciu nocowało u niego kilku kolegów, a wczoraj nie miałam siły posprzątać.

Nadal nie wiem, co powiedzieć, a za każdym razem, gdy próbuję się nad tym zastanowić albo staram się przygotować przemowę, tracę wątek. Zaczynam od wyznania, że mi przykro. Przedstawiam sytuację z mojego punktu widzenia. Próbuję się bronić przed oskarżeniami, które – jak sobie wyobrażam – wysunie Ben. Próbuję go zapytać, w czym niby ma pomóc wynajęcie prawników. Może się zirytuję. Oświadczę mu, żeby nie zapominał o żywych ludziach wplątanych w całą tę awanturę. Czyli o nas. O Ericu, o mnie i o nim, Benie. Stanowimy triumwirat.

A potem wyimaginowana dyskusja grzęźnie w miejscu i nie potrafię wymyślić, co dalej. Więc zamiast tego trzepię śpiwór, wywracam go na lewą stronę i wieszam na poręcz, żeby się przewietrzył, zwijam karimatę i chowam zmięte opakowania do kieszeni džinsów.

Pokój Vincenta wraca do normalnego stanu – nie idealnego, ale nie wygląda już niczym po wybuchu bomby, jak przed półgodziną. Ostatni materac wlokę korytarzem do pokoju Harveya. We wnęce obok komina mieści się futon. Materac stanowi jego część.

Zanim go wepchnę na miejsce, odsuwam drewnianą ramę od ściany, by wyjąć rzeczy, które tam wpadły: drobne monety, płyty CD, różne drobiazgi będące śmieciami albo kluczowymi elementami jakiegoś projektu Harveya. Nie potrafię tego rozstrzygnąć, więc nie ośmielam się ich wyrzucić.

Tkwi tam też „EDF” – zabawka Vincenta, którą – jak podejrzewam – mógł tu schować Harvey po jakiejś kłótni poważniejszej niż dzisiejsza.

EDF to jeden z dostawców energii w naszej okolicy. W ich reklamach występuje ożywiony płomyk gazowy. Kiedy Vincent był młodszy, uważał to za przekomiczne. Patrząc na czarnooki pomarańczowy płomyk, tańczący po modelowym domu, mały zanosił się śmiechem. Cieszył się tak bardzo, że Gabriella postanowiła mu zrobić własnego EDF-a z filcu, z guzikami zamiast oczu. Vincent na jakiś czas niedorzecznie się do niego przywiązał. Nie potrafił bez niego zasnąć, co powodowało cowieczorne długotrwałe poszukiwania po całym domu.

Podnoszę zabawkę, by ją odnieść do jego sypialni, i pod spodem znajduję epipena.

Czy to ten, który Harvey powinien zawsze nosić w szkolnym plecaku, na wszelki wypadek? Zerkam na zegarek i stwierdzam, że nie zdążę wskoczyć w samochód i podrzucić go do szkoły przed wizytą Bena, ale zaczynam się niepokoić. A jeśli chłopak nie ma w plecaku drugiego, a zje coś w szkole? Po wypadku w zeszłym tygodniu powinien być czujny, ale ma dwanaście lat, a fakt, że bez sprawdzania zjadł draże Vinniego, dowodzi, że w istocie nie traktuje swojej choroby poważnie.

Wsuwam ramę na miejsce, układam na niej materac i schodzę na dół.

Jestem prawie pewna, że Harvey ma ze sobą drugi wstrzykiwacz, ale byłby to mój typowy pech, gdybym z powodu wizyty Bena tego nie sprawdziła, i okazałoby się, że Harvey nie zabrał epipena, a ktoś podsunął mu coś, czego nie może jeść.

Dlatego dzwonię do szkoły, czując ulgę, że mam się czym zająć.

– Halo, mówi Isobel Jordan. – Dla uniknięcia komplikacji przedstawiam się nazwiskiem Erica, bo dzieci też je noszą. – Matka Harveya. Jest uczulony na orzechy,

a znalazłam w sypialni jego wstrzykiwacz. Chciałam się tylko upewnić, czy ma przy sobie swój w plecaku z książkami.

Sekretarka pyta, do której klasy chodzi Harvey, więc wyjaśniam.

– Na pewno zabrał swój wstrzykiwacz, ale kilka dni temu dostał reakcji alergicznej, więc po prostu chciałam się upewnić.

Kobieta odpowiada, że sprawdzi, jaką Harvey ma lekcję, pójdzie zapytać i oddzwoni.

Nastawiam czajnik i uświadamiam sobie, że po swoim ataku porządnicstwa nie mam wiele do roboty poza czekaniem, aż zagotuje się woda, i dalszymi rozmyślaniami nad tym, co powiedzieć Benowi.

Telefon dzwoni, zanim zdążę choć trochę uporządkować myśli (na co chyba w ogóle nie ma nadziei), sekretarka informuje, że wyciągnęła Harveya z lekcji przyrody i pokazał, że ma epipena w plecaku.

Dziękuję jej za wiadomość i w tej samej chwili rozlega się dzwonek do drzwi, który wprawia mnie w popłoch. Sądziłam, że mam dziesięć minut, by zmienić podkoszulek, w którym sprzątałam, na czysty, trochę się ogarnąć i przynajmniej wyszczotkować włosy. Czuję się w rozsypce, gdy otwieram drzwi, Ben patrzy na mnie dziwnie, w sposób który wytrąca mnie z równowagi.

– Wejdz – zapraszam i idę pierwsza do kuchni.

Podąża za mną, zsuwa plecak z ramienia i roztrąca równy szereg pozostałych po imprezie piłek do skakania, czekających w korytarzu, by je oddać osobom, od których je pożyczyłam.

– Urodziny Vincenta – wyjaśniam. – Kawy?

– Tak, proszę – odpowiada i zaskakuje mnie, gdy wyjmuję z plecaka prezent.

– Och. Miło z twojej strony. Nie sądziłam, że będziesz pamiętał.

– Nie pamiętałem. To Maggie – odpowiada, a ja się uśmiecham, czując nagły przypływ otuchy, skoro mimo wszystko pamiętała o urodzinach Vincenta.

Może sytuacja nie wygląda tak fatalnie, jak się wydawało. Może w mojej wyobraźni antypatia Bena i Maggie rozrosła się do rozmiarów, jakich w rzeczywistości nie osiągnęła, w każdym razie nie na poziomie osobistym. Może pozew to osobna sprawa. Naturalnie dla nas oznacza katastrofę, ale być może oni uważają, że po prostu muszą to zrobić dla Iris.

– Niestety, coś innego – tłumaczy Ben.

– A co miało być?

– Kaftan bezpieczeństwa. Powiedział mi we Francji, że o nim marzy.

Wzdrygam się na wzmiankę o Francji, ale Ben chyba nie zauważa.

– Szukałem w dziale dziecięcym w sklepie z bielizną Ann Summers – ciągnie. – Ale nie znalazłem.

Śmieję się mimo woli, przygotowując kawę. Atmosfera jest niemal normalna, lecz twarz Bena pochmurnieje, jakby właśnie o czymś sobie przypomniał.

– Siadaj – rozkazuje, kiedy przynoszę kawę i waham się, co dalej.

Zajmuję miejsce, ale milczymy oboje.

Odzywam się pierwsza.

Rozpaczam od przeprosin, na pół przećwiczonych, lecz trudniej je wypowiedzieć na głos w obecności Bena niż przedtem na piętrze.

– Ben... bardzo mi przykro – mówię. – Z powodu wszystkiego, co się stało. Nie masz pojęcia, jak podle się czuję. Gdybym jakimś sposobem mogła cofnąć czas, tobym cofnęła. Nigdy nie zostawiłabym Gabs z Iris. Zaszczepiłabym dzieci. Odezwałabym się do was wcześniej, zrobiłabym coś, cokolwiek, żeby to wszystko inaczej się potoczyło...

Denerwuje mnie własna paplanina. Słowa pędzą naprzód, aż nie nadążam ich formułować, a potem głos mi się łamie. Czuję się oderwana od samej siebie.

Obiecałam sobie, że się nie rozplaczę. Nie zamierzam płakać, ale to bardzo trudne.

Nie dochodzę nawet do miejsca, w którym się blokowałam. Ben mi przerywa.

– Dlaczego teraz? – pyta i w jego głosie pojawia się ostry ton, którego nie słyszałam chyba nigdy wcześniej. – Dlaczego po tak długim czasie? – Teraz na niego kolej, by wyrzucić z siebie myśli i pytania. – Czemu nie skontaktowałaś się z nami p-przedtem, kiedy się dowiedziałaś, że Iris straciła słuch? Dlaczego nie zadzwoniłaś, by przeprosić, czemu nic nie zrobiłaś? Jak mogłaś wytrzymać sama ze sobą, wiedząc, że jesteś za to odpowiedzialna, wiedząc, że to p-przez ciebie?

Od lat nie słyszałam, by się zaciął. Kiedy go poznałam, opowiadał, że jąkał się w przeszłości, ale mu nie uwierzyłam, tak świetnie się kontrolował. Tylko bardzo rzadko, gdy był wzburzony, słyszałam, jak robi lekką pauzę przed wypowiedzeniem słowa.

– Zmusiłaś mnie, żebym wam wytoczył sprawę, Isobel, ponieważ siedziałaś w domu i nie chciałaś stawić czoła konsekwencjom swoich decyzji. Moja córka ogłuchła. Nie słyszy zupełnie nic. Maggie jest muzykiem. Ja jestem cholernym nauczycielem aktorstwa. Każde z nas żyje w świecie dźwięków i słów. Nasze dziecko nigdy go nie pozna. Masz pojęcie, co to dla nas znaczy?

– Wiem, że to musi być trudne – zaczynam. – Wiem, że to zupełnie co innego, kiedy się ma dziecko z niepełnosprawnością.

– Tylko że nie masz pojęcia, tak? – wchodzi mi w słowo. – Nie potrafisz sobie wyobrazić. Masz trójkę idealnych dzieci i mało cię obchodzą cudze, szczególnie jeśli nie są idealne.

– Co to ma znaczyć?

– Wiesz co. Jesteś tak pochłonięta własnym życiem, że w gruncie rzeczy nie obchodzi cię, jak żyją inni, nawet najbliżsi przyjaciele.

– Oczywiście, że mnie obchodzisz – zaczynam.

– Nie mówię o sobie – ucina. – Tylko o Yasmin. Widziałem, jak się do niej odnosiłaś w wakacje, irytowałaś się za każdym razem, kiedy Conrad wystraszył twoje dzieci, i wiem, że jej zdaniem ją zawiodłaś.

– Nie zawiodłam jej. Prawie się nie widzimy!

– No właśnie – stwierdza triumfalnie.

– Yasmin coś mówiła? – pytam.

– Nie musiała – rzuca, ale podejrzewam, że jakieś słowa padły, i zdaję sobie sprawę, że oskarżenia Bena są częściowo prawdą.

Milczę. Nie potrafię nic wymyślić. Wszystkie przećwiczone słowa ulatują.

– Gdyby chodziło o kogoś innego. O kogokolwiek, byle nie o ciebie! – krzyczy.

– O co ci chodzi? – pytam cicho.

– Wiesz, o co! – Teraz już wrzeszczy.

French press stoi pomiędzy nami z niewciśniętym filtrem. Towarzyskie banały, które zamierzaliśmy wymieniać, by zachować pozory normalności, idą w zapomnienie. Wygląda na to, że zamiast tego odbędziemy solidną, staroświecką pyskówkę. Może tak będzie lepiej. Może Ben musi wykrzyczeć, co mu leży na wątrobie. Może dzięki temu poczuje się lepiej.

– Wiesz dlaczego. – Wypluwa z siebie słowa. – Wiesz, czemu jest gorzej, ponieważ padło na ciebie. Bo masz wszystko, Isobel. Jesteś żoną cholernego idealnego Erica. Masz trójkę cholernych idealnych dzieci. Uroczy dom nad cholernym morzem. Nie musisz pracować. Nie mogłaś dopuścić, żebym ja miał choć część tego. Czemu nie mogłaś się po prostu cieszyć z mojego szczęścia?

– Ben, to niesprawiedliwe – próbuję mu przerwać, ale na próżno.

– Dlaczego przez całe życie to na mnie żerowałaś? Zawsze na mnie. Isobel przyjeżdża na studia ze złamanym sercem i kogo wykorzystuje, żeby sobie poprawić humor? Mnie. Bena, który zawsze na sto procent będzie pod ręką, nieważne, co mu zrobisz. Bena, który przybiega za każdym razem, kiedy coś pójdzie nie tak. Bena, który zawsze na sto procent się tobą opiekuje, nawet jeśli go raniłaś ciągle od nowa. I pierwszy raz, pierwszy raz, kiedy jestem naprawdę szczęśliwy, musisz się zjawić i spieprzyć to wszystko. Po prostu musiałaś, prawda?

Przysuwa twarz coraz bliżej do mojej. Im bardziej się nachyla, tym dobitniej wyczuwam jego gniew w skurczach przebiegających jego rysy i w napięciu głosu, i chyba nie wytrzymam tego dłużej. Zaraz się załamie. W taki lub inny sposób. Nie wiem, czy zacznę też wrzeszczeć, wydzierać się na niego, czy wpadnę w histerię. Może o to mu chodzi.

– Strasznie mi przykro – mówię. – Naprawdę, szczerze. Jeśli mogę zrobić coś teraz, wszystko, co zechcesz, tylko powiedz.

Zaczynam płakać i Ben milknie, ale jego twarz nadal znajduje się tuż przed moją, maluje się na niej wyraz determinacji. Nie wiem dlaczego. Jakby czegoś wypatrywał. Strachu? Skruchy? Jakiegoś postanowienia?

Patrzę mu prosto w oczy, chociaż trochę się go boję. Ale wydaje się ważne, żeby nie odwracać wzroku. Muszę mu stawić czoło, cokolwiek teraz zrobi. Muszę stawić czoło temu, co zrobi. Po to przyszedł.

Przez moment myślę, że mnie uderzy, i wzdrygam się lekko.

I wtedy mnie całuje. Ujmuje moją twarz w dłonie, więc wiem, co zamierza, a kiedy to robi, nie jest to delikatne ani czułe, tylko natarczywe i konieczne, i bez sensu. Przecież na mnie wrzeszczał, jakby mnie nienawidził.

A teraz się całujemy.

Mam wrażenie, jakby chciał mnie połknąć. I mimo nagłej zmiany nastroju czuję, że zaczynam się temu poddawać. Muszę wstać z krzesła, bo krawędź stołu wbija mi się w żebra, a wtedy Ben chwytą mnie za pierś, drugą rękę kładzie mi na pośladkach i przyciąga mnie do siebie.

Więc to tak?, myślę. Więc tak to rozwiążemy?

Ben podnosi się z miejsca i napiera na mnie, czuję, jak twardnieje, i wszystko to ma w sobie jakąś bezsensowną nieuniknioność.

Znowu pójdziemy do łóżka, nie wiem, czy to coś pomoże, ale chyba to zrobię, skoro tego chce.

W tym momencie słyhać dzwonek i odskakujemy od siebie, zszokowani i pełni obrzydzenia. Przyglądam włosy i patrzę na zegar. Nie wiem czemu. Nie czekam na nikogo.

Nie spodziewam się żadnej przesyłki, ale przez szybkę w drzwiach widzę czerwony uniform listonosza i jego furgonetkę.

– Mogłaby pani pokwitować za sąsiada?

– Jasne – potwierdzam, biorę sztyft i kreślę na wyświetlaczu jakieś bazgroły mające niewiele wspólnego z moim podpisem.

– Paczka dla sąsiada – wyjaśniam Benowi po powrocie do kuchni.

– Ocalona przez dzwonek Bel – żartuje, ogarnia nas skrępowanie, oboje nie wiemy, co powiedzieć.

– Rzecz w tym... – zaczynam, ale właściwie nie mam pojęcia, w czym. Gubię wątek.

– Zamierzam wycofać pozew – oświadcza nagle Ben takim tonem, że nie potrafię stwierdzić, czy przyszedł, by nas o tym zawiadomić, czy też decyzję podjął przed sekundą.

– Naprawdę? – pytam.

Byłoby to cudowne, gdyby było prawdziwe. Czuję skradającą się ulgę, ale nie jestem pewna, czy mogę jej ulec. Ben może jeszcze zmienić zdanie.

– Wiem, że jesteś wściekły na nas, na mnie, i cię rozumiem, ale to dotknęło nas wszystkich, więc... – Nie kończę.

– Nie chodzi o ciebie – odpowiada. – Tylko o Maggie. I o Iris. Nie wycofuję się dla twojego dobra, dla dobra Erica czy kogokolwiek innego. Robię to dla Maggie i dla Iris. Bo kocham je obie bardziej niż wszystko na świecie, bardziej niż kiedykolwiek kochałem ciebie. Nie, bardziej niżbym cię kochał, gdybyś mi dała szansę.

– Wiem – przyznaję.

– Nienawidzę cię z powodu tego, co się stało, ale nie tak bardzo, jak kocham je obie, a próba walki z tobą, próba zmuszenia cię, żebyś wystawiła nos poza swój wygodny światek i stawiała czoło rzeczywistości, martwiła Maggie i nie pomagała Iris, więc nie mogę im tego dłużej robić.

– Powiedziałaś jej?

– Maggie wie – odpowiada tylko. – I wie również, że kocham ją i Iris najbardziej na świecie.

– Wiem – powtarzam. – I wiem, że nie mogę niczego zmienić, ale jeśli istnieje coś, co mogę zrobić, to zrobię to. Wiem, że czeka was z Maggie wiele trudności. Chciałabym pomóc.

– Muszę już iść – rzuca Ben, rozgląda się po kuchni i zauważa paczkę, którą przyniósł. – Przekaż Vincentowi od nas życzenia wszystkiego dobrego z okazji urodzin.

– Dobrze. Dziękuję.

Sytuacja wydaje się niemal normalna.

Odprowadzam go do wyjścia i zamykam za nim drzwi. Potem idę do salonu i obserwuję przez okno, jak odchodzi ścieżką.

Nasz sąsiad psychoterapeuta zmierza do siebie. „W Brighton prawie każdy jest psycho-kimś”, żartuje Eric. „Za ścianą mamy psychologa, a sąsiad z naprzeciwka to psychopata!”. Widzę, jak Ben kiwa głową drugiemu mężczyźnie, pochwyciwszy jego spojrzenie, i zastanawiam się, czy sąsiad umiałby wyjaśnić, czemu mam wrażenie, że rozmowa, którą właśnie odbyłam, stanowiła coś w rodzaju dziwnego rozstrzygnięcia.

Przystanąwszy na chodniku, Ben wyjmuje z plecaka komórkę. Stoi na ulicy i z kimś rozmawia.

Zakładam, że z Maggie, uspokaja ją, że wszystko wyjaśnił i wraca do domu.

Postanawiam uspokoić Erica. Wysyłam mu esemesa.

„Ben był i poszedł. Pozew wycofany. Pogadamy później”.

Zastanawiam się, czy oddzwoni, kiedy odczyta wiadomość, ale tego nie robi, a mnie to odpowiada. Potrzebuję czasu, żeby mu przedstawić jakąś wersję wydarzeń.

Gdy Eric wraca do domu, unikamy się jak ludzie, którzy wdali się w awanturę, ale postanowili ją przerwać, zamiast doprowadzić do rozstrzygnięcia.

– Jak poszło? – pyta.

– Pozwoliłam mu się wykrzyczeć. Chyba pomogło – odpowiadam.

– Komu? Jemu czy tobie?

– Nam obojgu – odpowiadam na pół ze śmiechem, na pół z płaczem, lecz pełna ulgi, że przynajmniej jedna czarna chmura się rozwiała.

– Co powiedział? – dopytuje Eric.

– Oświadczył, że jestem samolubna, mam obsesję na własnym punkcie i tkwię zamknięta w swoim idealnym świecie – zaczynam.

– Ostro – stwierdza Eric cicho, jakby naprawdę wcale tak nie uważał.

– Serio? To samo powtarzałeś mi przez ostatnich kilka tygodni – przypominam.

– Byłem wkurzony, Bel – odpowiada, pogodzony z napięciem, jakie pozostało między nami. – To był taki cholerny koszmar.

– Ben też był wkurzony – mówię. – Wściekły... że Iris ogłuchła, że wcale nie musiało do tego dojść, że żadne z nas się z nimi nie skontaktowało.

– Ja się skontaktowałem – zauważa, ale ma tyle przyzwoitości, że na tym kończy.

– Cóż, jego zdaniem nie zrobiliśmy wystarczająco dużo. Ale szczególnie ja. Byliście pod tym względem zgodni – dodaję.

– Dlaczego szczególnie ty? – pyta i patrzy na mnie tak uważnie, że staram się nie wzdrygnąć pod jego spojrzeniem.

– Pewnie tak samo jak ty uważa, że to ja zawiniłam, bo moja decyzja, by nie szczepić dzieci, była przyczyną całego nieszczęścia.

– To wszystko? – Nadal na mnie patrzy, staram się zachować spokój.

– Niezupełnie – rzucam, odwracając wzrok.

– To znaczy?

- Nie powiem ci dokładnie. Nie pamiętam wszystkiego, co mówił – odpowiadam.
- Atmosfera była bardzo naładowana.
- Czym? – Eric zdaje sobie sprawę z mojego skrepowania, ale nie odpuszcza.
- Gniewem, napięciem, zarzutami. Sam sobie dośpiewaj. To skomplikowane. Nie stać mnie na więcej.
- Co jest skomplikowane, Isobel?
- Twoje relacje z Benem, Bena ze mną. Tak jak mówiłeś. Pewnie się we mnie trochę podkochał i może nie postępowałam wystarczająco ostrożnie. Nie wiem. Czasami mam wrażenie, jakby odnosił się do mnie wrogo za to, że jestem z tobą. Jesteś jego najlepszym kumplem i nie potrafi rozstrzygnąć, wobec kogo powinien być lojalny.
- Ale zawsze był lojalny wobec nas obojga, prawda? – dąży Eric, próbując coś ze mnie wydobyć, lecz nie daje się podejść.
- Owszem, chociaż kiedyś mi się zdawało, że chybaby wolał, gdybyś ożenił się z inną. Żeby nie musiał mnie oglądać przez resztę życia. Tymczasem musi, co nie? Bo wyszłam za ciebie.
- Dlatego sądzisz, że był bardziej wściekły na ciebie?
- Zastanawiam się – nie pierwszy raz w dorosłym życiu – czy Eric wie więcej, niż myślę. Czy jest w naszych relacjach coś, o czym się nie mówi, ponieważ powiedzenie tego na głos byłoby znacznie bardziej niszczące niż udawanie, że to nie istnieje.
- Może gdybyś się ożenił z inną, jego córeczka nie byłaby teraz głucha – rzucam.
- To tylko jedno z wielu „gdyby”, Bel – odpowiada łagodniej. – Życie nie zawsze jest zgodne z naszymi oczekiwaniami.
- Tak jak ja – rzucam, zmieniając temat rozmowy z mojej relacji z Benem na jedną z wciąż nierozwiązanych kwestii.
- Co chcesz przez to powiedzieć? – pyta, ale podejrzewam, że doskonale wie.
- Och, daj spokój, Ericu – mówię, biorąc głęboki oddech, bo naprawdę nie mam siły na kolejną kłótnię. – Powtarzałeś mi to przy każdej okazji przez ostatnich kilka tygodni. Nie jestem osobą, za jaką mnie uważałeś. Zawiodłeś się na mnie. Jestem nudną kurą domową, która popełniła błąd, a ten zemścił się na nas w okropny sposób. Masz powody, by czuć się rozczarowany. Może dlatego Ben czuł większą złość na mnie. On też widzi, w co się zmieniałam, podczas gdy ty pozostałeś wspaniałym Erikiem Jordanem.
- Trudno powiedzieć, że pozostałem – protestuje i jego ton znowu staje się oskarżycielski. – Moje życie też potoczyło się inaczej, niż sobie wymarzyłem.
- Cóż, przykro mi, jeśli to także moja wina – odpowiadam, a sarkazm w moim głosie jest aż nazbyt wyraźny.
- Nie o to mi chodzi, Isobel – protestuje. – Ale spójrz na nas. Spójrz na to, jak żyliśmy przez ostatnie tygodnie. To się nie wzięło znikąd, tylko po prostu wyszło na światło dzienne.
- Jezu, Eric, co ty wygadujesz?
- Zaczynam wpadać w panikę. Kilka godzin temu sądziłam, że kryzys został zażegnany, przed momentem ledwie uniknęłam kolejnego, a tymczasem na horyzoncie najwyraźniej majaczy trzeci.
- Nic nie wygaduję – odpowiada już spokojniej.

Nie jest to może ton pełen zrozumienia, ale przynajmniej łagodniejszy.

– Ericu, nie możemy pozwolić, żeby... – waham się. – Nie możemy pozwolić, żeby to nas zniszczyło. Popełniłam błąd i płacę za niego cały czas, przez to, co spotkało Iris. Ale ty mnie odrzuciłeś. Dawniej byliśmy zespołem, sądziłam, że zawsze tak pozostanie, ale odkąd się dowiedziałeś, dałeś mi bardzo jasno do zrozumienia, że w tej sprawie jestem zdana na siebie. Ciągłe to robisz i nie potrafię tego znieść. Czy możesz wreszcie przestać?

– To nie takie proste – odpowiada. – Wiem, że nie wszystko dobrze rozegrałem. Nie chciałem, byś poczuła się zdana wyłącznie na siebie.

– Cóż, ale tak wyszło – stwierdzam stanowczo. – To niewybaczalne, w jaki sposób mnie traktowałeś.

– Więc najwyraźniej oboje się sobą rozczarowaliśmy – odpowiada.

Nie takiej reakcji oczekiwałam. Chcę go wytrącić z tej zdystansowanej, oskarżycielskiej postawy, chcę, by z powrotem zaczął zauważać mnie, moje potrzeby, to, że go potrzebuję.

– Tylko tyle masz do powiedzenia? – Próbuję wykrzesać z niego coś więcej.

– Przepraszam. To chciałaś usłyszeć? – pyta. – Przykro mi, Isobel, naprawdę mi przykro. Powinienem lepiej to wszystko rozegrać, ale nie rozegrałem. Wszystko spieprzyłem i przepraszam, jeśli zraniłem cię przy okazji. Nie miałem zamiaru.

– Mnie też jest przykro – mówię.

Nadal chcę być na niego wściekła, ale nie szarżuję, wspomnienie Bena – tutaj, w naszej kuchni – i tego, do czego mogło dojść, jest zbyt świeże, by ryzykować, a wcześniejsze słowa Erica – „Spójrz na to, jak żyliśmy przez ostatnie tygodnie. To się nie wzięło znikąd” – wciąż brzmią mi w uszach. Czy on naprawdę w to wierzy? Czy uważa, że układało się między nami źle, jeszcze zanim to wszystko się wydarzyło? Przez ostatnich kilka tygodni bałam się, co będzie, jeśli Ben nie wycofa pozwu, teraz jednak, kiedy wycofał, boję się jeszcze bardziej.

– Zajmowanie się dziećmi bywało trudne – zaczynam. – Zawsze o tym marzyłam i kocham je ogromnie, ale nie zawsze było łatwo.

– Wiem, Bel – powtarza i patrzy teraz prosto na mnie. – I to świetne dzieciaki.

– Mamy szczęście – potwierdzam. – Mieliśmy wielkie szczęście.

– To nie tylko kwestia szczęścia... – zaczyna.

– Nie zaczynaj znowu, Ericu, nie teraz, proszę – wchodzę mu w słowo. – Nie możemy po prostu zamknąć tego tematu?

– Co?

– Wiem, że to skutek mojego postępowania Iris jest... – milknę. Wciąż trudno mi wymówić słowo „głucha”.

– Chciałem powiedzieć, że świetnie się sprawiłaś – wyjaśnia. – Z dziećmi.

– Och. Dziękuję.

No, no.

– Wiem, że nie wszystko mi się udało – przyznaję. – Ale jak mówiłam, nie zawsze było łatwo. Potrzebuję kogoś, kto mnie wesprze, Ericu.

– Próbowałem – odpowiada.

– Niedostatecznie – stwierdzam. – A ostatnio wcale.

– Przepraszam – powtarza. Potem lekko zmienia temat. – Czy Ben wyjaśnił, czemu postanowili wycofać pozew? Czy tylko chciał na nas wymusić przeprosiny?

– Nie wiem. Może zdecydowali wcześniej, zanim przyszedł, albo dopiero tutaj uświadomił sobie, że spory prowadzą donikąd – tłumaczę. – Ale sądzę, że po prostu chce skoncentrować się na Iris.

To mniej więcej prawda i Eric, jak się zdaje, przyjmuje ją – tymczasowo.

– Zjrzę do dzieciaków – oznajmia. – Wróciły już wszystkie?

– Gabs poszła po szkole do Megan, nocuje u niej. A chłopcy są chyba w salonie.

Po jego wyjściu biorę głęboki wdech, potem wolno wypuszczam powietrze i zabieram się do przygotowywania posiłku.

Kiedy kolacja jest gotowa, idę do salonu, ale zatrzymuję się przed progiem. Ryczą ze śmiechu. Nie wiem z czego, słyszę tylko nakładające się na siebie szaleńcze salwy przerywane szybkimi wypowiedziami. Moi synowie i mąż zanoszą się od głośnego, pełnego, głębokiego śmiechu – przepełnionego „radością rodzinnego życia”.

Obawiam się, że jeśli wejdę i spytam: „Co was tak bawi?”, przestaną, czekam więc na progu i nasłuchuję.

– „Koran?” – mówi Harvey piskliwym głosem.

– „Nie, mamó – odpowiada, naśladując samego siebie. – »Kerrang!«. To pismo o heavy metalu”.

Więc to ich tak ubawiło. Uśmiecham się do siebie. Harvey powtarza rozmowę, jaką odbyłam z nim przed kilkoma dniami. „Możesz spytać w kiosku, czy przyszedł już nowy »Kerrang!«? – poprosił. – Chciałem go sobie kupić”. Nie jestem nastoletnią fanką heavy metalu, więc nie miałam pojęcia, o co chodzi. Odparłam zaskoczona: „Koran?”.

Zamierzam już wejść, ale nadal się waham – na tyle długo, by usłyszeć komentarz Erica:

– A jak zareagowała na wieść, że chcesz kupić Koran? Chciałbym widzieć jej minę.

– „Och, nie, Harvey, nie możesz zostać muślinem” – odzywa się Vinnie wysokim głosem. – „Oni zmuszają kobiety do noszenia ochraniaczy na nos!”.

– Muslimem, idioto – karci go Harvey, ale jego ton jest przyjacielski. – I to się nazywa burka, a nie ochraniacz.

– Wyobrażacie to sobie? – rzuca Eric i właściwie już się nie śmieje. – Dla waszej matki byłby to prawdziwy policzek.

– „Och, nie, musicie zostać liberalnymi aktywistami, a nie muslimami” – podejmuje Harvey „moim” piskliwym głosem i wybuchają śmiechem.

Lecz ja w żaden sposób nie potrafię dostrzec w tym nic śmiesznego, nie w tej chwili. Cała trójka naśmiewa się ze mnie, a Eric uczestniczy w ich żartach, sugerując, że nadmiernie kontroluję ich życie i nie potrafiłabym tego zaakceptować, gdyby jedno z moich dzieci chciało zmienić wyznanie.

To dla mnie jak policzek.

Twarz mnie pali.

KILKA MIESIĘCY PÓŹNIEJ

Ben, sobota

Zobaczę Isobel pierwszy raz, odkąd odwiedziłem ją w domu. Maggie spotka ją pierwszy raz od wspólnego wyjazdu do Francji – ją, Erica i dzieciaki. Nic dziwnego, że trochę się niepokoję.

Ale Maggie nie daje się wyciągnąć na zwierzenia.

Gdy pytam, jak się czuje z tym, że przybędą w komplecie, odpowiada: „W porządku”. Lecz mówi to w sposób, który sugeruje, że się niepokoi, i próbując ukryć ten fakt, koncentruje się na tym, by przygotować wszystko na czas.

Nie będziemy chrzczyć Iris, ale postanowiliśmy urządzić przyjęcie – żadną tam ceremonię nadania imienia, nic oficjalnego, po prostu zwykłą imprezę.

Maggie nie była zachwycona, kiedy to zaproponowałem, ale potrzebowałem fety. Nie jesteśmy małżeństwem, nasza córka nie została ochrzczona i nigdy nie mieliśmy okazji świętować tego, że jesteśmy ze sobą i tworzymy rodzinę. Nie będziemy mieli żadnych zdjęć, by je pokazać Iris, kiedy podrośnie, ani żadnych wspomnień o początkach naszej rodziny – przynajmniej żadnych dobrych. Po kilku ostatnich koszmarnych miesiącach tęsknię za czymś pozytywnym.

Chcę uczcić to, że Maggie i ja jesteśmy ze sobą i że mamy piękną córeczkę, która dorastając, nie będzie jak inne dzieci, ale będzie jedyna w swoim rodzaju. Teraz to rozumiem. Nie chodzi tylko o zaakceptowanie sytuacji jako czegoś złego, co muszę przyjąć i z czym muszę żyć, naprawdę uważam, że Iris jest niesamowita taka, jaka jest.

Nauczyła się chodzić i sporo miga. Naprawdę się komunikujemy, pewnie tyle samo, ile inni rodzice z dzieckiem w jej wieku.

Bel wspomniała kiedyś, że Yasmin porównała dowiedzenie się o autyzmie Conrada do sytuacji, kiedy sądzisz, że zarezerwowałeś wakacje we Włoszech, a potem odkrywasz, iż w rzeczywistości wylądowałeś w Holandii. To trafna analogia. Czyli nie jedziemy już do Toskanii, tylko do Zuiderzee. W Toskanii jest zbyt gorąco, a w lecie za dużo tam Brytoli i polityków. Holandia jest płaska, bardziej pusta i świetnie się nadaje na rowery, i dlatego udajemy się tam z Iris.

Teraz się cieszę, że agentka z biura podróży się pomyliła. Życie nigdy nie jest takie, jak oczekiwaliśmy. Rok temu byłem rozczarowanym nauczycielem aktorstwa ze zdrową malutką córeczką. Teraz mam niesłyszące dziecko, szukam kursów dających uprawnienia do nauczania w szkole dla głuchych i czuję się podekscytowany tą perspektywą – naprawdę szczerze podekscytowany, jak nie byłem od dawna.

I szczęśliwy, nawet jeśli nie palę się do spotkania z Isobel. Ale zaprosiliśmy pół setki gości. Nie zamierzam poświęcać jej wiele czasu. Potrafię się zachować kulturalnie, bo czuję, że w pewnym sensie się od niej uwolniłem. Nareszcie naprawdę mnie nie obchodzi, co Isobel robi lub myśli.

Dlatego spędziłem poranek w parku z Iris, podczas gdy Maggie przygotowywała jedzenie. Goście zostali zaproszeni na czternastą na późny lunch przy szwedzkim stole, a potem na herbatę i tort.

Pora zdziwiła Ruth, matkę Maggie, ale chcieliśmy jakoś wpasować imprezę w rozkład dnia Iris. Zasypia wczesnym popołudniem i potem zwykle budzi się radośniejsza. Dlatego pójdzie spać, podczas gdy wszyscy będą jedli lunch, a gdy się zbudzi, urządzimy podwieczorek.

– Naprawdę potrzebny nam tort, skoro zjemy późny lunch? – spytałam Maggie.

Miałem wrażenie, że przywiązuje do tego zbyt wielką wagę – przeglądała rozmaite przepisy, szukając takiego, który zachwyci wszystkich.

– Świątujemy. Tort musi być.

– Mógłbym coś zamówić, jeśli nie masz ochoty piec na dodatek do gotowania lunchu – podsunąłem. – Na rogu przy głównej ulicy jest cukiernia. Z pewnością pieką na zamówienie.

– Nie, chcę go zrobić osobiście. Musi być idealny dla Iris – odparła.

Koniec końców jednak się nie wyrobiła. „Kupię coś w supermarkecie i sama polukruję”, stwierdziła, kiedy wczoraj spytałem, czy dalej planuje upiec ciasto.

Uwielbiam to, że nie stara się być perfekcyjna do przesady. Zależy jej, żeby Iris była zachwycona widokiem tortu. Wie, że nikomu nie robi różnicy, czy upiecze go sama, czy też kupi w Sainsbury's.

Dlatego wyjmuję w kuchni dwa kupione w sklepie biszkopty z opakowań, układa na wielkiej desce przykrytej folią aluminiową i dopiero teraz zabiera się do ich składania i dekorowania, choć dotarli już prawie wszyscy, włączając Erica, Isobel i dzieciaki.

Zamieniłem z Isobel kilka słów – powitalne uprzejmości, nic więcej. Lecz obecnie, akurat gdy zamierzam wyciągnąć Maggie z kuchni, Bel zbliża się do mnie.

– Gdzie są Maggie i Iris? – pyta. – Nie widziałam ich jeszcze.

– Mała śpi – wyjaśniam. – A Maggie jest w kuchni. Właśnie miałem do niej iść i powiedzieć, by dołączyła do nas.

– Mogę ci towarzyszyć? – pyta Isobel i rusza za mną, choć w odpowiedzi jedynie wzruszyłem ramionami.

Maggie prawie się uporała z lukrowaniem.

– Wygląda nieźle – chwalebę, bo chcę, by Isobel pomyślała, że to jej własne dzieło.

– Tort cytrynowy – oświadcza Maggie, chociaż o tym wiem. Widziałem opakowania w śmieciach. – Z polewą z sera śmietankowego.

– Brzmi wspaniale – mówi Isobel, a Maggie podnosi wzrok, jakby dopiero teraz ją zauważyła.

– Iris go uwielbia – wyjaśnia z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Mogę w czymś pomóc? – pyta Isobel.

– Nie, dziękuję – odpowiada bardzo uprzejmie. – Wszystko jest pod kontrolą.

– Przyłączysz się do nas? – pytam.

– Za dwie minutki – obiecuje.

– W porządku. – Waham się niepewny, czy powinienem zostawiać ją sam na sam z Isobel.

– Przyjdę za sekundę, Ben, naprawdę – powtarza, jakby chciała, bym sobie poszedł. Odwracam się więc do wyjścia, lecz na tyle wolno, by usłyszeć słowa Isobel:

– Maggie, wiem, że to nieodpowiednia pora i miejsce. Ale chciałam tylko

powiedzieć, że mi przykro. Wiem, że powinnam była przeprosić cię wcześniej, i przykro mi, że tego nie zrobiłam.

Reszty nie słyszę. Podchodzi do mnie Julie Effingham.

– Śliczny dom, Ben – rzuca. – A gdzie uroczy gość honorowy?

– Śpi – wyjaśniam. – Jak to księżniczka. Potrzebuje mnóstwo snu.

– Ha... podobnie jak my wszyscy, nieprawdaż? – odpowiada Julie, a potem zjawia się Maggie.

– Cześć, Julie. Wspaniale, że przyszedłaś! Masz już drinka?

I tak to się kręci. Goście podchodzą i się oddalają. Napęlam im kieliszki. Maggie zachęca, by się częstowali jedzeniem. Wszyscy zdają się zadowoleni. Trochę żałuję, że nie ma z nami Iris. Ostatecznie to przyjęcie na jej cześć, szkoda, że nie bierze w nim udziału. Ale Maggie ma rację, lepiej uporać się z jedzeniem, póki mała śpi. Maggie łatwiej jest się zajmować gośćmi, gdy nie musi brać Iris na ręce ani do niej migać.

– Kiedy zjemy tort? – pyta Vincent, podbiegając do mnie w podskokach, jak to on.

– Dopiero kiedy Iris wstanie – odpowiadam i jak na zawołanie odzywa się elektroniczna niania na gzymsie kominka.

– Zbudziła się! – woła chłopak triumfalnie, jakby się do tego przyczynił.

– Dobrze – mówię. – Pójdę po nią. Poszukasz Maggie, żeby jej powiedzieć?

Goście klaszczą, kiedy schodzę po schodach z Iris na rękach. Pewnie by się rozplakała, gdyby słyszała grzmot oklasków. Ale oczywiście nie słyszy. Przygląda się jedynie uśmiechniętym twarzom i rozpromienia się w odpowiedzi, być może mgliście świadoma, że to przyjęcie na jej cześć.

– Przyniosę tort – mówi Maggie, po czym znika w kuchni i wraca z ciastem, polukrowanym teraz i ozdobionym motylem z kolorowych draży, mającym dwie świece zamiast czułek.

Na ten widok Iris wierci się i klaszcze.

Stawiam ją na ziemi i wygłaszam mowę. Krótką, tylko o tym, jak bardzo jesteśmy szczęśliwi, że mamy dziecko, i jak szczęśliwy się czuję, że poznałem Maggie.

Kątem oka przyłapuję Isobel na tym, że mi się przygląda, nie potrafię zinterpretować jej spojrzenia.

Maggie kroi tort.

Vincent i Harvey stoją najbliżej, Harvey w oczekiwaniu na ciasto strzepuje z pulowera okruchy tego, co jadł do tej pory. Maggie podaje im pierwsze kawałki. Potem kroi dalej, rozdając talerzyki ze sporymi trójkątami cytrynowego ciasta.

Iris dostaje największy. Klęczy na podłodze przed talerzykiem ustawionym na stoliku do kawy i szczęśliwa rozmazuje sobie po buzi serową masę. Ruth przywiozła dodatkowe imbryki do herbaty i napełnia je męźnie, by goście mogli sobie nalewać. Skończywszy krojenie, Maggie siada, zapewne pierwszy raz tego dnia.

– Dobra robota, skarbie – chwalę. – Przynieść ci filiżankę herbaty?

– Dzięki – odpowiada, więc idę nalać z jednego z czajniczków, które Ruth ustawiła rzędem na stole jadalnym.

W tym samym momencie wybucha zamieszanie.

– Eric! – Słyszę ostry głos Isobel przebijający się przez gwar w pomieszczeniu.

– Eric! – Z nutą paniki. – Eric, możesz przynieść moją torebkę? Harvey dostał reakcji.

– Gdzie ją położyłaś? – pyta Eric.

– Wszystkie torebki i płaszcze są w naszej sypialni – wyjaśniam. – Ale nie wiem, która należy do Isobel. Mogę jakoś pomóc?

Wiem naturalnie, że Harvey jest uczulony na orzechy, ale nigdy nie widziałem go podczas ataku. To trochę przerażające. W jednej chwili nic mu nie było, a teraz twarz ma czerwoną i chyba się dusi.

– Pójdę po nią. – Eric wbiega po schodach, a wokół Isobel i Harveya tworzy się niewielka pusta przestrzeń.

Maggie, co dziwne, pozostaje na swoim miejscu. Nie bardzo wiem, co robić, ale wydaje mi się, że jako gospodarze powinniśmy zareagować, gdy Harvey walczy o oddech.

– Oddychaj powoli – instruuje go Isobel. – Tata poszedł tylko po moją torebkę. Mam w niej wstrzykiwacz. Po prostu zachowuj się spokojnie.

Harvey wygląda teraz strasznie. Ma coraz bardziej czerwoną twarz, puchną mu wargi.

– Gabriello, pójdiesz pomóc tacie szukać torebki?

W głosie Isobel słychać naleganie, Gabs pędzi na górę bez dalszych ponagleń.

– Przynieść mu wody?

– Zadławił się?

– Atak astmy?

– Nie – odpowiada Bel, patrząc w stronę schodów. – Ma alergię na orzechy. Harvey, co jadłeś?

– Nic – sapie chłopak.

Lecz przecież zjadł lunch jak wszyscy i skończył swoją porcję tortu, zanim jeszcze połowa pozostałych gości została obsłużona.

Ericowi wyraźnie się nie spieszy, ale w końcu wraca z torebką.

– Przepraszam – dyszy. – Spadła z łóżka na podłogę. Trwało chwilę, zanim ją znalazłem.

Isobel szarpie tasienkę, którą ściągnięta jest torebka. Wewnątrz nie ma przegródek i wyraźnie trudno coś znaleźć.

– Nie ma go. – Isobel przetrząsa zawartość. – Nie ma go! Wiem, że był. Gdzie się podział?

– Wysyp wszystko – radzi Eric, sięga po torebkę i odwraca ją do góry dnem. Na podłogę wysypuje się kaskada szminek, kluczy i tamponów.

Epipena nie ma. Wiem, jak wygląda. Przez lata poznałem w szkole wystarczająco dużo dzieciaków uczulonych na orzechy i wystarczająco wiele razy kazano mi szukać wstrzykiwaczy podczas wycieczek szkolnych. Na szczęście nigdy nie musiałem żadnego użyć, nigdy nie musiałem sobie radzić z sytuacją podobną do rozgrywającej się teraz w moim własnym salonie.

– Musiał wypaść na górze! – stwierdza Isobel. – Wiem, że go miałam. Idź i poszukaj.

– Gabs, ty poszukaj – mówi Eric, potem zwraca się do Isobel. – Myślę, że trzeba

wezwać karetkę.

– Ja zadzwonię – oznajmiam i idę do bezprzewodowego telefonu na stoliku przy drzwiach, ale słuchawki nie ma na podstawce.

– Chyba leży w kuchni. Masz, zadzwoń z mojej komórki. – Maggie wyjmuję skądś aparat i mi podaje. Wystukuję trzy dziewiątki.

– Telefon alarmowy. Którą służbę pan wzywa? – pyta kobiecy głos.

– Pogotowie – wyjaśniam. – Mamy przyjęcie i jest tu chłopiec uczulony na orzechy, który chyba dostał reakcji.

– Adres proszę. – Podaję go. – W porządku, karetka jest w drodze, powinna do państwa dotrzeć w ciągu paru minut – mówi operatorka. – Jest pan przy chorym?

– Nie – odpowiadam, ale ruszam przez pokój. – Dam pani ojca chłopca.

Przekazuję aparat Ericowi.

– Tak, nadal oddycha, ale z trudnością – mówi Eric. Potem zwraca się do Isobel. – Mówią, żeby go położyć na podłodze i unieść mu nogi.

Goście odsuwają się, kiedy Isobel zsuwa Harveya z krzesła, na którym siedział, i układa na podłodze.

– Co się dzieje? – Vincent, który zniknął przed chwilą, materializuje się ponownie i patrzy z niepokojem na starszego brata. – Harvey źle się czuje?

– Wszystko w porządku, Vinnie. Karetka już jedzie – próbuje go uspokoić Gabriella.

– Musisz mu zapewnić drożność dróg oddechowych – mówi Eric do Isobel. – Otwórz mu usta i upewnij się, czy nie ma zatkanego nosa.

Isobel już to robi i sprawdza synowi tętno. Wygląda na zaniepokojoną.

– Eric...

W jej głosie brzmi strach, ale słyszymy zawodzenie syreny ambulansu i widzimy błyski niebieskiego światła wpadające przez okno.

– Karetka już tu jest, Harveyu – mówi Isobel, a potem szepcze z przerażeniem: – Eric, on nie oddycha.

– Harvey! – Eric upuszcza komórkę i klęka obok syna, gdy sanitariusze wchodzą do pokoju i udzielają pierwszej pomocy. Jeden z nich wyjmuje strzykawkę i wstrzykuje coś w nogę chłopaka.

Harvey nie reaguje.

Przenoszą go na nosze na kółkach i wywożą do samochodu. Isobel i Eric idą za nimi.

– Tylko jedno z państwa może wsiąść – wyjaśnia któryś sanitariusz.

– Bel, ty pojedź – mówi Eric.

– Podrzucę was do szpitala – ofiarowuje się Paddy.

Przyjęcie skończone. Wszyscy są w szoku. Goście zaczynają wkładać płaszcze i dziękować. Niektórzy proponują, że zostaną i pomogą posprzątać, ale odmawiamy.

– To poszło tak szybko – mówię po ich wyjściu. – Zastanawiam się, co wywołało reakcję.

– Nie przychodzi mi na myśl nic, co u nas jadł – odpowiada Maggie. – Nie podałam niczego z orzechami.

– Sprawdziłaś na wszystkich opakowaniach? – pytam.

– Niezupełnie – odpowiada z przerażeniem. – Ale nie kupiłam niczego, co mogłoby zawierać orzechy.

– To nie twoja wina – zapewniam. – Isobel powinna to sprawdzić albo zapytać i nie mieści mi się w głowie, czemu nie nosi przy sobie wstrzykiwacza w każdej sytuacji, skoro Harvey reaguje tak gwałtownie.

– Owszem, dziwne – przytakuje Maggie, zaczyna zbierać talerzyki z niedojedzonym tortem i zanosić je do kuchni.

Przyciska pedał przy kubie na śmieci, ale waha się chwilę, zanim zgarnie resztki na opakowanie, które już leży w środku.

– Można by sądzić, że znają każdy produkt mogący wywołać reakcję alergiczną.

Ożywia się i wrzuca niedojedzone porcje tortu na pozostałe śmieci.

– Harvey na pewno z tego wyjdzie – stwierdzam, wkładając talerze do zmywarki.

– Mam nadzieję – odpowiada Maggie i oboje podnosimy wzrok, kiedy niepewnie drepcząc, w kuchni zjawia się uśmiechnięta Iris z buzią umazaną lukrem i wydaje jeden ze swoich pisków.

Ale to radosny pisk. Mała jest rozkosznie nieświadoma dramatu, który rozgrywa się właśnie w karetce pędzącej do szpitala przez londyńskie ulice.

Podziękowania

Pragnę podziękować włamywaczom (lub włamywaczowi), którzy zakradli się do mojego domu pod koniec 2012 roku i zabrali moje komputery oraz pendrive'y z pierwszym szkicem niniejszej powieści. Zmusiliście mnie do rozpoczęcia wszystkiego od zera i w sumie oddaliście mi przysługę. Książka tylko na tym zyskała.

Ale włamanie to kaszka z mleczkiem. Naprawdę ciężką robotę wykonała moja redaktorka i przyjaciółka Candida Lacey, u której mam ogromny dług wdzięczności za wnikliwość, cierpliwość, poczucie humoru, życzliwość oraz niewyczerpane zasoby herbaty i prosecco. Nie potrafię w pełni wyrazić swojej wdzięczności dla zespołu wydawnictwa Myriad za pokładane we mnie zaufanie, ogromną energię, pracowitość oraz ogólną „bardzosympatyczność”, praca z Wami to była prawdziwa przyjemność. Serdeczne podziękowanie składam Lindzie McQueen, będącej bez wątpienia największym, a przy okazji obdarzonym ogromnym poczuciem humoru redaktorem w dziejach. Oraz Emmie Dowson za kontakty z prasą. (Wiem, że dziennikarze potrafią dać w kość!).

Chciałabym też podziękować mojemu agentowi Peterowi Strausowi z RCW za niezachwiane wsparcie.

Pragnę również wyrazić wdzięczność Annie Galandzkiej z Narodowego Towarzystwa Dzieci Głuchych i Markowi Chacksfieldowi za pomoc oraz rady dotyczące utraty słuchu, jak też Dino Skinnerowi za to samo w odniesieniu do kwestii prawnych.

Jak również za wsparcie kolegom po piórze, szczególnie Aramincie Hall, Richardowi Binghamowi, Crai-gowi Melvinowi, Martine McDonagh, Stephenowi Mayowi i Colinowi Grantowi, którzy najboleśniej doświadczyli mojej niepewności, paranoi i ustawicznej paplaniny – dziękuję.

Oraz przyjaciółom i rodzinie, którzy musieli z tym (i ze mną) żyć, nie mogąc nawet pisać, jak im ciężko – szczególnie trójce moich dzieci, które inspirują mnie na tysiąc sposobów. Z najrozmaitszych przyczyn nie mogłabym napisać tej książki bez wsparcia, miłości i przyjaźni bardzo wielu ludzi. Wiecie, że to o Was mowa, a ja wiem, ile Wam zawdzięczam.

A ponieważ książka dotyczy jasnych i ciemnych stron wychowania dzieci, szczególna wzmianka należy się Esther, Hannah, Helen, Jo i Nicoli: zawsze mogłam na Was liczyć. Pozwoliłam sobie pożyczyć Wasze nazwiska oraz różne anegdoty i incydenty z Waszego życia – wiecie, że mam taki zwyczaj, lecz nie protestujecie. Przyjmijcie moje przeprosiny wraz z podziękowaniami.

Pytania do dyskusji

Jak zmieniają się Wasze uczucia wobec Isobel i Bena w trakcie lektury?

Doświadczenia Isobel sugerują, że pragnienie rodziców, by chronić własne dzieci, niekiedy pozostaje w konflikcie z odpowiedzialnością wobec społeczeństwa. W jakich innych sytuacjach się to zdarza?

Czy potrafisz zrozumieć reakcję Erica na wiadomość, że Iris straciła słuch?

Na ile reakcje trojga powieściowych dzieci Isobel przypominają Twoje własne emocje wobec wahania, wyparcia i konfliktów dorosłych bohaterów?

Czy identyfikujesz się z konfliktem lojalności, jaki odczuwają wspólni przyjaciele Isobel i Bena?

W powieści przedstawiono rozmaite rodzaje rozczarowań. Które postaci radzą sobie najlepiej w nowej sytuacji i dlaczego?

Czy Ben słusznie uważa Maggie za lepszego człowieka od siebie?

Eric zauważa, że Ben potrzebuje w swoim otoczeniu kogoś, kto nadal widzi Isobel taką, jaka była w przeszłości. Czy Isobel z czasów studenckich rzeczywiście różni się od obecnej tak bardzo, jak sądzą Eric i Ben, czy też istnieją nici łączące przeszłość z teraźniejszością?

Eric mówi, że historia z Iris nie tyle wywołała problemy w jego małżeństwie z Isobel, ile po prostu je odsłoniła. Czy to prawda? I czy istnieje dla nich nadzieja na przyszłość?

Jak wyglądałaby powieść, gdyby historia została opowiedziana przez Erica i Maggie zamiast przez Isobel i Bena? Albo gdyby została napisana w trzeciej osobie, z punktu widzenia zewnętrznego obserwatora?